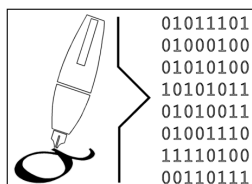


MERCEDES LACKEY

UPADEK STRZAŁY

Trzeci tom z cyklu
„Trylogia Heroldów Valdemaru”

Tłumaczył: Leszek Ryś



Tytuł oryginału:

ARROW'S FALL

Data wydania polskiego: 1995 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1988 r.

*Książkę dedykuję
Andre Norton za inspirację,
Tery Lee za słowa otuchy
i memu mężowi Tony'emu
za zrozumienie moich zmaganiań
z komputerem*

PROLOG

Dawno temu — tak dawno, że szczegóły zatargu utonęły w mroku dziejów, a ocalały zaledwie odpryski legend — świat Velgarthu obróciły w perzynę wojny czarnoksiężników, ludność została zdziesiątkowana, ugory powstałe na spustoszonych ziemiach objęły we władanie czarodziejskie stwory, którymi dotąd ludzie posługiwali się w toczonych przez siebie bojach. Kto żyw umknął na wschodnie wybrzeże — jedynie na tamtejszych dzikich połaciach mogli ludzić się jeszcze nadzieją na odbudowanie swego życia, które legło w gruzach. Z czasem właśnie na wschodnich obrzeżach kontynentu rozkwitła cywilizacja, zaś w jego głębi rozpleniła się dzicz.

Lecz ludzkość łatwo się nie poddaje i nie upłynęło wiele czasu, a jej liczebność poczęła ponownie wzrastać. Ludzie zaczęli osiedlać się coraz bardziej na zachód i zakładać nowe królestwa, tam gdzie dotąd rozciągały się dzikie ostępy.

Jednym z nowo powstałych królestw był Valdemar, założony przez barona Valdemara i wiernych jego poddanych, którzy wybrali wygnanie, byleby ujść przed gniewem samolubnego i okrutnego monarchy. Valdemar objął wysunięty najdalej na północ i na zachód zakątek cywilizowanego świata. Na północy i północnym zachodzie jego ziemie ograniczały dzikie pustkowia, wciąż zamieszkane przez niesamowite stworzenia; na zachodzie pustkowia rozciągały się hen aż do jeziora Evendim, olbrzymiego śródlądowego morza. Podróż poza granice Valdemaru nie była bezpieczna nawet w pokojowych czasach, zaś w najgorszych — podróżnik mógł sprowadzić na głowy niewinnych odwet, gdyby jakieś napotkane w drodze stworzenia ruszyły za nim w trop tam, skąd wyruszył.

Po części przez wzgląd na to, kim byli założyciele, władcy Valdemaru zawsze łaskawym okiem patrzyli na uciekinierów i wygnańców — czuli się z nimi związani przez los. W miarę więc jak upływał czas, zwyczaje i obrzędy mieszkańców królestwa ułożyły się w wielojęzyczną mozaikę, zaś monarchowie kierowali się jedną tylko niewzruszoną regułą: „Nie ma jednej, jedynie słusznej drogi”.

Władanie tak przypadkowym zbiorowiskiem poddanych mogłoby okazać się niemożliwe, gdyby nie pomoc heroldów Valdemaru.

Heroldowie skupili w swych rękach wyjątkową władzę, jednak nigdy jej nie nadużywali. Podstawą tak wielkiej szlachetności — i prawdę powiedziawszy, ca-

łego systemu — było istnienie stworzeń, które zwano Towarzyszami.

W oczach nie wtajemniczonego Towarzysz przedstawiał się jako wyjątkowo zgrabny, biały koń. Tymczasem były one istotami znacznie doskonalszymi. Ześlane w odpowiedzi na modlitwy wznoszone osobiście przez króla Valdemara, pierwsze trzy Towarzysze zadzierzgnęły więź z monarchą, spadkobiercą tronu i ich najbardziej zaufanym przyjacielem — heroldem królestwa. W ten oto sposób owa posada nabrała nowego znaczenia w Valdemarze, a heroldowie wcielili się w nową rolę.

To właśnie Towarzysze uzupełniały szeregi heroldów, nawiązując z wybranymi przez siebie bezpośrednią więź wprost z mózgu do mózgu, którą przeciąć mogła jedynie śmierć. Choć nikt nie potrafił dokładnie określić ich inteligencji, powszechnie zgadzano się, iż swymi zdolnościami nie ustępują ani na jotę swym ludzkim partnerom, o ile ich nie przewyższają. Towarzysze dokonywały wyboru, nie oglądając się ani na wiek, ani płeć — choć zazwyczaj skłonne były raczej wybierać dziatwę stojącą u progu wieku młodzieńczego, i częściej chłopców niż dziewczęta. Pominąwszy cierpliwość, poczucie odpowiedzialności, całkowity brak egoizmu i zdolność do bohaterskich poświęceń w imię służby, Wybranych łączyła jedna cecha — wszyscy posiadali przynajmniej ślad zdolności paranormalnych. Ciągłe przestawanie z Towarzyszem, nieprzerwane wzmocnienie wspólnej więzi przyczyniało się do doskonalenia ukrytych talentów Wybranych. Z czasem, gdy lepiej poznano owe dary, odkryto sposoby rozwijania wrodzonych zdolności, tak iż stopniowo stały się one najważniejsze, wypierając resztki wiedzy tajemnej, „prawdziwej magii”, która tliła się jeszcze w Valdemarze, aż doszczętnie zaginęły wszelkie przekazy o tym, jak korzystano z niej i jak jej uczono.

Na ziemiach Valdemaru powstał unikatowy system sprawowania rządów: wspomagany przez radę monarcha ustanawiał prawa, a heroldowie pilnowali, by ich przestrzegano, i wymierzali sprawiedliwość, gdyż graniczyło z niemożliwością, by ulegli zepsuciu i nadużywali tymczasowo powierzonej im władzy. W całej historii Valdemaru tylko jeden herold, szukając zemsty, uległ takiej pokusie, lecz wtedy jego Towarzysz wyrzekł się go i opuścił, a osamotniony herold sam zadał sobie śmierć.

Wybrani byli z natury zdolni do nadzwyczajnych poświęceń — nauka w kolegium tylko umacniała w nich tę cechę. Nie można było tego zaniedbać, gdyż często musieli w imię służby składać swe życie w ofierze. Przede wszystkim jednak byli ludźmi — z reguły młodymi, wciąż igrającymi ze śmiercią. Poza służbą skłonni więc byli ulegać przyjemnostkom życia i raczej stronić od cnotliwości. Heroldowie z rzadka wchodzili w trwałe związki, które wykaczałyby poza braterskie, lub byłyby czymś głębszym niż tylko folgowaniem chwilowej przyjemności — być może te braterskie uczucia były tak mocne, a może więź między heroldem a jego Towarzyszem niewiele zostawiała miejsca na długotrwałe związki. Zaledwie garść z gminu i spośród szlachetnie urodzonych miała im to za złe.

Powszechnie wiadomo, iż bez względu na to, jak herold swawolnie spędza wolne chwile, przywdziawszy śnieżnobiały uniform zmienia się, staje się całkowicie odmienną istotą, gdyż herold w Bieli jest heroldem na służbie, poza którą nie istnieje nic ważniejszego na świecie, zwłaszcza schlebianie frywolnym przyjemnościom. Jednak byli i tacy, którzy mieli odmienne zdanie. . .

Prawa ustanowione przez pierwszego króla wymagały, by i on był heroldem. Zapewniono zatem, iż władcą Valdemaru nie zostanie nigdy tyran taki, jak ten, przed którym musieli uchodzić z rodzinnych siedzib.

Drugą po władcy najważniejszą osobą w królestwie był herold zwany osobistym króla (lub królowej). Wybierany przez wyjątkowego Towarzysza, ogiera, który wydawał się nigdy nie starzec (aczkolwiek można go było zabić), osobisty herold króla zajmował wyjątkową pozycję — powiernika, zaufanego przyjaciela i doradcy u boku rządzącego. Dzięki temu monarcha miał w swym otoczeniu przynajmniej jedną osobę godną całkowitego zaufania, na której mógł polegać nawet w najbardziej niepewnych czasach. Umacniało to pozycję władców, ich pewność siebie, i tym samym stwarzało podstawy stabilnych i godnych zaufania rządów.

Przez całe pokolenia wydawało się, że król Valdemar znalazł receptę na sprawowanie idealnych rządów. Jednak czy to przypadek, czy zrządzenie losu może spowodować, że i najlepiej obmyślane plany udaje się ominąć.

Za panowania króla Sendara królestwo Karsu, dzielące z Valdemarem południowo-wschodnią granicę, opłacało naród nomadów-najemników, by najechał sąsiada. W wynikłej wojnie Sendar został zabity, a osierocony tron objęła jego córka, Selenay, która dopiero niedawno ukończyła nauki w Kolegium Heroldów. Osobisty herold królowej — starzec imieniem Talamir — zmuszony doradzać młodej, upartej i pięknej kobiecie, często padał ofiarą własnego zakłopotania i łatwo się mylił. W wyniku tego Selenay posłuchała fałszywej rady i zawarła zły związek małżeński, czego omalże nie przypląciła utratą tronu i życia.

Owoce owego małżeństwa, przyszłą następczynią tronu, była dziewczynka, Elspeth, na którą wielki wpływ wywierała cudzoziemka, Hulda, sprowadzona z rodzinnego królestwa przez męża Selenay, tuż przed jego śmiercią. W wyniku podstępного postępowania opiekunki, Elspeth zaczęła zamieniać się w niepoprawnego, rozpuszczonego, niezdolnego bachora. Nie ulegało wątpliwości, że o ile nic nie zmieni biegu rzeczy dziewczynka nigdy nie dostąpi zaszczytu wybrania, a zatem, nigdy nie będzie mogła odziedziczyć tronu po swej matce. Selenay miała do wyboru: wydać na świat drugiego, bardziej odpowiedniego dziedzica, ogłosić swym następcą kogoś z Wybranych, w którego żyłach płynęła królewska krew, lub też znaleźć sposób na ocalenie swej córki. Talamir ułożył plan, który, jak się wydawało, mógłby się powieść.

Jednak wówczas Talamira zamordowano, a na dworze ponownie zapanował chaos. Jego Towarzysz, Rolan, wybrał nowego osobistego królowej. Miał jednakże obrać kogoś dorosłego, albo przynajmniej kogoś spośród pasowanych he-

roldów, wskazał na niedojrzałą dziewczynkę — Talię.

Talia wywodziła się z ludu Grodów — plemienia z pogranicza, wiernego niezwykle surowym obyczajom; ludzie ci ze wszystkich sił starali się utrudnić obcym dostęp do wiedzy o nich. Talia w najmniejszym nawet stopniu nie pojmowała wagi tego, iż najpierw została zaczepiona przez Towarzysza herolda, a potem najwyraźniej przez niego uprowadzona. Jej lud wyznaczał kobietom bardzo poślednią pozycję, a wszelkie odstępstwa spotykały się z natychmiastową i okrutną karą. Nie była przygotowana do wstąpienia w nowy dla niej świat heroldów i ich kolegium, w którym się nagle znalazła. W jednej tylko dziedzinie nie brakowało jej doświadczenia — wychowywaniu i nauczaniu dzieci, a to dlatego, że od chwili ukończenia dziewięciu lat musiała być nauczycielką najmłodszych członków swego ludu.

Talia zdołała ocalić dziedziczkę — zanim wysłano ją na jej pierwszy, czeladniczy patrol, Elspeth dostąpiła zaszczytu wybrania.

Podczas wypełniania wyznaczonego zadania Talia i Kris — herold, który został jej mentorem — odkryli coś przerażającego, coś, co mogło być śmiertelnie niebezpieczne, i to nie tylko dla nich obojga, lecz dla każdego, kto znalazłby się w pobliżu Talii. Z powodu ogromnego zamieszania, jakie powstało w kolegium tuż po rozpoczęciu przez nią nauki posługiwania się swym darem, Talia nie została właściwie wyszkolona. Tymczasem jej darem była empatia: Talia mogła zarówno odbierać uczucia i stany emocjonalne otaczających ją ludzi, jak i na nich oddziaływać. Na dodatek jej dar był tak potężny, iż można by go użyć jak broni. Dopiero jednak gdy zmysły całkowicie wymknęły się spod jej władzy, Talii udało się z pomocą Krisa zmusić je do poddania się sile woli, a nie ledwie instynktu.

Mimo to wciąż nie mogła uwolnić się od wątpliwości. Nie wiedziała, czy etyczne jest posługiwanie się jej darem. Chwilami opadały ją obawy dotyczące całkowicie innej sprawy.

Jeden z heroldów, Dirk, był najlepszym druhem Krisa — obaj zawsze działali razem. Talia, spotkawszy się z nim kilkakrotnie, poczuła, choć ani razu nie zdarzyło się między nimi nic intymnego, że Dirk bardzo ją pociąga, a nachodzące ją myśli o nim stają się niemal obsesją. Talia nie była pierwszym heroldem, którego uwagę w takim stopniu absorbowwała inna osoba: od czasu do czasu, bardzo rzadko, między parą heroldów powstawała więź tak mocna i nierozzerwalna, jak ta splatająca Towarzysza i jego herolda — zwano ją „więzią na całe życie”. Kris był przekonany, iż na tym właśnie polegała przypadłość Talii. Ona sama nie była tego pewna.

Lecz było to zaledwie niewielkim utrudnieniem w ich patrolu, podczas którego musieli wziąć udział w krwawej bitwie, stawić czoło śmiertelnej pladze oraz intrydze — zataczającym szerokie kręgi pogłoskom o Talii, jej darze, i o tym, jak rzekomo jest niebezpieczna dla siebie i innych.

Nareszcie półtoraroczny termin czeladniczy dobiegł końca i Talia wyruszy-

ła w drogę powrotną do domu, pełnego zawitych i niepewnych zależności, na spotkanie z przewrażliwioną następczynią tronu, stawić czoło knutom na dworze intrygom.

PIERWSZY

Moglibyśmy być bratem i siostrą — myślał Kris, patrząc na jadącego obok niego herolda. — Może bliźniakami...

Talia dosiadała Rolana z niedbałą swobodą — nic dziwnego zważywszy, że podczas czeladniczego patrolu na północy wskakiwali na siodło ledwie otwórzawszy oczy i konno spędzali większość czasu. Podobna beztraska biła z postaci Krisa — powód był oczywiście ten sam. Spędziwszy na wierzchowcach tyle czasu, z łatwością mogliby jeść, spać, ba, nawet kochać się, ani na chwilę nie zeskakując z kulbaki! Pierwsze dwie rzeczy nieraz przyszło im czynić. Tej ostatniej nie próbowali, choć Krisowi obiły się o uszy pogłoski o heroldach, którzy próbowali i tego. Nie sądził, by on sam posunął się aż tak daleko, nawet powodowany ciekawością.

Obliczyli, że przed wieczorem uda im się stanąć w kolegium, a więc oboje przywdziali najczystsze i najlepsze uniformy. Biel Heroldów przeznaczoną do służby polowej uszyto z mocnych i wytrzymałych skór, jednak po osiemnastu miesiącach pozostała im zaledwie jedna zmiana, która uszłaby surowej inspekcji, zatem oszczędzali ją na ten właśnie dzień.

A więc, możemy pokazać się ludziom; jednak to o niczym nie świadczy — w cichości ducha zamartwiał się Kris, żałośnie badając wzrokiem swe bryczesy na lewym kolanie. Wytarte lico skóry zaczynało być nieco włochate i łatwiej osiadał na niej kurz. Na tle Bieli pył widać było jak na dłoni. Po całym dniu spędzonym w siodle oboje byli lekko poszarzali. Być może umknęłoby to oku przygodnego gapia, lecz badawczemu spojrzeniu Krisa ujść nie mogło.

Tantris zaczął się nieco popisywać, płasając. Kris nagle uzmysłowił sobie, że i Rolan dopasowuje do tego swój krok.

To umyślnie, dwunogi bracie — nadeszło przesłanie od Tantrisa, w którym pobrzmiwała nutka humoru. — Skoro oboje musieliście przywdziać tak pożalowania godne łachmany, postanowiliśmy ściągnąć uwagę patrzących na siebie, odciągając ją od was. Widząc nasz popis, nikomu ani się nie będzie śniło patrzeć na was.

Dzięki... tak myślę.

Przy okazji, nikt nie dalby się zwieść i nie wzięłby was za bliźnięta: jej włosy

nazbyt mienią się czerwienią i na dodatek jest zbyt drobna. Ale za rodzeństwo jak najbardziej. Tylko skąd ty masz te swoje niebieskie oczy...

To rodzinne — odparł Kris, udając oburzenie. — I ojciec, i matka mają niebieskie oczy.

Gdybyście zatem mieli być rodzeństwem, twa matka musiałaby skrywać barda w szafie, bo Talia ma orzechowe oczy i kręcone włosy. — Tantris wierzgnął, stając dęba, wygiął w łuk szyję i mrugnął do swego Wybranego błyszczącym filuternie okiem.

Kris jeszcze raz ukradkiem przyjrzał się swemu czeladnikowi i przyznał Tantrisowi rację. W jej włosach było zbyt wiele czerwieni i były zbyt poskręcane w loki, by mogły pochodzić z tego samego źródła, co jego proste, kruczoczarne kosmyki; i Talia sięgała mu ledwie do podbródka. Jednak oboje mieli twarz o drobnych rysach, swym kształtem przywodzącą na myśl serce, i co więcej, oboje poruszali się dokładnie w ten sam sposób.

To zastuga szkoły Albericha. I Keren.

Na to wygląda.

Jednak ty jesteś gładszy od niej.

Kris wybuchnął śmiechem, czym ściągnął na siebie zaintrygowane spojrzenie Talii.

— Czy można spytać...

— To Tantris — wyjaśnił, zaciągając się głęboko wiosennym powietrzem i chichocząc — łechce moją próżność.

— Chciałabym — odparła ze smutkiem — móc choćby raz tak myśłrozmawiać z Rolanem.

— Powinnaś się cieszyć, że nie możesz tego robić, unikasz mnóstwa docinków.

— Ile czasu nas jeszcze dzieli od domu?

— Nieco ponad godzina. — Objął spojrzeniem krajobraz, który zaczynał się zielenić, i wielce zadowolony głęboko wdychał przesycone zapachem kwieciana powietrze. — Srebrnik za twe myśli.

— Aż tyle? — Zaśmiała się, odwracając się na kulbace twarzą w jego stronę. — Miedziak starczyłby aż nadto.

— Pozwól, że ja będę sędzią. Czyż to nie ja złożyłem ofertę?

— Istotnie, ty.

Milcząc, przez kilka staj jechali w cieniu drzew. Kris chciał, by odpowiedziała mu wtedy, gdy sama zechce — delikatny dźwięk dzwoneczków kołyszących się przy uzdach i uderzenia kopyt Towarzyszy o twardą powierzchnię gościńca Drogi Kupców były w jego uszach kojącą muzyką.

— Etyka — odparła w końcu.

— Ho, ho, a to ci poważne myśli!

— Tak mi się wydaje. . . — Pod ich wpływem najwyraźniej znów zwracała się w głąb siebie; jej oczy nabrały nieokreślonego wyrazu. Kaszlnął, by przyciągnąć jej uwagę.

— Udałaś się w dalekie strony — zakpił łagodnie, kiedy lekko podskoczyła w siodle. — Powiadasz: etyka. Etyka czego?

— Mojego daru. A dokładnie, korzystania z niego. . .

— Myślałem, że już się z tym uporałaś.

— W sytuacji zagrożenia — tak; w sytuacji, kiedy ustalone reguły utrudniają wymierzenie właściwej i sprawiedliwej kary.

— Temu. . . gwałcielowi dzieci.

— Właśnie. — Zadrzała lekko. — Wydawało mi się, że już zawsze będę się czuła zbrukana od chwili, w której dotknęłam jego umysłu. Cóż miałabym z nim począć? Nakazać egzekucję? To. . . taka kara nie byłaby dostatecznym zadośćuczynieniem za czyny, których się dopuścił. Wtrącić go do ciemnicy? Całkiem do niczego. Szczerze pragnęłam z wolna poćwiartować go na drobne kawałeczki. Ba, lecz heroldowie nie zadają tortur.

— Jak go ukarałaś? Opowiedz dokładnie, przedtem nie miałaś ochoty o tym rozmawiać.

— To było swoiste przekształcenie metody uzdrawiania umysłu, oparte na tym, że potrafię swym darem oddziaływać na innych. Nie mogę sobie przypomnieć, jak nazwał to Devan. Wiązesz jakąś określoną myśl z inną, lub z grupą uczuć stworzonych przez siebie. Wtedy, za każdym razem, gdy danej osobie przemknie ta myśl, przyjdą jej do głowy skojarzenia narzucone przez ciebie. Tak jak z Vostelem, gdy tylko zaczynał siebie obarczać winą, przypominał sobie to, co ja umieściłam w jego głowie.

— To znaczy?

Uśmiechnęła się szeroko.

— „A więc następnym razem nie będę takim durniem!” A kiedy gotowy był ulec, przytłoczony bólem nie do zniesienia, wpadało mu do głowy: „Nie jest jednak tak źle jak dzień wcześniej, jutro będzie lepiej”. Tak naprawdę nie były to słowa, lecz uczucia.

— W tym przypadku to lepsze od słów. — Kris zamyślił się, z roztargnieniem opędzając się od muchy.

— To samo powiedział Devan. No cóż, postąpiłam podobnie w tamtej sprawie. Wybrałam najgorsze ze wspomnień jego pasierbicy i związałam z jego uczuciami wobec kobiet, kształtując je tak, by wydawało mu się, iż to właśnie on jest ofiarą. Sam widziałeś, co się stało.

— Postradał zmysły, po prostu załamał się, tocząc pianę z ust. — Kris zadrzał.

— Nie, on nie postradał zmysłów. Obraca się w nieskończonym kręgu wspomnień, które wtłoczyłam mu do mózgu — to właściwa kara. Musi przejść przez

takie same cierpienia, jakie zadał swym pasierbicom. I to jest sprawiedliwe, przynajmniej tak myślę, ponieważ jeśli kiedykolwiek zmieni swoje zachowanie, wyrwie się z kręgu. Oczywiście jeśli mu się to uda. . . — Jej twarz wykrzywił grymas. — Może przecież przekonać się, iż tańczy zawieszony na linie za morderstwo starszej ze swoich pasierbic. Prawo zakazuje egzekucji szaleńców, nie oszczędza jednakże tych, którzy odzyskali zmysły. I na koniec: moje postępowanie powinno zadowolić drugą jego pasierbicę. To ona przede wszystkim stara się ocalić duszę.

— A więc na czym polegają te etyczne rozterki?

— To była sytuacja krytyczna, sytuacja zagrożenia. Lecz, czy prawym jest, powiedzmy, przenikać ludzkie myśli podczas zgromadzeń rady i działać stosownie do tak zdobytych wiadomości?

— Hm. . . — Na to Kris nie mógł znaleźć odpowiedzi.

— Rozumiesz?

— Spójrzmy na to inaczej: umiesz oceniać ludzi po ich wizerunku, czytać im z twarzy — uczono nas tego. Czy onieśmielona wykorzystałabyś tę umiejętność podczas obrad rady?

— Hm, nie. — Przez jakiś czas jechała w milczeniu. — Przypuszczam, iż decydujące znaczenie ma nie to, czy to robię, lecz jak wykorzystuję zdobytą wiedzę.

— To brzmi rozsądnie.

— A może aż nazbyt rozsądnie — odparła niepewnie. — Niestychanie łatwo jest usprawiedliwiać to, co chcę zrobić; to, czego wybór, w pewnych sprawach, nie zależy ode mnie, i co nie przypomina myślcucia. Ja muszę usilnie odsuwać od siebie ludzi, którzy roją się dookoła mnie i podsuwają mi pod nos swe emocje, zwłaszcza w uniesieniu.

Kris potrząsnął głową.

— Rób to, co uważasz w danej chwili za najlepsze, tylko to mogę ci doradzić. Wierzaj mi, iż doprawdy nikt z nas nie postępuje inaczej.

Prawdę powiadasz. O, Źródło Mądrości.

Kris zignorował kpinę ze strony swego Towarzysza. Miał w zanadrzu więcej pytań, lecz przerwał, usłyszawszy zbliżający się z naprzeciwka tętent konia, pulsujący charakterystycznym rytmem w wyciągniętym galopie.

— To. . .

— Odgłos kopyt Towarzysza, tak. W wyciągniętym galopie. — Kris uniósł się w strzemionach, by mieć lepszy widok. — O Jasna Pani, a to znów co?

Wjechawszy na grzbiet pagórka, rumak i jeździec stali się lepiej widoczni.

To Cymry. . . — Tantris zastrzygł uchem. — Wyszczupłała, a więc z całą pewnością już się ożrebiła.

— To Cymry! — zawołał Kris.

— A zatem i Skif, a ponieważ założę się, iż ona właśnie się ożrebiła, to niechęć odbycia przyjemnej przejażdżki przywiodła ich tutaj.

Po raz ostatni widzieli się z tym przedzierzgniętym w herolda złodziejaskiem nieco ponad dziewięć miesięcy temu, kiedy spotkał się z nimi na odprawie po odbyciu połowy patrolu. Cymry spędziła wtedy czas na swawolach z Rolanem. I ona, i jej Wybrany na śmierć zapomnieli o niemal nadnaturalnej płodności ogierów z Gaju. Wynik był z góry przesądzony — ku wielkiemu zmartwieniu Cymry i Skifa.

Talia знаła Skifa lepiej niż Kris. Kiedy oboje byli uczniami w kolegium stali się sobie tak bliscy, że krew przypieczętowała ich braterską przysięgę. Z dużej odległości Talia potrafiła lepiej od Krisa wnioskować z jego postaci.

Ośloniła oczy dłonią i skinęła lekko.

— Nie grozi nam katastrofa. Znosi się na coś poważnego, jednak nie zaszedł żaden nieprzewidziany, wymagający natychmiastowego działania wypadek.

— Jak możesz to stwierdzić z tak dużej odległości?

— Po pierwsze: nie wyczuwam wzburzonych uczuć; po drugie: gdyby sprawy przedstawiały się poważnie, jego twarz byłaby pozbawiona wszelkiego wyrazu, jak kamień. Jego wygląd świadczy, że jest czymś zaniepokojony, jednak może to być w związku z Cymry.

Skif dostrzegł ich i szaleńczo pomachał im na powitanie, a Cymry zwolniła swój galop na złamanie karku. Przyspieszyli za to Talia i Kris, ku niezadowoleniu ich juczących mułów.

— Na Niebiosa! Czy byłem kiedy bardziej rad, widząc was oboje? — wykrzyknął Skif, gdy znaleźli się w zasięgu głosu. — Cymry przysięgała, że jesteście już niedaleko, ale obawiałem się, że przyjdzie mi galopować przez kilka marek na świecy, a nie lubię opuszczać maleństwa na tak długo.

— To brzmi tak, jakbyś nas oczekiwał. Skif, co się dzieje? — zapytał zaniepokojony Kris. — Co tobą kieruje, żeś tutaj przybył?

— Nic, co by dotyczyło ciebie; mnóstwo, co się tyczy jej. Bacz, proszę, iż mówię to w największym sekrecie. Nie życzylibyśmy sobie, by ktoś zwiedził się, że zostałaś ostrzeżona, Talio. Wymknąłem się w imieniu nieszczęśliwej pani.

— Kogo? Elspeth? Selenay? Co...

— Chwileczkę, zgoda? Próbuję wam to właśnie powiedzieć. Elspeth prosiła mnie, bym ruszył wam na spotkanie. Coś nam się widzi, że rada próbuje wydać ją za mąż, a to wcale nie przejmuje jej dreszczem radości. Chce, byś wiedziała o tym zawczasu i miała czas na wykoncypowanie argumentów dla rady, która ma się zebrać jutro.

Skif ściągnął wodze Cymry i zrównał się z nimi. Przyspieszyli kroku.

— Alessandar oficjalnie oświadczył się o jej rękę w imieniu Ancara. Mnóstwo za tym przemawia i z wyjątkiem Elcartha, Kyrila i Selenay dosłownie każdy z zasiadających w radzie jest temu przychylny. Spory ciągną się od dwóch miesięcy, lecz od tygodnia przybrały na sile i wydaje się, że Selenay, znużona, zaczyna krok po kroku ustępować. To dlatego właśnie Elspeth uczyniła mnie swym gońcem

i nakazała potajemnie was wyczekiwać. Już od trzech dni wymykam się w nadziei, że napotkam was, gdy będziecie nadjeżdżać, i ostrzeżę, na co się zanosí. Z tobą u swego boku Selenay ma rozwiązane ręce, może albo odłożyć zrękwiny do czasu ukończenia przez Elspeth nauk w kolegium, albo w ogóle odrzucić zalotnika. Elspeth nie chciała, by którykolwiek z porywczycy posłów dowiedział się, że zamierzamy cię ostrzec, bo mogliby podwoić wysiłki w celu nakłonienia Selenay do zgody jeszcze przed twoim powrotem.

Talia westchnęła.

— A więc żadna decyzja jeszcze nie zapadła. Doskonale! Mogę się z tym uporać dość łatwo. Czy możesz ruszyć przodem i uprzedzić Selenay i Elspeth, że przybędziemy, zanim wybije dzwon na wieczerzę? Tak czy siak dziś niczemu nie mogę zaradzić, lecz jutro zajmiemy się tym bałaganem na zgromadzeniu rady. Jeśli Elspeth pragnie się ze mną zobaczyć wcześniej, jestem do usług; najłatwiej odszukać mnie w mych własnych komnatach.

— Życzenie tve jest dla mnie rozkazem — odparł Skif.

Cała trójka wiedziała, że Skif zna mnóstwo ścieżek, którymi można nieopstrzeżenie wjeżdżać i wyjeżdżać ze stolicy oraz wślizgiwać się na teren pałacu, mógł zatem stanąć tam, znacznie ich wyprzedziwszy.

Dostosowali krok swych Towarzyszy do możliwości mułów, a Skif poderwał Cymry po cięciwie drogi, wzbijając kurzawę spod kopyt. Jechali jakby nigdy nic, jednak wymienili z Krisem spojrzenia pełne znużonej wesołości. Oficjalnie nie byli jeszcze nawet w domu, a już omotały ich pierwsze nici intryg.

— Czy jesteś jeszcze czymś zaniepokojona?

— Nie będę udawać — odezwała się w końcu. — Denerwuję się przed powrotem do domu, jak kotka tuż przed okoceniem.

— A dlaczegoż to? Dlaczego teraz? Przez najgorsze przebrnęłaś; jesteś prawdziwym heroldem. Ukończyłaś pobieranie ostatnich nauk. Czymże się zatem frasaować?

Talia wodziła wokół spojrzeniem — po polach, odległych wzgórzach, unikała jedynie wzroku Krisa. Ciepły, okraszony zapachem kwiatów wiosenny wietrzyk, figlując w jej włosach, nagle dmuchnął dwa loczki prosto w jej oczy, tak że wyglądała jak spłoszony żreback.

— Nie jestem pewna, czy powinnam o tym z tobą rozmawiać — odezwała się z ociąganiem.

— Jeśli nie ze mną, to z kim? Zmierzyła go wzrokiem.

— Nie wiem. . .

— Nie — odparł Kris, którego nieco ubodły te oznaki ociągania. — Wiesz dlaczego? Bo nie jesteś pewna, czy możesz mi zaufać. Pomimo tego wszystkiego, przez co wspólnie przebrnęliśmy.

Skrzywiła się.

— Niepokojąco celna uwaga. Myślałam, że bezpośredniość jest tylko moją uprzykrzoną przywarą.

Przesadnym gestem Kris uniósł oczy ku niebu, jakby błagał o cierpliwość. Zmrużył powieki w jaskrawym słonecznym świetle.

— Jestem heroldem i ty nim jesteś. Do tej pory powinnaś nauczyć się przynajmniej jednej rzeczy: zawsze można zaufać drugiemu heroldowi.

— Nawet jeśli podejrzenia są sprzeczne z więzami krwi?

Tym razem on zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

— Jakimiż to?

— Twój wuj, lord Orthallen.

Gwizdnął przez zęby i wydał usta.

— Myślałem, że nie pamiętasz o tym już od roku. Zaledwie z powodu jednej niewielkiej sprzeczki o Skifa widzisz go knującego spiski za byle krzakiem! Był bardzo dobry dla mnie i dla pół tuzina innych osób, których mogę wymienić z imienia. U boku Selenay jest niezastąpiony, nieoceniony u boku jej ojca.

— Mam bardzo poważne powody, by spodziewać się go za każdym krzewem!
— odparła nieco zapalczywie. — Myślę, że próba wpędzenia Skifa w tarapaty była częścią dalekosiężnego planu, który miał skazać mnie na samotność...

— Po co? Cóż zyskałby na tym? — Kris miał tego dość, ogarnęło go przygnębienie. Nie po raz pierwszy zmuszony był stawać w obronie swego wuja, niejedynemu już herold przytaczał argumenty, iż Orthallen zbyt nieładnie władczy, by być godzien bezgranicznego zaufania, i za każdym razem honor nakazywał mu go bronić. Myślał, że Talia już wiele miesięcy temu zarzuciła swe podejrzenia, uznawszy je za nierozsądne. Dowiedziawszy się, że tak nie jest, poczuł się niezwykle poirytowany.

— Nie wiem, dlaczego... — wykrzyknęła zrozpaczona Talia, kurczowo ścisnąwszy wodze w dłoniach. — Wiem jedynie, że nie ufam mu od chwili, kiedy go po raz pierwszy ujrzałam. Teraz zasiądę w radzie z Kyrilem i Elcarthem, równa pomiędzy równymi, z pełnym prawem głosu. To może stać się zarzewiem gorszego niż dotąd konfliktu.

Kris oddychał głęboko, starając się zachować spokój i rozsądek.

— Talio, możesz go nie lubić, jednak do tej pory nie widziałem, byś zezwoliła kiedykolwiek, by uczucia utrudniały ci podejmowanie decyzji. Mój wuj należy do bardzo rozsądnych ludzi...

— Ale ja nie potrafię przeniknąć tego człowieka; nie mogę zgłębić motywów jego postępowania; nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co mogłoby wzbudzić jego niechęć do mnie. A jednak wiem, że on ją do mnie czuje.

— Wydaje mi się, że przesadzasz — odparł Kris, trzymając nerwy na wodzy.
— Rzekłem już, że to nie ty go obraziłaś, a przyczyn urazy — zakładając, iż w istocie ją; żywi — należałoby szukać w tym, że czuje się on jak pokonany

oponent. Spodziewał się, że obejmie stanowisko najbliższego doradcy Selenay, kiedy Talamir został zabity.

— I ograniczy rolę osobistego herolda królowej? — Talia pokręciła gwałtownie głową. — O Niebiosa, Krisie! Orthallen jest inteligentnym człowiekiem! Nie mógłby nawet! o tym marzyć! Nie posiada daru — choćby dlatego! I wcale nie przesadzam.

— Talio, posłuchaj. . .

— Przestań odnosić się do mnie tak protekcyjnie! To; ty przekonywałeś mnie, bym słuchała podszeptów instynktu, a teraz powiadasz, że nie są godne zaufania, ponieważ ostrzegają mnie przed czymś, w co ty nie chcesz uwierzyć?

— Bo to dziecinne i nierozsądne — prychnął Kris.

Talia nabrała pełne płuca powietrza i zacisnęła powieki.

— Krisie, nie zgadzam się z tobą, lecz nie spierajmy siei o to.

Kris ugryzł się w język i przełknął to, co zamierzał powiedzieć. Talia przynajmniej nie miała zamiaru dalej zmuszać go do obrony.

— Jeśli tego chcesz.

— To. . . to nie jest to, czego naprawdę chcę. Pragnę, byś wierzył i ufał memu osądowi. Jeśli nie mogę mieć tego. . . no cóż, po prostu nie mam zamiaru spierać się o to.

— Mój wuj — odrzekł Kris, starannie dobierając słowa, starając się oddać obojgu sprawiedliwość — uwielbia władzę. Nienawidzi, gdy odbiera się mu choćby jej ździebełko. To, samo w sobie, jest najpewniej przyczyną jego niechęci do heroldów w ogólności i do ciebie szczególnie. Po prostu bądź opanowana, pewna siebie i nie ustępuj ani na krok, jeśli wiesz, że racja jest po twojej stronie. Wuj uspokoi się i zaniecha sprzeciwu. Jak to sama powiedziałaś, nie jest głupi i wie doskonale, że nie opłaca się toczyć sporów, z których nie można wyjść zwycięsko. Nigdy się nie zaprzyjaźnicie, lecz wątpię, byś musiała się go obawiać. Może i uwielbia władzę, jednak zawsze troszczył się przede wszystkim o dobro królestwa.

— Żałuję, że nie jestem tego tak pewna jak ty — westchnęła i inaczej usadowiła się na kulbace, jakby szukając wygodniejszej pozycji.

Kris szykował ripostę, lecz nagle zmienił zdanie. Uśmiechnął się promiennie. W takiej chwili lepiej było rozmawiać o czymś innym.

— Dlaczego nie trwoży cię coś innego. Dirk, na przykład?

— Potwór. — Rozchmurzyła się, widząc, że się z niej śmieje.

— Taki jest. Od niego usłyszę to samo, tego jestem pewny. Eh, pozwólmy, by się działo, co chce, to najlepsze, co teraz możemy począć. Prędzej czy później, dojrzeje sam z własnej woli, albo go do tego przymuszę — moja w tym głowa!

— I gbur, na dodatek. — Odęła kapryśnie wargi.

— Wierzaj mi — odparł pojednawczo — zamierzam zadrzeć cię na śmierć.

Talia zmusiła się do zachowania spokoju. Tak jak powiedziała Skifowi, niczego nie można było załatwić od ręki. Pragnęła dowiedzieć się o pewnych sprawach, jeszcze zanim następnego dnia zasiądzie na swym miejscu na posiedzeniu rady — między innymi, czy wciąż krążą pogłoski o nadużywaniu przez nią daru i powodowaniu innymi jak bezwolnymi marionetkami, oraz — o ile te plotki nie ucichły — chciała poznać nazwisko tego, kto je podszyca. Było już nieco za późno na próbę odnalezienia tego, który pierwszy je zasiał.

Gdy zbliżyli się do zewnętrznego miasta i kłębiących się na jego ulicach tłumów, uzmysłowiła sobie, jak bardzo jej dar empatii uległ wyczerpaniu. Napór wszelkich emocji był tak potężny, iż zachodziła w głowę, jak to się dzieje, że Kris jest tego nieświadomy. Nie po raz pierwszy żałowała, iż jej dar nie obejmował myślmowy, bo z pewnością czułaby się rażniej, gdyby mogła szukać rady u Rolana, tak jak Kris mógł u Tantrisa. Zapomniała, jak się żyje z tak wielką gromadą ludzi pod bokiem. Przeżywszy zmagania z własnym darem, jej zmysły stały się bardziej wyczerpane niż przed wyruszeniem z miasta. Zanosilo się na to, iż jej wzmożona wrażliwość zmusi ją do troskliwej i niełatwej osłony swych myśli dzień i noc. Poczula jakby cień otuchy, którą natchnął ją Rolan, i wbrew obawom, na jej ustach pojawił się nikły uśmiech.

Coraz bardziej zatłoczoną drogą zagłębiali się w zewnętrznym mieście, którym od kilkunastu pokoleń niezmaconego pokoju obrastały starożytne mury obronne. W mieście wewnętrznym znajdowały się składy kupców, zacne oberże, domy mieszczan, szlachty, zaś w mieście zewnętrznym pozostawiono warsztaty, place jarmarczne, pośledniejsze gospody i tawerny; to tutaj stawiała swe domy siła najemna oraz biedota.

Tłoczący się na miejskim gościńcu ludzie byli hałaśliwi i pogodni. Tak jak wtedy, gdy Talia po raz pierwszy wkraczała w obręb miasta, poczuła, że ze wszystkich stron przytłaczają ją agresywne dźwięki, zapachy i kolory. Niezliczone aromaty z ulicznych kuchni, oberż oraz stoisk szynkarzy szły o lepsze z mniej wyszukanyimi zapachami zwierząt i rzemiosł.

Spiętrzone emocje zebranych wokoło ludzi zagroziły, że wezmą górę nad jej własnymi, i Talia musiała wzmocnić osłony swych myśli.

Nie — pomyślała w duchu zrezygnowana. — To nie będzie łatwe.

Droga zawiodła ich w sam środek orgii barw i ruchu, przytłaczającej kakofonii dźwięków, zamieszania, jakby odzwierciedlających napór uczuć, które wypełniały jej duszę.

Dzielnice przed Bramą Pomocną upodobałi sobie garbarze, i Talię z Krisem zaskoczył obłok duszącego, gryzącego oczu oparu, który wydobywał się z pobliskiej kadzi.

— Uuuu! — zakrztusił się Kris, śmiejąc się z tryskających im z oczu łez. — Teraz sobie przypominam, dlaczego z Dirkiem zawsze nadkładaliśmy drogi, jadąc przez Bramę Słomianego Rynku! Ha, ponieważ!

Krótką przerwą na otarcie łez umożliwiła Talii osłonięcie myśli. Podczas patrolowania obwodu — już po tym, jak udało jej się odzyskać utracone osłony — wołała nie zasnuwać nimi swego umysłu, gdy podróżowali jedynie we dwoje. Podtrzymywanie osłon kosztowało sporo siły, której wtedy nie miała w nadmiarze. Teraz zabezpieczyła się, by osłony nie prysły, nawet gdyby utraciła przytomność. Nagle poczuła przypływ wdzięczności do Krisa, że nauczył ją właściwie chronić zmysły.

Kiedy przeciskali się w ciżbie, Kris nie spuszczał z Talii czujnego oka. Jeśli miała się załamać pod naporem spiętrzonych emocji, to właśnie teraz.

Ja nie miałem żadnych obaw.

Czyżby, he? Może powinienem poprosić ją o przystupę i wypróbowanie na tobie jednej z owych zmysłowych ripost.

Piękne dzięki, przeżyłem już jedną. Pamiętasz? O mały włos, Rolan wyrzuciłby mój mózg na nice. — Przesłanie Tantrisa przybrało poważny ton. — Doprawdy nie powinieneś dokuczać jej, napomykając o Dirku. Więż na całe życie to nie fraszka, póki para się do niej przed sobą nie przyzna.

Kris wbił zdumiony wzrok w stulone uszy swego Towarzysza.

Jesteś tego pewny? Mam na myśli... Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że istotnie jest to więź na całe życie, lecz...

Jesteśmy tego pewni.

Czy może przez przypadek wiecie, kiedy... — zapytał swego Towarzysza.

Dirk był pierwszym heroldem, jakiego ujrziała na oczy. Rolan uważa, że mogło do tego dojść nawet wtedy.

Tak wcześniej? O Panie, o Pani, zatem byłaby to niestychanie potężna więź...
— Kris nie spuszczał z Talii lekko rozbawionego spojrzenia, lecz myślami wybrał się w bardzo odległe strony.

Kupcy i ich klienci wniebogłose krzyczeli jeden do drugiego — ponad wrzawą wywołaną przez turkoczące wozy, myszkujące wokół dzieci i porykujące zwierzęta. Pomimo że tłum zdawał się nie zwracać uwagi na parę heroldów przeciskających się w samym jego środku, wydawało się, że zawsze otwiera się przed nimi wolne przejście, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i że ktoś wskazuje im drogę, to uśmiechem, to znów zamaszystym gestem kapelusza. Gwardzista przy zewnętrznej bramie zasalutował, gdy wjeżdżali. Dla gwardzistów widok wyjeżdżających i wracających heroldów nie był niczym nowym.

Jechali tunelem pod grubymi murami z szarego granitu, którymi opasano stare miasto. Zgiełk przygasł na chwilę. Nagle znaleźli się w wąskich uliczkach stolicy. Od wieczery dzieliła ich jeszcze tylko jedna marka na świecy, lecz krążące tutaj tłumy były zwarte jak zazwyczaj. Harmider był tu mniejszy niż na ulicach zewnętrznego miasta, choć ciżba liczyła nie mniej głów. Kris przyłapał się na myśli, że po wielu miesiącach spędzonych w małych osadach i wioskach, znów nie może nadziwić się, jaki tutaj panuje ścisk, jak stłoczone są wielopiętrowe, kamienne

domy. Bardzo długo głos dzwoneczków przy uzdach Towarzyszy był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki wypełniał im uszy; teraz ich odgłos tonął w powodzi gwaru.

Ulice poprowadzono spiralnie, tak jak w większości miast, zakładanych dawniej z myślą o obronie, i nikt nie mógł zbliżyć się do pałacu, idąc wprost. Kris prowadził tą okrężną drogą. Gwar ucichł, gdy opuścili dzielnicę kupców, docierając do centrum, gdzie stały jedynie domy. Skromniejsze domostwa mieszczańskie stopniowo ustępowały przed okazałymi rezydencjami szlacheckimi urodzonych lub bogaczy. Ogrodzenia, opasujące domostwa i niewielkie ogrody, oddziaływały je od ulicy. W końcu stanęli u stóp ułożonego z beżowej cegły muru chroniącego pałac królewski i trzy kolegia: bardów, uzdrowicieli oraz heroldów. Odziany w niebieski mundur ze srebrnymi wyłogami pałacowy wartownik zatrzymał ich na chwilę, sprawdzając listę tych, których powrotu się spodziewano. Na podstawie starannie prowadzonych zapisków wiedziano, kiedy heroldowie powinni powracać z patrolu. W przypadku odbywających służbę w odległych obwodach obliczenia zgadzały się z dokładnością do dwóch, trzech dni; w przypadku przybywających z pobliskich terenów dokładność sięgała kilku godzin. Spis sprawdzany był przez gwardzistów bram, więc jeśli jakiś herold spóźniał się, nie uchodziło to uwagi i można było niezwłocznie działać, by poznać przyczynę.

— Czy herold Dirk już się stawił? — zapytał obojętnie Kris śniadą strażniczkę, gdy zakończono przeglądanie spisów.

— Przed dwoma dniami, heroldzie — odparła, sprawdzając tabelę. — Strażnik zaznaczył, że pytał o was dwoje.

— Dzięki, strażniczko. Bardzo nam miło. — Kris uśmiechnął się szeroko, ponaglając Tantrisa, by wjechał przez bramę, którą właśnie otworzono. Tuż za nimi progi przekroczył Rolan.

Kris nie spuszczał Talii z oka. Obserwując jej zachowanie czuł, jak wypełnia go przyjemne uczucie dumy. W ciągu minionych kilku miesięcy przeżyła prawdziwe piekło. Panowała nad swym darem, opierając się na czystym instynkcie, a nie na wyuczonej wiedzy, i nikt nawet nie uzmysławiał sobie tego. Pogłoski, że wykorzystywała dar do powodowania ludźmi, gorzej — podejrzewania, iż robiła to nieświadomie, wytrąciły ją z równowagi. Dręczące go wątpliwości, czy w owych plotkach nie kryło się ziarno prawdy, odebrała z łatwością. Dla kogoś, czyj dar tak mocno osadzony był w uczuciach, kto tak często powątpiewał we własne siły, następstwa musiały być katastrofalne.

Koniec końców do tego doszło. Talia przestała panować nad swym darem, który na dodatek nic nie utracił ze swej siły. Straciła zdolność otaczania ochroną swego mózgu i jej uczucia zaczęły emanować na zewnątrz. Raz zdarzyło się nawet, że o mały włos spotkałaby ich oboje śmierć.

Szczęśliwy los sprawił, że najgorsze chwile spędziliśmy w Stanicy, tylko we dwoje i tak długo odcięci przez śniegi od świata, że zdążyła ponownie wziąć się w garść — pomyślał.

I potem znów musiała zmierzyć się z plotkami, tym razem krążącymi pośród prostych ludzi, którzy, przejęci lękiem, nie raz odnieśli się do niej podejrzliwie i nieufnie. Jednak ona nigdy nie uchybiła swym obowiązkom ani nie zdradziła się z niczym, zawsze pokazując obcym spokojne, rozważne i pełne opanowania oblicze — miesiącami wypełniając w sposób niezrównany swe obowiązki.

Najważniejsze, by herold potrafił utrzymać równowagę zmysłów, bez względu na okoliczności — dotyczyło to zwłaszcza osobistego królowej, który codziennie musiał stawić czoło porywczym przedstawicielom szlachty, czy też knowaniom dworu. Talia postradała tę równowagę, lecz poddana bolesnym próbom odzyskała ją, wzmacniając swe zdolności jak nigdy dotąd.

Udało mu się pochwycić jej wzrok. Mrugnął pokrzepiająco; zrzuciła powagę z twarzy, marszcząc nos.

Zostawili za sobą koszary gwardzistów, zbliżając się do ogrodzenia z czarnego żelaza, które oddzielało tereny „prywatne” od obszaru zajmowanego przez trzy kolegia. I tutaj furty strzegł jeden wartownik, lecz stał tu jedynie po to, by przyjmować nowych Wybranych. Pomachał im na powitanie, szeroko się uśmiechając. Stąd widać było wyraźnie granitowy korpus pałacu, jego trzy ogromne ceglane skrzydła oraz oddzielnie stojące budynki kolegów bardów i uzdrowicieli. Kris westchnął radośnie. Nieważne skąd wywodzili się heroldowie — to miejsce wraz z jego mieszkańcami było ich prawdziwym domem.

Na widok kolegium i pałacu Talia poczuła oblewającą ją falę ciepła, i zadowolenie — uczucie, że naprawdę wraca do domu.

Gdy tylko przekroczyli furte, usłyszała radosny okrzyk. Na ich spotkanie, bębniąc kopytami o wyłożoną cegłami ścieżkę, wypadła galopem Ahrodie z Dirkiem. Długa, jasna jak słoma czupryna Dirka powiewała na wszystkie strony, jakby wiatr zmierzwił ptasie gniazdo. Kris zeskoczył z grzbietu Tantrisa, Dirk jednym susem znalazł się na ziemi. Zderzyli się, obejmując niedźwiedzim uściskiem, grzmocąc się po plecach i śmiejąc na cały głos.

Talia pozostała w kulbace. Na widok Dirka jej serce ścisnęło się żałośnie, by w chwilę później załomotać tak, iż pomyślała, że odgłos dudnienia słychać było bardzo wyraźnie. Niepokój o Elspeth, obawa przed intrygami dworu zniknęły gdzieś w szarych zakątkach jej mózgu. Otoczyła szczelną osłoną umysł z obawy, że zmysły splatają jej jakiegoś figla.

Uwaga Dirka skierowała się na nią, a nie na przyjaciela i partnera. Dirk wypatrywał ich przez cały dzień, wmawiając sobie, że tęskni za towarzystwem Krisa. Miał wrażenie, że jest napięty jak cięciwa łuku. Ujrzawszy ich, zachował się w sposób całkowicie nie zaplanowany — uczucia, które w nim wzbierały zna-

lazły swe ujście w wylewnym powitaniu przyjaciela. Choć pozornie ignorował Talię, niemal boleśnie odczuwał jej obecność. Ani drgnęła na grzbiecie swego Towarzysza, nieporuszona jak posąg, jednak on mógłby policzyć każdy jej oddech.

Wiedział, iż jej wygląd wryje mu się w pamięć tak, że będzie mógł sobie przypomnieć ułożenie nawet najcieńszego kosmyka jej włosów. Miał wrażenie łaskotania wszystkich nerwów, czuł, jak skóra cierpnie mu na grzbiecie.

Kiedy w końcu Dirk uwolnił go z uścisku, Kris, z uśmiechem, który ocierał się o złośliwość, rzekł:

— Nie powitałeś Talii, bracie. Pomyśli, żeś o niej zapomniał.

— Zapomniał? Przenigdy! — Zdawało się, że Dirk ma niejakie kłopoty z nabraniem powietrza. Kris skrył uśmiezek.

Talia z Rolanem stali niecałe dwa kroki od nich i Dirk wyciągnął rękę, by ująć ją za dłoń.

Kris pomyślał, że nigdy nie zdarzyło mu się widzieć wyrazu ludzkiej twarzy, która tak przypominałaby minę ogłuszonego wołu.

Talia przyjęła wejrzenie niesłychanie niebieskich oczu Dirka, czując taki wstrząs, jakby przeszła ją błyskawica. O mało co, a zaczęłaby drżeć na całym ciele, kiedy zetknęły się ich dłonie, lecz zdołała utrzymać się w ryzach i rozciągnąć w uśmiechu dziwnie sztywne usta.

— Witaj w domu, Talio. — To było wszystko, co powiedział, ale wystarczyło; na dźwięk jego głosu, na widok jego wpatrzonych w nią oczu miała ochotę rzucić mu się w objęcia. Przyłapała się na tym, że tylko milcząco gapi się na niego, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

W porównaniu do tej, jaką zapamiętał, zmieniła się ogromnie — wyszczupiała, wyglądała tak, jakby jej ciało zahartował, nadając mu bardziej wyrazisty kształt, jakiś misterny kowal. Lepiej panowała nad sobą, z pewnością stała się dojrzała. Czy był w niej pewien smutek, nieobecny dotąd? Ból, od którego rysy nabierają subtelności?

Kiedy ujął jej dłoń, poczuł jakby coś — sam nie wiedział co — przepłynęło między nimi. Czy i ona poczuła to samo? Nic nie dała po sobie poznać.

Gdy uśmiechnęła się do niego, a jej oczy stały się od tego cieplejsze, pomyślał, że serce za chwilę zatrzyma się w jego piersi. Sny o niej, które nawiedzały go przez wszystkie te minione miesiące bliskie były obsesji. Umyślił sobie, że na jej widok wszystko to pryśnie jak bańka mydlana w konfrontacji z rzeczywistością. Jakże się mylił! Obsesja tylko się nasiliła. Trzymał delikatnie drżącą dłoń Talii,

marząc, by być tak złotoustym mówcą jak Kris.

Zamarli na tak długo, że Kris, radując się z cicha, pomyślał, iż jeśli nie wyrwie ich z tego stanu, pozostaną w tej samej pozycji już na wieki.

— Nuże, druhu, jedźmy! — Serdecznie klepnął Dirka w plecy i ponownie dosiadł Tantrisa.

Dirk podskoczył wysoko, jakby ktoś zatrąbił mu prosto w ucho, i uśmiechnął się potulnie.

— Jeśli się nie pośpieszymy, ominie nas wieczerza. Zliczyć byłoby trudno, ile razy podczas patrolu przyśnił mi się posiłek u Mero! — westchnął Kris.

— Tylko tego ci brakowało? Jedzenia? Powinienem być się domyślić, biedny, pokrzywdzony bracie. Czy Talia zmusiła cię, byś korzystał z własnej kuchni?

— Gorzej... — odparł Kris, uśmiechając się do dziewczyny — musiałem korzystać z jej!

Wyrwany z transu Dirk puścił jak oparzony dłoń Talii. Kiedy dziewczyna odwróciła się, by wyrazić wzrokiem wdzięczność Krisowi, przypuszczalnie za wyrwanie ich spod władzy czaru, Dirk na widok wyrazu jej oczu poczuł przypływ uczuć, które nieprzyjemnie bliskie były zazdrości. A gdy Kris zakpił sobie z niej, Dirk pożałował, że to nie jemu przyszedł do głowy ten pomysł.

— Potwór. — Talia zrobiła minę do Krisa.

— Głodny potwór.

— Brzydę się to przyznać, lecz on ma rację — powiedziała cicho, zwracając się do Dirka, który musiał zdusić dreszcz. Jej głos pogłębił się i wypiękniał, przenikał go do szpiku kości. — Jeśli się nie pośpieszymy, wy się spóźnicie. Mnie jest wszystko jedno, wypraszenie chleba i sera u Mero to dla mnie nie nowina, lecz zatrzymywanie was tutaj byłoby z mojej strony wielką nieuprzejmością. Jedziesz z nami?

Chrząknął, by skryć wahanie w swym głosie.

— Musielibyście mnie zwięzać, by mnie powstrzymać przed udaniem się razem z wami.

Wskoczył na swego wierzchowca z impetem, od którego aż zaskrzypiała skóra kulbaki, i ruszyli. Talia znalazła się pomiędzy nimi, dzięki czemu Dirk miał pretekst, by nie spuszczać z niej wzroku. Jechała, patrząc prosto przed siebie, albo wbijając wzrok w uszy Rolana, i odzywała się jedynie zagadnięta, odpowiadając na pytanie. Dirk nie był pewny, czy przyjąć to z zadowoleniem, czy urazą. Talia nie poświęciła ani na jotę większej uwagi jednemu ani drugiemu, jednak gorąco żałował, że nieco częściej nie obdarzała go swym spojrzeniem.

Straszliwy lęk zaczął wkradać się do jego serca. Ostatnie półtora roku spędziła

głównie w towarzystwie Krisa. A jeśli. . .

Zaczął badawczo przyglądać się Krisowi, bo Talia uniemożliwiła mu doszukiwanie się jakichkolwiek wskazówek. Kris zachowywał się w obecności Talii swobodniej niż z jakąkolwiek kobietą. Śmiali się, żartowali, jakby ich przyjaźń pogłębiała się od wielu lat, a nie kilkunastu miesięcy.

Jeszcze gorzej było po dotarciu przez nich do łąki i szopy z rzędami, kiedy Kris z żartobliwą rycerskością podał jej dłoń, a ona przyjęła ją z drażniącą wyniosłością, płynnym ruchem stając na ziemi. Czy dłoń Krisa zatrzymała się o мгновение dłużej, niż to było potrzebne? Dirk nie był tego pewny. Nie zachowywali się jak para zakochanych, jednak Krisa tak bliskiego wcielenia się w rolę kochanka, jeszcze nie widział.

Rozkubaczyli swe wierzchowce i pobieżnie oczyściwszy rzędy, odłożyli je starannie na przynależne im miejsca. Skóry Dirka właściwie nie wymagały żadnych zabiegów, jednak nad rzędami Talii i Krisa trzeba było się trudzić dłużej niż godzinę — po tak długiej służbie w polu potrzebowały ręki mistrza rzemiosł. Dirk bez przerwy spoglądał na pracującą Talię, nucącą cichutko pod nosem. Kris paplał jak najęty, a Dirk odpowiadał z roztargnieniem monosylabami. Pragnął zostać z nią sam na sam choć przez kilka chwil.

Nie dane mu było dłużej na nią patrzeć. Keren, Sherrill i Jeri jak czarodziejki zjawiły się znikąd, obstały Talię i porwały do jej komnat, zabierając wszystkie juki co do jednej. Został sam z Krisem.

— Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu — powiedział Kris, podczas gdy Dirk żałośnie powiódł wzrokiem śladem czwórki — Talii unoszącej harfę, „Moją Panią”, oraz jej trzech przyjaciółek sprawiedliwie obdzielonych pakunkami. — Puśćmy wolno czworonogi i siadajmy do wieczerzy.

— No i? — zapytała Keren, a jej szorstki głos zabrzmiał znacząco, kiedy trzy kobiety dotarły bezpiecznie z Talią i pakunkami do jej komnat.

— No i co? — odparła Talia, zabierając się do rozpakowywania swych rzeczy i rzucając swej siwiejącej nauczycielce konnej jazdy powłóczyście, zabójcze spojrzenie spod rzęs.

— Co? Co!? Och, Talio. . . — roześmiała się Sherrill — . . . wiesz przecież, o co nam chodzi! Jak było? Twoje listy nie były długie, ani zbyt pouczające.

Talia stłumiła śmiech i spojrzała niewinnie tym razem na towarzyszkę życia Keren.

— Pod względem osobistym czy zawodowym?

Palce Jeri zacisnęły się na rękojeści zatkniętego za pas sztyletu.

— Talio — ostrzegła — jeśli nie przestaniesz wystawiać naszej cierpliwości na próbę, możliwe że jeszcze tej nocy Rolan będzie musiał wyruszyć na poszukiwanie nowego osobistego królowej.

— Och, zgoda, jeśli tak zamierzacie do tego podchodzić. . . — Talia odsunęła się od nich, roześmiana. Orzechowe oczy Sherrill zwęziła udawana dzikość, palce zakrzywiły się w szpony i kobieta skoczyła na nowo przybyłą. Talia zrobiła unik i wysoka brunetka wylądowała na jej łożu. — No dobrze, już dobrze, poddaję się, poddaję! Co chcecie wiedzieć najpierw?

Uśmiechnięta Sherrill przetoczyła się na łożu, by powstać.

— A jak myślisz? Skif napomknął, że zaczyna wam z Krisem być przytulnie, ale nic ponad to.

— Całkiem przytulnie, to prawda, lecz nic więcej. Spaliśmy pod wspólnym kocem, ale zostaliśmy jedynie dobrymi przyjaciółmi i tyle.

— Szkoda — wtrąciła radośnie Jeri. Rzuciła się na kanapę Talii w zewnętrznej komnacie i owinęła na palcu kosmyk swych kasztanowych włosów. — Żyłymy nadzieją na ognisty romans.

— Przykro mi, że was rozczarowałam — odparła Talia, choć jej głos wcale na to nie wskazywał. — Chociaż jeśli masz ochotę sama spróbować. . .

— Hm? — Jeri ze wszystkich sił starała się nie okazywać gorliwości, co jej się nie za bardzo udało.

— No, kiedy uda mu się uwolnić od Nessy. . .

— Ha!

— Nie śmieć się, wydaje nam się, że wiemy jak. No więc, kiedy już przestanie na niego tak zapamiętałe polować, Kris będzie zupełnie sam, a jest ci z niego — hm — tak przyjemny towarzysz, jak twierdzi Varianis. Jeri, nie oblizuj się jak kot, on nie jest miską śmietany!

Rumieniec wypłynął na zasmuconą z pozoru twarz Jeri. Jej policzki stały się tak purpurowe jak poduchy kanapy. Sherrill i Keren zachichotały, widząc takie zakłopotanie.

— Nie było aż tak źle, prawda?

— Jak najbardziej, bez dwóch zdań. Kryj się ze swymi zabójczymi instynktami, chyba że chcesz odstraszyć go tak jak Nessa. — Keren zganiła ją z krzywym uśmiechem. — A co do ciebie, mały centaurze, wydaje się, że udało mu się dość zręcznie wyleczyć cię z twego lęku przed mężczyznami. Winna jestem Elcarthowi i Kyrilowi przeprosiny, jak myślę. Wydawało mi się, że przydzielenie cię jemu jako czeladnika było szalonym pomysłem. Hm, skoro nasyciliśmy naszą lubieżność, powiedz, jak wam się pracowało?

— To długa opowieść. Lecz zanim ją zacznę — czy wy już jesteście po wczery?

Widząc potakującą trójkę, kiwnęła głową.

— Hm, ja jeszcze nie. Macie do wyboru: możecie poczekać tutaj na dokończenie plotek. . .

Jęknęły rozpaczliwie.

— Albo możecie zgłosić mój powrót i przynieść mi coś z kuchni. Jeśli Selenay albo Elspeth będą mnie potrzebować, przyślą pazia.

— Ja zgłoszę twój powrót. — Jeri jak strzała wyfrunęła za drzwi i zbiegła po schodach.

— Ja przyniosę ucztę. Wyglądasz tak, jakbyś zrzuciła sporo funtów. Kiedy Mero dowie się, że to dla ciebie, splądruje całą spiżarnię. — Sherrill zniknęła w ślad za Jeri.

Keren oderwała się od ściany, o którą stała oparta.

— Przywitaj mnie jak należy, szaleńczy dzieciaku. — Uśmiechnęła się, wyciągając ręce.

— Och, Keren. . . — Talia uściśniła ją serdecznie. Była przyjacielem, a zarazem zastępowała jej matkę i siostrę. — O bogowie, jakże mi było ciebie brak!

— A mnie, ciebie. Zmieniłaś się, i to na lepsze. — Keren przygarnęła ją mocno, a potem odsunęła na długość wyciągniętego ramienia, przyglądając się jej badawczo. — Nieczęsto się zdarza, by moje nadzieje spełniały się aż tak dokładnie.

— Nie mów głupstw. — Talia zarumieniła się. — Widzisz coś, czego nie ma.

— Och, ja tak nie uważam. — Keren uśmiechnęła się. — Bogowie świadkiem, że jeśli chodzi o ciebie, jesteś najgorszym z sędziów. Kochanie, jesteś spełnieniem moich najśmielszych marzeń. Lecz. . . to nie była dla ciebie fraszka, której wszyscy tobie życzyliśmy?

— Ja. . . nie, nie była. — Talia westchnęła. — Ja. . . Keren, mój dar zupełnie wymknął się spod mej władzy, nie tracąc ni krzyny ze swej mocy.

— Wielcy miłosierni bogowie! — Zbadała Talię jeszcze dokładniej, przewiercając ją szarymi oczami na wylot. — Jak do tego doszło? Myślałam, że nauczyłyśmy cię. . .

— Tak jak wszyscy.

— Poczekajże no chwileczkę; pozwól, że sama wszystko sobie poukładam. Ukończyłaś klasę Ylsy. Niechajże sobie przypomnę. . . — Brwi na czole Keren zmarszczyły się od głębokiego namysłu. — Istotnie, wydaje mi się, iż napomykała o tym, że nosi się z zamiarem wysłania cię do uzdrowicieli na dodatkowe nauki, bo nie była zadowolona z siebie tam, gdzie w grę wchodzi empatia, skoro jej specjalnością jest myślenie.

Keren odwróciła się od Talii na pięcie i zaczęła krążyć tam i z powrotem. Młodsza kobieta od dawna była do tego przyzwyczajona — Keren utrzymywała, że nie potrafi myśleć, o ile nie jest w ruchu.

— Przyjęłam, iż zatroszczyła się o to, skoro tyle czasu spędziła w otoczeniu uzdrowicieli. Tymczasem tego nie zrobiła, prawda? A kiedy ją zamordowano. . .

— Ustaliliśmy z Krisem, że heroldowie uważali, iż uzdrowiciele wyszkolili mój dar empatii, a ci z kolei myśleli, że zrobili to za nich heroldowie, bo pozornie

doskonale panowałam nad sobą. Jednak tak nie było — wszystko opierało się na intuicji i domysłach. A kiedy utraciłam władzę...

— O bogowie! — Keren stanęła w pół kroku i położyła swe ręce na ramionach Talii. — Maleńka, jesteś pewna, że teraz już wszystko jest jak należy?

Talii stanęły przed oczami aż nadto żywe wspomnienia wielogodzinnych ćwiczeń, do których zmusił ją Kris. Bolesne chwile spędzane wraz z Towarzyszami, bezlitośnie atakującymi jej zmysły.

— Jestem pewna. Przede wszystkim Kris jest nauczycielem daru. Zawiódł mnie na sam początek i razem przebyliśmy całą drogę od podstaw. Pomogli nam Rolan i Tantris.

— Doprawdy? Ho, ho, to ci dopiero interesujący zwrot! — Brew Keren uniosła się wymownie. — Z zasady Towarzysze nie udzielają pomocy aż tak bezpośrednio.

— Nie sądzę, by mieli jakikolwiek wybór. Przez pierwszy miesiąc byliśmy zupełnie odcięci od świata w zasypanej śniegiem Stancy. Potem dowiedzieliśmy się, że te przekłete pogłoski dotarły nawet do naszego obwodu, i baliśmy się szukać jakiegokolwiek pomocy. To by tylko potwierdziło plotki.

— To prawda, to prawda. Gdybym zasiadała w Kręgu, skłonna byłabym ukryć to głęboko pod korcem. Nie wyszłoby nam to na dobre, gdyby świat dowiedział się o gafie, jaką popełniliśmy w twoim przypadku. Co innego Wybrani, oni powinni się o tym dowiedzieć, i z całą pewnością trzeba to umieścić w annałach, byśmy nie popełnili w przyszłości tego samego błędu z innym empatą. Jednak nie powinno się tego szeroko rozgłaszać.

— Myśl Krisa biegła mniej więcej tym samym torem i przyznałam mu rację. Oprócz nas obojga, ty jesteś pierwszą osobą, która się o tym dowiedziała. Opowiemy to Kyrilowi oraz Elcarthowi, i na tym, jak myślę, przestaniemy.

— Ta... ak — wolno powiedziała Keren. — Tak. Niech ci dwaj trapią się, kogo jeszcze zawiadomić. Ha, wszystko dobre, co się dobrze kończy, jak powiadają.

— Czuję się doskonale — raz jeszcze podkreśliła Talia. — Teraz całkowicie panuję nad sobą, nawet Rolan nie może mnie z tego stanu wytrącić. Sporo się nauczyłam, zmusiło mnie to do przemyślenia pewnych rzeczy, nad którymi dotąd się nie zastanawiałam.

— Doskonale, zatem. A teraz, pozwól, że wrzucimy te łańchmany, które masz na grzbiecie, do pralni. Tak jest, wszystkie; niech nic nie zostanie na jutro. Po tak długim patrolu wszystkie trzeba zreperować. Trzymaj... — Zajrzała do drewnianej szafy Talii i wyciągnęła długą, miękką szatę. — Włóż to. Dzisiejszej nocy nigdzie nie będziesz wychodzić, a na jutro rano Gaytha przyszykuje dla ciebie cały stos nowych rzeczy, choć pewnie będą one o źdźbło za obszerne — uszyto je według dawno wziętej miary. Mamy sobie mnóstwo do opowiedzenia. Och,

i mam wiadomość od Elspeth: „Pani niech będą dzięki, zobaczymy się rano”.

— Hej, mój stary, jedyny druhu, mamy sobie mnóstwo do powiedzenia.

Dirk skinął głową. Zaprzątnięty myślami nie związanymi z wieczerzą nawet nie zwrócił uwagi, iż pożera stos sałatki z warzywa, którym z całego serca pogardzał.

Kris to zauważył i przeżywał trudne chwile, starając się zachować nieporuszoną twarz. Na szczęście chaos, jaki zazwyczaj panował we wspólnej komnacie kolegium, dostarczył mu niejednej okazji do odwrócenia głowy, gdy chętką wybuchnięcia śmiechem na cały głos stawała się nie do odparcia. Wieczerza nabrała rozpędu, ławy były zajęte do ostatniego miejsca przez uczniów przybranych w Szarości i nauczycieli w Bieli Heroldów. Wszyscy pokrzykiwali, po przyjacielsku nawołując siebie nawzajem, przekrzykując gwar.

— No więc, jak udał się twój występ? Muzyka spodobała się nam wielce, raczej — nam obojgu. Sporo wyuczyliśmy się na pamięć.

— Szs... nauczyliście się? Naprawdę? To... — Dirk nagle uzmysłowił sobie, że zaczyna pleść trzy po trzy, i niezdarnie dokończył — ... to bardzo miło z waszej strony. Cieszę się, że wam się podoba.

— O, tak. Zwłaszcza Talii. Myślę, że ceni sobie twój podarunek jak żaden otrzymany od kogoś innego. Bez wątpienia ma go w wyjątkowej pieczy, ale to do niej podobne. Otrzyma ode mnie najwyższą ocenę. Do kroćset, doskonały z niej herold.

Teraz Dirk skorzystał z panującego w komnacie hałasu, by ukryć zmieszanie.

— No — odparł, gdy zdołał jako tako zapanować nad zawrotami głowy — wydaje się, że twój czeladnik dostarczył ci więcej zabawy niż mnie mój. I miałeś bardziej interesujący patrol. Mój był tak nudny, że razem z Ahrodie przespaliśmy większą część drogi.

— O Panie Światła, szkoda, że ja nie mogę tego powiedzieć! Nie zapomnij: „Obyś wiódł interesujący żywot” jest potężnym przekleństwem! A prócz tego, zdaje mi się, że pamiętam ciebie mówiącego, iż młodemu Skifowi udało się zmarnować cię ze szczętem, zanim ukończyliście patrol.

— Tak myślę. — Dirk zachichotał. — Czy wiesz, że Cymry powiła żrebaka, a Skif obarcza winą za to was oboje?

— Nie wątpię, boć żadne z nich nie zachowało ani krzty wstydu. — Kris pochylił się, gdy objuczony stosem brudnych naczyń uczeń zaczął przeciskać się obok niego. — O Panie, mam nadzieję, że ten młodzieniec posiada dar sprowadzania, bo za chwilę ten stos rozsypie się mu w drobny mak. O tak, Skif i Cymry, zasłużyli sobie na to, co ich spotkało. Talia, biedactwo, gotowa byłaby obedrzeć ich ze skóry, gdyby nadarzyła jej się okazja...

— O?

Kris był coraz bardziej zadowolony z zachowania Dirka. Nie trzeba go było nakłaniać, z lubością zaczął opowiadać, przemilczając jedynie bójkę — wywołaną pośrednio przez samego Dirka — i pływackie zawody, które były jej wynikiem. Potem uparł się, by usunęli się z drogi sprzątającym stoły po wieczery uczniom.

— Doskonale, moja komnata czy twoja? — Dirk czynił ogromne wysiłki, by nie okazać swych uczuć. Niestety, Kris znał go zbyt dobrze; kamienny wyraz twarzy hazardzisty, który starał się przybrać, świadczył tylko o ogromnym zderwowaniu.

— Miłościwi bogowie, przenigdy twoja — przepadlibyśmy na tydzień! Moja, mam jeszcze to wino z Ehrria, jak mi się zdaje. . .

Opowieść biegła dalej przy winie i ogniu; obaj rozsiedli się wygodnie rozparci w starych, wyliniałych, zielonych fotelach Krisa. Zdawało się, że co drugie zdanie dotyczyło Talii. Dirk starał się, jak mógł okazać duże zainteresowanie, ale nie obsesyjne, jak w istocie było. Kris skorzystał, by cień skrył nikły uśmiech igrający na jego twarzy, bo nie dał się zwieść ani trochę.

Nie wymknęło się mu to, czego przyjaciel naprawdę chciał się dowiedzieć. W końcu podochoconemu winem Dirkowi wyrwało się pytanie:

— Krisie, zacny z ciebie rycerz, lecz jesteście braćmi krwi, możesz bezpiecznie mi to wyjawić! Czy wy tego, czy nie tego?

— Czego? — zapytał niewinnie Kris.

— S. . . spaliście razem, obwiesiu!

— Tak — walnął prosto z mostu. — A czego żeś się spodziewał? Żadne z nas nie jest wyciosane z bryły lodu.

Kris doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli Dirk usłyszy prawdę podaną tak, by mógł ją przyjąć jak coś prozaicznego. Oboje byli jego najlepszymi przyjaciółmi — i tylko tyle znaczyli dla siebie z Talią. Nie wyobrażał sobie, by mogło go z nią połączyć uczucie miłości, tak jak stało się w przypadku jego przyjaciela, z którym teraz siedzieli twarzą w twarz. Skrycie obserwował Dirka, ważąc jego zachowanie.

— M. . . myślę, że to było n. . . nieuniknione. . .

— Nieuniknione! Nie tylko to — do licha! — jeśli mam być szczery, pierwsza zima była zbyt mroźna, by spać samotnie. — Począł szczegółowo opowiadać o ciężkiej próbie, jaką była śnieżna wichura — z pewnymi skrótami: nie śmiał ujawnić, jak znowił się dar Talii. Po pierwsze dlatego, że Dirk nie musiał o tym wiedzieć, a po drugie: im mniej ludzi o tym wiedziało, tym lepiej. Elcarth i Kyril — z całą pewnością, lecz sądził, iż byłoby nieuczciwe obnoszenie się z tą opowieścią bez wyraźnej zgody Talii.

Kiedy Kris skończył, zdarzyła się rzecz zagadkowa. Dirk jakby przelotnie

ogłuchł, a ocknąwszy się po krótkiej chwili, oświadczył, że jest znużony i wyszedł z komnaty.

O, Panie! W jakże przeklętym położeniu się znalazł: jego najlepszy przyjaciel zagiął parol na pierwszą kobietę, na którą Dirk miał ochotę spojrzeć po tylu latach. Gdzie tu sprawiedliwość! Do licha, gdzie tu sprawiedliwość! Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach ani myśli spojrzeć na niego, mając Krisa w pobliżu. A Kris...

A Kris — czy on kocha się w Talii? A jeśli tak...

Bogowie, o bogowie! Oni z pewnością należą do siebie.

Do licha — nie! Kris może zdobyć każdą kobietę — spośród heroldów lub spoza ich szeregów, i to nawet nie pokusiwszy się o kiwnięcie palcem! Wszyscy bogowie świadkiem, Dirk będzie walczył o tę jedyną!

Spędził w nocy wiele bezsennych godzin, gapiąc się w mrok, przewracając się niespokojnie i przeklinając w duchu kozodoja, który najwyraźniej upatrzył sobie jego okno, by pod nim ćwierkać. Z nadejściem brzasku w jego uczuciach panował taki sam galimatias jak wtedy, gdy kładł się na spoczynek.

DRUGI

— Talia! — zapiszczała Elspeth, gdy ta zjawiła się na śniadaniu, ściskając ją tak, że nowo przybyłej groziła utrata oddechu. Minione miesiące dodały kilku cali do wzrostu dziewczynki. Była teraz odrobinę wyższa od Talii. Czas przydał dziewczynce, która dotąd była jak duszek, kobiecych krągłości. Na widok Elspeth Talia zadumała się, czy matka naprawdę zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo jej córka urosła podczas nieobecności Talii.

Wspólna komnata o ścianach wykładanych drewnem była wypełniona odzianą w Szarości młodzieżą; nauczyciele zjedli śniadanie wcześniej. Nad ławami i stołami unosił się pomruk zaspanych głosów, zapach owsianki i boczku. Gdyby nie to, że rozpoznawała zaledwie parę twarzy, oraz że nie było ani jednego wolnego miejsca, wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, gdy uczniem była Talia. Wsunęła się do ciepłego, przyjaznego otoczenia, jak sztylet do dobrze naoliwionej pochwy. Poczuli się tak, jakby nigdy nie opuszczała tego miejsca.

— Jasna Pani, kociaku, za chwilę połamiesz mi wszystkie zębra! — zaprotestowała, odwzajemniając się z nawiązką. — Keren przekazała mi twoją wiadomość. Rozumiem, że Skif szepnął ci, iż wróciłam w nocy, prawda? Spodziewałam się spotkać cię na moim progu.

— Tej nocy na mnie wypadło pilnowanie źrebiąt.

Jednym z obowiązków nakładanych na uczniów było obozowanie na Łące Towarzyszy i trzymanie na zmianę warty w okresie żrebiecia się klaczy, którym nie przychodziło to tak łatwo, i często chwila miała nieocenione znaczenie dla ocalenia życia albo zdrowia potomka i matki.

— Skif powiadomił mnie o twoim przybyciu oraz że przekazał ci moje wołanie o pomoc. Mogłam się więc o nic nie obawiać, a przede wszystkim nie chciałam zakłócać twego snu.

— Słyszałam, że Cymry się ożrebiła. Kto jeszcze?

— Zaleka. — Zęby Elspeth zalśniły w uśmiechu. — Wybrała Arvena tuż po twoim wyjeździe. Jest jak dwudziestolatek — jeśli ma swój dzień — i kiedy Jillian zawitała u nas w przerwie pomiędzy patrolami. . . Ha, znasz Jillian, ona jest taka jak Destria. Wydaje się, że jej Towarzysz przejawia podobne nastawienie. Nie robiliśmy Arwenowi specjalnych wyrzutów! Zaleka jeszcze się nie ożrebiła,

jednakże nastąpi to lada dzień.

Talia pokręciła głową i objęła ręką ramiona dziewczyny.

— Młodziaki! Już sama nie wiem, na co temu światu przyjdzie w dzisiejszych czasach. . .

Elsbeth prychnęła w sposób wielce nie licujący z powagą damy, jej ogromne brązowe oczy zwężyły się w szparki i loki zatrzęsyły się szyderczo.

— Nie okpisz mnie! Słyszałam o tobie i twoich przyjaciółach, i od tych opowieści posiwiły moje skronie! Wyłączenie i włączenie przez okna w noc ciemną choć oko wykol, do spótki z niedawnym złodziejaskiem! Szpiegowanie królewskiej niańki!

— Kociaku. . . — Talia nagle otrzeźwiała. — Elspeth. . . przykro mi z powodu Huldy. — Otwarcie przyjęła badawczy wzrok Elspeth.

Twarz dziewczyny skrzywiła się w gorzkim grymasie na dźwięk imienia niańki, której niemal udało się przemienić ją w rozkapryszonego, nieposłusznego potwora i doprowadzić do pozbawienia jej wszelkich szans na zostanie Wybraną.

— Dlaczego? Przyłapałaś ją na gorącym uczynku, jak spiskowała, bym nie została następczynią. — Z jej słów przebijało rozbawienie z domieszką żalu. To pierwsze z powodu zachowania Talii; drugie, Huldy. — Siadaj, siadajże! Jestem głodna, a nie mam ochoty wykręcać sobie szyi, by do ciebie mówić.

— Ty. . . ty nie złościsz się na mnie? — zapytała Talia, zajmując miejsce obok Elspeth na wyslizganej drewnianej ławie. — Chciałam ci powiedzieć, że to ja jestem odpowiedzialna za odsunięcie jej od ciebie, ale — mówiąc szczerze — zawsze brakowało mi odwagi.

— Tobie brakowało odwagi. — Elspeth uśmiechnęła się leciutko. — Pani niech będą dzięki, ja myślałam, że jesteś bez skazy!

— Też coś — oschle odparła Talia.

— Ha, zatem może teraz opowiesz, jak to się wszystka skończyło? Właśnie usłyszałam to z drugiej ręki, od matki? i Kyrila.

— O, Panie, jak by tu zacząć?

— Hm, w porządku chronologicznym, tak jak sama się tego dowiadywałaś. — Elspeth odebrała kubek z owocowym sokiem z rąk roznoszącego posiłek ucznia i postawiła go pod nos Talii z rozmachem, aż stuknęło.

— Masz rację. To się naprawdę zaczęło wtedy, gdy próbowałam zbliżyć się do ciebie, by lepiej cię poznać. Hulda mi w tym przeszkadzała.

— Jak?

— Zabierając cię na lekcje, powiadając, że jesteś zmęczona, albo że się uczysz — co tylko jej wpadło do głowy. Koteczku, ja byłam ledwo czternastolatką, i to dość spokojnego usposobienia na dodatek; ani mi się śniło jej się przeciwstawić! Jednak to po prostu powtarzało się zbyt często, by mogło nie być działaniem celowym. A więc zrobiłam ze Skifa swego szpiega!

Elsbeth kiwnęła głową.

— Dobry wybór. Jeśli za tym coś się kryło, nikt nie zbadałby tego lepiej od niego. Wiem, bo on wciąż nie wychodzi z wprawy...

— Jak? Co?

— Za każdym razem, kiedy jest tutaj, zostawia mi razem z liścikiem słodkości w „tajemnej” szufladzie sekretarzyka w mojej komnacie. — Elspeth zachichotała.

— O, Panie, nikomu nie pisnęłaś ani słówkiem, prawda?

Elspeth poczuła się urażona.

— Wydać go? Nie ma mowy! No, powiedziałam matce, na wypadek gdyby został przyłapany — co raczej nie jest możliwe — lecz wpierw kazałam przysiąc, że dochowa tajemnicy.

Talia odetchnęła z ulgą.

— Pani niech będą dzięki! Jeśli ktokolwiek poza heroldami dowiedziałby się o tym...

— Wiem. W najgorszym wypadku mógłby zginąć z ręki jakiegoś strażnika, zanim ten połapałby się, że on jest heroldem, któremu psoty w głowie. Wiem to, wierzaj mi. Matkę to rozbawiło i była raczej zadowolona, jak myślę. Nie zaszkodzi mieć kogoś tak zręcznego w szeregach heroldów. Tak czy siak, Skif został twoim szpiegiem...

— Właśnie. Zaczął węszyć i odkrył, że Hulda nie jest służebną, jak to wszyscy myśleli, ale przejęła w swe ręce opiekę na tobie i twoją edukację. Podawała odurzające zioła Melidzie, która powinna być twoją pierwszą niańką. Wydawało mi się, że tak być nie powinno, jednak niczego nie mogłam dowieść, bo Melida rzeczywiście cierpiała po przebytej chorobie mózgu. Nie pozostało mi nic innego, jak prosić Skifa, by zachował czujność. I on odkrył, że Hulda jest na żołdzie kogoś nieznanego, kto płacił jej, byś nigdy nie została wybrana, nigdy nie została dziedziczką tronu.

— A to suka. — W oczach dziewczyny zalśnił gniew. — Domyślam się, że ani tobie, ani Skifowi nigdy nie udało się dowiedzieć, kim on był?

Talia z żalem potrząsnęła głową i upiła łyżeczek soku.

— Nigdy. Twarz zawsze zakrywał maską, ciało opończę, a głowę kapturem. Powiadomiliśmy Jadusa. Jadus udał się do królowej, i Hulda przepadła jak kamień w wodę.

— A dla mnie znaczyło to tylko tyle, że straciłam jedyną osobę na dworze, z którą byłam związana uczuciowo. Nic dziwnego, że nie pisnęłaś o tym ani słówkiem. — Elspeth podała Talii czysty talerz. — Och, mogłabym wpaść we wściekłość, gdybyś powiedziała mi o tym dwa lub trzy lata temu, lecz nie teraz. — Brązowe oczy młodej następczyni tronu zabłysły zimnym, nie skrywany gniewem. — Wciąż jeszcze żywo pamiętam te czasy.

Talię opuściły resztki obaw co do tonu urazy w głosie Elspeth.

— W grę wchodzi nie tylko żal — ciągnęła Elspeth. — Wracając myślami do tamtych dni, Talio, wydaje mi się, że owa kobieta, która zwała się mą „niańką”

z radością własnoręcznie udusiłaby mnie, gdyby miała pewność, że coś na tym zyska i że ujdzie jej to na sucho! O tak, i rozkoszowałaby się każdą chwilą!

— Och, przestań, nie byłaś aż takim potworkiem!

— Słuchaj, lepiej zacznij jeść, bo Mero zacznie w nas ciskać czym popadnie, gdy po śniadaniu zejdziemy pozmywać; przyszykował wyłącznie twoje przysmaki. — Elspeth przejęła kilka pater, które przekazywano sobie z rąk do rąk i usypała na talerzu Talii kopczyk z ciastek owsianych z miodem, gorącego boczku, przypieczonej na patelni dyni. W ogóle nie zwracała uwagi na niestosowność tego, iż następczyni tronu obsługuje kogoś, kto z formalnego punktu widzenia jest jej poddanym. W istocie, przebyła długą drogę od królewskiego bachora, przewrażliwionego na punkcie swej rangi.

— Talio, od chwili przyjścia na świat spędzałam z Huldą większość czasu. Pamiętam, że uwielbiała mnie straszyć. Historyjki do poduszki, jakie mi opowiadała, zjeżyłyby włosy na głowie dorosłemu, i założyłam się, że odczuwała przyjemność na widok wstrząsających mną dreszczy strachu. Nie mogę tego udowodnić, lecz jestem pewna, iż była najbardziej oziębłą, egoistyczną istotą, jaką w życiu poznałam; nic się dla niej nie liczyło prócz własnego dobra. Świetnie potrafiła się z tym kryć, lecz...

— Nie sądzę, bym miała wątpić w twe słowa, kociaku. Jednym z twych darów jest myślmowa, a małe dzieci czasami dostrzegają to, co umyka dorosłym.

— Ty byłaś dorosła? Nie byłaś starsza ode mnie aż tak wiele! I tak sporo nie uszło twojej uwagi, a byłoby tego więcej, gdybyś mogła spędzać przy mnie więcej czasu. Przemieniała mnie w miniaturkę samej siebie, wtedy gdy mnie nie straszyla. Kiedy udało się jej wszystkim ode mnie odsunąć, tak że nie został mi już żaden przyjaciel, do którego mogłabym się zwrócić o pomoc, zaczęła mi wpaść, jak nie powinnam ufać nikomu poza nią, jak walczyć, by wydrzeć dla siebie nawet najmniejszy przywilej, i nie oszczędzać po drodze nikogo ani niczego. Nie wiesz wszystkiego, co wyszło na jaw po twoim odjeździe. Kiedy odkryłaś przede mną prawdę, poczułam się zaciekawiona.

— Dlatego nazywam cię „koteczkiem”... — Talia wpadła jej w słowo z szerokim uśmiechem. — Bo jak wszystkie koty aż cię rozpiera ciekawość.

— To prawda, jednakowoż ciekawość czasami przynosi owoce. Zaczęłam myśkować w tym, co po sobie zostawiła, i prowadzić małą, dyskretną wymianę listów z krewnymi mojego rodzica.

— Czy twoja matka wie o tym? — Talia była tym nieco zaskoczona.

— Robiłam to z jej błogosławieństwem. A przy okazji, mam przecucie, że wuj, król Faramentha, lubi mnie tak, jak nie cierpiał mojego ojca. Nawiazaliśmy miłą korespondencję pełną rodzinnych anegdot. Ja też czuję do niego sympatię; co za okropny pech, że jesteśmy tak blisko spokrewnieni, bo przewodzi on licznemu plemieniu synów i jak sądzę, przyjemnie byłoby poznać kogoś z takim poczuciem humoru... — Głos zadumanej Elspeth przycichł, lecz po chwili wróciła do

tematu, potrząsając nieznacznie głową. — Tak czy siak, teraz wcale nie jesteśmy przekonani, czy Hulda, która opuściła Rethwellan, była tą samą Huldą, która przybyła do nas.

— Co!?

— Och, zabawnie jest powiedzieć tobie coś wstrząsającego. Wyglądasz, jakby twoja twarz zderzyła się z deską!

— Elspeth, bo cię własnymi rękami ukatrupię, jeśli nie dotrzesz do sedna!

— No dobrze, poprawię się! Teraz jest już nieco za późno, by to sprawdzać, ale pomiędzy wyruszeniem Huldy z królewskiej ochronki w Rethwellanie a przybyciem jej tutaj minął cały miesiąc, podczas którego po prostu przepadła jak kamień w wodę. Nie odprawiono jej na granicy. Nikt nie pamięta jej w oberżach po drodze, a tu nagle — puf! — zjawia się obładowana jukami i torbami. Ojca z powodu jego własnego głupiego błędu nie ma już wśród żywych; ona przedstawia wszelkie właściwe dokumenty oraz listy polecające. Nikomu nawet na myśl nie przychodzi, by powątpiewać, iż jest tą Huldą, po którą posłano — to znaczy, aż do dzisiaj.

— O, Jasna Pani! — Talia stała się tak zimna, jak jej śniadanie, myśląc o mnóstwie otwierających się przed nimi możliwości. Czy nieznaną „lord”, którego widziała ona i Skif, spiskował w sprowadzeniu tutaj piastunki? Nie można było się dowiedzieć, czy był on jednym ze zdrajców zdemaskowanych i straconych po zabójstwie Ylsy, bo nikt nigdy nie widział jego twarzy. Uważano, że tak, bo od tamtej pory nikt już nie przysparzał kłopotów, jednak możliwe, że tylko przeczaił się na jakiś czas. Czy „milord” domyślał się, że Hulda nie była tą, na którą wyglądała? I gdzie się podziała po zdemaskowaniu? Nikt nie widział jej opuszczającej pałac; nie widziano jej przekraczającej granicy, przynajmniej żadnym z gościńców (co pobrzmiwało echem słów Elspeth), a jednak uciekła, zanim ktokolwiek miał szansę ją zatrzymać. No i co — albo kto — ostrzegł ją, że jej rola została odkryta? Niebezpieczeństwo, które, jak myślała Talia, zostało już dawno temu zażegnane, nagle ożyło i zaczęło im ponownie zagrażać jak na nowo wykluwający się w gnojówce bazylipek.

— Mero obedrze mnie ze skóry — jęknęła Elspeth, więc Talia dokończyła swoje śniadanie, jednak doprawdy nie mogłaby rzec, co jadła.

— ... i to już ostami przypadek — podsumował Kris.

— W ciągu ostatnich tygodni nie wydarzyło się nic wielkiego. Zamknęliśmy wszystkie sprawy, zluzował nas Gryffon i wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu.

Przyjął ze spokojem mierzące spojrzenia, najpierw Elcartha, a potem Kyrila. Obu oblał zimny pot na wieść o tym, jak dar Talii się znarowił — i dlaczego. Najwyraźniej wydawało im się, że ta rozmowa będzie zwyczajną formalnością.

Opowieść Krisa okazała się nieprzyjemnym zaskoczeniem.

— Dlaczego — zapytał Kyril, po zbyt długiej chwili milczenia, zbyt długiej jak dla Krisa — nie zwróciliście się o pomoc, gdy stało się to po raz pierwszy.

— Głównie dlatego, że czas był nie sprzyjający. Gdy się o tym przekonałem, siedzieliśmy zasypani śniegiem w Stanicy, seniorze.

— Tu cię złapał, bracie. — Elcarth krzywo uśmiechnął się do herolda o srebrnych włosach.

— A kiedyśmy się stamtąd wydostali, byliśmy na najlepszej drodze do uporania się z tym kłopotem — ciągnął Kris. — Talia znała podstawy, wryły się dobrze w jej pamięć. Zaś trafiwszy ponownie między ludzi, przekonaliśmy się, że owe pogłoski dotarły tam pierwiej i wtedy wykoncypowałem, iż wyrządzilibyśmy szkody nie do naprawienia, gdybyśmy poniechali patrolu, szukając pomocy u innych, tym samym potwierdzając krążące pogłoski, iż coś złego się dzieje.

— Hm, celnie powiedziane — przyznał Kyril.

— Nie mówiąc już, że wcale nie byłem pewny, czy ktokolwiek zdolny jest jej pomóc.

— Uzdrowiciele... — zaczął Elcarth.

— Nie są oni obdarzeni wyłącznie empatią, ani też nie wykorzystują jej tak, jak ona to robi, jak musi to robić — mówiłem już wam przecież, iż użyła jej jak ofensywnego oręża. Oni z rzadka przywołują swój dar poza sesjami uzdrawiania, ona będzie musiała przywyknąć do ciągłego z nim obcowania, tak że stopi się z nią jak zmysł słuchu lub wzroku. Tak to sobie — dokończył Kris z zakłopotanym uśmiechem — przynajmniej wykoncypowałem.

— Myślę, że w tym przypadku prawidłowo, młodszy bracie — odparł Kyril po długim namyśle, w czasie którego Kris miał mnóstwo czasu, by zastanowić się nad tym, co powiedział, i głowić się, czy udało mu się przekonać obu najstarszych heroldów z Kręgu.

Kris wypuścił powietrze wstrzymywane dotąd w płucach — czego był zupełnie nieświadom.

— I jeszcze jedno — dodał. — W takiej chwili rozgłoszenie światu, że my i kolegium kiepsko wyuczyliliśmy nowego osobistego herolda królowej, zniszczyłoby morale wszystkich.

— Jasna Bogini, nie mylisz się! — wykrzyknął skonsternowany Elcarth, a jego brwi uniosły się tak wysoko do góry, że zetknęły się z szarą czapą włosów. — Bo gdyby to się rozniosło, godziłoby w wiarygodność tak heroldów, jak i nie-heroldów. Uważam, biorąc pod uwagę okoliczności, że oboje zasługujecie na wysoką ocenę. Ty, za rozsądek i dyskrecję, a twój czeladnik za stawienie czoła niezamierzonym próbom i wyjście z nich zwycięsko.

— Zgadzam się — wtórował mu Kyril. — A teraz, wybaczysz nam, że wraz z Elcarthem ośmielimy się przedsięwziąć środki ostrożności, by coś podobnego nie mogło się już nigdy nam przytrafić.

Pożegnawszy heroldów z wyszukaną uprzejmością, Kris z radością czmychnął im przed oczu.

Nim od śniadania minęła marka na świecy, Talia sporo się nabiegała. Najpierw, opuściwszy Kolegium Heroldów, udała się do oddzielnego budynku, mieszczącego Kolegium Uzdrawicieli i Dom Uzdrawiania. Słońce, które jeszcze nie weszło, gdy szła na śniadanie, stało już na niebie i jeśli bezchmurny nieboskłon miał być jakąś wskazówką, zanosilo się na kolejny cudowny wiosenny dzień. Znalazłszy się w obrębie beżowych ceglanych murów, odszukała uzdrowiciela Devana, by zawiadomić go o swoim powrocie i dowiedzieć się przy okazji, czy przypadkiem w Domu Uzdrawiania nie leży jakiś herold, któremu mogłoby pomóc dotknięcie jej wyjątkowego umysłu.

Natrafiła na uzdrowiciela w destylarni. Starannie mieszał składniki mikstur. Weszła cicho, na palcach, nie chcąc zmaćcić jego skupionej uwagi, lecz on i tak wyczuł jej obecność.

— Słowo rozprzestrzenia się na skrzydłach wiatru, dowiedziałem się o twoim powrocie minionej nocy — powiedział odwrócony do niej plecami. — Witamy jak najserdeczniej, Talio!

Zaśmiała się cicho.

— Powinam mieć więcej oleju w głowie i nie próbować zakradać się do kogoś, kto posiada taki sam dar!

Odstawił ostrożnie driakiew, nad którą się trudził, na blat stołu, i zwrócił się do niej twarzą. Wejrzenie jego orzechowych oczu stało się ciepłe od radosnego uśmiechu, wyciągnął poplamione na brązowo dłonie na powitanie.

— Twa aura, dziecko, jest nie do podrobienia. O jakże raduję się, iż ponownie mogę ją poczuć!

Ujęła obie jego dłonie, marszcząc nieco nos od ostrego zapachu, którym prześląknięta była destylarnia.

— Mam nadzieję, że to radość tylko z mojego powrotu, a nie dlatego, że ktoś rozpaczliwie oczekuje pomocy — odparła.

Wielki kamień spadł jej z serca, gdy zapewnił ją, że nie ma ani jednego herolda pośród złożonych chorobą, którymi się opiekował.

— Poczekaj jednak do letnich burz na południu, albo pirackich napaści na zachodzie — rzekł i oczy mu posmutniały. — Tej zimy Rynee przywdzieje zieloną opończę. Upiera się, by wrócić na południe i zatrzymać opodal rodzinnego domu. Wróciłaś w samą porę, Talio. Jeśli nie liczyć Patrisa, będziesz naszym jedynym uzdrowicielem umysłów, a możliwe, że trzeba będzie pomóc cierpiącym, którzy

nie wszyscy będą heroldami.

Następnie Talia wróciła do Skrzydła Heroldów, by odbyć rozmowę, do której wcale jej się nie paliło.

Zapukała z wahaniem do drzwi kancelarii Elcartha. W środku zastała nie tylko dziekana, ale i herolda-seneszala.

Przez następną godzinę składała — tak beznamyślnie, jak zdołała — sprawozdanie z wszystkich przypadków, których zdarzyło się jej doświadczyć na czeladniczym patrolu. Nie oszczędziła niczego, szczerze przyznając się do skrywania, iż dar wymknął się spod jej władzy, i że wyjawiała to Krisowi dopiero pod przymusem. Powiedziała im to, co Kris przemilczał: że o mały włos zabiłaby ich oboje.

Słuchali jej w zupełnym milczeniu, póki nie skończyła i nie usiadła z zaciśniętymi dłońmi na kolanach, czekając na wyrok.

— Czego nauczyłaś się dzięki temu wszystkiemu? — nieoczekiwanie zapytał Elcarth.

— Tego... tego, że żaden herold w pojedynkę nic nie zdoła, nawet osobisty herold królowej — odparła po namyśle. — Zwłaszcza osobisty królowej. Moje czyny rzutują na pozostałych heroldów bardziej niż czyny innych, choćby z tego powodu, że tak głęboko sięgam w umysły ludzkie.

— A co jest takiego charakterystycznego w posługiwaniu się darem? — dodał Kyril.

— Ja... Naprawdę trudno mi powiedzieć — przyznała. — Czasami widzę jasno i wyraźnie, co muszę zrobić. Jednak przeważnie jest to jedynie mglisty obraz. Tak sobie myślę, że widocznie odtąd przyjdzie mi zawsze kłaść na szali zło i konieczność.

Elcarth skinął głową.

— Jeśli nie zabraknie mi czasu, zasięgnę rady w Kręgu, zanim uczynię coś nieodwołalnego. Niestety, obawiam się, że nie będę sobie mogła pozwolić na taki luksus. A jeśli zbłądzę... Hm, pogodzę się z konsekwencjami tego i postaram naprawić błąd.

— Doskonale, heroldzie Talio. — Oczy Elcartha zalśniły dumą, co sobie wreszcie z zaskoczeniem uświadomiła. — Myślę, że jesteś przygotowana do przyjęcia jarzma.

— Zdałam zatem?

— A co ja powiedziałem? — Kyril kiwnął głową do przyjaciela. — Wiedziałem, że w to nie uwierzy, póki tego osobiście nie usłyszy z naszych ust. — Na wyciosanej niczym z granitu twarzy herolda zagościł ciepły uśmiech. — Tak, Talio, spisałaś się znakomicie. Jesteśmy bardzo zadowoleni z tego, co usłyszeliśmy od Krisa i ciebie. Nie ugięłaś się w krytycznej sytuacji, w której znalazłaś się nie ze swej winy, lecz samodzielnie z niej wybrnęłaś.

— I z radością przyjęliśmy to, co powiedziałaś przed chwilą — dorzucił Elcarth. — Posiadając tego rodzaju dar, udało ci się osiągnąć przyzwoitą równowagę etyczną. A więc, czy po tylu słodkich pochlebstwach gotowa jesteś przełknąć coś gorzkiego? Wkrótce zbierze się rada.

— Tak, panie — odparła. — Zostałam. . . ostrzeżona.

— Tuszę, że nie tylko o spotkaniu rady?

— Panie, to mogłoby skompromitować me źródła. . .

— O Panie, o Pani! — Ostre rysy twarzy Elcartha złagodniały, gdy tłumił wybuch śmiechu. — Ona już gada jak Talamir!

Zamyślony Kyril potrząsnął tylko głową.

— Zaiste, mój bracie. Znakomicie, Talio, zatem się tam zobaczymy. Lepiej już idź. Jeśli się nie mylę, Selenay gorąco pragnie przedyskutować kilka zagadnień, jeszcze przed udaniem się na radę.

Talia wiedziała, kiedy ją odprawiają. Poprosiła obu seniorów o pozwolenie i opuściła kancelarię lekkim krokiem, lekkim jak jej serce.

— Talia. . . — Selenay uprzedziła wszelkie ceremonie, obejmując serdecznie herolda. — O Jasna Pani, jakże mi ciebie brakowało! Wejdz, tutaj możemy побыć sam na sam przez chwilę.

Zaprowadziła Talię do alkowy o granitowych ścianach, tuż obok prowadzącego do komnaty rady korytarza. Stała tam jedynie samotna drewniana ława. Jak zawsze Selenay odziana była niczym zwykły herold, jedynie wąski, złoty diadem upinał jej złote włosy, na znak kim była.

— Niechże się tobie dobrze przyjrzę. Na Niebiososa, wyglądasz wspaniale! Jednak strasznie wyszczupłałaś. . .

— Musiałam obejść się własną kuchnią — odparła Talia — to wszystko. Zobaczyłabym się z wami ostatniej nocy. . .

— Nie odnalazłabyś mnie. — Niebieskie oczy Selenay pociemniały od uczuć. — Konferowałam z lordem wojny i o przemieszczeniu oddziałów na Granicę. Kiedy skończyliśmy, nie miałabym ochoty widzieć się nawet z moim ojcem gdyby wstał z grobu. Ależ byłam znużona. Przekłète mapy! Poza tym, pierwszą noc po powrocie z patrolu czeladniczego zawsze spędza się w otoczeniu najbliższych przyjaciół. Taka, jest tradycja! Czy inaczej można by usłyszeć wszystkie wieści z minionych osiemnastu miesięcy?

— Macie na myśli osiemnaście miesięcy plotek. — Talia uśmiechnęła się. — Rozumiem, że wraz z Krisem sprokurowaliśmy niejedną.

— Z tak bezceremonialnego zachowania wnoszę, iż me nadzieje na nieśmiertelny romans spełzły na niczym? — V oczach królowej mignęło rozbawienie, kiedy odeła wargi, udając rozczarowanie.

Talia potrząsnęła głową z rezygnacją.

— I wy także? Na Jasne Niebiosy, czy wszyscy z kolegium uparli się nas na siłę połączyć, czy tego chcemy, czy nie?

— Jedynymi wyjątkami są: Kyril, Elcarth, Skif, Keren i, przede wszystkim, Alberich. Wszyscy poprzysięgli, iż jeśli kiedykolwiek stracisz swe serce, to nie z powodu gładkiego lica Krisa.

— Oni... mogą się nie mylić.

Uwagi Selenay nie uszedł lekko zakłopotany wyraz twarzy herolda i według jej mniemania nadszedł czas na zmianę tematu.

— No cóż, nie posiadam się z radości, że znów mam cię u swego boku. Przydałabyś mi się w ciągu minionych dwóch miesięcy.

— Dwa miesiące? Czy to ma coś wspólnego z tym, z czym Elspeth wysłała Skifa nam na spotkanie?

— Zrobiła to? A to ziółko! To zapewne dlatego, że działania rady są jej tak samo nie w smak jak mnie. Oświadczone się o rękę Elspeth w imieniu kogoś, kogo będzie mi bardzo trudno odrzucić.

— Mów.

Selenay usiadła na ławie. Jej ręka nieświadomie błędziła po podłokietniku.

— Przybył do nas poseł od króla Alessandara, dwa miesiące temu, i oficjalnie zażądał rozpatrzenia propozycji ślubu Elspeth z Ancarem. Wiele przemawia za ich połączeniem. Ancar jest mniej więcej w wieku Krisa, a to niezbyt wielka różnica jak na królewskie małżeństwo. Powiadają, że jest całkiem przystojny. Mogłoby to doprowadzić do połączenia naszych królestw. Alessandar ma mocną, dobrze wyszkoloną armię, o wiele większą od naszej. Mogłabym rozesłać heroldów po jego domenę, a Karsyci dwa razy musieliby pomyśleć przed ponownym najazdem na nas, w obliczu jego armii. Rada w trzech czwartych udziela bezwarunkowego poparcia, pozostali przychylni są temu pomysłowi, lecz nie starają się przeforsować go na siłę, tak jak pozostali.

— Hm — zaczęła wolno Talia, obracając na palcu pierścień otrzymany w prezencie od Krisa — nie wahałabyś się, gdyby przecucie nie ostrzegało cię, iż w tym kryje się coś złego. Co to takiego?

— Po pierwsze: o ile nie będę przyparta do muru, nie mam ochoty zmuszać Elspeth do małżeństwa dla dobra państwa. Jeśli mam być szczerą, wołałabym, by nigdy nie wyszła za męża. Wolę oddać tron linii bocznej, niż pozwolić na zawarcie związku, w którym brakowałoby wzajemnego szacunku i przychylności. — Selenay zabawiała się kosmykiem, owijając go wokół swych długich, pięknych palców, i zdradzając tym samym niepokój. — Po drugie: ona jest jeszcze bardzo młoda. Zamierzam nalegać, by ukończyła naukę, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję. Po trzecie: kiedy ostatni raz widziałam Ancara, był dzieckiem noszonym na rękach. Nie mam pojęcia, jakim stał się człowiekiem, i muszę się tego dowiedzieć, zanim nawet zacznę poważnie rozważać swaty. Mówiąc prawdę, mam nadzieję, że miłość będzie jej swatem, i że będzie to ktoś, kto przynajmniej został wybrany,

jeśli nie herold. Przekonałam się na własnej skórze jak to jest, gdy małżonek królowej nie może współrządzić, choć wychowywano go do sprawowania rządów. A sama najlepiej wiesz, że mąż Elspeth nie będzie mógł zasiąść razem z nią na tronie, o ile on także nie zostanie wybrany.

— Za każdym razem trafiałaś w sedno, lecz nie tylko to cię trapi. — Talia z taką łatwością wróciła do odruchu odczytywania stanu umysłu królowej, jakby nigdy nie oddaliła się od niej ani na krok.

— Teraz wiem, dlaczego tak mi było ciebie brak! Zawszę udaje ci się tak postawić pytanie, że wszystko widać z właściwej perspektywy! — Selenay uśmiechnęła się ponownie. — Tak. Nie tylko to, lecz nie jest to coś, z czym chciałabym wystąpić przed radą, ani nawet porozmawiać o tym z Kyrilem, błogosławione niech będzie jego serce. Nazwaliby to kobiecymi bredniami o dniach miesięcznych. Niepokoi mnie to, iż ta cała propozycja pojawiła się jak na zamówienie, jest zbyt doskonała, jest jakby odpowiedzią na modlitwy wznoszone przez wszystkich. Wciąż patrzę, gdzie za przynętą ukryta jest pułapka, zachodzę w głowę, dlaczego nie mogę jej dostrzec. Być może podejrzliwość tak bardzo weszła mi w nawyk, że odnoszę się nieufnie nawet do czegoś, o czym wiem, że jest uczciwe.

— Nie, myślę, że tak nie jest. — Talia odeła wargi w zamyśleniu. — Coś musi być nie w porządku, bo nie dręczyłby cię aż taki niepokój. Posiadasz dar myślowy i odrobinę daru wróż, prawda? Podejrzewam, że odbierasz mgliste obrazy, że jest coś złego w tym pomyśle, a jesteś podenerwowana, ponieważ musisz przeciwstawić się radzie, nie mogąc podać konkretnych powodów.

— Błogosławiona, tak rzeczywiście musi być! Przez ostatnie dwa miesiące miałam wrażenie, jakbym gołymi rękami czerpała wodę z dna przeciekającej łożdzi!

— Więc zaślóń się niedojrzałością Elspeth, podeprzyj to stwierdzeniem, że nie dokończyła nauk, i przeciągaj to przez jakiś czas. Ja ciebie poprę, a kiedy Kyril z Elcarthem stwierdzą, że masz moje poparcie, zrobią to samo. — Talia mówiła z większą pewnością siebie, niż to naprawdę czuła. — Pamiętaj: teraz mam prawo głosu w radzie. Wspólnie możemy zgłosić weto nawet przeciw całej radzie, wystarczy, by monarcha i jego osobisty herold odrzucili postanowienie rady. Przyznaję, że nie byłoby to uprzejme, lecz nie cofnę się, jeśli będę musiała.

Selenay westchnęła z ulgą.

— Nie wiem, jak udało mi się tyle lat przetrwać bez ciebie?

— Doskonale, dziękuję. Gdyby mnie tutaj nie było i tak udałoby ci się to jakoś odwlec, nawet gdybyś musiała sięgnąć po Devana, by zaraził Elspeth jakąś fałszywą gorączką, by zyskać na czasie! Czy nie nadeszła już pora, byśmy oficjalnie wkroczyły do sali?

— W istocie. — W uśmiechu Selenay błąkał się cień złośliwości. — Oto nadeszła chwila, do której od tak dawna tęskniłam! Paru popadnie w czarną rozpacz,

gdy uzmysłowią sobie, iż wyrosłaś na prawdziwego osobistego herolda królowej, z prawem głosu, i że od dzisiaj rada zasiadać będzie w pełnym składzie!

Podniosły się razem z ławy i weszły w ogromne, oprawione w mosiądz, podwójne drzwi do komnaty rady.

Pozostali posłowie zasiedli już dookoła stołu. Powstali, gdy do sali wkroczyła królowa, za którą szła Talia, utrzymując właściwy dystans, o krok za jej plecami, nieco z prawej strony.

Komnata rady nie była zbyt wielka, jedynymi sprzętami tutaj były stół wygięty w podkowę i krzesła z ciemnego drewna, które z wiekiem szerniało niemal całkowicie. Tak jak cały pałac, ściany w części wyłożono drewnianą boazerią, zaś od mniej więcej wysokości podbródka do stropu, ściana była z nagiego, szarego kamienia, z którego wzniesiono pierwszy pałac-wieżę. Zmniejszona kopia tronu Selenay stała dokładnie pośrodku, za nim znajdował się kominiek, a nad kominikiem herb monarchów Valdemaru: uskrzydłony biały koń z rozerwanym łańcuchem dookoła szyi. Na ścianie ponad drzwiami, naprzeciw tronu, wisiała ogromna mapa Valdemaru, wymalowana na grubym lnianym płótnie, na którą nanoszono wszelkie zmiany, by była zawsze aktualna. Była tak wielka, że posłowie mogli odczytywać litery, nie ruszając się ze swoich miejsc. Stanowiła piękny przykład przedniego rzemiosła: każdą drogę i najmniejszą osadę oznaczono z wielką pieczołowitością. Po prawej stronie królewskiego siedziska stało krzesło Talii, a po lewej — seneszala. Na jego lewicy zasiadał Kyril, po prawicy Talii — lord wojny. Pozostali posłowie siadali, gdzie kto miał ochotę, bez względu na starszeństwo.

Talia nigdy dotąd nie zasiadła na przeznaczonym jej miejscu. Zgodnie z tradycją musiało ono stać puste, póki nie ukończy nauki i nie zostanie pasowana na herolda. Aż do dzisiaj zasiadała pośród zwykłych członków rady i tylko od czasu do czasu, zapytana, zabierała głos; o swoich spostrzeżeniach opowiadała Selenay już po zamknięciu spotkań. Jej nowa pozycja dawała poważną władzę, lecz wraz z nią spadała na nią nie lada odpowiedzialność.

Posłowie stali; na niektórych twarzach odmalowało się zaskoczenie. Widać wieść o jej powrocie nie rozeszła się tak szybko tutaj, na dworze, jak w kolegium. Selenay stanęła przed swym krzesłem, Talia poszła za jej przykładem. Królowa lekko ukloniła się na wszystkie strony i usiadła. Nie minęło mgnienie oka, a po niej, na swoim krześle, spoczęła Talia. Posłowie zajęli miejsca dopiero, gdy to uczyniła królowa i jej osobisty herold.

— Chciałabym otworzyć to spotkanie debatą o poselstwie o rękę Elspeth od Alessandra — zaczęła ścisłym głosem Selenay, ku jawnemu zaskoczeniu kilku posłów. Talia kiwnęła głową. Przejmując inicjatywę, nadała debacie wysoką rangę.

Każdy z siedzących za stołem po kolei wyraził swoje zdanie. Tak jak Selenay już powiedziała Talii, wszyscy, jak jeden mąż, patrzyli na swaty przychylnym okiem, większość życzyła sobie, by z ożenkiem nie zwlekać.

Talia zaczęła z takim skupieniem oceniać zebranych posłów jak nigdy dotąd. Chciała dokonać tego jedynie przy pomocy wzroku i słuchu, nie odwołując się do swego daru.

Najpierw był lord Gartheser, przedstawiciel Północy, najbliższy sojusznik Orthallena, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Chudy, niespokojny, łysiejący, podkreślał rzucane przez siebie zdania ostrymi, gwałtownymi gestami rąk. Choć ani razu nie spojrział wprost na Orthallena, Talia po nachyleniu jego sylwetki domyśliła się, że Orthallen tak przyciąga jego uwagę, że poza nim nikt nie mógł wyrzucić na mówiącym najmniejszego wrażenia.

- Nie można mieć c i e n i a wątpliwości — rzekł Gartheser cienkim, piskliwym głosem — że owe zrękowiny przyniosą nam tak potężnego sprzymierzeńca, iż nikt nie będzie śmiał nawet marzyć o ponownym zaatakowaniu nas. Z armią Alesandara gotową ruszyć nam na pomoc, nawet Kars nie odważy się nas lekceważyć. Śmiem przewidywać, iż ustaną nawet przygraniczne napady, a nasze granice staną się bezpieczne po raz pierwszy od wielu pokoleń.

Orthallen przypieczętował to kiwnięciem głowy, tak niedostrzegalnym, że uszłoby ono Talii, gdyby akurat nie patrzyła na niego. Nie tylko ona odebrała ten leciutki znak pochwały, Gartheser też gorliwie się go doszukiwał. Talia zobaczyła, że się uśmiecha i kiwa delikatnie głową w odpowiedzi.

Następnie przemawiali Elcarth i Kyril. Elcarth przycupnął na brzeżku krzesła i wyglądał jak szary strzyżek śnieżny; za to Kyril siedział niemal nieruchomo, jak posąg z szarego granitu.

— Nie nasuwają mi się żadne mocne argumenty przeciw — odezwał się Elcarth, przekrzywiając głowę na bok. — Jednak następczyni tronu trzeba zostawić czas na dokończenie nauki i praktyki czeladniczej, zanim ten sojusz będzie mógł dojść do skutku.

— I księżę Ancar musi okazać się właściwego usposobienia — dodał gładko Kyril. — To królestwo, proszę o wybaczenie Wasza Wysokość, to królestwo ma za sobą gorzkie doświadczenie z małżonkiem, który okazał się nie mieć odpowiedniego charakteru. Jeśli o mnie chodzi, nie życzylibym sobie przeżyć tego ponownie.

Lady Wyrist, przemawiająca w imieniu Wschodu, wystąpiła po nim jako kolejny poplecznik Orthallena. Ta pulchna kobieta o jasnych włosach, niegdyś wielka piękność, nie straciła nic ze swego magnetycznego czaru.

— Z całego serca popieram i nie sędzę, by czasy były odpowiednie na ociąganie się! Niech jak najszybciej zostaną ogłoszone zrękowiny, co tam, wesele! Z nauką można poczekać do czasu, gdy zawartego sojuszu nie będzie można zerwać. — Zgromiła wzrokiem Elcartha i Kyrila. — To moją granicę Karsyci łupią, kiedy dusza zapragnie. Moi ludzie i tak mają niewiele, a Karsyci nawet i to grabią! Na dodatek to moja granica zostałaby szeroko otwarta dla handlu po mocnej unii naszych dwóch królestw. Niczego złego nie mogę się doszukać w tym związku.

Głos zabrał białowłosy, śnieżno-brody ojciec Aldon, lord patriarcha:

— Zgodnie z waszymi słowami, pani, ten sojusz niesie z sobą obietnicę spokoju, jakim nie cieszyliśmy się od bardzo dawna. Kars będzie zmuszony ubiegać się o trwałą pokój, w obliczu unii wzdłuż dwóch jego granic. Odnowienie naszej dawnej przyjaźni z Hardornem może przynieść nam trwalszy pokój, któregośmy dotąd jeszcze nie zaznali. Następczyni jest jeszcze bardzo młoda, lecz czyż wiele naszych dam nie weszło w związek małżeński w jeszcze młodszym wieku. . .

— W istocie. — Bard Hyron, którego blond włosy były tak jasne, że niemal białe, przemawiał w imieniu Koła Bardów. Jego słowa pobrzmiwały echem tego, co powiedział ojciec Aldon. — Niewielkie to poświęcenie ze strony młodej kobiety, jeśli jej ofiara przyniesie pociechę tak wielu.

Talia zauważyła, że jego bladoszare oczy zaiskrzyły jak srebro, kiedy Orthallen kiwnął z aprobatą głową.

Szczupła, kanciasta uzdrowicielka Myrim, wysłanniczka swego Kręgu, nie była tym wszystkim tak bardzo podniecona. Talia z ulgą stwierdziła, że Myrim jest lekko zirytowana heroicznym hymnem Hyrona i coś w osobie Orthallena zdaje się ją nieco drażnić.

— Wszyscy o czymś zapominacie: choć to dziecko zostało wybrane, nie jest jeszcze heroldem, a prawo stanowi niedwuznacznie, iż monarcha musi być heroldem. Dotąd nigdy nie było tak poważnego powodu, by trzeba było to prawo zmienić, i dzisiaj nie widzę potrzeby ustanawiania tak niebezpiecznego precedensu.

— No właśnie — wymamrotał Kyril.

— Dziecko jest właśnie tym — dzieckiem. Nawet w najśmielszych marzeniach trudno wyobrazić sobie, by mogła władać, tyle jeszcze się musi nauczyć. Tym niemniej, jestem życzliwie nastawiona do zrękowin, choć zachowałabym ostrożność. Jednak jedynie pod warunkiem, że następczyni pozostanie w kolegium do czasu ukończenia nauki.

Ku lekkiemu zaskoczeniu Talii, lord wojny Randon podzielał łagodną niechęć Myrim do Orthallena. Zastanawiała się — słuchając oszepeconego bliznami, nieprzystępnego wojownika, ostrożnie i roztropnie odmierzającego słowa jak kupiec sprzedający ziarno — co odmieniło go przez ten czas, gdy była nieobecna na dworze, bo podczas ostatniego spotkania rady Randon należał do najzagorzalszych popleczników Orthallena. Teraz jednakże, choć życzliwie odnosił się do zaręczyn, ciągnął swą ciemną brodę gestem skrywanego rozdrażnienia, tak jakby nie w smak mu było to, iż musi poprzeć partię Orthallena.

Słowa lady Kester, podobnej do konia pośtanki Zachodu, były krótkie i trafiały w sedno.

— Jestem za — powiedziała i usiadła.

Pulchny i miękko mówiący lord Gildas z Południa wygłosił podobnie zwięzłą przemowę.

— Nie widzę nic, co miałyby stać się źródłem kłopotów — powiedziała cicho lady Cathan, przedstawicielka Gildii. Ta spokojna, siwiejąca kobieta przypominała gołębicę, jednak pod zewnętrznymi pozorami miękkości kryła się osoba uparta. — Za to wiele, na czym każdy mieszkaniec tego królestwa mógłby zyskać.

— To, jak myślę, jest dobrym podsumowaniem — dorzucił na zakończenie lord Palinor, senezal. — Znacie moje uczucia w tej materii. Wasza Wysokość?

Królowa zachowywała przez cały czas niezmałony spokój, siedziała nieporuszona, zamyślona, nie dając nic poznać po sobie, póki nie wygłosili swego zdania wszyscy z wyjątkiem niej samej i jej herolda.

Teraz pochyliła się lekko do przodu i przemówiła do zebranych. W jej głosie pojawił się nieco rozkazujący ton.

— Wysłuchałam was; wszyscy odnosicie się życzliwie do tego ożenku i racje was wszystkich są zacne. Nawet nakłaniacie mnie, bym przystała na ślub i doprowadziła do niego w ciągu najbliższych miesięcy. Doskonale, zgadzam się z każdym z przytoczonych przez was argumentem, skłonna jestem odesłać posła Alessandara ze słowem, iż rozważymy oświadczyń z należąca powagą. Jednakże jednego nie mogę zrobić i tego nie zrobię: nigdy nie pozwolę, by cokolwiek przerwało naukę Elspeth. Nie wolno jej, pomimo roztrząsanych tu racji, przerywać nauki! O Pani, strzeż nas, lecz w wypadku mej śmierci, nie możemy oddać się na łaskę losu, zostawiając tron Valdemaru opiece nie douczonego monarchy! Dlatego oznajmię jedynie Alessandarowi, że jego zaloty są mile widziane, i oświadczę mu niedwuznacznie, iż poważne układy nie mogą rozpocząć się przed pomyślnym zakończeniem przez następczynię jej praktyki czeladniczej.

— Wasza Wysokość! — Gartheser zerwał się na równe nogi, gdy kilku innych posłów zaczęło mówić jeden przez drugiego; niektórzy poczęli nawet się zaperzać.

Wtedy ze swego miejsca powstała Talia i zastukała w blat. Paplanina ucichła, co bardziej zaciętrzewieni wlepili w nią spojrzenia, jakby dotąd o niej nie pamiętali.

— Panowie, panie, wybaczcie, lecz wszelkie wasze racje są na nic. Moim głosem podtrzymuję decyzję królowej. Takiej jej udzieliłam rady.

Nie ulegało wątpliwości, sądząc z ogłupiałych twarzy, że wyleciało im z głowy, iż Talia ma już pełne prawo głosu. Gdyby nie powaga sytuacji, ten widok dostarczyłby Talii mnóstwo przyjemności — zwłaszcza wyraz twarzy Orthallena.

— Jeśli taka jest rada osobistego królowej, to i ja muszę oddać na nią mój głos — szybko wtrącił Kyril, choć Talia niemal mogła usłyszeć, jak zastanawia się, czy ona wie, co czyni.

— I mój — przyłączył się Elcarth, który sądząc z wyglądu i tonu głosu, miał do osądu Talii znacznie większe zaufanie niż Kyril.

Wtedy zaległa cisza; cisza tak głęboka, że można było niemal usłyszeć ziarna kurzu opadające na podłogę, widoczne w świetle sączącym się z wąskich okien.

— Wygląda na to — rzekł lord Gartheser, rzucający się w oczy jako przywódca zbuntowanych — że zostaliśmy przegłosowani.

Po jego słowach rozległ się cichy pomruk.

Na najdalszym końcu stołu podniósł się ze swego miejsca białowłosy pan. Cichy szmer zamarł zupełnie. Właśnie tego człowieka Talia obserwowała z takim skupieniem: Orthallen, lord Połaci Gryfów, wuj Krisa. Do tej pory jako jedyny ani razu nie zabrał głosu. Był najstarszym członkiem rady, służył jeszcze u boku ojca Selenay, wspomagał i ją podczas całego jej panowania, nazywany przez nią „lordem wujem”, był ojcowską figurą nawet dla Elspeth. Odnoszono się do niego z wielką czcią i szacunkiem.

Jednak Talia nigdy nie żywiła do niego cieplejszych uczuć. Powodem po części było to, że próbował skrzywdzić Skifa. Choć nie był władny usunąć żadnego Wybranego z kolegium, starał się odesłać chłopca na dwa lata do służby karnej w armii. Pretekstem miała być ogromna liczba wykroczeń przeciw regulaminowi kolegium, jakich dopuścił się Skif. Kulminacja nastąpiła, gdy Skifa przyłapano pewnej nocy na gorącym uczynku w kancelarii profosa-marszałka. Orthallen utrzymywał, że chłopiec włamał się tam, by zmienić zapiski w *Księdze występków*. Jedynie Talia — na której prośbę Skif się tam udał — wiedziała, że wśliznął się do kancelarii po to, by zbadać dokumenty Huldy i dowiedzieć się, kto sprowadził ją do królestwa, oraz wyszperać nazwiska współspiskowców.

Talia ocaliła swego przyjaciela za cenę kłamstwa, oświadczając, że za jej namową starał się odszukać, czy jej krewni z Grodu zażądali przywileju podatkowego, przyznawanego tym, którzy wychowali Wybranego.

Od tamtej pory nieprzerwanie dochodziło między nią a Orthallenem do subtelnych tarć. Kiedy zaczęła zasiadać w radzie, miała wrażenie, że on nieustannie stara się podważyć nawet ten niewielki autorytet, jaki miała. Otwarcie bagatelizował jej wypowiedzi — wskazując na jej młodość i niedoświadczenie — tak że w jego obecności niezmiernie rzadko zabierała głos. Zawsze wydawał się jej odrobinę zbyt ostrożny, zbyt opanowany. Kiedy uśmiechał się, kiedy marszczył brew, uczucia zawsze zdawały się jedynie ślizgać po jego skórze.

Początkowo sama siebie karciała za tę niechęć, składając to na karb nieracjonalnych obaw, które czuła wobec mężczyzn, zwłaszcza przystojnych; bo choć dawno minęły jego lata świetności, pozostał uderzająco pięknym mężczyzną — nie było cienia wątpliwości, która linia rodziny Krisa błogosławiła go swym anielskim obliczem. Odrobiny oziębłości też nie można przecież poczytywać za grzech, a jednak z niewiadomej przyczyny za każdym razem, gdy patrzyła na niego, na myśl przychodził jej gryf siedzący w gnieździe — skrzydlaty smok zimnokrwisty, wyrachowany, bezwzględny... i ukryty za pięknie wysadzaną klejnotami skórą.

Jednak teraz miała więcej powodów, żeby Orthallenowi nie ufać. Niejedno bowiem wskazywało na to, iż należy go podejrzewać o rozpuszczanie pogłosek, jakoby nadużywała swego daru. Z pewnością wiedział doskonale, jak tego rodza-

ju plotki wpłyną na empatę, który z reguły ma niskie poczucie własnej wartości i brak mu pewności siebie. Była też głęboko przekonana, iż to on zasiał wątpliwości w umyśle Krisa, wiedząc, że to nie umknie jej zmysłom, które odpowiednio zareagują.

Lecz tym razem miała powody do wdzięczności, bo gdy Orthallen przemówił, poparł decyzję królowej.

— Moi panowie, panie, królowa ma całkowitą rację — rzekł, czym zaskoczył Talię, gdyż dotąd najzyczliwiej odnosił się do planu zamążpójścia Elspeth bez dalszych korowodów. — Mamy tylko jedną dziedziczkę, w linii głównej nie ma już żadnego następcy. Nie możemy aż tak ryzykować; następczyni tronu musi dokończyć naukę. Teraz pojmuję mądrość tej decyzji. Wycofuję wcześniej złożoną przeze mnie prośbę o natychmiastowe zrękowiny. Alessandar jest mądrym monarchą, z całą pewnością ochoczo przystąpi do wstępnych układów na mocy udzielonej obietnicy zrękowin w przyszłości. W ten oto sposób wyniesiemy korzyści z obu planów.

Orthallen zaskoczył nie tylko Talię. Hyron gapił się na niego, jakby nie dowierzał własnym uszom. Zarówno poplecznicy z jego frakcji, jak i jego oponenti zdawali się równie zdumieni i pomieszani.

W wyniku jego mowy rada dość niechętnie — acz jednomyślnie — głosowała, by odprawić posła zgodnie z planem nakreślonym przez Selenay. W istocie głosowanie było próżnym gestem, gdyż Selenay i Talia mogły odprawić z kwitkiem całą radę. I choć jednomyślne poparcie jej stanowiska bardzo podbudowało Selenay, to jednak Talia zachodziła w głowę, jakież to rozmowy przeprowadzą na osobności posłowie natychmiast po zamknięciu sesji i kto weźmie w nich udział.

Pozostałe punkty raptularza obrad były sprawami rutynowymi i przyziemnymi: zwrot podatków dla wiosek ciężko doświadczonych wiosennymi powodziąmi; zaopatrzenie i odkomenderowanie dodatkowych oddziałów nad jezioro Evendim w nadziei, iż utrudni to życie piratom, i najeźdźcy zdecydują się szukać łatwiejszej ofiary; ukaranie grzywną kupieckiego klanu zamieszanego w handel niewolnikami. Debata, ilu żołnierzy należy przesunąć nad jezioro Evendim i kto powinien za to zapłacić ciągnęła się bez końca. Lord wojny i lady Kester — która zarządzała tym obwodem rybaków — nieustępliwie żądali zwiększenia liczby oddziałów. Lord Gildas i lady Cathan, których bogate ziemie uprawne i gildie kupieckie obłożono by podatkami, aby zapłacić za początek operacji, podejmowali gorączkowe wysiłki dla zmniejszenia wydatków.

Talia współczuła rybakom, jednak rozumiała racje strony zmuszanej do głębszego sięgnięcia do kieszeni i zapłacenia za zaopatrzenie dodatkowych oddziałów, które przez większość czasu stacjonowałyby beczynnie. Pozornie ugoda było niemożliwa, a spór nie miał końca. To także nie byłoby rozwiązanie po myśli rybaków!

W końcu, gdy lord wojny grzmiącym głosem podał sumy potrzebne na od-

powiednią liczbę żołnierzy do prowadzenia obserwacji wzdłuż krętego wybrzeża, Talii zaświtał pewien pomysł.

— Wybaczcie mi. — Jej głos rozległ się w ciszy, która nagle zapanowała. — Niewiele wiem o wojaczce, lecz wiem coś o rybakach. Jedynie młodzi, zdrowi i sprawni wyruszają na łodziach. Jeśli mnie pamięć nie myli, starcy, bardzo małe dzieci, ciężarne kobiety, opiekunki do dzieci w rodzinie i ludzie okaleczeni zamieszkują w tymczasowych wioskach. Czy tak?

— Tak, i dlatego tak trudno jest tych ludzi bronić! — warczał lord wojny. — Nie zostaje nikt, kto by się zdał do broni!

— No tak, zgodnie z podanymi przez was sumami, bez mała jedna trzecia waszych oddziałów spędzi cały czas na wybrzeżu. Ponieważ i tak zamierzacie żywić tylu ludzi, dlaczego miast tego nie zaopatrzyć pozostałych na brzegu rodzin rybaków i niech oni zajmują się obserwacją! Jeśli uwolnić ich od codziennego zdobywania pożywienia dla siebie, znajdą na to czas. A czy obserwatorowi potrzeba czegoś więcej poza parą bystrych oczu i środkami do wszczęcia larum?

— Macie na myśli wykorzystanie dzieci do obserwacji wybrzeża? Toż... toż to jawna głupota! — wypalił Gartheser.

— Poczekajże no chwilkę, Gartheser — wtrąciła się Myrim. — Nie wiem, co w tym miałyby być głupiego. Mnie wydaje się to nad wyraz roztropne.

— Ależ... jakże one się będą broniły?

— A przed czym? Kto je dostrzeże? Będą siedziały w ukryciu, człowieku, zamaskowane, tak jak wszyscy obserwatorzy wybrzeża. Rozumiem, do czego dziewczyna dąży. To pozwoliłoby nam o trzecią część zmniejszyć liczbę żołnierzy, czego właśnie domagają się Gildas i Cathan — wykrzyknęła lady Kester, przypominająca swym wyglądem zniecierpliwionego dźwiękiem rogów starego rumaka bojowego. — Ale musicie dostarczyć spyży dla wszystkich, stare liczykropy!

— Lecz nie będą musieli wydać na to grosiwa — zaśmiał się jeden z posłów.

— Ale... dzieci? — powątpiewał Hyron. — Czy możemy powierzyć dzieciom tak odpowiedzialne posterunki? Co je powstrzyma przed oddaniem się zabawom?

— Dzieci z Granic nie są zbyt dziecinne — cicho dodała Talia, spoglądając na Kester, a posłanka Zachodu przytaknęła zamaszystym skinieniem głowy.

— Srebrnowłosa, owe dzieci na pokład łodzi nie wchodzić jedynie przez wzgląd na wzrost — prychnęła Kester, choć nie po to, by okazać nieuprzejmość. — Nie są waszymi słabeuszami błękitnej krwi; pracują od chwili, gdy ich dłonie urosną na tyle, by mogły wiązać sieci.

— Tak, muszę się z tym zgodzić — po raz pierwszy do debaty włączyła się lady Wyryst. — Podejrzewam, że rybacy nie różnią się zanadto od Ludu Grodów. Herold Talia może zaświadczyć, że dzieci wychowywane na Granicy nie mają wiele czasu na dziecięce zajęcia.

— Tym większa zatem możliwość, że zaniedbają obowiązki i uciekną — upierał się Hyron.

— Nie, bo widziały całe rodziny spalone przez tych samych wodnych rabuśców, których miałoby wypatrywać — powiedziała Myrim. — Pracowałam tam. Prędzej zaufałambym dzieciom stamtąd niż niektórym wysoko urodzonym siwobrodym, których mogę nazwać z imienia.

— Trafiłaś w sedno, pani! — Kester klasnęła w dłonie i skierowała swój sokoli wzrok na lorda wojny. — Powieje coś, ty stary wilku wojenny. . . i mógłbyś przekonać twych wojaków, by zgodzili się od czasu do czasu pomóc przy uczciwej robocie. . .

— A mianowicie? — Lord wojny zdobył się nieomalże na uśmiech.

— Przy robocie w polu, suszeniu ryby i gąbki, cerowaniu sieci i splataniu zerwanych lin, pakowaniu i załadunku skrzynek, opatrywaniu chałup na zimę.

— To możliwe — jakie są twoje propozycje?

— Żołd wojenny. Jeśliby ręce mojego ludu uwolnić od pracy w polu, i wiedzieliby oni, że ich rodziny są bezpieczne, powinniśmy unieść samodzielnie dodatkowe wydatki, a mimo to osiągnąć godziwy zysk.

— Będąc ostrożny w słowach, myślę, że mógłbym to zrobić.

— Zatem zgoda. A co powiecie wy, Cathan, Gildasie?

Skwapliwie wyrazili zgodę. Rada rozeszła się w doskonałych humorach. Pierwsze powstały Selenay z Talią i wyszły przed wszystkimi; tylko o krok później Kyril.

— Uczysz się, co? — Kyril szepnął Talii prosto do ucha.

— Ja?

— Tak, ty, i nie udawaj niewiniątka. — Elcarth przyłączył się do swego przyjaciela. Utworzyli białą grupkę na zewnątrz komnaty rady, czekając aż Selenay skończy ustalanie z seneszalem porządku popołudniowych audiencji. Elcarth odsunął lok siwych włosów z oczu i uśmiechnął się. — To było przebiegle przeprowadzone, przeciągnięcie lordów znad Granic na swoją stronę.

— Jedynie tędy można było doprowadzić do porozumienia. Cathan i Gildas przystaliby na wszystko, byleby oszczędzić pieniądze. Razem z posłami Granic i tymi dwoma, mieliśmy większość, wilk był syty i owca cała. — Talia uśmiechnęła się do nich. — Trzeba było jedynie odwołać się do dumy mieszkańców Granic, doprawdy bardzo szcycimy się tym, jak jesteście twardzi, nawet w dziecięcym wieku.

— Cudownie, naprawdę cudownie. — Selenay dołączyła do nich. — Sesje, na których musiałam godzić tych uparciuchów skorych do zwady, nauczyły mnie niejednego! Jednak powiedz mi, co byś poczęła jeśliby Keren, Teren i Sherrill nie nakładli ci w uszy tyłu opowieści o rybakach? Siedziałybyś oniemiała?

— Nie sądzę; w żadnym wypadku widząc, że debata nigdy nie zakończy się porozumieniem — dodała Talia po krótkim namyśle. — Sądzę. . . że jeśliby nikt

z was pierwszy nie wpadł na ten pomysł... zaproponowałabym odłożenie debaty, póki nie udałoby nam się znaleźć znawcy ludzi z tych obszarów, najlepiej herolda, który kilkakrotnie patrolował tamtejszy obwód.

— Znakomicie, właśnie to miałam zamiar zrobić, kiedy przemówiłaś. Zaczynamy myśleć jak jedna drużyna. A teraz zjem drugie śniadanie z Kyrilem i sene-
szalem. Nie musisz mi towarzyszyć, znajdziesz coś do przegryzienia w kolegium. O pierwszej rozpoczynają się oficjalne audiencje, w których musisz brać udział — zajmie to nam jakieś trzy godziny; potem — do siódmej i wieczerzy na dworze — jesteś wolna. Po wieczerzy, chyba że wydarzy się coś ważnego, znów masz czas wolny.

— Alberich spodziewa się ciebie o czwartej... — Elcarth uśmiechnął się, słysząc jęk Talii. — ... a Devan o piątej. Witaj w domu, Talio.

— Och — westchnęła — myślę, że to lepsze od odgarniania śniegu! Nigdy jednak nie myślałam, że tak szybko zatęsknię do wyruszenia w pole!

— Już tęsknisz do wyruszenia w pole?

Talia odwróciła się, by za plecami zobaczyć Krisa z bezczelnym uśmiechem na twarzy.

— Wydawało mi się, że słyszałam od ciebie, iż nigdy do tego nie zatęsknisz!

— Kłamałam. — Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

— Nie! — Zachwiał się, udając, że jest wstrząśnięty. — A jak spotkanie rady?

Chciała opowiedzieć mu o wszystkim, lecz nagle przypomniała sobie, kim jest, kim jest jego wuj. Cokolwiek powie, nieuchronnie zaczęłoby się to obracać wokół Orthallena, a Kris przekaze mu to w swej niewinności, nie przypuszczając nawet, iż daje temu człowiekowi broń przeciw niej.

— Och, nic wielkiego — powiedziała z ociąganiem. — Zrękowiny zostały odłożone do czasu ukończenia przez Elspeth nauk. Przepraszam cię, Krisie, lecz teraz mam mało czasu. Opowiem ci później, zgoda?

I uciekła, zanim zdążył o cokolwiek zapytać.

Talia przełknęła kilka kęsów w biegu pomiędzy pałacem i swoją komnatą; na audiencję musiała przywdziać nieco bardziej formalny uniform niż na spotkanie rady. Zdążyła się umyć, zmienić szatę i zdążyć na czas, by omówić z Selenay porządek audiencji. Musiała przede wszystkim pełnić rolę osobistego strażnika królowej, choć do jej obowiązków należało także ocenianie stanu uczuć osób stojących przed obliczem monarchini i powiadamianie jej o wszystkim, co wydawało się niezbędne.

Komnata audiencji była długa i wąska; zbudowano ją z szarego granitu i ciemnego drewna, jak resztę starego pałacu. Tron Selenay stał na postumencie na samym końcu sali, w ścianie z tyłu wykuto królewskie herby; nie wisały tam żadne kotary, za którymi mogliby się ukryć zabójcy. Osobisty herold przez cały czas

trzymał się z tyłu tronu, nieco na prawo, by królowa mogła usłyszeć nawet najcichszy szept. Składający petycję musieli przejść przez całą komnatę, i Talia miała aż nadto czasu na „odczytanie” stanu ich umysłów, jeśli uważała, że należało to zrobić.

Audjencja biegła niezwykle monotonnie. Przed obliczem monarchini stanął drobny ziemianin, pragnący otworzyć na swej posesji Dom Gildii Farbiarzy; po nim pojawiło się dwóch szlachciców, którzy, rzuciwszy sobie wyzwanie, rozpaczliwie próbowali znaleźć sposób uniknięcia pojedynku, nie tracąc twarzy. Ani za pierwszym, ani za drugim razem nie były to sytuacje tak poważne, by motywowały konieczność „odczytania” któregośkolwiek z nich.

Po zakończeniu audjencji Talia pędem pobiegła do swych komnat, by przebrać się w stare i znoszone rzeczy na czekającą ją lekcję fechtunku z Alberichem.

Wejście do sali było dla niej jak spacer w przeszłość — nic się nie zmieniło: ani stojące pod ścianami, zniszczone ławy bez oparc, ani leżące na nich i pod nimi sterty ekwipunku i ręczników. Światło również wpadało w ten sam sposób przez okna, ani na jotę nie zmienił się nawet Alberich. Wciąż był odziany w swe stare skóry, choć może były inne, tyle że wyglądały tak samo. Nadal wydawało się, że jego przecięta blizną twarz tak skora jest zabłysnąć uśmiechem jak granitowe ściany pałacu. W jego długich, czarnych włosach było tyle samo siwizny, co wtedy gdy go Talia widziała po raz ostatni.

Była tam już Elspeth; dawała z siebie wszystko, ćwicząc z Jeri pod surowym okiem Albericha. Talia wstrzymała oddech ze zdziwienia — jej zdaniem Elspeth w niczym nie ustępowała Jeri. Młoda nauczycielka szermierki musiała wyteńczyć wszystkie siły, a niejedną raz udawało jej się wywinąć spod „śmiertelnego” pchnięcia drewnianym ostrzem tylko rozpaczliwymi skrętami całego ciała. Kiedy w końcu Alberich ogłosił przerwę, obie były złane potem.

— Nieźle spisałyście się, dzieci. Obie — Alberich, mówiąc, kiwał głową.

Elspeth i Jeri krążyły po sali, by nie zeszywniały im mięśnie. Ocierały twarze ręcznikami.

— Jeri, musisz więcej popracować nad obroną, staje się licha po ćwiczeniach z uczniami. Elspeth, gdyby nie to, iż jesteś o niebo bardziej zajęta od zwykłego ucznia, zrobiłbym z ciebie pomocnika Jeri.

Elspeth podniosła głowę. Talia zobaczyła, jak pokraśniała od pochwały i rozbłysły jej oczy.

— Jednakże daleko ci jeszcze do doskonałości. Twa lewa strona jest nad wyraz słaba, tam jesteś całkiem bezbronna. Odtąd masz ćwiczyć lewą ręką, a prawą tylko wtedy, kiedy ci powiem. Dość na dzisiaj, do łaźni — cuchniecie jak wasi Towarzysze!

Odwrócił się do Talii, która zagryzła wargę i powiedziała:

— Mam przeczucie, że jestem w kłopotach.

— Kłopotach? To możliwe. . . — Alberich zasepił się, a potem niespodziewanie uśmiechnął. — Nie ma strachu, mała Talio, wiem jak niewiele miałaś okazji do ćwiczeń. Zaczniemy pomału, dowiem się, ile zatraciłaś zręczności. Kłopoty zaczną się od jutra.

Godzinę później Talia dziękowała bogom, że Kris nalegał, by, o ile to możliwe, nie zanieczyścili ćwiczeń. Alberich był umiarkowanie zadowolony, że tak niewiele straciła ze swej zręczności, i nie wygłosił zbyt wielu przytyków, ani nie obił jej więcej jak dwa razy po żebrach, gdy popełniła jakieś wyjątkowe głupstwo. Poczwała, że jej się tym razem upiekło.

I znów nie pozostało jej nic innego, jak ruszyć biegiem. Tym razem, by po kąpieli i ponownej zmianie przyodziewku wrócić do Kolegium Uzdrowicieli, by omówić minione osiemnaście miesięcy z Devanem i Rynee. Na szczęście oboje mogli zachować zwięzłość — nikt z Kręgu Heroldów nie doznał tak poważnego urazu umysłu, by Rynee musiała zająć się leczeniem — a więc w chwili, gdy w Kolegium Heroldów rozległ się dźwięk dzwonu wzywający na wieczerzę, Talia mogła wymknąć się na Łąkę Towarzyszy.

Przy ogrodzeniu czekał Rolan. Wciągnęła się na jego grzbiet, nie zatroszczywszy się o siodło.

— Myślę — powiedziała do niego, gdy szedł przez cichy zagajnik — że jestem śmiertelnie wyczerpana. Jest jeszcze gorzej, niż kiedy byłam uczniem.

Czule złapał ją wargami za but; Talia odebrała uspokajające tchnienie i coś, co miało związek z czasem.

— Myślisz, że przyzwyczaję się w ciągu paru dni? O Panie, mam nadzieję! Mimo wszystko. . . — Zamyśliła się głęboko, próbując sobie przypomnieć plan dnia królowej. — Rada zbiera się nie częściej jak trzy razy na tydzień. Jednak audyencje odbywają się codziennie; co dzień będzie mnie torturował Alberich. Mogłabym jednak spotykać się z Devanem tuż przed śniadaniem i tuż po południowym posiłku, a przed wieczerzą zajmować się fechtunkiem, więc musiałabym się przebierać tylko dwa razy dziennie. Z tobą, mój drogi, będę widywać się, kiedy tylko znajdę chwilę czasu.

Dźwięk, który wydał z siebie Rolan, bardzo przypominał śmiech.

— Prawda, biorąc pod uwagę łączącą nas więź, nie muszę być bez przerwy z tobą, prawda? A co powiesz o audyencjach?

Ku rozbawieniu Talii, Rolan zwiesił łeb i niesłychanie wiernie odtworzył ludzkie chrapanie.

— Ty także? O Panie i Pani, nudy jak na oficjalnych balach! Skąd mi przyszło do głowy, że żywot herolda może być podniecający?

Rolan parsknął i przywołał wspomnienie wspólnego galopu przez odludzia po pomoc dla dotkniętej plagą osady w Rozdrożu, po którym nastąpił obraz bitwy

z rabusiami, którzy zaatakowali i podpalili Strugę Hevena.

— Masz rację, myślę, że przeżyję tę nudę. A co sądzisz o tym, jak radzi sobie Elspeth?

Ku jej zaskoczeniu odebrała mgliste uczucie obawy, jednak Rolan nie mógł przesłać jej jasnego obrazu, czym powodowany jest ten lęk.

— Czy to jest na tyle poważne, bym musiała w transie dotrzeć do przyczyny tego stanu?

Potrząsnął łbem. Grzywa musnęła ją po twarzy.

— Zatem na tym poprzestaniemy, zapewne to nic innego jak zwyczajna przekora. Nie mogę jej za to winić — ma tak sarno przepełniony obowiązkami dzień jak ja. Skoro mnie to nie jest w smak, trudno bym jej brała to za złe.

Talia zeskoczyła na ziemię tuż obok malutkiego stawu utworzonego przez źródło i usiadła na trawie. Wpatrzona w zachód słońca oczyszczała swój umysł. Rolan stał obok niej. Wspólnie spędzona chwila w zupełnej ciszy przepełniła oboje rozkoszą.

— Hm, w końcu dopięłam swego — powiedziała na poły do siebie. — Czasami wątpiałam, czy mi się to kiedykolwiek uda. . .

Minął pierwszy dzień prawdziwego sprawowania obowiązków osobistego herolda królowej — z prawami i obowiązkami; mogła przegłosować całą radę, a nawet Selenay (choć nie skorzystała z tego, i wciąż nie była pewna, czy starczyłoby jej śmiałości); musiała leczyć z lęku swoich kolegów z Kręgu i czuwać, by nic złego nie przytrafiło się następczyni tronu.

Ta chwila w pewnym sensie napawała obawą, ale i miała działanie trzeźwiące, podsuwając refleksję, że osobisty królowej — jak się zdawało — najlepiej służy królowej i krajowi, gdy unika nadmiernej bezpośredniości, zabiera głos tylko w debatach najważniejszych, a wpływa na królową tylko poprzez prowadzone na osobności rozmowy. To odpowiadało Talii. Minionego popołudnia, gdy oczy wszystkich zebranych — zwłaszcza Orthallena — skupiły się na niej, nie było jej przyjemnie. Jednak Selenay była bez wątpienia spokojniejsza, mając obok siebie Talię. Takie było jej zadanie: być przyjacielem królowej, uczciwym i godnym całkowitego zaufania. . .

Gasnące słońce wymalowało szkarłatne i złote plamy na nielicznych obłokach, zawisłych na zachodzie, a niebo nad nimi pociemniało granatem, który później przeszedł w purpurę. Charty — dwie gwiazdy w pogoni za słońcem — zaśniły przepysznym blaskiem. Gdy słońce schowało się za horyzontem, na szczyty obłoków spłynęła purpura nieba, przesączając się przez nie jak woda pochłaniana przez gąbkę. Światło zbladło, kolory zaczęły płowieć, wszystko stało się zimnoniebieskie. Niewielkie żaby rozpoczęły swój rechot w stawku u stóp Talii; niedaleko otworzyły się zakwitające nocą hiacyny i oziębiallycy się, rześki wietrzyk, porwawszy ich aromat, zaniósł go do niej.

Kiedy poczuła tak wielkie rozleniwienie, jakby już nigdy nie miała się stamtąd

ruszyć, ugryzł ją komar.

— Oj! A niech to licho! — Klasnęła dłonią występnego owada, a potem roześmiała się. — Bogowie przywołali mnie do porządku, przypominając o obowiązkach. Muszę wracać, kochany. Rozkoszuj się tym pięknym wieczorem.

TRZECI

Tak jakby to niewielkie ukąszenie owada miało być przestrogą, rzeczy przybrały zły obrót — poczynając od pogorszenia pogody.

Piękna wiosna nagle zrobiła się obrzydliwa. Zaczęło padać — nieprzerwaną, przygnębiającą, zimną strugą deszczu. Promienie słońca, o ile Talii udawało się je zobaczyć, przejmowały chłodnym, jakby wymyłym przez wodę światłem. Wstrętne, ot co, wstrętne i deprymujące. Zakwitło niewiele kwiatów, a i te przytłoczone, wisiały nisko na swych łodygach. Wilgoć wkradała się wszędzie, a ogień, który dzień i noc utrzymywano w paleniskach, nie zdawał się na wiele, by ją przepędzić. Skutki dały się odczuć w całym królestwie. Co dzień na dwór docierały wieści o powodziach, nierzadko nawet z obszarów, gdzie nie pojawiały się od z górą stu lat. Co oczywiste, i członkowie rady musieli nieuchronnie ulec jej wpływowi. Pracowali jak woły, przez wiele godzin, by sprostac krytycznej sytuacji, lecz ponura atmosfera udzieliła się i im, więc byle pretekst wystarczył, a stawali się opryskliwi. Na każdym spotkaniu rady wybuchała co najmniej jedna poważna kłótnia, po której trzeba było chłodzić rozpalone głowy. Wyzwiska, którymi się wzajemnie obrzucali, wszędzie indziej stałyby się dostatecznym usprawiedliwieniem wyzwania na ubitą ziemię.

Do Talii odnosili się z takim samym brakiem szacunku. Miała i ona swój udział w opryskliwych uwagach sypiących się na jej głowę, i był to dobry znak — została przyjęta do ich grona — choć coraz trudniej przychodziło jej utrzymać swój temperament na wodzy, skoro nikt wokół niej nie potrafił swojego okiełznać. Jeszcze trudniej przychodziło zachować się rozsądnie przy subtelnych próbach Orthallena podważenia jej autorytetu. A przebiegłe to były próby, przerażająco przebiegłe. Nie mówił nigdy niczego, co można by uznać za bezpośrednią krytykę, o nie. Napomynał jedynie — bardzo uprzejmie, ale przy lada sposobności — że, być może, jest zbyt młoda i niedoświadczona, jak na zajmowaną posadę; że łatwo popada w skrajności, co jest przywilejem młodości, widzi wszystko jedynie w kolorze czarnym lub białym; że z całą pewnością ma dobre chęci, ale... i tak w kółko. Czasami Talia miała ochotę krzyczeć i gryźć. Nie można było mu się przeciwstawić inaczej, jak okazując jeszcze większy rozsądek i umiar od niego. Czują, jakby stała w prądzie morskim, wymywającym piasek spod jej nóg.

Pomiędzy nią i Krisem też nie układało się najlepiej.

— O Bogini, Talio — jęknął Kris, opadając bez sił na krzesło. — On robi tylko to, co uważa za swój obowiązek!

Talia policzyła do dziesięciu, bardzo wolno; potem przeliczyła półki w bibliotece i dziury wypalone przez knoty świec w blacie stołu, który miała przed sobą.

— Twierdził, że to ja się unosiłam, w chwili gdy lady Kester wyzwala Hyrona od nadętych kurzych mózdzków, krzycząc, ile sił w płucach!

— No...

— Kris, on powtarza to samo na każdym spotkaniu rady i to co najmniej trzy razy! Gdy tylko wydaje się, że pozostali członkowie rady zaczynają mnie słuchać, on wyskakuje z tą samą mową! — Talia odsunęła się z krzesłem od stołu, wstała i zaczęła niecierpliwie krążyć tam i z powrotem po opustoszałej bibliotece. Miała za sobą wyjątkowo trudne spotkanie rady i czuła mięśnie szyi napięte jak postronki.

— Po prostu nie dostrzegam nic przewrotnego w zachowaniu mego wuja...

— Do licha, Krisie...

— Talio, on jest stary, przyzwyczajony do chadzania własnymi drogami. W oczach wuja jesteś przerażająco młoda i uzurpujesz sobie jego pozycję! Miejże nieco litości dla niego, on jest tylko człowiekiem!

— A ja nie? — Z wysiłkiem stłumiła krzyk, który chciał wyrwać się z jej gardła. Spór zaczął przyprawiać ją o ból głowy. — Mnie ma się podobać to, co on robi?

— On niczego nie robi! — Twarz Krisa nabrała ponurego wyrazu, jakby i jego rozbolała głowa. — Prawdę powiedziawszy, uważam, że dostrzegasz obelgi i niebezpieczeństwo tam, gdzie ich nie ma.

Talia odwróciła się gwałtownie i wpatrzyła się w niego uporczywie, zaciskając usta, z dłońmi zwiniętymi w pięści.

— W takim razie — odparła, z tuzin razy wolno zaciągając się głęboko pełnym kurzu powietrzem, który wypełniał bibliotekę — może należałoby udać się z mymi nierozsądnymi fantazjami do kogoś innego.

— Ale...

Odwróciła się ponownie i zbiegła po schodach. Krzyknął coś za nią, przygnębiony. Biegła, nie poświęciwszy temu uwagi.

Odtąd nie zamienili z sobą zbyt wielu słów. Talii brak było serdeczności, jaka między nimi panowała dawniej. Tej bliskości, która pozwalała na wzajemne zwierzenia nawet najgłębszych sekretów, bardziej jej brakowało niż więzi fizycznej, choć teraz — zerwawszy w swym życiu z celibatem — zatęskniła i do niej...

Nie mówiąc o jej stosunkach — lub, mówiąc dokładniej, ich braku — z Dirkiem. Jego zachowanie w najwyższym stopniu zbijało z tropu. To wydawał się przejawiać zdecydowaną chęć zostania z nią sam na sam, to znów nie ośmielał się nawet wejść do tej samej komnaty, co ona. Czaił się w jej pobliżu przez dzień albo dwa, a potem znikał ni z tego, ni z owego, by pojawić się znów po kilku dniach. Zdawał się wahać między popchnięciem Krisa w jej ramiona lub odstraszeniem go, by wcale się do niej nie zbliżał. . .

Talia ujrzała swego nieuchwytnego przyjaciela, jak opiera się o ogrodzenie Łąki Towarzyszy. Głęboko zamyślony gapił się gdzieś daleko przed siebie. Zdarzył się cud: deszcz przestał padać, choć niebo było pokryte szarym całunem, z którego w każdej chwili mogło lunąć ponownie.

— Dirk?

Aż podskoczył, obrócił się raptownie i szeroko otwierając oczy, wbił w nią przestraszony wzrok.

— Co ty tutaj robisz? — zapytał dość nieuprzejmie, opierając się bardzo mocno plecami o ogrodzenie, jakby to była jedyna przeszkoda, która uniemożliwiała mu ucieczkę.

— Pewnie to samo co ty — odparła Talia, z wysiłkiem tłumiąc chęć ofuknięcia go. — Szukam Rolana, i może jakiegoś towarzystwa do przejażdżki.

— W takim razie, czy nie należałoby się rozejrzeć za Krisem? — zapytał z taką miną, jakby przetykał coś bardzo niesmacznego.

Nie nasunęła się jej żadna riposta, więc postanowiła wcale nie odpowiadać. Przysunęła się do ogrodzenia i stanęła ze stopą opartą na dolnej belce, a rękami na górnej. Zamarła w tej samej pozycji co on, kiedy go ujrzała.

— Talio. . . — Zbliżył się do niej o krok i stanął; do jej uszu doszło chłupotanie, gdy jego buty szurały po mokrej trawie. — Ja. . . Kris jest. . . bardzo wartościowym przyjacielem. Czymś więcej. Ja. . .

Czekała, aż powie, co ma na myśli, z nadzieją, że tym razem wreszcie wszystko się wyjaśni. Może gdyby nie patrzyła na niego, wykrztusiłby to z siebie.

— Tak? — przynagliła go, gdy zaległa tak długa cisza, że zaczęła go niemal podejrzewać, czy po kryjomu się nie oddalił. Odwróciła się i przytapała go, jak patrzy na nią bezradnie swymi niebieskimi oczami, zanim zdążył odwrócić wzrok.

— Ja. . . muszę już iść. . . — wyszeptał i uciekł. Chciała krzyknąć z rozpacz. Po raz czwarty zrobił tę samą sztuczkę — zaczyna coś mówić, a potem ucieka. A skoro posprzeczała się z Krisem, wcale nie miała ochoty prosić go o pomoc. Zresztą od czasu ich ostatniego małego starcia nie widywała go zbyt często.

Rozdrażniona westchnęła i wezwała myślą Rolana. Obojgu potrzebna była

odrobina ćwiczeń. Przynajmniej on będzie uważnym słuchaczem.

Kris umyślnie unikał Talii.

Kiedy wrócił z patrolu, wuj przyszedł go przywitać — co zrozumiałe i czego należało się spodziewać — lecz ostatnio Orthallen wydawał się wkładać wiele wysiłku, by znaleźć czas na rozmowę ze swym bratankiem dwa, a nawet trzy razy w tygodniu, i za każdym razem nawracał do Talii. I nie przez przypadek — tego Kris był całkowicie pewny.

Ani też nie były to przyjemne pogawędki, jak to się z pozoru wydawało. Kris zaczął podejrzewać, że Orthallen stara się wpaść na jakiś trop — być może chciał doszukać się jakiejś słabości u osobistego królowej. Za każdym razem, gdy wymknęła się mu jakaś pochwała Talii, jego wuj napomykał: „Tak, ale z całą pewnością. . .” tak osobliwym tonem, jakby uchylał przed nim jakiś sekret.

Ich ostatnie spotkanie potoczyło się podobnie.

Wracał właśnie z rozmowy z Elcarthem, u którego szukał rady w sprawie swych nowych uczniów z darem dalekowidzenia, gdy „nieoczekiwanie” natknął się na Orthallena.

— Bratanku! — powitał go wuj. — Mam dla ciebie słowo od twego brata. . .

— Czy stało się coś złego? — zaniepokoił się Kris. Ich rodzinne dobra znajdowały się w samym sercu największej od wielu pokoleń powodzi. — Czy potrzebuje mojej pomocy w domu? Będę wolny za kilka tygodni. . .

— Nie, nie. Rzeczy nie mają się najlepiej, lecz sytuacja nie jest jeszcze krytyczna. Drobni posiadacze utracili dziesiątą część swych pól, oczywiście niektórzy dotknięci zostali bardziej od innych. Wiosenne narodziny zaledwie pokryją straty w stadach. Och, i twój brat utracił ogiera — krzyżówkę rumaka Shin'a'in.

— Do licha, nieprędko uda mu się natrafić na jednego z nich. Czy potrzebuje pomocy z zewnątrz?

— Jeszcze nie. W spichlerzach starczy ziarna na pokrycie strat. On chciał jedynie, byś wiedział, jak się rzeczy mają i nie był nadmiernie zaniepokojony.

— Dzięki, wuju. Doceniam, że zadałeś sobie trud i poświęciłeś swój czas, by mi o tym donieść.

— A jak tam twoja młoda protegowana? Przyzwyczajają się, jak myślisz? — Gładko zmienił temat rozmowy. — Czasami zastanawiam się, czy to nie nazbyt wiele, jak na jej siły. Ostatnio zasypała nas prawdziwa lawina nieszczęśliwych przypadków.

— O Nieba, wuju, jestem ostatnią osobą, którą powinienes o to zapytać — odparł Kris nieco niecierpliwie. — Rzadko się z nią ostatnimi czasy widuję. Oboje nie narzekamy na brak obowiązków, które nie zezwalają, by często krzyżowały się nasze ścieżki.

— O? A ja odnosiłem wrażenie, że heroldowie wiedzą wszystko o sobie nawzajem i o tym, co się z nimi dzieje.

Krisowi nie przysłała żadna odpowiedź do głowy, a przynajmniej żadna uprzejma odpowiedź.

— Zapytałem jedynie, bo ona wygląda na nieco tym wszystkim zgębioną. Pomyślałem, że być może rozmawiała o tym z tobą — ciągnął Orthallen, a jego zimne oczy przewiercały Krisa na wylot. — Jak na swój tak młody wiek na swych barkach musi dźwigać brzemień ciężkich obowiązków.

— Ona dorosła do nich, wuju. Już ci to powiedziałem. W przeciwnym razie Rolan by jej nie wybrał.

— Ha, jestem pewny, że masz rację — odparł Orthallen takim tonem, jakby uważał coś wręcz przeciwnego. — Te wszystkie pogłoski, że używa swego daru do zmuszania ludzi do uległości. . .

— Były całkowicie pozbawione podstaw, mówiłem już. Tak roztropnie odnosiła się do odczytywania ludzkich umysłów, że właściwie trzeba było ją do tego zmuszać. . . — Kris przerwał, zastanawiając się, czy aby nie powiedział za wiele.

— Aaa. — Orthallen milczał przez chwilę. — To pocieszające. W tym dziecku zdaje się drzemać mądrość, która rzadko idzie w parze z młodym wiekiem. Jednakże, gdybyś miał wrażenie, że jest jej coraz trudniej, byłbym wdzięczny za słowo. Przede wszystkim jako najstarszy z doradców powinienem wiedzieć o wszystkim, co może przysporzyć nam kłopotów. Byłbym niezmiernie szczęśliwy, gdybym mógł jej pomóc, lecz ona wciąż zdaje się nosić w sercu urazę, której nabrała, gdy była jeszcze uczniem. Wątpię, czy byłaby łaskawa powiedzieć nawet, jaka dokładnie jest pora dnia, a co dopiero zwierzać się przede mną.

Kris coś wymijająco wymamrotał i jego wuj odszedł pozornie zadowolony, jednak po tym spotkaniu Kris czuł niesmak w ustach. Teraz żałował, że w jednej z wcześniejszych rozmów zdradził się przed krewnym ze swego przekonania, iż między Talia i Dirkiem zadzierzgnęła się nierozzerwalna więź życiowa. Wuj rzucił się na tę wiadomość jak polujący na mysz jastrząb. Jednocześnie Kris, czując budzące się w nim podejrzenia, nie miał ochoty stawać przed Talia, bo ani chybi wydobyłaby to z niego. I choć nie powiedziałyby: „A nie mówiłam?”, to jednak jej półprzymknięte powieki, drgnienie kącika ust byłyby dosadne aż nadto, a on nie był w nastroju, by móc się z tym zmagać.

Nie mówiąc o tym, że to właśnie Talia mogła wszczepić mu ten obłąd. A więc, nie mogąc zdobyć pewności, unikał spotkania z nią.

Dirk siedział okrakiem na starym, wytartym krześle w swojej komnacie, uparczywie wpatrując się w ciemność za oknem. Zmierzch dopiero zapadał, lecz na dworze było ciemno, jakby wybiła północ. Miał poczucie, że jego ciało jest rozrywane na kawałeczki.

Nie mógł się zdecydować, co właściwie chce robić. Część jego osoby pragnęła walczyć o Talię na wszelkie sposoby — godziwe lub nie; część podszeptowała, że powinien zaniechać własnego szczęścia i ustąpić Krisowi pola. Lękał się dowiedzieć, co myśli o tym wszystkim Talia, to znów korciła go myśl, by raz na zawsze stronić od kobiet — wystarczy wspomnieć, jak bardzo skrzywdziła go ta ostatnia.

Ostatnia kobieta. Lady Naril — o, bogowie!

Wpatrywał się w przebłyśki ponurego światła w samym środku spiętrzonych nad drzewami chmur.

To było tak dawno temu. . . Lecz nie dość dawno!

O bogowie, jakimże ja byłem głupcem!

Wraz z Krisem zostali wyznaczeni do pracy w kolegium, by uczyć swych specjalności: dalekowidzenia oraz sprowadzania. Stawiał wówczas swoje pierwsze kroki na dworze w randze pasowanego herolda.

Byłem głupią owieczką idącą w paszczę wilka, pomyślał.

Nie dlatego, że nie wdawał się we flirty. Zawsze grał drugie, po Krisie, skrzypce — doprawdy nie uważając się przez to za pokrzywdzonego; tym niemniej poczuł się nieco nieswojo. Kris urodził się w kręgach zbliżonych do dworu i dlatego śmiało wkroczył w jego progi, jednak Dirk błąkał się tylko po jego obrzeżach.

I wtedy zaczęła go Naril.

Myślałem, że jest czysta, niewinna; wydawała mi się zagubiona i poszukująca przyjaźni na ogromnym dworze — taka młoda i piękna.

Skąd mógł wiedzieć, że w ciągu swego krótkiego żywota — liczącego zaledwie szesnaście lat — zniewoliła więcej mężczyzn niż cierni na różanym krzewie? Czy mógł się domyślić, że ma odegrać rolę narzędzia, przy pomocy którego chciała usidlić Krisa?

O Bogowie, z miłości do niej postradałem połowę rozsądku. — Głęboko zamysłony wlepiął oczy we własne odbicie w oknie. — Widziałem tylko to, co chciałem zobaczyć. — To pewne. Postradałem resztki oleju, jaki mi jeszcze w głowie pozostał.

Jednak miał go przynajmniej na tyle, że — kiedy poprosiła go, by skłonił swego przyjaciela do spotkania się z nią na osobności — ukrył się w miejscu, skąd mógł słyszeć jej słowa.

Wybrała sztuczną grootę w ustronnym zakątku ogrodu, jednak obrośnięte z obu stron krzewami wejście aż nadto dobrze nadawało się na kryjówkę.

Dirk badał bolesne wspomnienia jak rwący ząb, czerpiąc z tego chorobliwą przyjemność.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, gdym usłyszał, jak stawia Krisowi ultimatum, by umiłał jej czas spędzany w łożu, póki się jej nie sprzykrzy, w przeciwnym bowiem razie zamieni me życie w piekło.

Naszedł ich niespodziewanie — oszałały z wściekłości i bólu — z żądaniem, by wyraziła jasno, co ma na myśli.

Kris wymknął się dyskretnie, a Narił zwróciła na niego spojrzenie kipiących nienawiścią, ogromnych fioletowych oczu. Gdy zamilkła, chciał się zabić.

Ponownie przyjrzał się swojemu odbiciu.

Nie myliła się w niczym, co powiedziała... — skwitował smutno. — Czy jakakolwiek rozsądna kobieta mogłaby mnie chcieć? Zwłaszcza mając Krisa na podorędziu...

Upłynęło sporo czasu, zanim minęła mu ochota, by własnoręcznie skrócić swój żywot, a jeszcze dłużej trwało, nim życie odzyskało dla niego urok i przestało nieznośnie ciążyć brzemieniem, pod którym nie wolno ulec.

A teraz — czy historia miała się powtórzyć?

Ze wszystkich sił starał się jakoś z tym uporać. Utknął na dobre w kolegium i widywał Talię przynajmniej raz na dzień, a to nie ułatwiało zadania. Sytuacja była komiczna, lecz kiedy próbował zbyć wszystko śmiechem, brzmiał on dziwacznie i pusto, nawet w jego własnych uszach. Poświęcił się swojej pracy, jednak kątem oka wciąż szukał jej wokoło siebie i nie mógł się temu oprzeć. Wiedział, że nie powinien tego robić, a jednak przekora zmuszała go do tego, i odczuwał przewrotną przyjemność. Patrząc na nią, czuł udrękę; lecz bardziej jeszcze, gdy tego nie robił.

O bogowie, bogowie — co ja teraz pocznę?

Ale i te rozważania nie przyniosły mu odpowiedzi.

Minęły trzy tygodnie i pogoda poprawiła się nieco. Talia poczuła ulgę, wydarzenia przestały mieć tak burzliwy przebieg, przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę nastroje na dworze i w kolegium.

Nastał wieczór na tyle ciepły, że można było pootwierać okna. Świeże, orzeźwiający powietrze przepędziło stęchły zaduch, który panował w komnatach. Talia twardo spała, gdy ciszę spokojnej nocy rozdarło bicie Dzwonu Śmierci.

Dźwięk wyrwał Talię z potwornego snu pełnego płomieni, strachu i śmierci. Koszmar pochwycił ją w swe szpony tak mocno, że otwierając oczy, spodziewała się ujrzeć sypialnię w ogniu. Przycisnęła koce do piersi i powoli uzmysławiała sobie, że powietrze, które wciąga głęboko w płuca, jest chłodne i przesiąknięte zapachem nocnej mgiełki, a nie duszącym dymem. Straciła kilka chwil, zanim wygnała z głowy resztki snu i mogła jasno myśleć. Wtedy zrozumiała, że bicie Dzwonu Śmierci oraz jej sny związane są z tą samą przyczyną.

Ogień.

Paznokcie wbiły się w jej dłonie, gdy kurczowo zacisnęła pięści. Jeśli to był ogień, to tylko jeden herold mógł mieć z nim związek — Gryffon! Miłościwi bogowie — oby nie Gryffon, nie jej przyjaciel!

Lecz gdy tak leżała, wpatrzona nie widzącymi oczami w ciemność, zmuszając umysł do spokoju, uzmysłowiła sobie ponad wszelką wątpliwość, że to nie był

Gryffon. W jej wyczulonym umyśle zaczęła wyłaniać się twarz o rok młodszej od niej Christy, która, jak sobie przypomniała, należała do uczennic Dirka w klasie sprowadzania.

I pod pewnymi względami było to tym większe nieszczęście, bo Christa nie zdążyła nawet ukończyć swego pierwszego czeladniczego patrolu.

Kiedy spróbowano złożyć w całość „odczytane” przez poszczególnych heroldów przesłanie bijącego Dzwonu Śmierci, powstało takie zamieszanie, jakby nie dowiedziano się nic a nic. Wiadomo było tylko, że Christa nie żyje, a jej mentor, pogodna i zmysłowa Destria, została ciężko ranna, i wszystko to wiązało się z najeźdźcami i wielkim ogniem.

Więści od heroldów stacjonujących w Świątyni Uzdrawiania, do której odniesiono Destrię, były niemal tak samo zdawkowe. Ich dary myślmowy nie były tak potężne jak Kyrila albo Sherrill, jednak dali jasno do zrozumienia, że Destrii potrzebna jest lepsza opieka, niż oni mogli zapewnić, oraz że trzeba jej pomóc w szczególny sposób; odsyłali Destrię do Kolegium Uzdrawicieli w pałacu, a wraz z nią wyjaśnienia.

Nim minął dzień, pojawili się: herold, który nie odniósł żadnych ran, Destria — politowania godne biedactwo na noszach, niesionych przez Sofi i drugiego Towarzysza — a na końcu umęczony, posiniaczony gospodarz w osmolonym odzieniu. Podróżowali dzień i noc, ledwie przystając na odpoczynek, by dotrzeć jak najszybciej do kolegium.

Selenay natychmiast wezwała posłów na radę i nieszczęśnik stanął przed ich obliczem. Opadł znużony na przygotowane dla niego krzesło. Oczy zapadły mu się głęboko, a we włosach miał tyle popiołu, że trudno było stwierdzić, w jakim są kolorze. Widać było, iż wyruszył w podróż, nie straciwszy nawet marki na świecy, i nie myśląc o własnej wygodzie. Jego opowieść o dobrze uzbrojonych i dowodzonych najeźdźcach, o masakrze, któraomalże nie spotkała mieszkańców osady, wszystkim zmroziła krew w żyłach.

Usadowili go wygodnie, bo, znużony, nie ustałby przed nimi zbyt długo, a on usiadł za stołem rady jak złowieszczy omen zguby. Miał obie ręce opatrzone aż po łokcie, a jego odzienie było przesiąknięte dymem, którego swąd owionął nawet posłów, dobitnie podkreślając słowa posłańca.

— To była rzeź — powiedział, głosem ochrypłym od dymu. — A my daliśmy się na nią zaprowadzić potulnie jak owce. Aż do tej wiosny bryganci przysparzali nam zmartwień co nie miara, co rusz kąsając niewielkimi sforami, tak żeśmy zaczęli ich wypatrywać jak wiosennych zalewów. Aż tu nagle, kiedy tej zimy ślad po nich zaginął — o bogowie! — myślałby kto, że starczy nam oleju w głowie i domyślimy się, że szykują się do czegoś. Ale tak się nie stało, ot, pomyśleliśmy, że odeszli szukając tłustszych kęsków. Och, głupcy, głupcy, a do tego ślepi!

Pochylił twarz i przez chwilę ukrywał ją w dłoniach. Kiedy ponownie uniósł głowę, po policzkach płynęły mu łzy, które tryskały mu z poczerwieniałych oczu.

— Złączyli się w grupę, rozumiecie, jeden z wilków okazał się w końcu najmocniejszy i stworzył jedną sforę. Byliśmy dumni, że nasza osada znajduje się w dolinie nie do zdobycia. Za plecami i z boków mieliśmy nagą skałę, do środka prowadził wąski przesmyk. Ani głodem, ani pragnieniem nie można było nas wykurzyć: mieliśmy własne studnie, obfite zapasy żywności. Ha, udało im się znaleźć na to sposób. Garść z nich zabiła naszych strażników, wytruła psy, które pilnowały szczytów, a potem w nocy zasypała wioskę deszczem płonących strzał. Budowaliśmy z drzewa i słomy, więc chaty zajęły się jak pochodnie. Pozostali zaczęli się u wylotu przesmyku i wybili tych z nas, którzy aż tam dotarli. Czy widzieliście kiedykolwiek zające uciekające przed pożarem traw? To my byliśmy nimi, a oni stadem głodnych wilków czekających, aż wieczerza sama wpadnie im w paszczę. Strzelali do ludzi, których znałem przez całe życie, do dzieci, które ledwo utrzymałyby nóż w dłoni; nawet do siwobrodych i babć. Do każdego, kto mógłby chwycić za jaki oręż. Strzelali w nogi, żeby okaleczyć, a nie zabić — martwe usta nie zdradzą, gdzie kryją się ich drobne skarby, rozumiecie. Możliwe, że połowa okaleczonych nigdy nie stanie na własnych nogach. Czwarta część wykrwawiła się na śmierć tam, gdzie legli, a czwarta część dzieci spłonęła żywcem w podpalonych chatach.

Stłumiony pomruk przerażenia obiegł stół dookoła. Lady Kester ukryła twarz w dłoniach.

Mówcę oświetlił promień przedwieczornego słońca, które wlało się przez wysokie okno, oblekając go w czyste złoto; w tym świetle jego oczy jeszcze bardziej upodobniły się do wypalonych jam.

— Wasi heroldowie nie byli daleko. Nocowali w Stanicy, tak myślę. Jak dowiedzieli się o naszym nieszczęściu, nigdy się tego nie dowiem — na pewno dzięki tej waszej magii. Spadli na plecy najeźdźców, a zdały się błogosławioną armią. Dwa białe konie — Towarzysze — do kroćset, same zastąpiłyby armię. Rozbiły zasadzkę przy wylocie z przesmyku i napastnicy rozpierzchli się po lesie. Wtedy starsza z nich objęła nad nami dowództwo, z jej pomocą oczyściliśmy szczyty ze strzelców; młodsza, słysząc krzyki, zajęła się płonącymi chatami, ratując kogo się dało. Starsza nie spostrzegła nawet, że jej nie ma, aż...

Przełknął głośno. Trzęsły mu się ręce.

— Usłyszałem krzyk, głośniejszy od innych. Starsza szarpnęła się jakby trafiona strzałą. Krzyknęła, byśmy skoczyli na rabusiów, zanim przemogą swój lęk, a potem sama skoczyła w ogień. Młodsza znalazła się w pułapce na piętrze jednego z naszych domów. Ja następowałem starszej na pięty, lecz nie mogłem dostrzec tamtej, mając przed oczami ogień. Spokojnie rzucała dziatwę w objęcia ich rodziców. Tak mi się przynajmniej zdaje, że je rzucała, bo w jednej chwili trzymała dziecko w swych dłoniach, a w drugiej miała je w swych objęciach matka

lub ojciec. Starsza podbiegła bliżej i rozkazała jej skakać. Właśnie kiwnęła głową i odwróciła się raz jeszcze, wtedy rozstały się pod nią krokwie. Ten jej koń przebił się przez ścianę i poszedł za nią; drugi herold o pół kroku za nim. Ledwie przekroczyła próg, a cały dach się załamał. Wydostaliśmy ją, ale tamta...

Jeden z paziów Selenay przyniósł mu wina, które przyjął z wdzięcznością i wypił. Jego zęby zadzwoniły o brzeg pucharu.

— Oto, co się wydarzyło. Co do nas, to pobiliśmy ich, jednak ledwie garść ich wpadła nam w ręce, w porównaniu z ich gromadą. Wróca, jesteście tego pewni. Zwłaszcza, iż na pewno wiedzą, że heroldowie odeszli. Utraciliśmy połowę osady, większość mogących udźwignąć broń. Oprócz mnie nie było chyba nikogo, kto mógłby dotrzeć tutaj wierzchem. Potrzebujemy pomocy, Wasza Wysokość, panowie... bardzo jej potrzebujemy...

— Otrzymacie ją — oświadczyła Selenay, powstając ze swojego miejsca. Od gniewu ściemniały jej oczy. — Nie pierwszy to najazd tych bękartów, o którym słyszymy, lecz jak dotąd najgorszy. Oczywiście, wy nie podołacie rabusiom tak dobrze zorganizowanym jak ci. Pozwolisz, lordzie wojny? Wyszukujemy jedną kompanię gwardii. — Spojrzała pytająco na pozostałych posłów.

W imieniu wszystkich przemówiła lady Cathan:

— Co tylko jest potrzebne, Wasza Wysokość. Ty i lord wojny najlepiej wiesz, co trzeba zrobić. Pozostali poprą wszelkie przedsięwzięcia.

Talia kiwnęła głową wraz z pozostałymi członkami rady. Selenay powiedziała prawdę: przez ostatnie miesiące napływały wieści, że rabusie łączą się w grupy na Jastrzębich Kresach. Dotąd zdarzały się odosobnione napady, jednak bryganci nigdy nie ośmielili się zamierzyć mieczem na sporą wieś. To oczywiście przerastało możliwości lokalnej samoobrony. Rada była co do tego zgodna jak jeden mąż.

Talia dyskretnie opuściła zgromadzonych, wiedząc, że w tej chwili nie jest najbardziej potrzebna Selenay, ale komuś innemu. Szarpnięcie jej zmysłami było niedwuznaczne i łatwe do rozpoznania. Uchyliła drzwi komnaty tylko na tyle, by się przez powstałą szczelinę przecisnąć, a znalazłszy się w chłodnym i mrocznym korytarzu, puściła się biegiem.

Przebiegła przez stary pałac i podwójne drzwi do Kolegium Heroldów, wzdłuż głównej sieni — wprost do bocznych drzwi prowadzących do uzdrowicieli. Zew umierającej duszy był tak wyraźny, jakby to był krzyk wniebogłosy. Omalże nie zderzyła się z Devanem, który właśnie wychodził, by ją odszukać.

— Powinienem się być domyślić. — Odetchnął z ulgą, zakasując swą zieloną szatę, by móc dotrzymać Talii kroku. — Talio, ona nas odtrąca! Nie potrafimy przełamać jej osłon nawet dla uśmierzenia bólu. Obarcza siebie winą za śmierć Christy i teraz chce jedynie umrzeć. Rynee nie jest w stanie jej pomóc.

— Tak właśnie myślałam. O Panie, o Pani, poczucie winy jest tak wielkie, że mogą prawie je zobaczyć. Ha, spróbujmy, co można na to poradzić.

Destrię udało się poddać pewnym zabiegom uzdrawiającym jeszcze na polu bitwy, kiedy była nieprzytomna, dzięki czemu można ją było bezpiecznie przesłać. Mimo wszystko przedstawiała okropny widok, leżąc na specjalnym posłaniu w komnacie przeznaczonej dla poparzonych. Nie było tu żadnych sprzętów, tylko nagie kamienne ściany. Kiedy była opustoszała, szorowano ją, nie zostawiając najmniejszej plamki.

Nie pozwalano, by choć pyłek kurzu się tutaj zadomowił, jedyne okno było uszczelnione, by wiatr nic nie wdmuchnął do wewnątrz. Wyniesione stąd niepotrzebne przedmioty zanurzano we wrzątku.

Tylko dzięki staraniom polowych uzdrowicieli Destria jeszcze żyła. Vostel, który naraził swe kruche ciało na wybuch gniewu żarptaka, był ostatnią tak poparzoną osobą, jaką widziała Talia. Miejsc, gdzie oparzenia były lżejsze — choć ciało było czerwone, nabrzmiałe i pokryte bąblami — nie owinięto bandażami. Jednak ramiona Destrii i jej dłonie ginęły pod okładami z ziół i najdelikatniejszych, wyprawionych skór zajęcy i cieląt. Talia wiedziała, że owe opatrunki chronią żywe ciało. Ułożono Destrię na legowisku ze skór jagnięcych garbowanych razem z wełną, bo miękkie włókna mniej drażniły poparzone ciało oraz łagodziły ucisk. Talia uklękła u wezłowia legowiska i przyłożyła swe dłonie do czoła Destrii. Jedyne twarz herolda była niemal nietknięta. Kiedy sięgnęła do niej swym darem, zmysły Talii odebrały nawałnicę bólu, delirium i poczucia winy. Zrozumiała, że niewątpliwie będą to najcięższe zmagania, jakie dotąd przyszło jej stoczyć.

Talię osaczyły przepojone rozpaczą ciemności, przecinane czerwonymi błyskawicami bólu, który dręczył ciało i ducha. Wiedziała, że przede wszystkim musi znaleźć powód tak dojmującego poczucia winy, a później dotrzeć tam, skąd bierze ono swój początek.

To nie było takie trudne, ot, odrobinę szerzej uchyliła osłony swych zmysłów i pozwoliła pociągnąć się do miejsca, które było siedliskiem dręczących uczuć.

Destria przedła ze swej udreki coraz ciaśniejszy kokon. Talia wyciągnęła zmysłową, jarzącą się miękką poświatą „dłoń”, i tak długo rozplatała kokon, póki nie stanęła przed nią skulona Destria.

Talia nie zważała na ponawiane przez Destrię próby ucieczki; wezwała ją do otwartej, szczerzej rozmowy. Pozwoliła Destrii odczytać siebie, podczas gdy sama uzdrawiała okaleczone zmysły herolda.

„Zawiodłam — to przebijało najmocniej. — Zaufano mi, a ja zawiodłam”. Lecz to nie wszystko — coś ukrytego głębiej spowodowało, iż wina tak długo karmiła się sama sobą, aż Destria poczuła odrazę do własnej osoby. I to udało się Talii odnaleźć — głęboko ukryte, jęczące. „Zawiodłam, bo pragnęłam czegoś dla siebie; zawiodłam przez własny egoizm. Nie zasługuję na ponowne przywdzianie Bieli. Zasłużyłam na śmierć”.

Talia była z czymś takim obeznana aż nadto, lecz Rynee nie pojęłaby tego nigdy. Uzdrowiciele mocno wierzyli, że odrobina uczciwego egoizmu nikomu nie szkodzi, bo pozwala zachować równowagę umysłu i zdrowie. Heroldowie, jednakowoż... no cóż, heroldowie powinni być tego całkowicie wyzbyci — w każdej chwili gotowi poświęcić się dla dobra służby. Takie mniemanie nie było oczywiście rozsądne — heroldowie byli jedynie ludźmi — jednak tak się złożyło, iż kiedyś w to uwierzyli, i odtąd, gdy zdarzało się coś złego z powodu tej niedoskonałości, skłonni byli pochopnie oskarżać wpierw siebie. Talia musiała zatem udowodnić teraz Destrii, że nie ma żadnej sprzeczności w tym, iż jest się heroldem i zarazem człowiekiem — nie byle jakie zadanie, bo gnębiące Destrię poczucie winy było kuzynem prześladowających ją samą wątpliwości.

Ileż to razy strofowała siebie za to, że — gdy udęczona troską o innych przed przystąpieniem do działania — marzyła o wykrojeniu w swym życiu choćby kącika, który mogłaby nazwać własnym w chwilach, kiedy nie musiałaby być heroldem? Ileż to razy marzyła o szczęśliwym losie, który zezwoliłby jej spędzić wypełnioną lenistwem chwilę w prywatnym zaciszu — i potem czuła się winna?

Czyż Talia nie winiła siebie za to, że jej dar empatii wpływa na innych ludzi, mimo że odbywa się to bez udziału jej świadomości? Ileż to razy w gniewie miała ochotę własnoręcznie udusić kogoś, a potem złościła się na samą siebie za słabość do takich uniesień?

O tak, doskonale rozumiała odrazę, z jaką Destria odnosiła się do samej siebie.

Rynee i pozostali uzdrowiciele przyglądali się temu ze śmiertelną powagą, czując, jakie zmagania przyszło stoczyć Talii, choć — jeśli nie liczyć kropelek potu, które wystąpiły na jej czoło — nic nie świadczyło o sile starcia. Nikt nie zmienił ani o piędź przyjętej na początku pozycji. I choć cienie wydłużały się niezauważalnie — w miarę, jak z wolna blakło wpadające oknem światło — nie było widomej wskazówki sukcesu czy porażki.

Gdy ubyłó pół marki na świecy, Rynee szepnęła do Devana:

— Myślę, że coś z tego będzie. Destria odrzuciła mnie po kilku chwilach i nie dopuściła do siebie ponownie.

Po upływie pełnej marki na świecy Talia westchnęła i ostrożnie odsunęła się od rannego herolda. Osunęła się wyczerpana, ręce opadły jej bezwładnie na uda.

— Śmiało, udało mi się ją namówić. Nie będzie się wam w tej chwili opierać.

Kiedy to mówiła, czekający uzdrowiciele otoczyli ze wszystkich stron Destrię jak pszczoły robotnice zranioną królową. Rynee, której dar pozwalał uzdrawiać raczej umysł niż ciało, pomogła Talii podnieść się na nogi.

— Dlaczego ja nie mogłam przedrzeć się do niej? — zapytała żałośnie.

— To proste: ja jestem heroldem, a ty nie — powiedziała Talia, prześlizgując się obok uzdrowicieli do sieni. — Zachowała się wobec ciebie tak, jak ty byś to

zrobiła wobec kogoś, kto nie będąc uzdrowicielem, przekonywałby cię, iż pchnięciem sztyletem w podbrzusze nie należy się nadmiernie przejmować. O bogowie, ależ jestem zmęczona! Na dodatek jutro będę musiała to powtórzyć, inaczej znów będzie ci się opierać. A potem, gdy już uda mi się przekonać ją, że nie powinna tego robić, przyjdzie czas na wbicie jej do głowy przeświadczenia, iż obcy nie będą się odwracać od niej ze wstrętem, kiedy ją stąd wypuszczicie, a blizny nie są karą za odrobinę lubieżności.

— Tego się obawiałam. — Rynee zagryzła wargę. — Bo będzie pokryta bliznami, jeszcze nie mogę powiedzieć jak bardzo, lecz nie da się temu zaradzić. Twarz ma nietkniętą, lecz reszta ciała... pewne jego miejsca piękne nie będą. Słyszałam tylko o jednej osobie, tak bardzo poparzonej jak ona...

Pomimo znużenia oczy Talii zabłyśły, kiedy dotarła do niej myśl, ukryta pod zmarszczoną brwią Rynee.

— Nuże, pani, posiadasz taki sam dar co ja. Wpadło ci coś do głowy, z czego najpewniej będzie pożytek. — Zatrzymała się w sieni i oparła o wyłożoną drewnem ścianę.

Rynee potarła palcem grzbiet nosa.

— Vostel. Co on teraz porabia? Czy nie można by go odkomenderować tutaj na jakiś czas? — zapytała w końcu, a w jej zachmurzonych, szarych oczach błysnęła nadzieja.

— Jest kurierem w Świątyni Jesiennych Kwiatów, a każdego kuriera można w każdej chwili odkomenderować. O czym myślisz?

— O tym, że byłby dla niej najlepszym „lekarstwem”, bo spotkało go to samo. Zznał bólu, wie, kiedy przemija; wie, jak to boli, jeśli chce się zmusić ponownie do całkowitego posłuszeństwa swe ciało. I jest heroldem, więc ona mu uwierzy. Nie mówiąc już o tym, że pomimo blizn wciąż wygląda lepiej od przeciętnego mężczyzny. A na dodatek nie wierzy, że los wymierza surowe kary za skłonności do szukania odrobiny rozkoszy, która nikomu nie szkodzi.

Talia mimowolnie zachichotała.

— O, doskonale! Gdy postawimy go przy jej boku, zacznie ją przekonywać, dodawać otuchy, i załatwi za nas połowę roboty! Nie mylisz się co do jego przekonań. Musiałam jedynie utwierdzać w nim wiarę, iż ból na pewno przemienie, oraz zapewniać, że nie był skamlącym tchórzem, dlatego że chwilami pragnął się poddać. Jestem pewna: odkryją w sobie pokrewną duszę, gdy tylko Destria wróci nieco do siebie i odzyska odrobinę swego dawnego apetytu. Zobaczę się z Kyrilem i sprowadzę Vostela tak szybko, jak tylko uda nam się znaleźć dla niego zastępcę. Stanie tutaj, gdy zacznie jej być potrzebny.

Talia odsunęła się od ściany i zachwiała na lekko dygoczących kolanach. Przeszły zaledwie kilka kroków sienią, a już groziło jej, że weźmie nad nią górę zmęczenie. Rynee podprowadziła ją do miękko wyściełanej i na pierwszy rzut oka wygodnej ławy, jednej z wielu ustawionych co kilka kroków pod ścianami. Uzdro-

wiciele chętnie zbierali wygodne rupiecie, gdzie tylko mogli.

— A ty... ty rozgość się tutaj i utnij sobie drzemkę. Obudzę cię, bo jeśli nie pozwolisz sobie na chwilę wytchnienia na nic nam się nie przydasz. Nieobca jest ci zapewne maksyma: „Nigdy nie spieraj się z uzdrowicielem...”

— Nigdy tego nie robię!

— Zważaj, by zawsze tak było.

Jakiś tydzień później przygnębiona Talia wracała z komnaty audiencji do swych izb na wieży, by przebrać się na lekcję fechtunku. Audiencje już dawno przestały być nudne, lecz nie mógł to być powód do zadowolenia. Coraz częściej ci, którzy starali się stanąć przed obliczem królowej, przybywali z Jastrzębich Kresów, by zgłosić grabieże, których — co było widać coraz wyraźniej — dokonywała niewielka armia rabusiów. Dzikość i górzystość tej krainy pozwoliła im skupić się, nie ściągnawszy na siebie niczyjej uwagi; i w tej dzikiej krainie znikali jak kamień w wodę, zanim gwardziści mogli ich przygwoździć.

Dla Orthallena istnienie rabusiów stało się poręcznym narzędziem politycznym. — Talia zaś pogardzała tego rodzaju taktyką, zważywszy na cierpienia, jakie zadawali, nie mówiąc już o tym, że łupili częściowo ziemie, które podlegały jego jurysdykcji.

Miała właśnie za sobą jedną z takich audiencji.

W pole wyruszyło już sześciu heroldów — pomagali kompanii gwardzistów wysłanej przez Selenay. Heroldowie organizowali prosty lud do obrony, bo gwardia nie mogła być wszędzie naraz. Jeden z owych heroldów, Patris, przysłał posłańca, który właśnie przybył.

Wydaje się, iż zawsze wiedzą dokładnie, gdzie obracają się gwardziści — napisał Patris. — Uderzają i uciekają, zanim zdążymy cokolwiek przedsięwziąć. Znają tutejsze kamienne wzgórza, podziurawione jaskiniami jak plaster miodu, lepiej niż przypuszczaliśmy. Podejrzewam, że pokonują spore odległości marszem pod ziemią, co niewątpliwie wyjaśniałoby zagadkę, w jaki sposób niepostrzeżenie przenoszą się z miejsca na miejsce. W tej chwili nie jesteśmy w stanie ocalić stad i zbiorów. Wasza Wysokość, muszę być z wami szczery, możemy ocalić jedynie życie tych ludzi. Zmuszony jestem obwieścić ci coś znacznie gorszego: ograbiwszy lud ze wszystkiego do cna, ci bękarci zaczęli uprowadzać jedyne, co im jeszcze zostało — ich dzieci.

— Miłościwa bogini! — wykrzyknęła lady Wyrist.

— Ja się tym zajmę, Wasza Wysokość — posępnie odezwała się lady Cathan.

— Nie uda im się przemyć dzieci pod bokiem mojego bractwa, zwłaszcza po tym skandalu z niewolnikami. Za Waszym pozwoleniem?

Selenay skinęła z roztargnieniem głową i lady Cathan wybiegła z komnaty w wirującym obłoku barwnych brokatów.

— Wasza Wysokość — zabrał głos Orthallen. — Jest tak, jak mówiłem. Potrzebna jest nam większa armia stała, należy przekazać więcej władzy w lokalne ręce. Jeśliby oddano mi w dowodzenie dwie lub trzy kompanie, to nigdy nie doszłoby do takiej katastrofy!

Jego słowa ponownie dały początek namiętnej debacie. Sprawa nadania lokalnym ośrodkom większej władzy i zwiększenia liczebności gwardii podzieliła radę na dwa mniej więcej równe obozy. Orthallena poparli lord Gartheser, lady Wyryst, bard Hyron, ojciec Aldon i seneszal. Selenay, która nie chciała powiększać armii, ponieważ to oznaczałoby zwiększenie kwot zaciągu i być może brankę, wołała, by władza pozostawała jak dotychczas w rękach rady i nalegała na opłacenie zawodowych wojowników — najemników dla uzupełnienia istniejących oddziałów. Popierali ją: Talia, Kyril, Elcarth, uzdrowicielka Myrim i lord wojny. Lady Kester, lord Gildas i lady Cathan byli niezdecydowani. Niezbyt podobał im się pomysł sprowadzenia obcych wojowników, ale i nie odnosili się życzliwie do tego, by odciągać ludzi od ich ziemi i rzemiosł.

Talia głowiła się nad tak zawiłą sytuacją, gdy do jej czujnych uszu dobiegł zduszony szloch. Bez wahania odsłoniła swe zmysły i bez zwłoki wyruszyła dowiedzieć się, co złego się wydarzyło.

Słuch zaprowadził ją do rzadko odwiedzanego przez kogokolwiek korytarza w pobliżu królewskiej biblioteki, w ścianach którego było mnóstwo nisz, gotowych na przyjęcie posągów lub stojaków z pełnymi zbrojami, jednak w przeważającej mierze pustych i zasłoniętych aksamitnymi kotarami. Było to ulubione miejsce schadzek flirtujących par podczas wielkich biesiad.

Bez trudu odnalazła źródło szlochów, dobiegających spoza kotary — cichy odgłos pociągania nosem był dla niej wskazówką, która z trzech sąsiadujących nisz jest tą właściwą.

Bezszelестnie odsłoniła ciężką, aksamitną kotarę. Na poduszce ściągniętej z krzesła w komnacie przyjąć kuliło się dziecko.

Był to chłopiec mniej więcej siedmio-, ośmioletni. Miał opuchnięte od płaczu oczy, poplamioną twarzyczkę tam, gdzie ocierał łzy zabrudzonymi palcami, za to — sądząc z jego wyglądu — ani jednego przyjaciela na świecie. Pomyślała, że kiedy nie płacze, musi być bardzo ładnym dzieckiem — ciemnowłosym, ciemnonookim aniołkiem. Jasnoniebieski, obszyty granatowym kolorem mundur pazia Selenay pasował do jego jasnej karnacji. Kiedy kotara poruszyła się, uniósł przepełnioną żalnością i bólem twarzyczkę; w panującym w korytarzu półmroku rozszerzyły się jego źrenice.

— Czołem — przywitała się Talia, przysiadając na piętach, by znaleźć się na tej samej wysokości. — Wyglądasz tak, że chyba przydałby ci się przyjaciel. Tęsknisz do domu?

Ogromna łza spłynęła leniwie w dół jego policzka, gdy kiwnął głową. Był bardzo młody jak na pазia Selenay. Talia zastanawiała się, czy nie jest przybranym dzieckiem.

— To tak jak ja, kiedy się tutaj znalazłam, nie było ani jednej dziewczynki w moim wieku — sami chłopcy. Skąd jesteś?

— Jastrzębie Kresy. — Przełknął głośno. Pod wpływem jej współczucia wyraźnie szukał teraz ramienia, na którym mógłby się wypłakać, jednak nie śmiał rzucać się na obcą osobę.

— Możemy usiąść razem na tej podusze? — zapytała, rozwiązując dylemat za niego. Kiedy odsunął się, robiąc jej miejsce, usiadła obejmując go na pocieszenie ramieniem i starając się otoczyć łagodną aurą współczucia. Zniknęły wszelkie zahamowania, płakał, wtulając się w jej aksamitny kubrak, a ona kojąco gładziła go po włosach. Nawet jej dar okazał się niepotrzebny. Uspokajając go, grzebała w pamięci, starając się przypomnieć sobie, kim mógłby być.

— Czy to nie ty jesteś Robin? — zapytała w końcu, kiedy strumień łez przestał już być tak rześysty. Jego nieśmiałe potwierdzenie upewniło ją o słuszności domysłu. Rodzice Robina, dzierżawcy ziem lorda Orthallena, nakłonili go, by wziął ich jedyne dziecko do najbezpieczniejszej przystani, jaką znali — na dwór. Było to zrozumiałe, nawet godne pochwały, jednak biedny Robin nie rozumiał ich racji, wiedział tyle, iż po raz pierwszy w swym młodym życiu został sam.

— Z nikim się jeszcze nie zaprzyjaźniłeś?

Robin potrząsnął głową i kurczowo wpił się w jej rękaw, unosząc oczy do góry, by uważnie wpatrzeć się w twarz Talii. Kiedy znalazł tam jedynie współczucie i zachętę, odważył się wyjaśnić.

— Oni... oni są więksi i starsi, wszyscy. Nazywają mnie zawałidrogą i śmieją się ze mnie... i ja nie lubię ich zabaw. Nie... nie umiem biegać tak szybko jak oni, nie mogę ich dogonić.

— Och? — Zamyślona zmrużyła nieco oczy, próbując sobie przypomnieć przy jakich zabawach widywała paziów, którzy jak powszednia rzecz wtapiali się w tło i stawali się niemal niezauważalni. W końcu przyszło jej to do głowy.

— Nie lubisz bawić się w wojnę i warownie? — To było zrozumiałe, zważywszy, że jego rodzice mogli utracić życie w utarczkach z rabusiami.

Drżący płomycek lampki oliwnej zawieszanej naprzeciw niszy, którą zajęli, wydobył z ciemności smutne, zagubione oczy.

— Nie... nie umiem się bić. Tato mówił, że jeszcze nie dorosłem do nauki. A oni tylko tak by się bawili, a ja wolę cz...cz...czytać, ale wszystkie moje książki zostały w d... d... domu.

I o ile znała seneszala, surowo zabronił paziom wchodzenia do pałacowej biblioteki. Nie dziwota, skoro większość z nich zwykło się widywać, jak strzelają księgami w charakterze pocisków z katapult, którymi były biblioteczne sprzęty. Ucisnęła jego szczuplutkie ramiona i szybko podjęła decyzję.

— Wolałbyś czytać i uczyć się w Kolegium Heroldów, a nie razem z paziami? — Selenay poleciła uczyć wszystkich swych paziów, lecz większość z nich odnosiła się do tego jak do zarazy, którą należy przetrwać, lub nieznośnego nudziarstwa, którego należy unikać.

Kiwnął głową, ze zdziwienia szeroko otwierając oczy.

— Hm, mój mistrz Alberich będzie musiał na mnie odrobinę poczekać, a my pójdziemy zobaczyć się z dziekanem Elcarthem. — Wstała i wyciągnęła dłoń. Robin wygramolił się i mocno ją uchwycił.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w kolegiach uczyło się dużo dzieci, choć tylko kilkoro miało tak niewiele lat jak ten chłopiec. Byli wolnymi słuchaczami — Błękitnymi — którzy, nie należąc do żadnego kolegium, przychodzili na lekcje wraz z uczniami na bardów, uzdrowicieli i heroldów. I oni posiadali uniformy w kolorze bladoniebieskim, które niewiele różniły się od liberii pazia. Wielu z nich było szlachetnie urodzonymi, rozpieszczonymi bachorami, jednak innym nie brakowało dobrych chęci — ci uczyli się na budowniczych, architektów lub szkolarzy różnorodnych dyscyplin. Ci ostatni z radością powitają w swych szeregach Robina i pewnie zostanie on ich maskotką. Talia wiedziała, że bez kłopotu uzgodni z Selenay, by ten maluch spędzał w kolegium większość wolnego od obowiązków czasu, a w jego wieku „obowiązki służbowe” zajmowały mu najpewniej nie więcej jak godzinę lub dwie dziennie. Była przekonana, iż Elcarth też da się przekonać.

Nie pomyliła się. Kiedy wprowadziła chłopczyka do ciasnej, zawalonej stertami ksiąg kancelarii Elcartha, wydawało się, że dziekan z miejsca polubił małego przybysza. Tak jak Robin jego, bez dwóch zdań. Zostawiła chłopca sam na sam z siwowłosym heroldem, objaśniającym wybrane zajęcia ufnie przytulonemu do jego krzesła chłopcu; obaj byli niepomni otoczenia pełnego kurzu i zagraconego stosami ksiąg. Wyglądało to tak, jakby nieświadomie doprowadziła do spotkania dwóch pokrewnych dusz.

Okazało się, że tak było w istocie. Odtąd od czasu do czasu widywała Robina. Raz czy dwa razy on sam ją odszukał, traktując jako niewyczerpane źródło pociechy w chwilach dręczącej tęsknoty za domem. Jednak przeważnie widywała go radośnie dźwigającego po kolegium stosy ksiąg niemal tak wysokie jak on sam, lub, nie raz jeden, w bibliotece u boku Elcartha. Razu pewnego odnalazła ich obu pochylonych nad bardzo starym tomem kroniki spisanej w archaicznym języku, którego Robin nie mógł samodzielnie przeczytać, jednakże on po prostu wiedział, że Elcarth to potrafi. W jego przekonaniu Elcarth był źródłem wszelkiej wiedzy, przychodził więc do niego z wszystkimi pytaniami, co stało się jego nawykiem, jak oddychanie.

Talia często widywała ich pochłoniętych dociekaniem tak wytrawnymi, że na samą myśl drapało ją w gardle i miała ochotę się napić!

To były istotnie dusze bardzo pokrewne.

CZWARTY

Dirk rozpierał się w swym ulubionym fotelu, zniszczonym, lecz wygodnym jak znoszony but, z obiciem dawno temu spłowiałym do nieokreślonego beżu. Żałował, że jego samopoczucie nie dorównuje wygodzie, z jaką się usadowił.

Posępnie wpatrywał się w pusty kielich, który trzymał w dłoni. Nie powinien pić w tak piękną noc. Ostatnimi czasy zdecydowanie nadużywał wina i wiedział o tym.

Lecz cóż robić, gdy nie można zmrużyć oka? Kiedy jego myśli całkowicie zaprzatają łagodne, brązowe oczy? Gdy nie wiadomo, co robić: złamać swe serce czy zdradzić swego przyjaciela?

Jedyny środek na bezsenność znajdował się na dnie butelki, a więc pod koniec dnia tam właśnie go zazwyczaj szukał. Oczywiście tego rodzaju specyfik miał swoje wady: fatalne bóle głowy, pogarszający się humor i dręczące poczucie, że unikanie postawienia jasno sprawy jest wyjściem godnym tchórza. Tęsknił do wyruszenia na patrol; o bogowie, oderwać się od kolegium i od niej! Lecz na nic takiego się nie zanosilo. I tak zresztą nie otrzymałby żadnego zadania, póki wraz z Krisem nie wyszkoła kolejnej grupki uczniów w należytym posługiwaniu się ich darami.

A studenci — o bogowie! — to był jeszcze jeden powód, by się upić.

Wychylił kielich do dna, nie zauważywszy nawet, że to zrobił, czując w oczach piekące lzy.

Christa, biedactwo. Zastanawiał się, czy ktokolwiek domyślił się, że ona posługiwała się swym darem, by ocalić maleństwa z pożaru.

Niemal widzę ją za każdym razem, gdy przymykam powieki. . .

Ten pojawiający się w myślach obraz był przerażający. Z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak w samym środku piekła wytrwale skupia uwagę — gdyż przesyłanie istot żywych przy użyciu daru sprowadzania było niezwykle trudne i niebezpieczne — podczas gdy dookoła niej chatę ogarniają płomienie. To była jego wina, że złożyła swe życie w ofierze w ten sposób.

Przytknął kielich do ust, by odkryć, że jest już pusty.

Zbyt szybko opróżniam tę butelkę. . .

I sposób, w jaki umarła, to wszystko była jego wina.

Przed końcem nauki Christa zapytała go, czy możliwe jest przenoszenie istot żywych przy użyciu daru sprowadzania. Każdemu innemu odpowiedziałby „nie”, lecz ona była tak dobra, a on tak piekielnie z niej dumny. Wyjawiał jej więc prawdę, a co gorsza, uczynił coś, czego nie robił nigdy — pokazał jej, jak przenosić żywe istoty tak, by się nie udusiły. I powiedział jej — bogowie, jakże wyraźnie pamięta tę rozmowę! — że, kiedy trzeba to zrobić, bezpieczniej jest wysyłać żywą istotę ze swych rąk, a nie sprowadzać ją do siebie.

Zdecydowanie zbyt szybko opróżniam tę butelkę, już jest w połowie pusta.

To dlatego poszła do dzieci, a nie sprowadzała ich do siebie. O, gdyby udzielając jej nauk, wiedział to, co udało mu się później odnaleźć w bibliotece: że w niebezpieczeństwie często ktoś obdarzony ich darem potrafi przenieść na niewielką odległość samego siebie. Zamierzał powiedzieć jej o tym, lecz nigdy nie znalazł na to czasu.

A teraz poniosła straszliwą śmierć w męczarniach, bo mnie nie udało się znaleźć czasu.

Potrząsnął butelką zaskoczony tym, że jest już pusta.

Nic to, jest jeszcze jedna, tam skąd pochodziła pierwsza.

Nie musiał nawet podnosić się ze swego miejsca, druga butelka stała na parapecie. Wyciągnął niepewną dłoń i złapał za szyjkę. Jeszcze trzeźwy odkorkował butelkę, a potem leciutko wetknął korek z powrotem. Gdyby tego nie zrobił, teraz nie udałooby mu się jej otworzyć.

O bogowie, jestem odrażający.

Wiedział, że tak nie rozwiąże dylematu. Powinien pójść za głosem serca, odnaleźć Talię i pozwolić jej pomóc sobie. Jednak nie mógłby stanąć z nią twarzą w twarz. Nie w takim stanie.

Nie mogę pozwolić, by teraz mnie zobaczyła. Nie mogę. Pomyśli o mnie... pomyśli jeszcze coś gorszego niż Narił.

A prócz tego, gdyby się do niej udał, dowiedziałyby się o wszystkim, co kryło się w jego umyśle, i cóż wtedy począłby z sobą? Bogowie, znalazł się w labiryncie bez wyjścia.

Ja... ja jej potrzebuję. Ale... czy bardziej niż Kris? Nie wiem. Ja tego po prostu nie wiem.

Nie mógł zwrócić się o pomoc do Krisa, skoro jego przyjaciel był połową dylematu. I nie znajdował już pociechy w muzyce, bo gdy grał, prześladował go głos Tali, wyśpiewujący pieśń, linijka po linijce.

Do licha z tą kobietą! Kradnie mi przyjaciela, kradnie mi moją muzykę i kradnie mi spokój duszy.

Nie minęła chwila, a sam siebie skarcił za tak niesprawiedliwe myśli, przecież to nie była jej wina. Nie miała pojęcia, co mu uczyniła, a o ile mógł to wiedzieć, od chwili powrotu nie spędzała aż tyle czasu z Krisem. Możliwe, że mimo wszystko była jeszcze dla niego jakaś nadzieja; oni z pewnością nie zachowywali się jak

para kochanków. Cóż jednak pocnie, jeśli są w sobie zakochani? A jeśli nie — skoro już o tym mowa — to co wtedy?

Wina w butelce ubywało coraz bardziej, w miarę jak bez powodzenia starał się z tym wszystkim uporać.

Uszczęśliwiony Robin biegł truchcikiem korytarzem do kwater heroldów. Robin uwielbiał heroldów i zawsze zgłaszał się pierwszy, jeśli ktoś miał zadanie, przy wykonaniu którego mógłby pomóc w jakikolwiek sposób. W tym przypadku przyjemność była podwójna, bo osobisty herold królowej, Talia, szukała paza, który zwróciłby heroldowi Dirkowi pożyczony od niego do skopiowania manuskrypt. Robin kochał Talię bardziej niż wszystkich pozostałych razem wziętych — z wyłączeniem Elcartha. Heroldowie byli wspaniali, a Talia po prostu cudowna. Zawsze znalazła czas na rozmowę, nigdy nie strofowała go, że jest jeszcze dzieckiem (tak jak lord Orthallen), kiedy doskwierała mu tęsknota za domem. Jego matka powiedziała mu, jak ważną osobistością jest lord Orthallen, lecz jeśli chodziło o niego, to Robin uważał, iż Talia warta jest więcej niż tuzin Orthallenów. Z całego serca pragnął uczynić coś, co wywołałoby na jej twarzy uśmiech i ją pocieszyło. Ostatnio nie wyglądała na zbyt szczęśliwą, a on z radością zrobiłby wszystko, byle tylko odrobinę się rozpromieniła.

Zobaczył przed sobą łopoczące szaty w statecznych barwach — jednego z wielkich lordów, może nawet jego własnego lorda. Robin trzymał oczy spuszczone, tak jak go zawsze pouczano. Nie przystało małemu chłopcu wytrzeszczać oczu jak gamoń na wielkich lordów królestwa, zwłaszcza gdy powinien migiem załatwić polecone sprawunki. Jeśli to był Orthallen, ważne było to, by zobaczył, że Robin gorliwie przykłada się do swych obowiązków.

Tak więc Robin przeżył prawdziwy wstrząs, zwłaszcza że przecież zważał na to, co miał pod nogami, gdy potknął się i bezradnie rozciągnął jak długi twarzą do ziemi, a niesione zwoje papieru rozfrunęły się dookoła niego.

Gdyby miał przed sobą znajomego paza, natychmiast powziąłby podejrzenie, iż celowo podłożono mu nogę, jednak wielkiego lorda trudno podejrzewać o skłonność do dziecięcych psot.

Wielki lord zatrzymał się na chwilę pośród szeleszczących papierów, a potem oddalił się. Robin zaczął je zbierać, cały czas trzymając spuszczone oczy, pokraśniały z upokorzenia na twarzy.

A to ci dopiero! To dziwne, bardzo dziwne. Gdy otrzymał to zadanie, miał czternaście zwojów, wiedział doskonale, bo przeliczył je przy Talii dwa razy. A teraz było ich piętnaście; ten piętnasty opatrzony pieczęcią, a nie tylko zwyczajnie zwinięty jak pozostałe.

Oczywiście mogło mu się coś poplątać. Jednak w jego uszach niemal rozległ się głos dziekana Elcartha, którego właśnie w tym tygodniu pytał o radę, co robić,

jeśli obarczono go zadaniem, które nie wydaje się być całkiem właściwe, albo jeśli podczas służby stwierdzi, że coś wydaje mu się dziwne. Któregoś ze starszych chłopców jedna z dworek wysłała z wątpliwym zadaniem, z czego następnie wynikły kłopoty. Paż nie miał odwagi, by powiedzieć o tym komukolwiek, póki nie było za późno, a potem wszystko mu się w pamięci pomieszało. A więc Robin zapytał najmądrzejszego człowieka, jakiego znał, o to, co powinien w podobnym przypadku zrobić.

— Wykonaj polecenie, nie bądź nieposłuszny, ale pamiętaj Robinie — radził mu Elcarth — pamiętaj wszystko: co się wydarzyło, kto wydał polecenie i kiedy, dlaczego i kto przy tym był. Możliwe, że wydawane ci polecenie jest całkowicie legalne. Ty nie możesz tego ocenić. Jednak jeśli tak nie jest, możesz być jedyną osobą, która zna prawdę. Paziowie są w szczególnym położeniu, ludzie patrzą na was, lecz tak naprawdę was nie widzą. Nie zapominaj o tym, i jeśli kiedykolwiek zdarzy się w twojej obecności coś osobliwego, zapamiętaj to i wszystkie okoliczności. Możliwe, że będziesz mógł komuś pomóc.

— Czy nie będę przez to skarżypyta? — zapytał Robin z powątpiewaniem.

Elcarth roześmiał się i wytarł jego włosy.

— Jeśli zadałeś to pytanie, to znaczy, że nie grozi ci, byś nim został, mój mały puchacz. A prócz tego, to jest świetne ćwiczenie pamięci.

Doskonale zatem, zapamięta teraz wszystko, co go spotkało.

Gdy Robin zapukał do przymkniętych drzwi herolda Dirka, nie otrzymał odpowiedzi. Kiedy zajrzał do niego, ujrzał go rozpartego wygodnie na fotelu w najdalszym kącie komnaty, tuż obok otwartego okna, pogrążonego, jak się zdawało, w głębokim śnie. A więc Robin cicho jak kot wśliznął się do środka i położył zwoje na biurku.

Tego ranka Talii niepotrzebne było wezwanie, każdy posiadający choćby cień daru empatii pędem przybiegłby do królowej. Wrzące uczucia — gniew, strach, obawa — zagęściły powietrze do tego stopnia, że Talia miała wrażenie, iż czuje gorzki i metaliczny smak na języku.

Pierwsze oznaki niepokoju dotarły do niej, gdy się ubierała. Pobieгла do królewskich komnat, jako tako się przyodziewszy. Dwaj strażnicy przed wejściem wyglądali na bardzo zakłopotanych, tak jakby ze wszystkich sił starali się ogłuchnąć na krzyki, dobiegające spoza podwójnych drzwi, których strzegli. Talia zapukała raz i ze skrzypieniem uchyliła jedno skrzydło.

Selenay znajdowała się w zewnętrznej komnacie — ubrana, jednak bez korony na głowie. Siedziała za biurkiem, a przed nią na blacie leżał zapieczętowany zwój. Oprócz niej w komnacie stali: lord Orthallen — tak zadowolony z siebie, iż trudno było to znieść — zafrasowany Kris, równie zakłopotany strażnik i niestychanie unoszący się gniewem Dirk.

— Nic mnie to nie obchodzi, jak to się tam znalazło. Ja tego nie brałem! — krzyczał Dirk.

Talia obrzuciła wzrokiem strażnika przed progiem i weszła do środka, szybko zamykając za sobą drzwi. Im mniej ludzi się dowie o tym, co się za nimi działo, tym lepiej.

— Dlaczego zatem próbowaliście to ukryć? — skwitował gładko Orthallen.

— Ja próbowałem to ukryć, do kroćset! Szukałem moich driakwi na ból głowy, kiedy ten dureń wpakował się do mnie bez pozwolenia! — Dirk wyglądał na niezdrowego; stał poblady, na czole ból wyżłobił głęboką bruzdę pomiędzy brwiami, jego szafirowo-błękitne oczy nabiegły krwią, a słomiane włosy zwichrzone były bardziej niż zwykle.

— Mamy na to jedynie twoje słowo.

— Od kiedy to... — Talia zimno i dobitnie wymawiała słowa — ... podważa się słowo herolda i stawia się go w krzyżowym ogniu pytań? Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, lecz — na Niebiosa! — co się tutaj dzieje?

— Dziś rano spostrzegłam, że zaginęły dokumenty raczej delikatnej materii — odparła Selenay. Z pozoru zachowywała niezmacony spokój, lecz Talia wiedziała, że wcale nie jest tak niewzruszona. — Lord Orthallen dał hasło do poszukiwań i odnalazł je w posiadaniu herolda Dirka.

— Przez ostatni tydzień nawet nie zbliżyłem się do skrzydła pałacowego! I cóż, u licha, miałbym począć z tymi przekłętymi papierzyskami? — Tak mocny żal ogarnął umysł Dirka, że Talia chętnie zaczęłaby szlochać.

— Posłuchaj, wuju: wiesz przecież, że wejście do mojej kwatery jest tylko o krok od jego, w tej samej sieni. Mogę przysiąc, że on nie opuścił jej przez całą minioną noc.

— Bratanku, wiem, że ten człowiek jest twym przyjacielem.

— Jeśli muszę być okrutny w swej szczerości, będę — rzekł Kris, czerwieniąc się z zakłopotania. — Dirk nigdzie się nie mógł ruszyć, bo nie był w stanie. Ostatniej nocy leżał pijany jak bela, jak co noc od kilku tygodni.

Twarz Dirka stała się niemal purpurowa, a potem zbladł jak kreda.

— Cóż z tego? Od kiedy to niemożność poruszania się jest przeszkodą dla kogokolwiek z jego darem?

Teraz twarz Krisa zrobiła się biała.

— Nie słyszałam odpowiedzi na dobrze postawione pytanie. Co, u licha, miałby Dirk począć z owymi dokumentami? — zapytała Talia, próbując zyskać nieco na czasie.

— Pewna osoba z tego dworu znalazłaby się w bardzo niezręcznej sytuacji — odparł Orthallen. — Dodajmy, że pozostaje ona w związku z tą samą damą, co niegdyś Dirk. Gorycz zatrzała ich rozstanie. Mógł działać z różnorodnych pobudek: zemsta, chęć szantażu być może. Wraz z królową próbowaliśmy nie dopuścić do powstania plotek, by rozdmuchane nie stały się powodem skandalu, lecz gdyby

ktokolwiek oprócz nas poznał treść owych listów, w całym dworze zawrzałoby jak w ulu.

— Nie mogę uwierzyć własnym uszom: doradca królowej oskarża herolda o szantaż! — wykrzyknęła oburzona Talia.

— Słyszeliście słowa mego bratanka, jego najlepszego przyjaciela, iż od kilku tygodni, co noc trunkiem odbiera sobie rozum. Czy takie jest zwykłe zachowanie herolda? — Orthallen zwrócił się do królowej. — Wasza Wysokość, nie twierdzą, że ten młody człowiek skradłby dokumenty, gdyby był przy zdrowych zmysłach, lecz myślę, iż dość jest dowodów wskazujących na...

— Orthallen! — Królowa wpadła mu w słowo. — Ja...

— Chwileczkę, niech nikt nic nie mówi. — Talia przytknęła dłoń do czoła, czując przenikający jej głowę ból. Natłok rozgorączkowanych uczuć osób stojących dookoła niej był tak silny, że nabawiła się bólu głowy, próbując za wszelką cenę odgradzić od nich swe myśli. — Załóżmy na chwilę, że to, co mówi Dirk, jest szczerą prawdą, dobrze?

— Ależ...

— Nie, wysłuchajcie mnie. Wychodząc z takiego założenia, w jaki zatem sposób — o ile nikt umyślnie nie wśliznął się do jego komnaty, by mu je podrzucić — mogłyby owe dokumenty znaleźć się tam, gdzie je odkryto? Dirku, czy były tam po wieczery?

— Zanim zacząłem pić, masz na myśli? — gorzko odparł Dirk. — Nie, na mojej sekretarce nie było nic a nic. Kiedym się rano obudził, leżał na niej z tuzin zwojów, a ten był jednym z nich.

— Doskonale. Wiadomo, że jeśliby ktoś nieproszony wszedł do twojej komnaty, obudziłbyś się, choćby nie wiem co. Powiem wam, że ostatniej nocy ja, przez Robina, odesłałam pożyczone od ciebie poezje. Było tego dokładnie czternaście zwojów, ale ten do nich nie należał. Zatem, o ile lord Orthallen nie będzie chciał oskarżyć mnie o kradzież tych dokumentów...

— Miałam je po twoim wyjściu, Talio. — Głos królowej nabrał wyczuwalnej ostrości.

— Wiadomo także, że żadnego z heroldów nie wyrwą ze snu kroki wchodzącego do jego komnaty pazia, bo musiałyby on go umyślnie obudzić; ci urwipolcie są wszędobylscy, właściwie niedostrzegalni i — jak wszyscy wiemy — zupełnie nieszkodliwi. Niewykluczone zatem, że gdy Robin opuścił mnie, Dirku, i niósł zwoje do twojej komnaty, dodatkowy zwój w jakiś sposób został dodany do pozostałych.

— Strażniku! — Selenay zwróciła się do czwartej osoby, która stała w komnacie. Gwardzista odwrócił się do niej, na jego twarzy odmalowała się wdzięczność. — Sprowadź Robina, proszę. Teraz znajdziesz go w komnacie paziów na śniadaniu. Wystarczy zapytać.

Gwardzista wyszedł, najwyraźniej uszczęśliwiony, że może w ten sposób zniknąć ze sceny.

Kiedy przyprowadził Robina, Talia odeszła z dzieckiem na stronę, z dala od pozostałych, starając się stanąć raczej bliżej królowej niż Orthallena. By dodać mu śmiałości, przemówiła cichym głosem, przejmując inicjatywę i odbierając Orthallenowi okazję do podjęcia próby zastraszenia go.

— Robinie, ostatniej nocy otrzymałeś ode mnie pewne papiery do zaniesienia heroldowi Dirkowi. Ile ich było?

— Ja... — Robin wyglądał na stroskanego. — Ja myślałem, że czternaście, ale...

— Ale?

— Upadłem, a kiedy się pozbierałem, było ich piętnaście. Pamiętam, bo dziekan Elcarth poradził mi pamiętać o wszystkich dziwnych rzeczach, a to było dziwne.

— Gdzie upadłeś?

— Obok schodów, tuż przed lwem na gobelinie.

— Czy nikogo nie było w pobliżu? Czy z nikim się nie zderzyłeś?

— Nie biegłem — oburzył się Robin. — Tam stał milord, ale... milady, mama zawsze powtarzała w kółko, bym nie gapił się na milordów, no więc... nie widziałem, kto to był.

— Na Jasne Gwiazdy! — Nagle Orthallen przybrał minę zawstydzonego,omalże zdjętego przestachem; jednak Talia czuła, że on udaje, choć niczego nie mogła doszukać się pod maską jego oblicza. — To byłem ja, i wtedy miałem ten zwój przy sobie. Na Gwiazdy, musiałem go upuścić, a to dziecko go podniosło! — Na jego policzki zakradł się blady rumieniec; odwrócił się do Dirka z szeroko rozłożonymi rękami i grymasem skruchy na twarzy. — Heroldzie, bądź łaskaw przyjąć n a j s z c z e r s z e słowa przeprosin. Wasza Wysokość, doprawdy nie wiem, co powiedzieć.

— Wydaje mi się, że wszyscy nagadaliśmy się do syta, jak na jeden poranek — odparła znużona Selenay. — Dirku, Krisie, przykro mi niewymownie. Mam nadzieję, że wszyscy złożymy to na karb nadgorliwości. Talio...

Talia lekko potrząsnęła głową i powiedziała:

— Możemy o tym porozmawiać, gdy nieco głowy nam ochłona. Teraz nie pora na to.

Selenay nagrodziła ją pełnym wdzięczności uśmiechem, a Orthallen uznał to za znak, iż może, przeprosiwszy zebranych, oddalić się.

Talii wcale nie było żal z tego powodu. Selenay, poleciwszy gwardziście ode-skortować Robina, zapytała Talię:

— Czy miałaś już cokolwiek w ustach? Myślę, że nie. Idź zatem i zjedz coś, zobaczymy się na spotkaniu rady.

Trójka heroldów razem opuściła komnatę swej królowej, a tuż za nimi gwardzista, odprowadzający do kwater paziów zaprzątniętego tajemniczą przygodą Robina. Talia spostrzegła, że Dirk aż wrze od gniewu, i zawczasu przygotowała się na wybuch.

Gdy tylko oddalili się od komnat królowej na tyle, iż nie musieli obawiać się postronnych, rozpętała się burza.

— Wielkie dzięki, przyjacielu! — wysyczał Dirk. — Wielkie dzięki, bracie! Nie wiem, jak mi się dotąd udawało obejść bez twojej pomocnej dłoni!

— Słuchaj mnie... przykro mi...

— Przykro mi! Do kroćset, nie uwierzyłeś mojemu słowu! Mój najlepszy przyjaciel nie uwierzył w ani jedno moje słowo!

— Dirk!

— A potem rozpowiada każdemu kto mu się nawinie, że jestem zapijaczonym głupcem...

— Tego nie powiedziałem! — Kris zaperzył się tak jak Dirk.

— Nie było takiej potrzeby! Za to dałeś to snadnie do zrozumienia i sprezentowałeś swemu wujowi oręż, którym mógł we mnie uderzyć!

— Dirk, Kris miał prawo niepokoić się o ciebie, skoro zachowywałeś się dziwnie. Krisie, jednak i Dirk ma rację. Nawet nie musiałam sprawdzać twoich myśli, a i tak mogłam zobaczyć, że mu nie dowierzasz. — Talia wiedziała, że powinna trzymać język za zębami, jednak nie wytrzymała. — I ma rację, jeśli chodzi o Orthallena.

Jak na rozkaz obydwaj zwrócili się do niej i wyrzucili z siebie niemal jednocześnie:

— I nie potrzebuję więcej twojej pomocy, osobisty królowej...

— Talio, męczy mnie wysłuchiwanie twych dziecinnych podejrzeń odnośnie do mego wuja...

Dotknięta do żywego zacisnęła usta tak, że aż jej zbiełały wargi.

— Doskonale... — warknęła, zaciskając pięści i powtarzając sobie w duchu, że nie trzaśnie z całego serca pięścią w uparte podbródki. — Umywam ręce! Obydwaj możecie iść do piekła nawet w pożąlanej lektyce, jeśli o mnie chodzi! Wyściełanej purpurą!

Nie mogąc wydobyć z siebie słowa, odwróciła się na pięcie, wybiegła przez najbliższe drzwi, i zatrzymała się dopiero na Łące Towarzyszy, przy skorym do udzielenia pociechy Rolanie.

— Zobacz, cóżeś uczynił! — triumfalnie szydził Dirk.

— Ja?! — Resztki opanowania opuściły Krisa, który najwyraźniej nie mógł znaleźć słów, by wyrazić swą złość. — Bogowie, mam nadzieję, żeś zadowolony z siebie teraz, gdyż dopiął tego, iż ona gniewa się na nas obu!

Prawdę powiedziawszy, w głębi duszy niemal bezwiednie cieszył się z tego, iż teraz obaj byli na jednakowo złej stopie z Talią. Nie mógłby jednak tego wyznać.

— Ja? Ja tylko się broniłem. . .

— Ja — gniewnie przerwał mu Kris — dość mam już tego. Porozmawiamy o całym zamieszaniu, gdy przestaniesz zachowywać się jak przeklęty głupiec i co noc upijać się do nieprzytomności winem. Do tego czasu. . .

— To nie miejsce na wygłaszanie gróźb, zbyt wiele można tu spotkać postronnych osób.

Kris przełknął zjadliwe słowa, po których, jak wiedział, zgoda byłaby już niemożliwa.

— Nazbyt wiele — odparł oschle — a to, co mamy sobie do powiedzenia jest sprawą zbyt osobistą; możemy zatem i powinniśmy poczekać.

Dirk szyderczo uklonił się nieznacznie.

— Jak sobie życzysz.

Wydawało się, że nic na to nie można powiedzieć, więc Kris tylko skinął krótko głową i oddalił się, z godnością stawiając kroki.

Dirk został sam w opustoszałym korytarzu. Ból rozsadzał mu skronie. Czuł się bardzo pokrzywdzony. Chciał dowiedzieć, że ma rację, a tymczasem dręczyło go to, iż zrobił z siebie głupca, na dodatek opuszczonego przez wszystkich.

Kiedy Talia dotarła na lekcję fechtunku, Alberich znał już pogłoski o kłótni Krisa z Dirkiem. Nie zdziwił się zatem zbytnio, ujrawszy twarz Talii — chłodną i niewzruszoną niczym maska. Nawet w kolegium niewielu mogłoby zgadnąć, jak doskonale znał osobistego herolda królowej i jak znakomicie potrafił rozpoznawać jej nastroje. Osamotniona, z ogromnym uporem starając się doskonale wykonać każde ćwiczenie, podbiła jego serce już wtedy, gdy była uczniem. Rzadko szukała usprawiedliwień, nigdy nie poddawała się, nawet gdy było wiadomo, że zwycięstwo jest niemożliwe. Przypominała mu jego z czasów, które dawno minęły, kiedy był młodym, pełnym ideałów kadetem w Karsie. Dlatego polubił ją z całej duszy i przywiązał się do niej; choć ani mu się śniło okazywać to w jakikolwiek sposób — przed swymi uczniami nigdy nie zdradzał swych uczuć.

Trafnie domyślił się łączących ją z Krisem i Dirkiem uczuć i przewidywał, jaki wpływ będzie miał spór przyjaciół na jej zachowanie.

Tego popołudnia Talii przyszło ćwiczyć na lekcji z samym fechtmistrem. Nie była tym w najmniejszym stopniu strapiona i, prawdę powiedziawszy, ledwo zaczęli, a skoczyła na niego z wściekłością. Pocięta bliznami twarz Albericha pozostała niewzruszona, gdy pozwalał się jej wyszaleć i zmęczyć odrobinę, a potem wykonał fintę, na którą nie nabrałby się nawet nowicjusz, i rozbroił ją.

— Dosyć — powiedział, gdy znieruchomiała blada z wyczerpania, ciężko dysząc z wysiłku. — Czyż nie powtarzałem po wielekroć, że w walce należy kiero-

wać się sprytem, a nie unosić gniewem? Gniew zostaw przed progiem, inaczej cię zabije. Spójrz, pozwoliłaś, bym wyzuł cię z sił! Gdyby to była prawdziwa walka, twój wróg miałby zadanie ułatwione o połowę.

Ramiona Talii obwisyły.

— Mistrz Alberichu. . .

— Dość, rzekłem przecież — wpadł jej w słowo, podnosząc za nią ostrze z podłogi. Bezgłośnie zbliżył się o trzy kroki i położył swą twardą dłoń na jej ramieniu. — Skoro gniew nie chce trzymać się za progiem, opowiesz mi o nim?

Talia skapitulowała i nie opierała się, gdy popchnął ją łagodnie w stronę stojących pod ścianą ław. Przygnębiona osunęła się na jedną z nich, a on usadowił się obok. Po długiej chwili milczenia opowiedziała mu pokrótce o porannych wydarzeniach, wpatrzona w promień późnopołudniowego słońca, który odbijał się od podłogi z szaro-brązowej, gładko heblowanej klepki. Do sali nie docierał z zewnątrz żaden dźwięk; czuć było zapach unoszącego się kurzu i przelanego potu, którym przesiąkł stary budynek. Alberich siedział obok Talii, nieruchomy jak posąg, objąwszy dłońmi kostkę lewej stopy, ułożonej na prawym kolanie. Od czasu do czasu Talia popatrywała na niego, jednak jego surowa, jastrzębia twa była nieprzenikniona.

Gdy jej opowieść dobiegła końca, drgnął i unióś dłoń, by rozmasować sobie skrzydełko nosa.

— Powiem ci coś, z czego dotąd nie zwierzyłem się nikomu — rzekł po długiej przerwie, w zamyśleniu stukając się palcem wskazującym po ustach. — Nigdy nie ufałem lordowi Orthallenowi, a pozostaję w służbie Valdemaru dokładnie tak długo jak on.

— Ależ. . . — Zdumiona Talia zapomniała języka w gębie.

— Dlaczego? Złożyło się na to mnóstwo drobiazgów. Orthallen jest zbyt nieskazitelny sługą państwa, nigdy nie ustawia się w kolejce po nagrody, a kiedy jakiś człowiek nie domaga się tego otwarcie, przyglądam się, czy nie robi tego po kryjomu. Nie spiera się z Kręgiem Heroldów, lecz kiedy inni to robią, następuje im na pięty, popychając, delikatnie popychając. Jest przyjacielem wszystkich, lecz niczym zażyłym kompanem. A na dodatek nie lubi go mój Towarzysz.

— Tak jak i Rolan.

— To dobra miara oceny człowieka, jak myślę. Wierzę, iż twoje podejrzenia nie są fałszywe i on w istocie stara się ze wszystkich sił osłabić twój wpływ na Selenay. Tuszę, że poniósłszy w tym porażkę, stara się pozbawić cię przyjaciół i osłabić fundament, od którego zależy zachowanie przez ciebie równowagi uczuć; wie doskonale, jak bolesny dla ciebie jest widok młodego Dirka dotkliwie ugodzonego.

Talia oblała się rumieńcem.

— Sama dostrzegasz, iż mówię prawdziwie. — Zmienił pozycję na twardej, zniszczonej ławie, zakładając sobie prawą stopę na lewe kolano. — Moim zda-

niem Orthallen wie, że Kris jest twoim zagorzałym poplecznikiem, nie udało mu się doprowadzić, by ciebie zdradził, a więc postanowił skłócić dwóch największych przyjaciół, w nadziei, że ty znajdziesz się pośrodku.

— Ja? Ależ...

— Jeśli rzeczywiście chce podważyć twój autorytet, to pozostał mu jeden sposób. — Alberich dorzucił cichym głosem, siedząc zamyślony, obejmując dłońmi kostkę stopy. — Nękać tych, którzy cię popierają, i tak uwikłać ich we wzajemne spory, by nie mieli czasu służyć ci pomocą.

— Rozumiem, do czego zmierzasz. On stara się pozbawić mnie oparcia i wytrącić z równowagi, a gdy stanę w obliczu jakiejś szczególnie delikatnej sytuacji, lekko mnie popchnie... — Talia przeszła wyciągniętym palcem powietrze. — ... kiedy nikt nie będzie mógł służyć mi ni radą, ni pomocą. Stanę się niezdecydowana lub zacznę popełniać omyłki, a wszystkie jego uwagi o tym, że nie nadaje się do zajmowanej posady, nabiorą innego znaczenia i nie będą to już słowa nie ufającego młodości starca. Myślałam, że nie zajmujesz się dworskimi intrygami. — Uśmiechnęła się blado do swego nauczyciela.

— Rzekłem, że nie zasiadam do gry, nigdy, i że nie pojmuję jej reguł. — Kąciki jego ust niedostrzegalnie wygięły się w górę. — Wiedz jednak, iż z nikim dotąd nie rozmawiałem o tym, bo czułem się osamotniony w swych podejrzeniach i ani mi się śniło ściągać na siebie spojrzenie lorda Orthallena. Życie przybysza z Karsu nie jest usłane różami, nawet jeśli nie masz wrogów pośród dostojników dworu.

Talia pokiwała współczująco głową, dość było wspomnieć, jak trudny był jej pierwszy rok w kolegium. Nie mogła sobie wyobrazić, jak może to wyglądać, gdy jest się wezwanym z kraju odwiecznego nieprzyjaciela Valdemaru.

— Myślę jednak, że teraz się przerachował, i to wniwecz obróci jego zamysły. Rzecz w tym, że podłe jest jego mniemanie o braterstwie, jakie panuje w Kręgu, a może nie umie objąć tego rozumem? Wszak gdy dworzanie poróżnia się, tak jak Kris z Dirkiem, to na wieki; i biada tej, co znajdzie się w środku!

Talia westchnęła.

— Wiem, iż pogodzą się w końcu. O Panie Światła, nie jestem jednak całkiem przekonana, czy do tego czasu zdołam poradzić sobie z ich uczuciami, grzmiącymi i krzeszącymi iskry błyskawic! Dlaczego Ahrodie i Tantris nie mogliby wziąć tego na siebie i ich uspokoić?

— A dlaczego ty tego nie uczynisz? — odparł Alberich. — Oni są naszymi towarzyszami i przyjaciółmi, młokosie, nie nadzorcami, i nie wtrącają się w nasz żywot, za co jesteśmy im wdzięczni. Będą mądrze szeptać w umysłach swych Wybranych, ale wiesz, że żadnego z tej pary do niczego nie przymuszą.

Westchnęła smutno.

— O, gdybym potrafiła postąpić choć odrobinę nieetycznie, zaraz bym doprowadziła między nimi do zgody.

— Gdybyś to mogła uczynić, nie zostałabyś wybrana! — zwrócił jej uwagę Alberich. — Skoro zaś gniew już uszedł, nuże hartować ciało w mieleniu mieczem, a nie tylko językiem w gębie!

— A mam inne wyjście?

— Nie, młokosie, nie masz — a więc, broń się!

Elsbeth spotkała Orthallena podczas jednej ze swych rzadkich chwil odpoczynku; ociągała się nieco, wracając do swych komnat w pałacu, by przebrać się przed wieczerzą na dworze. Robiła to raz na tydzień, by — jak to z przekąsem mówiła — „wszystkim przypomnieć, że mają następczynię tronu”.

Stała przy oknie na drugim piętrze pałacu, patrząc na znajdujące się tuż pod nią ogrody. Pogrążona w zadumie nie wiedziała nawet, że nie jest sama, dopóki nie zbliżył się Orthallen i nie dotknął jej łokcia.

Podsłoczyła i odsunęła się od niego, palcami musnąwszy ukryty sztylet. Ujrawszy jednak, kto to jest, uspokoiła się.

— Niebiosa, lord w... lord Orthallen, o mało na śmierć mnie nie wystraszyłeś!

— Żywię szczerą nadzieję, że to mi się nie udało — odparł. — Jednak żał mi, że nie nazwałeś mnie lordem wujem. Teraz, gdy niemal ukończyłaś naukę, chyba nie zaczniesz zwracać się do mnie tak oficjalnie.

— Zgoda, lordzie wuju, skoro o to prosisz. Jednak nie zapomnij stanąć w mojej obronie, gdy matka dobierze mi się do skóry za moje grubiaństwo! — Elspeth uśmiechnęła się, ponownie opierając się lekko o framugę okna.

— A teraz, na co patrzyłaś z tak posępną miną? — zapytał, zbliżając się na tyle, by móc samemu wyrzeć przez okno.

W dole widać było część ogrodów pałacowych. Było tam z pół tuzina par — dzieci dworzan albo samych dworzan — rówieśników Elspeth i starszych, w wieku około dwudziestu lat. Zajęci byli tym, czego można się było spodziewać po młodych ludziach spędzających wiosną czas w słonecznym ogrodzie. Jakaś para zabawiała się przeciąganiem na niby liny; jedna z dziewcząt wyszywała, podczas gdy jej kawaler umiłał jej czas czytaniem; dwie panny chichotały do utraty tchu, przyglądając się figlom dwóch pacholąt balansujących na krawędzi basenu fontanny; młody człowiek spał z głową na kolanach swej wybranki; a dwie pary spacerowały, trzymając się za ręce.

Elsbeth westchnęła.

— Dlaczego nie jesteś tam, na dole, moja panno? — cicho zapytał Orthallen.

— Na Niebiosa, lordzie wuju, a gdzieżbym znalazła czas na to? — W głosie Elspeth zabrzmiała nuta zniecierpliwienia i lekkiego użalenia się nad samą sobą. — Obciążona nauką i wszystkim innym... Prócz tego, nie znam żadnych chłopców, przynajmniej nie najlepiej. Cóż, może Skif, ale on ugania się za Nerisą, a do tego jest starszy nawet od Talii.

— Ty nie znasz młodych mężczyzn? Połowa amantów dworskich wzdycha, by móc z tobą zamienić choć słowo! — W wyrazie niedowierzania na twarzy Orthallena było tyleż gorzkiej, co żartobliwej kpiny, choć przyzwyczajona do jego manier Elspeth ledwie to zauważyła.

— Ha, mnie nikt o tym nie powiedział i nikt nie pofatygował się, by dokonać prezentacji.

— Jeśli tylko o to chodzi, z radością podejmę się tego. Mówiąc poważnie, Elspeth, spędzasz zbyt dużo czasu w kolegium i pośród jego uczniów. Heroldowie stanowią zaledwie cząstkę Valdemaru, moja droga. Trzeba byś lepiej poznała swych dworzan, zwłaszcza twych rówieśników. Kto wie, możliwe, iż pewnego dnia spośród nich wybierzesz swego małżonka? Trudno będzie ci to jednak zrobić, skoro nikogo z nich nie znasz.

— Trafieś w sedno, lordzie wuju. — Elspeth zamyśliła się ponownie obrzucając zadumanym spojrzeniem ogród za oknem. — Lecz kiedy znajdę na to czas?

— Z pewnością masz go nieco wieczorami?

— Hm, zazwyczaj tak.

— Oto odpowiedź.

Elspeth uśmiechnęła się.

— Lordzie wuju, potrafisz niemal tak doskonale rozwiązywać kłopoty jak Talia.

Twarz jej się nieco wydłużyła i na ten widok prawa brew Orthallena wygięła się w górę.

— Czy są jakieś kłopoty z Talią?

— Jedyne. . . jedynie to, że jest tylko jedna. Matce bardziej jest potrzebna niż mnie, wiem o tym, jednak żałuję, że nie mogę z nią porozmawiać tak jak dawniej, gdy była jeszcze uczniem w kolegium. Nie ma na to czasu.

— Możesz rozmawiać ze mną — napomknął Orthallen. — Prócz tego Talia musi przede wszystkim stać u boku twojej matki; może czuć się w obowiązku opowiadać jej o twoich zwierzeniach.

Elspeth nic na to nie powiedziała, lecz na dźwięk tych słów zamyśliła się głęboko.

— Tak czy siak, rozmawialiśmy o młodzieńcach, którzy usychają z chęci poznania ciebie. Czy chciałabyś spotkać się z niektórymi dziś, po wieczery? Powiedzmy — w ogrodzie, opodal fontanny?

Elspeth zarumieniła się i roziskrzyły się jej oczy.

— To byłoby cudownie!

— W takim razie wszystko odbędzie się zgodnie z życzeniem mojej pani. — Orthallen pokłonił się jej głęboko.

Podczas wieczery Elspeth wiele czasu poświęciła na przemyślenie rozmowy z Orthallenem. Z jednej strony ufała Tali, lecz z drugiej, nie było wątpliwości,

komu herold musi przede wszystkim dochować wierności. Nigdy dotąd nie przyszło jej to do głowy, jednak myśl, że matka może wszystko o niej wiedzieć, wcale nie była przyjemna. Zwłaszcza że Selenay zdawała się nie podchodzić do sprawy dojrzałości swej córki z należytą powagą.

Tymczasem Elspeth przybyło sporo cali od chwili wyjazdu Talii, a wraz z nimi — kobiece krągłości. Zaczęła bardziej dbać o swój wygląd; nie umknęły jej spojrzenia rzucane przez starsze przyjaciółki młodym mężczyznom z kolegium i przekonała się, iż ostatnio owe ukradkowe spojrzenia dość pożądliwie były odwzajemniane. Stwierdziła, że spogląda teraz na młodzianów okiem nieco mniej rozbawionym, za to bardziej wyrachowanym. A w oczach obcego. . .

Przed udaniem się na wieczerzę obejrzała swoje odbicie w zwierciadle, próbując ocenić to, co tam ujrzała. Była gibka, wyższa od Talii o pół głowy. Miała faliste czarne włosy, aksamitne brązowe oczy i ciało młodej bogini — jeśli wierzyć słowu niektórych ludzi. Wyglądała na osobę gotową więcej dowiedzieć się o życiu. O tak! Nie ulegało wątpliwości, że w oczach obcego wyglądała na osobę, która może już wstąpić w związek małżeński i w łóżko — biorąc pod uwagę przyjęte na dworze zwyczaje.

A przynajmniej takie było zdanie Elspeth, gdy zawadiacko wysuwała podbródek, przeglądając się w lustrze. Ha, jeśli jej matka sama nie dostrzeże, iż jej córka, Elspeth, jest już dorosła, być może znajdzie się sposób otworzenia jej oczu.

I — pomyślała, gdy postać Orthallena mignęła jej w ciżbie niesłychanie przystojnych młodych ludzi — możliwe, że okaże się to nadzwyczaj zajmujące. . .

PIĄTY

Pogoda, która poprawiła się na krótko, ponownie się pogorszyła; humor Talii także nie należał do najlepszych. Powróciły deszcze, a wraz z nimi kłótnie pomiędzy posłami do rady. Talia znów musiała poświęcać tyle samo czasu łagodzeniu sporów, co doradzaniu przy podejmowaniu decyzji. Najdziwniejsze było to, że rym razem, jak się zdawało, Orthallen zostawił ją w spokoju. Siedział zadumany na swym miejscu przy stole obrad, podobny do ogromnej, białej sowy. Z twarzą nieprzeniknioną i pozbawioną wyrazu rozważał jakieś swe tajemnicze myśli. Talii bynajmniej to nie uspokoiło, wręcz przeciwnie, była takim zachowaniem bardzo zaniepokojona. Wypowiadała się ze zdwojoną ostrożnością, starając się wszelkimi sposobami ocenić, którymi z jej sądów mógłby w przyszłości posłużyć się Orthallen, wykorzystując przeciw niej jej własne słowa.

Dirk spędzał czas w dwojaki sposób: krążył w pobliżu Talii albo znikał nie wiadomo gdzie. I jedno, i drugie było bardzo przygnębiające. Talia albo wcale go nie spotykała, albo widziała go, lecz nie mogła nawet zbliżyć się do niego. Za każdym razem, gdy starała się to zrobić, Dirk bladł, rozglądał się gorączkowo wokół, szukając najbliższego wyjścia, i uciekał w największym pośpiechu. Wydawało się, że szósty zmysł ostrzega go, kiedy Talia próbuje go złapać — nie mogła dopaść go nawet w jego komnacie. Nie wiadomo było, czy wiedział, kiedy ona stawała przed jego drzwiami, czy udawał, że go nie ma.

Kris zaszył się w swojej komnacie. Talia powzięła mocne postanowienie, że nie spotka się z nim, dopóki nie przeprosi jej za swoje słowa. Ich sprzeczka nie miała wielkiego znaczenia, jednak Talia była już śmiertelnie zmęczona usprawiedliwianiem przed nim swych odczuć wobec jego wuja. Po rozmowie z Alberichem nabrała głębokiego przeświadczenia — jakiego nie doświadcza się zbyt często — że w wypadku Orthallena to ona ma rację, a Kris całkowicie się myli; lecz tym razem zamierzała czekać tak długo, aż on sam się do tego przyzna!

A tymczasem próbowała zajmować się wszystkim naraz. Zaczęła nawet krócej sypiać, ale i tak czuła, że wciąż pozostaje mnóstwo rzeczy, do których się nie zabrała. Miała jednak taki nawał pracy: Selenay poprosiła ją, by wysłuchiwała próśb uciekinierów z zalanych powodziemi ziem; Devan potrzebował jej pomocy w leczeniu trzech niesłychanie przygnębionych chorych, a i panowie z rady nic

nie stracili ze swej kłótności.

Sowitą nagrodą było przynajmniej to, że leczenie Destrii przebiegało jak najlepiej. Przybycie Vostela okazało się ukoronowaniem ich sukcesu. Talia nie miała wątpliwości, że jego zachowanie na widok Destrii podniosło ją niezwykle na duchu. Pomogło i to, że odniósł się do jej blizn jak do medali honorowych, nie szczędząc słów; i stało się tak, jak przewidywała Rynee: okazał się niesłychanie przydatny, gdy zaczęto przywracać Destrię do życia, bo sam przecież przeżył podobne doświadczenie. Podtrzymywał ją na duchu w chwilach słabości, dodawał odwagi, gdy ogarniało ją z wątpienie, strofował, jeśli się dąsała, i tulił, kiedy płakała z bólu. Stał się dla niej takim oparciem, że z każdym dniem coraz mniej potrzebowała pomocy Talii i jej daru.

To było szczęśliwe zrządzenie losu, ponieważ teraz Selenay bardzo potrzebowała wsparcia, gdy tylko bowiem uporano się z jakąś troską, jej miejsce zajmowały następne, odradzając się jak trujące zielska. Królowej zaczęło brakować sił. I kiedy wyszło na jaw, że w kilku przypadkach dokonała fałszywego wyboru — co, prędzej czy później, każdemu przytrafić się musi — okazało się, że Talia zmuszona jest robić co w jej mocy, zdana tylko na zdrowy rozsądek i swój dar.

Przemoknięty do szpiku kości i ociekający błotem posłaniec od herolda Patrisa stanął przed obliczem rady — kiedy strażnik przed drzwiami usłyszał wieść, przerwał zebranie, osobiście go wprowadzając.

— Wasza Wysokość — rzekł posłaniec z kamiennym obliczem, na widok którego w Talii obudził się wielki niepokój. — Herold Patris przesyła to, by cię powiadomić, że nie ma już rabusiów.

Podał zapieczętowany mieszek, służący do przesyłania wieści, a zebrani przy stole zerwali się, wiwatując i winszując sobie nawzajem. Jedynie królowa, Kyril i Talia nie włączyli się do ogólnej radości. Z postawy posłańca biło coś, co świadczyło, iż wiele jeszcze ma do powiedzenia.

Selenay złamała pieczęć. Gdy omiatała spojrzeniem wiadomość, krew odpłynęła jej z twarzy.

— Bogini. . . — Arkusz pergaminu wysunął się z jej zmartwiałych palców, tak że musiała go pochwycić Talia.

Tumult, jaki zapanował w komnacie, urwał się nagle i zapadła cisza jak makiem zasiał.

Posłowie patrzyli na królową i na jej osobistego herolda o równie pobladłej twarzy, gdy Talia odczytywała posępne słowa Patrisa, głosem, który wstrząsał do głębi.

Zgoniliśmy brygantów do cna, ale gdyśmy ich osaczyli, wściekłość gwardzistów sięgnęła zenitu. Zapędziliśmy ich w kozi róg w ich

własnym obozowisku, w dolinie u stop Wierzchołka Zapadających Ciemności. Wtedy zrobili straszny błąd, zabijając parlamentariusza, przez którego chcieliśmy wejść z nimi w układy, a gwardziści zawzięli się, że nie będzie litości. Oszaleli — jedynie tak ich stan można by opisać — odjęło im rozum i przemienili się w krwawych berserkerów. Może dlatego, że byli tutaj zbyt długo, uganiając się za zjawami, może z powodu pogody — nie wiem. To było przerażające. Nic ani nikt — czy ja, czy kto inny — nie mógłby ich pohamować. Spadli na obóz i wysiekli rabusiów do ostatniego.

Talia odetchnęła głęboko i ciągnęła dalej:

I nie tylko samych rabusiów — gwardziści wybili wszystko, co żyło w ich norze: mężów, kobiety i zwierzęta. Lecz i to okrucieństwo nie było rzeczą najgorszą, choć od niego włos stawał na głowie. Między zabitymi. . .

Talię zawiódł głos i list przejął Kyril. Czytał ochryple, niemal szeptem.

Między zabitymi leżały dzieci, któreśmy mieli nadzieję ocalić. Wszystkie. Ubite przez porywaczy, gdy przekonali się, iż nie ma co liczyć na litość gwardzistów.

Wstrząśnięci posłowie zamarli, szeroko otwierając szklane oczy, a Selenay płakała zupełnie się tego nie wstydząc.

Oskarżała siebie, że nie pomyślała o wysłaniu wypoczętych żołnierzy, którzy zastąpiliby kompanie gwardii, ani nie wyznaczyła kogoś zdolnego poskromić wojska bez względu na ich znużenie.

Zabójstwo dzieci nie było jedynym nieszczęściem, choć niewątpliwie stanowiło największą tragedię. W rzezi zatracono okazję zdobycia języka — wywieżenia się, kto stał na czele rabusiów, i czy nie działał z rozkazu wydanego spoza granic królestwa.

Upłynęło sporo dni, zanim Selenay przyszła do siebie.

Jedynym błogosławieństwem było to — przynajmniej dla Talii — że Orthallen okazał odrobinę zdrowego rozsądku i ustąpił nieco z pozycji nieprzejednanego orędownika oddania większej władzy w ręce gmin. Szczęśliwym zrządzeniem losu zrobił to w chwili, gdy poddanych lady Kester dotknęły spodziewane kłopoty z piratami i rabusiami wybrzeży i nadszedł czas wysłania przyobiecanych oddziałów na Zachód. Lecz nim jeszcze zdążyli oni dotrzeć do miejsca przeznaczenia, herold Nathan został poważnie ranny, stanąwszy na czele rybaków w potyczce z łowcami niewolników. Odskoczyło wieko jeszcze jednej, pełnej nieszczęść szkatuły.

Nathan pojawił się przed ich obliczem we własnej osobie, wbrew uzdrowicielowi protestującym, że jeszcze dostatecznie nie wydobrzał. Był już niemłodym,

lecz jeszcze niestarym mężczyzną, o ostrych rysach i brązowych oczach — nie wyróżniałby się niczym, gdyby nie pełne wyrazu oczy i gniew, który nim powodował, kiedy nie pozostało mu już nic innego. Nie mogąc ustać, usiadł przed obliczem całej rady, obwiązany bandażami, z jednym ramieniem unieruchomionym przy boku. Był tak słaby, że mówił niewiele głośniejszym od szeptu.

— Panie, panowie... — Zakaszłał. — Nie śmiałem zaufać nikomu. Posłańców można zwieść na manowce, dokumenty ukraść...

— Mój drogi heroldzie — powiedział uprzejmie Gartheser. — Myślę, że przesadzasz. Twe rany...

— Tego, co usłyszałem, nie wywołały majaki... — warknął Nathan, a gniew dodał mu nieco siły. — Wzięliśmy jeńca, szanowni posłowie. Przesłuchałem go osobiście i rzuciłem na niego zaklęcie prawdy, zanim padłem raniony. Ci bryganci są na usługach handlarzy niewolników, których, jak sądziliśmy, udało nam się wygnać!

— Co? — Lady Cathan zakrztusiła się, podrywając ze swego miejsca i bezwładnie opadła z powrotem na krzesło.

— Jest znacznie gorzej. Handlarze niewolników nie działają samotnie. Mam zeznanie jeńca i dowody na piśmie, że im pomagano i że działali z poduszczenia lorda Geoffery z Urwiska Szyszaków, lorda Nestora z Laverin, lorda Tawisa z Brengardu i braci gildii: Ostena Deverala, Jerarda Kamiennego Kowala, Petara Mistrza Pierścieni i Igana Pękniętego Stoku.

Opadł na swym krześle. W jego oczach zalśniła powściągnięta wściekłość, a rada zawrzała od wzajemnych oskarżeń.

— Jak mogło dojść do czegoś takiego bez twojej wiedzy Cathan? — domagał się wyjaśnień Gartheser. — O bogowie, zaczynam się zastanawiać, czy dość pilnie przykładałaś się ostatnio, wykorzeniając chwasty...

— Byłeś w pierwszym szeregu tych, co oskarżali mnie ostatnim razem, Gartheser — szydziła Cathan — ale, jak mi się wydaje, to właśnie między innymi ty nalegałeś, bym odwaliała brudną robotę. Jestem tylko kobietą i nie mogę być wszędzie naraz.

— Jednak nie mogę zrozumieć, jak to mogło umknąć twojej uwagi — protestował Hyron. — Wymieniona tutaj czwórka to pierwszorzędne nazwiska.

— A pozostała trójka jest lennikiem Kester — dorzucił podejrzliwie Wyryst. — Chciałbym się dowiedzieć, jak udało im się zawiązać zbrodnicze sprzysiężenie tuż pod jej nosem.

— Ja też — warknęła Kester — i to jeszcze bardziej od ciebie, jak myślę.

I tak w koło macieju. Podczas gdy Selenay była mediatorem w awanturze pomiędzy posłami, Talia miała pełne ręce roboty bacząc, by przy okazji tej kłótni

sama nie postradała zmysłów.

Wszystko to oczywiście nie pozwalało jej zająć się osobistymi kłopotami, zwłaszcza doprowadzeniem do zgody między Krisem, Dirkiem i nią. Jakby tego było mało, jeszcze Rolan dolewał oliwy do ognia, sprawiając jej przykrość swym zachowaniem.

Rolan był najwspanialszym ogierem w stadzie Towarzyszy. Podczas czeladniczej wyprawy Talii miał tylko jednego kompana, innego ogiera — Tantrisa, i teraz z nawiązką nadrabiał czas spędzony w przymusowym celibacie, najczęściej oddając się flirtom z Ahrodie, Towarzyszem Dirka.

A Talia była mimowolnym uczestnikiem wszystkiego — nie mogłaby się przed tym uchronić, nawet gdyby próbowała. Nie miała żalu do Rolana, Ahrodie była ładną, słodką, a przede wszystkim niezwykle ochoczą partnerką. Kto jak kto, ale Talia wiedziała o tym, bo przez cały czas łączyły ją z Rolanem więzi mocnej empatii i docierało do niej wszystko. Jednak udział w tych igraszkach co najmniej dwa, trzy razy na tydzień i fakt, że osobiście interesowała się Wybranym Ahrodie, stawał się powoli torturą. Rolan najwyraźniej nie miał pojęcia, o jakie katusze przyprawia swego Wybranego, a Talia wzbraniała się popsuć mu przyjemność, zwracając mu uwagę.

A więc płaciła za to jeszcze krótszym odpoczynkiem w nocy z powodu tego, co Rolan nieświadomie narzucał jej myślom, albo rozpaczliwie próbując we śnie upleść jakiś nieokreślony a bardzo istotny obiekt, który wciąż rozpruwał się pod jej dłoń.

Widywała Elspeth podczas ćwiczeń u Albericha, od czasu do czasu przy posiłkach, albo z Gweną na Łące Towarzyszy. Dziewczyna wydawała się nieco zagubiona, jakby nieśmiała, co jednak jest rzeczą zwyczajną w wieku dojrzewania — poza tym Talia nie wiedziała już, w co ma ręce włożyć. Tak więc nie czuła się o nią zaniepokojona, póki pewnego razu nie uzmysłowiła sobie, a złe przeczuć aż nabawiły ją dreszczy, że nie widziała dziewczyny od kilku dni, nawet na ćwiczeniach szermierczych.

Mógł to być zwyczajny zbieg okoliczności, jednak coś takiego należało bezwzględnie sprawdzić, więc Talia udała się na poszukiwania.

Odnalazła następczynię tronu w ogrodzie, w którym Elspeth zazwyczaj nie przesiadywała. Czytała książkę, i Talia doszła do wniosku, że być może dziewczyna pragnęła jedynie zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

— Jak się masz, kociaku — zawołała pogodnie Talia widząc, że Elspeth podrywa głowę na dźwięk jej głosu. — Czekasz na kogoś?

— Nie... nie, tylko znużyło mnie siedzenie w bibliotece... — Czy nie za-

wahała się przez ułamek chwili, zanim zaprzeczyła? — A niech mnie, ale jesteś ostatnimi czasy zajęta. Założę się, że nie słyszałaś, w jakie kłopoty wpędziła się ostatnio Tuli. Pęknieś ze śmiechu, zobaczysz. . .

Elspeth w rozmowie nie wychodziła poza plotki z kolegium, a potem odeszła mówiąc, że ma coś do zrobienia, zanim Talia zdążyła wziąć inicjatywę w swoje ręce.

To zdarzenie bardzo zaniepokoiło Talię, a kiedy zaczęła systematycznie tropić dziewczynę, sytuacja powtórzyła się. Wtedy Talię uderzyły osobliwe zmiany w zachowaniu Elspeth: tajemniczość, co wcale nie było do niej podobne, i wymijające odpowiedzi na pytania.

Wtedy Talia postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej określną drogą, rozmawiając z przyjaciółmi z kolegium i nauczycielami. To, co od nich usłyszała, zaniepokoiło ją w najwyższym stopniu.

— Niebiosa — powiedziała Tuli. Zaintrygowana podrapała się po kędzierzawej głowie. — Nie wiem, gdzie ona jest, zawsze mniej więcej o tej porze dnia gdzieś znika.

— Uhu! — zgodził się Gerond, tak mocno potakując, iż Talia przestraszyła się, że mu głowa odpadnie. — Tak jest ostatnimi czasy. Zamieniliśmy się obowiązkami i ma dla siebie jakąś markę na świecy. Ona nie cierpi mycia podłóg! Czy stało się coś złego?

— Nie. Ot, najzwyczajniej nie mogę jej dzisiaj złapać — odparła Talia, starając się zrobić to jak najobojętniej.

Jednak przestraszyła się bardzo. To byli najbliżsi przyjaciele Elspeth z kolegium. Ich słowa potwierdzały żywione przez nią obawy. W ciągu dnia Elspeth znikwała na około jedną markę na świecy, i nikt, jak się wydawało, nie miał pojęcia, gdzie się wtedy podziewa.

Najwyższy czas, by zasięgnąć języka u innego źródła — pałacowych służących.

Talia przycupnęła na ławie tuż obok zimnego kominka w Sieni Służby. Przyszła w odwiedziny do swych przyjaciół — zaprzyjaźniła się z wieloma służącymi jeszcze będąc uczniem w kolegium — a wołała nie ściągać niczyjej uwagi, wzywając ich do siebie. Dookoła niej siedziało z pół tuzina posługaczy, którzy należeli do najbystrzejszych i najbardziej zaufanych obserwatorów. Dwoje z nich, pokojówka Elise i masztalerz Ralf, wskazali winnych, kiedy grupa Błękitnych (albo inaczej wolnych słuchaczy) próbowała zabić ją, wrzucając w lodowate wody rzeki. Elise widziała powracających do pałacu ubłoconych napastników i ten widok uznała za bardzo dziwny; Ralf wcześniej dostrzegł całą grupę wążającą się w pobliżu stajni. Oboje donieśli o swoich spostrzeżeniach Elcarthowi, gdy rozeszła się wieść o zamachu na Talię.

— Doskonale — zaczęła Talia — mam kłopot. Elspeth znika gdzieś każdego popołudnia, a ja nie mogę dowiedzieć się ani gdzie, ani dlaczego. Mam nadzieję, że ktoś z was może coś o tym wie.

Po spojrzaniach, które zamienili między sobą, domyśliła się, że dobrze trafiła.

— To prawda, młoda Talio... — odezwał się Jan, jeden z najstarszych spośród zebranych, ogrodnik. Dla niego Talia zawsze była „młódką”. Kiedy kiwnęła głową, ciągnął dalej:

— Zadaje się ze zgrają młodego pana Joselina Corby’ego, niezgorszych obwiesiów.

— Obwiesiów! — prychnęła Elise. — Gdyby nie szlachetni ojcowie, dawno przepędzono by ich do domów za obłapywanie każdej dziewczki, jaką tylko uda im się zdybać znieścacka. — „Dziewka” oznaczała tutaj „pokojówkę”. Gdyby Elise zamierzała powiedzieć, że młodzi mężczyźni obrażali inne kobiety, użyłaby określenia „panienki”. Słaba to była pociecha, jej słowa świadczyły jedynie o tym, że ograniczali swe niewczesne umizgi do kobiet, które nie miały odwagi zbytnio protestować.

— Powiadają — dodała inna pokojówka — że w rodzinnych domach nawet obłapiania im mało.

— To znaczy? — zapytała Talia. — Wiecie, że nie doniosę o tym nikomu.

— Ha, zważcie pani, że to ledwie opowieści, ale zasłyszane od ich własnych ludzi — to czysta rozpusta.

Oprócz naprzykrzania się własnej służbie domowej, zdawało się, że „zgraja Corby’ego” miała skłonności do zupełnie niezabawnych psot. Podcięty popręg przed niebezpiecznym polowaniem trudno było nazwać dobrym dowcipem, zwłaszcza gdy omal nie doprowadził do śmierci. W grupie owej dorastającej młodzieży byli bracia i siostry tych, którzy dopuścili się próby zabójstwa Talii.

Lecz — co do tego wszyscy byli zgodni — Elspeth nie uczestniczyła w żadnym z ich przedsięwzięć, a była jedynie obiektem wyszukanych umizgów, co, jak każda nowość, sprawiało jej wielką przyjemność. Jednak z czasem mogli nakłonić ją do popełnienia nierozważnego czynu, by potem szantażem zmusić do większego zaangażowania.

Rozsądek Elspeth strzegł ją dotąd, jednak Talia bała się, że na dłuższą metę może to okazać się niewystarczające. Sytuacja wymagała zdecydowanych środków zaradczych.

Starła się obserwować dziewczynę, ale sprytnej Elspeth zawsze udawało się wymknąć. Raz czy dwa razy próbowała musnąć powierzchnię jej umysłu, jednak osłony Elspeth były zbyt dobre, by Talia mogła odczytać cokolwiek, nie uciekając się do przemocy.

Musiała coś zrobić, bo szamotanie się w trójkącie pomiędzy Elspeth, Krisem i Dirkiem doprowadzi ją do szaleństwa. Postanowiła najpierw wyjaśnić sprawę tajemniczego zachowywania się Dirka, ponieważ najłatwiej było jej zbliżyć się

do niego, a skoro nie rozmawiał z Krisem, pozostało jej jedynie poprosić o pomoc swego brata krwi, Skifa.

— Jestem tak samo zbity z tropu jak ty, młodsza siostrzyczko — przyznał Skif, nerwowo przyglądając ciemne loki. — Nie mam bladego pojęcia, dlaczego Dirk robi z siebie takiego osła.

— O Panie i Pani — jęknęła Talia, pocierając skronie i opadając bezsilnie na stary fotel w komnacie Skifa. — Łudziłam się, że zwierzył się z czymś przed tobą. Byłeś moją ostatnią nadzieją! Jeśli to się szybko nie wyjaśni, sądzę, że oszaleję, robiąc przy tym sporo hałasu!

Kiedy w końcu poddała się, zaprzestała samodzielnych prób uporania się z Dirkiem i zwróciła się o pomoc do Skifa, ten zaprosił ją do swojej kwatery. Do tej pory Skif odwiedzał ją kilkakrotnie, jednak ona widziała jego komnatę po raz pierwszy.

Komnata Skifa była taka, jak on sam: schludna. Wypełniała ją dziwaczne uzbrojenie i mnóstwo ksiąg. Ostatnio Talia nie mogła poświęcać zbyt wiele czasu na porządkowanie własnych komnat, i to miejsce wydało się jej spokojną przystanią w morzu chaosu. Było tu tylko jedno okno, jednak wychodziło na Łąkę Towarzyszy, której widok zawsze działał kojąco.

— Porozmawiamy najpierw o najważniejszym, o łączącej was więzi. Kris miał rację — to więź życiowa; i Dirk jest nią oczywiście także spętany. Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Widać to z jego oczu, gdy na ciebie spogląda.

— Spogląda na mnie? Kiedy? Przestałam go widywać! Od kiedy pokłóciliśmy się, cały swój czas spędza brodząc w błocie.

— Z wyjątkiem posiłków. Za każdym razem, kiedy ty jadasz w kolegium, on gapi się na ciebie tak, że ledwie co skubnie. Myślę poza tym, że na pamięć zna rozkład twojego dnia. Jeśli tylko istnieje szansa, że będziesz przechodzić pod oknem, zawsze znajdzie jakieś wytłumaczenie, żeby znaleźć się przy nim. — Skif niespokojnie krążył tam i z powrotem po swej komnacie, z dłońmi założonymi na plecach. — Z wyczerpania jest cienki jak nić. Dlatego chciałem o tym porozmawiać z tobą u mnie na osobności.

— Nie wiem, jak miałabym mu pomóc, skoro ten człowiek nie pozwala mi nawet zbliżyć się do siebie.

— Wspaniale!

— Zachowuje się tak, jakbym roznosiła zarazę. Próbowалаm się z nim spotkać. Nie dopuścił do tego, i to jeszcze przed kłótnią z Krisem. Teraz jest nawet gorzej.

— O Nieba, a to ci bałagan! — Skif smętnie potrząsnął głową. — Ani słówkiem nie piśnie. Nie wiem, dlaczego tak się zachowuje. Jednak mam tego dość, a wiem, że i ty już odchodzisz od zmysłów. Najwyższy czas, byśmy wywlekli wszystko na światło dzienne. Jako że on nie chce rozmówić się z tobą, zamierzam dopilnować, by porozmawiał ze mną. Wszystko wyjaśnię, gdy tylko uda mi się go przydybać. Niech mnie licho, jeśli tego nie zrobię, choćbym musiał zapędzić go

w kozi róg, kradnąc w łaźni odzienie! Doprowadzę do zgody między nim, Krisem i tobą, nawet jeśli będę musiał związać was razem w pęczek!

Żadne z nich nie wzięło pod uwagę kaprysów losu.

Od tygodnia Dirk zmagał się z czymś, co jak myślał, było lekkim przeziębieniem — jedną z wielu przypadłości, która właśnie dziesiątkowała zarówno ludzi na dworze, jak i w kolegium. Z przekory ani myślał zatroszczyć się o siebie, bez przerwy uciekając przed Krisem i Talia, co rusz wybiegał w tę okropną pogodę. Najdziwniejsze było to, że liche samopoczucie nie przeszkadzało mu, bo skupiając uwagę na swych przypadłościach mógł mniej myśleć o nich dwojgu. Udręka fizyczna przynosiła ukojenie dręczących uczuć.

Tak więc dzień w dzień wychodził na lodowaty deszcz i najczęściej wracał przemoczony do szpiku kości, czym w ogóle się nie przejmował, jedynie zmieniał odzienie. Dodatkowa udręka emocjonalna kosztowała go więcej, niż ktokolwiek — nie wyłączając jego samego — sobie to uzmysławiał.

Nadszedł środek tygodnia i Talia jadła wieczerzę w kolegium, zamiast na dworze. Ani na chwilę nie spuściła wzroku z Dirka. Spoglądała na niego kątem oka z nadzieją, że Skifowi uda się spełnić obietnicę. Bała się, bardzo się bała. Dirk był blady jak kreda, nawet jego uszy były białe. Co rusz pocierał czoło, jakby go głowa bolała. Widziała, że wstrząsają nim dreszcze, choć napalono w komnacie. Wydawało się, że nie potrafi śledzić rozmów prowadzonych dookoła niego; nie mógł powiedzieć dwóch słów, by nie chwycił go atak kaszlu.

Talia dostrzegła, że i Kris mu się badawczo przygląda, zatroskany tak jak ona.

Dirk odsunął od siebie talerz, nie zjadłszy zbyt wiele. Wydawało się, że Kris powziął w końcu jakąś decyzję. Najwyraźniej zebrał się na odwagę, podszedł i usiadł obok przyjaciela. Coś do niego powiedział. Dirk odpowiedział jedynie potrząsając głową i wstał. Ugięły się pod nim nogi i Kris musiał go podtrzymać.

Kris powziął decyzję. Miał już tego wszystkiego powyżej uszu. Nie mógł znieść widoku przyjaciela zamartwiającego się na śmierć. Na dodatek w ciągu minionych kilku tygodni doszedł do pewnych pożałowania godnych wniosków. Usiadł obok Dirka, zanim spostrzegł on jego obecność w komnacie, i wyrzucił z siebie, to co miał do powiedzenia, tak szybko, że Dirk nie miał nawet szans na ucieczkę.

— Myliłem się, myliłem się ufając tak bardzo memu wujowi, myliłem się nie dowierzając tobie, popełniłem błąd wywlekając przed nim twoje prywatne sprawy. Przepraszam! Przebaczysz mi, czy będę musiał rzucić się z wieży w rozpacz?

Dirk nieznacznie drgnął, gdy Kris zaczął mówić prosto do jego ucha, ale nie

odsunął się. Słuchał z ulgą, lekko rozbawiony, a na końcowe uniesienie potrząsnął głową z nikłym uśmiechem. A potem wstał. . .

I komnata poczerniała mu przed oczami, kiedy ugięły się pod nim kolana.

Pół tuzina nauczycieli i heroldów rzuciło się na pomoc Krisowi, który łapał swojego przyjaciela. Usadowili Dirka na krzesle, nie słuchając słabych sprzeciwów, że nic mu nie jest.

— Ja. . . — Zakaszłał przeraźliwie. — Zakręciło mi się w głowie. . . — Zgiął się w napadzie kaszlu, nie mogąc wydusić z siebie słowa, ledwie nabierając powietrza do pruć.

— Jeszcze czego! — odparł Teren, przykładając mu dłoń do czoła. — Człowieku, ty płoniesz. Ani myślę wysłuchiwać tych głupstw. Marsz do uzdrowicieli!

Zanim Dirk zdążył nabrać dość tchu, by móc się sprzeciwić, Teren przełożył sobie jego ramię przez bark, a niezwykle zaniepokojony Kris zrobił to samo z drugiej strony. Pozostali otoczyli całą trójkę, odcinając wszelką drogę ucieczki, i pod tą eskortą Dirk został odprowadzony do drzwi.

Kiedy dotarli do celu, Dirkowi zaczęło tak rzezić w piersi, że nie było cienia wątpliwości, co mu dolega. Uzdrowiciele umieścili go w odosobnionym pokoju i przepędzili wszystkich; więcej nic już nie można było dla niego zrobić.

Kiedy pod Dirkiem ugięły się nogi, Talia poszarzała na twarzy i nie tknęła wieczerzy, czekając na powrót Krisa.

Kris w końcu pojawił się w drzwiach i wszyscy znajdujący się w komnacie otoczyli go, pragnąc dowiedzieć się, co usłyszał od uzdrowicieli.

— Powiedzieli, że to zapalenie płuc i że zanim zacznie się poprawiać, jego stan znacznie się pogorszy — odparł tak donośnie, że słowa z łatwością dotarły od wejścia do ławy, na której siedziała Talia. — I że przez dzień, albo dwa, nie pozwolą nikomu się z nim widzieć.

Talii wyrwał się z piersi zduszony szloch. Zerwała się ze swojego miejsca, na ślepo odsuwając się od stołu. Ludzie zebrani wokół Krisa uniemożliwiali wyjście przez drzwi, które znajdowały się najbliżej. Potknęła się dwa razy przy przekraczaniu ław, by uciec do swej izby drzwiami, które znajdowały się po przeciwnej stronie. Biegła przez całą drogę: korytarzami kolegium, przez podwójne drzwi do Skrzydła Heroldów, po krętych, spiralnych stopniach mrocznej klatki schodowej, która wiodła do jej kwatery na wieży. Rzuciła się na kanapę w zewnętrznej izbie, łkając z rozpacz, jakiej nie czuła od czasu owej okropnej chwili, jaką przyszło jej spędzić w Stanicy. . .

Nie zamknęła za sobą drzwi, nie była w stanie wsłuchiwać się w otaczające ją dźwięki. Uzmysłowała sobie, że nie jest sama dopiero wtedy, gdy ktoś usiadł obok niej. Nie wiadomo, skąd domyśliła się, że były to Keren i Sherrill.

Próbowała opanować się, jednak po pierwszych słowach Keren — z których

przebijała tak głęboka miłość, że nie dowierzała własnym uszom — Talia rozkleiła się całkowicie.

— Mały centaurze, serce, cóż jest powodem takiego powitania?

Keren odezwała się w swym rodzinnym dialekcie, co przytrafiało się jej niezmiernie rzadko, a zazwyczaj w rozmowach ze swym bratem bliźniakiem lub towarzyszką życia — w chwilach największego wzruszenia.

Ostatnie zapory pękły, Talia odwróciła się z wdzięcznością do Keren i płakała gorzko na jej ramieniu.

— Wszystko potoczyło się na opak! — Szlochwała. — Elspeth nie rozmawia już ze mną, a ja wiem, że na coś się zanosi... coś, co ukrywa zarówno przed Selenay, jak i przede mną... a ja nie mogę dowiedzieć się co! No i Dirk i Kris na dodatek... Pokłóciliśmy się i też nie chcą ze mną rozmawiać... i... i teraz Dirk zachorował. To jest ponad moje siły! O bogowie, zawiodłam na całej linii!

Keren roztropnie milczała, pozwalając płynąć rozpaczliwym słowom i łzom, póki same się nie wyczerpały. Sherrill tymczasem na palcach obeszła izbę, zamykając drzwi i zapalając świece, bo zaczynało być już coraz ciemniej. Skończywszy, usiadła u stóp Keren i czekała.

— Jeśli chodzi o Elspeth nic nie mogę poradzić — powiedziała zamyślona Keren, kiedy Talia uspokoiła się na tyle, że mogła uważniej słuchać. — Ale gdyby nam groziło naprawdę coś złego, Gwena nieuchronnie zwróciłaby się o pomoc do Rolana, i ty zwiędziałybyś się o tym.

— Nie pomyślałam o tym. — Talia strapiona swym brakiem rozsądku, nie odrywając głowy od ramienia Keren popatrzyła w górę, napotykając jej wzrok.

— A miałaś powody? Dotąd nie dostarczała ci trosk. — Keren prawie się uśmiechnęła.

— Nie potrafię jasno myśleć. Nie, to nieprawda — wcale nie potrafię myśleć! Wiem, że to źle, ale... Keren, nie wiem, czy na długo starczy mi cierpliwości z Dirkiem i się do cna nie rozkleję. Chwilami tak bardzo chciałabym być razem z nim, że już chyba umrzeć byłoby łatwiej!

Keren westchnęła.

— Więż aż do śmierci, nieprawdaż? Weźmy Dirka do tego... Bogowie, a to ci dopiero węzeł! Ha, oto wyjaśnienie jego szaleństwa, jak nic. Pani jedynie raczy wiedzieć, jakąż to postrzelona myśl wpadła temu chłopcu do głowy, ale wszystko mu się w niej poplątało, to pewne.

— Wiadomo, jak to może wyglądać: agonია. — Sherrill podniosła się ze swojego miejsca. Usiadła obok Talii i otoczyła ją ramieniem, wspólnie z Keren próbując podnieść ją na duchu. — To piekielna udręka, szarpie tobą uczucie, którego nie można się wyprzeć, ani też skierować na nic innego. Czy ktoś pomaga ci to wszystko wyjaśnić?

Widząc, jak Talia kiwa głową, Keren odęła wargi w zamyśleniu.

— Doprawdy nie wiem, jak mogłabym ci pomóc, centaurku. Wpierw trzeba by zmusić Dirka i Krisa do rozmowy ze sobą, a potem nakłonić Dirka, by i w twojej sprawie wreszcie coś zdecydował. Miejmy nadzieję, że to pierwsze już mamy za sobą. Jednak jeśli chodzi o to drugie... Jedyne, co przychodzi mi na myśl to, że on coś po drodze opacznie zrozumiał i teraz goni w piętę. Czas, Kochanieńka, czas jedynie temu zaradzi.

— Oby tylko starczyło mi sił... — Talia z wysiłkiem starała się opanować. Keren wraz z Sherrill tuliły ją i długo pocieszały, otaczając głębokim uczuciem miłości.

— Wiesz, że to rozumiemy, Kochana — w końcu Sherrill odezwała się w imieniu ich obojga. — Któżby jak nie my? A teraz przejdźmy do czegoś innego, zaigiełyśmy parol, byś znowu się uśmiechnęła.

I razem z Keren na zmianę zaczęły opowiadać najśmieszniejsze historyjki, jakie tylko przychodziły im do głowy — przeważnie o tym, co działo się w kolegium podczas nieobecności Talii. Niemało z nich można by uznać za oszczercze, a wszystkie przynajmniej za nieprzystojne. Talia ogromnie żałowała, że nie mogła widzieć poważnego i wyniosłego Kyrila, jak wychodzi ze stawu rybnego z pasmem wodorostów za uchem. Wspólnymi siłami udało im się szybko zmusić ją do śmiechu i nieco uwolnić z dręczącego ją napięcia.

W końcu Keren skinęła do swej przyjaciółki i uściśnęła Talię serdecznie.

— Myślę, że rozbawiłyśmy cię dostatecznie, byś mogła przetrwać noc — powiedziała starsza kobieta. — Czy tak?

— Tak myślę — odparła Talia.

— Zatem pozwól, by jutrzejszy dzień zatroszczył się sam o siebie, i smacznie zaśnij — doradziła jej Keren, po czym razem z Sherrill oddaliły się tak cicho, jak przyszły.

Talia wróciła do swej sypialni i zzuła uniform. Przebrała się do snu, lecz zmieniła zamiar, owinęła się w powłóczytą szatę i usiadła na kanapie z książką w ręku. Musiała mimowolnie się zdrzemnąć, ponieważ następną rzeczą, z której zdała sobie sprawę był widok Krisa stojącego obok kanapy i delikatnie dotykającego jej ramienia, by ją obudzić, oraz dopalających się w świecznikach ogarków świec.

Kogo jak kogo, ale jego nie spodziewała się zobaczyć.

— Kris! — wykrzyknęła radośnie, a potem strach przepłoszył z jej twarzy radość. — Czy Dirk czuje się gorzej? — zapytała, czując jak krew odpływa jej z twarzy.

— Nie, ptaszyno, nie czuje się gorzej. Właśnie stamtąd przychodzę. Śpi, a uzdrowiciele powiadają, że wyzdrowieje za tydzień lub dwa. Znowu jesteśmy przyjaciółmi. Pomyślałem, że chętnie o tym usłyszysz. Chciałbym pogodzić się i z tobą.

— Och, Krisie... ja... ja nigdy w życiu nie czułam się tak bardzo nieszczęśliwa-przyznała się. — Byłam tak wściekła na ciebie, że poprzysięgam sobie nie

odzywać się do ciebie, póki nie przyjdiesz i nie przeprosisz mnie, jednak z powodu dumy nie warto niszczyć przyjaźni.

Wyraz jego twarzy złagodniał, a Talia uzmysłowiła sobie, że z niepokojem czekał na jej odpowiedź.

— Ja też w życiu nie czułem się tak kiepsko, ptaszyno. I do tego nigdy nie miałem takiego poczucia, że uczyniłem z siebie durnia.

— Nie jesteś durniem. Twój wuj jest. . .

— Mój wuj jest inny niż myślałem — wpadł jej w słowo. — Muszę cię przeprosić, tak jak przeprosiłem Dirka. Nie miałem racji. Nie jestem pewny, o co tu chodzi, lecz on naprawdę stara się podważyć twój autorytet. Usiłował oderwać mnie od ciebie. Niejednokrotnie zdobywałem wieści od ludzi nie mających się na baczności i powinienem się domyślić, że on postępuje ze mną tak samo. . . Zrozumiałem to jednak dopiero niedawno. Zaczął być zanadto gorliwy i nie udało mu się zamaskować swych zamiarów. — Na twarzy Krisa odmalował się niepokój. — Mam nadzieję, że nie miał zamiaru krzywdzić Dirka, lecz niestety nie jestem tego całkowicie pewny. Żałuję, iż nie mogę przejrzeć, jaką prowadzi grę. W tej chwili, gdyby przyszło mi snuć domysły, powiedziałbym, że pragnie odzyskać utraconą pozycję najbliższego doradcy Selenay i odsunąć mnie od heroldów, tak by uczucie lojalności wobec rodziny przeważało odrobinę nad moją lojalnością wobec Kręgu. To ty miałaś rację, a ja się myliłem.

— Ja. . . mnie jest niemal przykro słyszeć takie słowa od ciebie. — Światło świec zamigotało. Lekki podmuch wiatru z uchylonego okna szarpnął ich płomieniem i poruszył lekko włosami Krisa. Talia zapatrzyła się w smutną twarz przyjaciela. — Co wpłynęło na zmianę twojego zdania?

— Wuj stał się zbyt napastliwy po naszej kłótni; tak jak powiedziałem, karcił mnie nowinami o tobie i czynił nazbyt wiele przytyków do Dirka. Miałaś rację, on czuje do ciebie urazę, choć nie mam pojęcia dlaczego. Myślę, że wykorzystał tę historię ze zwojami, by uderzyć w ciebie poprzez Dirka. . . i by wbić klin pomiędzy niego a mnie. Łudzę się jedynie, że sam nie uknuł takiej intrygi.

W porywie gniewu chciała niemal krzyknąć, że Orthallen nie przez przypadek upuścił zwoje pergaminu i z pewnością uknuł wszystko od początku do końca, jednak postanowiła trzymać język za zębami. Kris pragnął tej rozmowy, lecz dalsze oskarżenia mógłby uznać za zbyt obsesową próbę osiągnięcia celu i zamknąć się w sobie.

— Muszę przyznać, że nie wiem, co o tym sądzić. Cieszę się, że zacząłeś myśleć podobnie jak ja, lecz przykro mi, iż stałeś się nieufny wobec swego wuja.

— Niech ci nie będzie przykro, to nie jest twoja wina, lecz jego.

— Ha, po raz pierwszy od tygodni wydarzyło się coś dobrego, cieszę się, że znów jesteśmy przyjaciółmi.

Usiadł ze swobodą na podłodze obok kanapy.

— Ot, znowu jestem. Tęskniłem do rozmów z tobą, a co do tego, że wszystko

toczy się na opak. . . to ja o tym nic nie wiem. — Uśmiechnął się drwiąco. — Nie da się ukryć, że świetnie mi doradziłaś, jak uporać się z Nessą.

— Miałam zamiar zapytać cię o to — odparła, wdzięczna, iż z taką łatwością wrócił do zwyczaju nieskrępowanej rozmowy. — Zdaje się, w tych dniach właśnie zajęta jest pościgiem za Skifem.

Westchnął i omdlał jak aktor w niemej scenie najwyższego strapienia.

— Gdy tylko udało jej się ze mną, przystąpiła do dalszych podbojów. O, perfidio kobiet! Kiedyż ja się wreszcie nauczę? Serce me złamane na wieki!

— Po raz pierwszy słyszę, by wieczność trwała tyle, ile zabiera ugotowanie jajka na twardo — odparła Talia z kwaśną miną.

— O, znacznie mniej, zapewniam. Nie omieszkałem skorzystać z okazji i szepnąłem Skifowi słówko o stałości Nessy. Teraz on wydaje się wysoko cenić jej niezaprzeczalne uroki. A więc poznał sposób, jak nie osłabiać jej uwagi — to znaczy być nieprzystępnym — i całkiem możliwe, że Nessa stanie się myśliwym w skórze ściganego zwierzęcia.

— Jak to powiedział starzec o zaręczonej parze w Pięciu Drzewach. . . Pamiętasz?

Kris wykrzywił twarz, nieźle imitując pomarszczone wiekiem oblicze starca.

— Pon niech wama pomoże, heroldzie! — zaskrzeczał. — Uganiał jeją? Dyc tak było, dyc — aże ona onego capnęła!

Talia uśmiechnęła się tęsknie.

— Przeżyliśmy sporo miłych chwil, prawda?

— Będzie ich więcej. Nie obawiaj się, ptaszyno. Rozetnę ten węzeł, gdy tylko uzdrowiciele pozwolą mi zbliżyć się do Dirka. Wiesz, może nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: przynajmniej nie będzie mógł uciec przede mną, ani wynaleźć niczego, czym musiałby się zająć bez zwłoki, i miejmy nadzieję, że uwierzy w to, co mu powiem.

Wstał do wyjścia, a Talia z wdzięczności delikatnie pogłaskała go po rękę.

— Uszy do góry, ptaszyno. Wszystko będzie dobrze. Zawsze mogę domieszać Dirkowi napój miłosny do jego lekarstw! — Mrugnął do niej i zbiegł lekko po schodach.

Talia roześmiała się, znacznie spokojniejsza. Wstała odkładając książkę na stolik obok kanapy, wolno obeszła izbę i zgasiwszy świece, położyła się do łóża z radośniejszym sercem i umysłem.

Kiedy Talia obudziła się następnego ranka, ujrzała otaczający ją świat w korzystniejszych barwach i poczuła przyływ sił, by zmierzyć się z gnębiącymi ją utrapieniami. A ponieważ Dirk znalazł się poza jej zasięgiem, logicznie rozumując, należało przystąpić do rozstrzygnięcia sprawy Elspeth.

Talia zagięła parol, że tym razem Elspeth jej się nie wywinie i dziś przyprze ją do muru w sprawie jej postępowania. Większość dnia zajęło jej zebranie rady i pełnienie obowiązków dworskich. Na lekcję fechtunku spóźniła się o włos i już

nie zastała tam Elspeth. Próbowała wytropić ją po wieczerzy, jednak Elspeth znów udało się wywinąć. Nie miała wątpliwości, iż tym razem nie był to przypadek, ale umyślny unik.

Talia była poważnie zaniepokojona. Instynkt podszeptował jej, że zbliża się punkt kulminacyjny. Całkowicie odłoniła swój umysł, na próżno starając się odnaleźć miejsce pobytu dziewczyny, gdy nagle jej zmysły odebrały pilne wezwanie, od — nie sposób było pomylić nadawcy — Rolana. Czując, że w piersi zamiera jej serce, opuściła kolegium i rzuciła się biegiem w stronę łąki. Kiedy dotarła do ogrodzenia uzmysłowiła sobie, że ziściły się jej najgorsze obawy. Czekają tam na nią, nieruchome jak dwa posągi lśniące w świetle księżyca, Rolan i Gwena Elspeth.

Obrazy, jakie jej przekazały — zwłaszcza Gwena — były chaotyczne i rozmazane, pełne jednak niepokoju dręczącego Towarzysza Elspeth. Talia dotknęła szyi ich obojga i skupiła się. W końcu udało jej się odebrać serię wyraźniej szych obrazów. . . Wszystkie obracały się wokół osoby Orthallena i młodego dworzani- na pozostającego na jego usługach, należącego do „zgrai Corby’ego”. Planowali okryć Elspeth niesławą!

Nie zawahawszy się nawet na ułamek chwili, wskoczyła na grzbiet Rolana. Rzucili się galopem w stronę ogrodzenia, które oddzielało łąkę od stodoł i stajni dla zwykłych koni. Gwena ledwie mogła dotrzymać im kroku. Biorąc przeszkodę, przefrunęli nad nią jak para olbrzymich, śnieżnobiałych ptaków, i popędzili wprost do stodoły z sianem. Rolan zarył się kopytami w ziemię, lecz nawet nie zdążył znieruchomieć a Talia już zeskoczyła z siodła.

Kiedy biegła do stodoły, usłyszała w ciemności pomruk młodego, męskiego głosu. Otworzyła drzwi z mocą o jaką siebie nie podejrzewała.

W świetle księżyca ujrzała tę parę i z ulgą spostrzegła, że pomiędzy Elspeth a jej niedoszłym kochankiem sprawy nie zdążyły jeszcze zajść za daleko. Młody człowiek był wstrząśnięty nagłym pojawieniem się Talii, a Elspeth nic po sobie nie okazywała, nawet jeśli czuła się tak samo.

— Czego chcesz? — zapytała stanowczo, dumnie wzbraniając się ściągnąć poły kubraku tam, gdzie został rozsznurowany.

— Chcę uchronić cię przed błędem, jaki popełniła twa matka — odparła chłodno Talia — biorąc piękne słowa za oznakę wzniosłego umysłu, a przystojne oblicze — szlachetnego serca. Temu oto młodemu pawiowi nic innego nie chodzi po głowie, jak postawić cię w sytuacji bez wyjścia, przed wyborem: małżeństwo lub hańba dla ciebie, twej matki i całego królestwa.

— Mylisz się! — Elspeth broniła gorąco młodzieńca. — On mnie kocha! Powiedział mi to!

— I ty uwierzyłaś mu, pomimo że nawet twój Towarzysz nie chciał z tym mieć nic do czynienia? — Twarz Talii zbieleła z wściekłości. Elspeth ani się śniło słuchać głosu rozsądku. Doskonale zatem, nieodparte dowody zdrady posypią się

jak z rogu obfitości.

Talia bezlitośnie wdarła się w myśli młodego dworzanina; mózg tego drobnego krętacza nie mógł się równać z umysłami, których była zmuszona dotąd dotykać swymi zmysłami, ale i tak ich obmierzła przebiegłość wywołała dreszcz na jej skórze. Zanim Elspeth połapała się, co się dzieje i zdążyła obronić swój umysł, Talia wciągnęła i ją do wspólnego kręgu myśli, zmuszając, by przekonała się osobiście, co naprawdę chodzi po głowie temu, który zapewniał, iż jej dobro leży mu na sercu.

Z okrzykiem obrzydzenia Elspeth oderwała się od niego i uciekła pod przeciwległą ścianę stodoły, a Talia pozwoliła jej myślom wyrwać się z tej przymusowej więzi. Z młodym strojnisiem nie obeszła się tak pobłażliwie. Zmiażdżyła jego umysł w żelaznym uścisku swych zmysłów i bez skrupułów karmiła go łąkami, podczas gdy on w niemym przerażeniu nie mógł oderwać od niej szeroko otwartych oczu.

— Nie powiesz o tym nikomu — rozkazała, wypalając słowo po słowie w jego mózgu. — Ponieważ jeśliśbyś śmiał to zrobić, nigdy nie będziesz mógł zasnąć, bo przymykając swe kaprawe oczy, ujrzałbyś to. . .

Dotarła do najgorszych koszmarów, jakie kryły się w jego pamięci, i cisnęła mu je w twarz, a potem brutalnie odwołała się do paraliżujących obaw, by także i nimi go nakarmić. Skomlał i płaszczył się u jej stóp, póki raptownie nie rozerwała obłądnego kręgu myśli, w jakim zamknęła jego umysł.

— Wynocha! — ryknęła. — Wynoś się do posiadłości swego ojca i nigdy nie wracaj!

Umknął, nie obejrzawszy się ani razu za siebie. Odwróciła się, by stanąć twarzą do Elspeth, próbując zdusić w sobie gniew i opanować przyśpieszony oddech.

— Miałam o tobie lepsze mniemanie. — Słowa padały jak bryłki lodu. — Sądziłam, iż twe poczucie smaku nie dopuści, byś zezwoliła takim osobom jak ten na obmacywanie siebie.

Elspeth płakała tyleż ze złości, co ze zgrzyoty.

— Piękne słowa, jak na Dziewicę heroldów — wypluła z siebie. — Najpierw Skif, potem Kris. . . a teraz kto? Dlaczegoż to mnie nie wolno mieć własnych kochanków, tak jak tobie?

Talia zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w jej dłonie.

— Myślę, że to odezwał się Bachor — odparła — nędzna suka, marząca o zaszczytach przynależnych dziedzicze tronu, lecz której na myśl nawet nie przyjdzie, iż wiąże się to z odpowiedzialnością. O, Hulda wpoila ci swe nauki głęboko: łap, co jest pod ręką, by przywłaszczyć sobie; zabieraj ile możesz; myśl jedynie o sobie i furda z tymi, którzy ucierpią z powodu twoich postępów — niech pójdą do licha, wszak tyś następczynią tronu i twe słowo jest teraz prawem, czy też powinno być! Nieprawdaż? A jeśli by ktoś śmiał nakłaniać cię, byś spojrzała na to rozsądniej, ciśnij mu w twarz, co najgorszego o nim zdołasz wygrzebać z bagni-

ska, by z obawy nawet nie ośmielił się powstrzymać cię od robienia tego, na co masz ochotę. Ha, ze mną ci się to nie uda, młoda kobieto. Bo wbrew wszystkiemu ja mogę wpuszczać do swej łóżnicy mężów, kobiety, a nawet *chirra*, bo ja nie jestem następczynią tronu. Jak się zdaje, łatwo puściłaś w niepamięć, iż to ty obejmiesz tron po śmierci swej matki. Możliwe, że dla dobra kraju będziesz musiała wstąpić w związek małżeński i uchronić nas przed potężnym wrogiem — wszak o to chodzi w układach z Alessandarem w imieniu Ancara. Czy o tym też już nie pamiętasz? Nikt nie będzie ciebie chciał; nikt nie będzie szanował naszego królestwa po igraszkach z intrygantem tak nikczemnego gatunku jak ten. Ja przynajmniej, nie pozwoliłam sobie na intymny związek z nikim, kto wzbraniałby dzielić się ze mną swymi myślami. On nie pozwolił ci na to, nieprawdaż? Czy nawet to nie wzbudziło w tobie choćby cienia podejrzeń? Na Piersi Bogini, dziewczyno, co przyćmiło twój zdrowy rozsądek? Twój Towarzysz nie chciał mieć z nim nic do czynienia! I nawet to nie było dla ciebie wymownym świadectwem? Do krośset, jeśli tak gorączkowo rozglądasz się, by poczuć chłopa między nogami, to dlaczego nie wybierzesz szkolnego kolegi, albo kogoś z kolegium? Przynajmniej nie zdradzą się z tym przed nikim, wiedząc, kiedy należy trzymać język za zębami.

Elspeth rozplynęła się we łzach.

— Odejdź! — Szlochala. — Zostaw mnie! To wcale nie o to chodziło! Ja myślałam... myślałam... że on mnie kocha! Nienawidzę ciebie... i nie chcę cię nigdy widzieć!

— Cieszę się niezmiernie — warknęła Talia. — Wstyd mi, że zmarnowałam tyle czasu, próbując służyć pomocą przekłętemu głupcowi.

Opuściła stodołę sztywnym krokiem, wskoczyła na grzbiet Rolana i wróciła do pałacu, nie raczywszy ani razu spojrzeć za siebie.

Jednak nie przebyła nawet połowy drogi, a już żałowała połowy tego, co powiedziała.

Talia pełna poczucia winy, opowiedziała o wszystkim Selenay.

Zastała królową w jej osobistych komnatach — gdzie surowość umeblowania była dokładnym przeciwieństwem przepychu izb oficjalnych — otuloną w długą, aksamitną szatę, niemal tak sędziwą jak kanapa, na której się kuliła. Talia stanęła przed nią, nie mogąc spojrzeć jej w oczy i opowiedziała do końca gorzką historię.

— Selenay, nie narobiłabym gorszych szkód, nawet działając według starannie ułożonego planu — zakończyła, trąc dłonią skroń, gotowa wybuchnąć płaczem ze złości. — Jestem takim samym głupcem jak Elspeth. Pozwoliłam, by cała nauka poszła w las, ulegając emocjom i całkowicie tracąc panowanie nad sobą. Może lepiej odesłać mnie na powrót do kolegium razem z małymi dziećmi.

— Poczekajże no chwilkę. Nie jestem pewna, czy zareagowałaś niewłaściwie.

Może jednak postąpiłaś słusznie — powiedziała zamyślona królowa. W jej dużych oczach odbijał się blask świec. — Siadaj i wysłuchaj mnie. Przede wszystkim: dotąd obchodziliśmy się z Elspeth łagodnie i nie dopuszczaliśmy, by spotykała się z uczuciowym szantażem oraz dwulicowością, która — jak obydwie wiemy — jest chlebem powszednim dworu. Ha, teraz dostała nauczkę. Poznała, że fałsz może ukryć się pod gładkim obliczem, i nic w tym złego. Została skrzywdzona i przestraszona, lecz to tylko utrwali tę lekcję. Uważam twoją ocenę za właściwą — to doświadczenie uchroni ją przed popełnieniem mojego błędu. Choć nie powiem, byś nie uniosła się z nadmiarem i nie powiedziała kilku niepotrzebnych słów, jednak myślę, że koniec końców uczyniłaś więcej dobrego niż złego.

— Jak możesz tak mówić po tym, jak ją w taki sposób odtrąciłam? Podobno mam być jej przyjacielem i doradcą.

— A czy kiedykolwiek, od kiedy ją znasz, wytrąciła cię tak z równowagi? Ani razu. Tak więc nauczyła się jeszcze czegoś: że w stosunkach z tobą można posunąć się za daleko, a tobie zdarza się popełniać błędy, jak wszystkim ludziom. Wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze tak cię sprowokuje.

— Nie wydaje mi się, by nadarzyła się po temu jeszcze jakaś okazja — powiedziała gorzko Talia. — Nie po tym, jak wszystko popsułam.

— Nie zgadzam się. — Selenay potrząsnęła gwałtownie głową. — Kiedy wyjechałaś, poznałam moją córkę całkiem dobrze. Nie rzuca słów na wiatr... przynajmniej w tej chwili. Ma charakter, lecz kiedy ochłonie, zapomni o urazie. A kiedy przekona się, że miałaś rację i występowałaś w jej obronie, przyzna ci słusność. A jeśli znikniesz na jakiś czas, w końcu uzmysłowi sobie, że choć bardzo się uniosłaś, to i ona nie jest bez grzechu.

Królowa zamyśliła się na jakiś czas.

— Myślę, że znalazłam doskonałe rozwiązanie. Pamiętasz propozycję oświadczyć Alessandara? Wybieram się tam za kilka tygodni z oficjalną wizytą, lecz chciałabym wysłać posła, który wcześniej obejrzałby sobie księcia. Jako mój osobisty doradca nadawałabyś się do tego zadania znakomicie, zwłaszcza że zamierzam wysłać i Krisa. Słyszałam o kłótni między nim i Dirkiem, wpadło mi więc do głowy, by i im dać czas na ochłonięcie. Zamierzałam wysłać w poselstwie Dirka z Kyrilem, póki nie zapadł na zdrowiu ostatniej nocy. W takim razie rozdzielię ich, wysyłając Krisa.

— Już po wszystkim. — Talia westchnęła.

— Mimo wszystko chcę wysłać Krisa. Nie brak mu dworskiej ogłady i w jego żyłach płynie odpowiednia krew, by godnie go przyjęto, a sama chętnie zatrzymałabym Kyrila przy sobie. Stanowiliście z Krisem świetną parę i mam do ciebie całkowite zaufanie. Wolalabym raczej to, niż odwoływać wizytę. Przesunę termin i wyślę was oboje na przeszeptugi — Elspeth zostanie przy mnie. I porozmawiam z Orthallenem o jego protegowanych. — Oczy Selenay zrobiły się zimne. — Najwyższa pora, żeby przestał występować w ich obronie i ochraniać swym

nazwiskiem jak tarczą, by mogły im uchodzić na sucho ich wybryki.

Teraz dopiero Talia spostrzegła, iż nie powiedziała Selenay o swych podejrzeniach co do roli Orthallena w próbie uwiedzenia Elspeth. Lecz czy miała niezbite dowody w zanadrzu? Nic, poza niewyraźnym obrazem Orthallena wydobytym z umysłu młodziana, co mogło być związane z tym, że miał on nadzieję ukryć się za plecami swojego protektora.

Lepiej o tym nie wspominać — pomyślała znużona. — Nie jestem w stanie ponownie wałkować tych samych argumentów co z Krisem.

— Zanim ponownie się spotkamy — mówiła Selenay — Elspeth będzie miała dość czasu do namysłu. Myślisz, że zdołasz przygotować się do rana? Im szybciej znikniesz jej z oczu, tym lepiej.

— Mogłabym wyruszyć nawet za godzinę — odparła Talia. — Choć nie jestem pewna, czy powinnaś aż tak być skora do obdarzania mnie swym zaufaniem po tym, co wydarzyło się tej nocy.

— Talio, moje zaufanie tylko się umocniło — dodała Selenay i Talii wydawało się, że w jej oczach dostrzega wyrozumiałość. — Stanęłaś przede mną jeszcze rozgorączkowana kłótnią twierdząc, że to była twoja wina. Ilu ludzi, nawet heroldów, zdobyłoby się na to? Jednak nie powiedziałaś mi, co cię tak zdenerwowało. Czy ma to związek z Krisem? Czy dałaś się pochwyć w środku jego sporu z Dirkiem? Jeśli panuje między wami niezgoda, wyślę z tobą innego herolda.

— Krisem? — Szczere zdumienie Talii przyniosło, jak się zdaje, ulgę królowej. — Nie, dzięki, pani, wyjaśniliśmy sobie wszystkie nieporozumienia. Z Dirkiem też już się pogodził. Jasne Niebiosy, rozwikłanie tego węzła jest właśnie jego największą zasługą! Z upływem czasu wszystko się ułoży, nawet z Elspeth; tyle że właśnie to, iż ów czas tak okropnie się wlecze, odziera mnie z cierpliwości i spokoju ducha.

— Doskonale. Zatem plan został przyjęty. Rano wyruszacie razem z Krisem.

— Selenay, jeśli nie uważasz tego za dobry pomysł... — zaczęła z wahaniem Talia.

— W co miałabym wątpić? Co chciałabyś zrobić?

— Chciałabym napisać list z przeprosinami do Elspeth i zostawić go tobie. Nie miałam całkowitej racji, uniosłam się zanadto, wyrzuciłam z siebie mnóstwo bolesnych słów, bo czułam się nieszczęśliwa i chciałam sprawić ból innej osobie. Byłam zbyt surowa — bez dwóch zdań. Możesz jej go wręczyć lub nie, zgodnie z własnym rozeznaniem.

— To zabrzmiało rozsądnie — odparła Selenay — choć uważam, że to niepotrzebne. Ruszamy waszym śladem tydzień lub dwa później, a przeprosiny są zawsze najskuteczniejsze, jeśli składa się je osobiście.

— To prawda, jednak nigdy nie wiadomo, jaki los może nas spotkać, a może zechcesz wręczyć jej list jeszcze przed wyruszeniem. Nie chciałabym zostawiać po sobie nie załatwionych spraw, zwłaszcza takich jak ta. Kto wie, druga okazja

może mi się już nie przydarzyć.

— O Jasne Niebioso, kochana! Powinnam przyjąć cię na posadę królewskiego tłumacza omenów! — Selenay roześmiała się, czując jednakże nieokreślony niepokój.

Talia potrząsnęła głową z nieznacznym uśmiechem na ustach.

— O bogowie, widzę wszystko w czarnych kolorach, bo sama jestem w kiepskim nastroju. Zostawię ten list w twoich rękach choćby tylko dlatego, że kotka może zdecydować ponownie zostać istotą ludzką już w chwilę po moim wyjeździe. a teraz: czy oni spodziewają się ujrzeć pierwszych lepszych heroldów, czy dokładnie Dirka i Kyrila? Czy aby moim pojawieniem się nie napytam biedy?

— Podwładni najpewniej spodziewają się ujrzeć po prostu heroldów — powiedziała Selenay. — Nie określiłam dokładnie kogo wysyłam w poselstwie. Oczywiście wręczone ci odpowiednie listy polecające. Strażnicy po Alessandarowej stronie granicy zawczasu przekażą o was nowiny. Słyszałam, że potrafią w szczególności przesyłać wieści — szybciej niż przy użyciu gołębi lub gońców. Byłabym wdzięczna, gdyby udało wam się wywiedzieć o tym coś więcej, o ile to będzie możliwe. Nie wykluczone, że...

— To zależy, czy zamierzają strzec tego zazdrośnie przed sprzymierzeńcami, czy nie. — Talia zdobyła się na półuśmiech. — Wiesz, że my dwoje w misji poselskiej doskonale nadajemy się do odkrywania sekretów. Każdego odpowiedzialnego za zachowanie tajemnicy zżerają nerwy, ja mogę to wyczuć, a Kris swym darem dalekowidzenia sięgnąć do miejsca, o które zaczepią się moje zmysły, i sprawdzić, co się tam dzieje. O, moja królowo, jesteś nad wyraz przebiegła.

— Ja? — Selenay udało się przybrać minę niewiniątka, by po chwili spojrzeć swemu heroldowi prosto w oczy. — Czy naprawdę czujesz się na siłach? Jesteś tego pewna? Nie wyślę cię, o ile nie będziesz pewna, iż potrafisz stawić czoło sieci politycznych intryg oraz wszystkiemu, z czym one się wiążą. Możliwe, że poselstwo okaże się zadaniem zwyczajnym i łatwym, lecz może trzeba będzie zgłębić jakiś sekret, a wtedy w najlepszym przypadku staniesz w obliczu takiej samej pajęczyny spisków jak tutaj.

— Jestem gotowa — westchnęła Talia. — Nie będzie ona gorsza od tej, z jakiej w tej chwili muszę się wyplątać.

SZÓSTY

-Czuję się jak uciekinier. — Głos Talii był przytłumiony, jednak w panującej przed brzaskiem ciszy Kris z łatwością ją słyszał.

— Głupstwa pleciesz — odparł nieco zrzędliwie, dociągając popręg Tantrisa.

Ich Towarzysze stały łeb w łeb obok siebie, tak jak często im się zdarzało podczas czeladniczego patrolu Talii, czekając aż heroldowie ich osiodłają. Deszcz, który spadł nagle tuż po północy, powoli zamierał, aż ustał zupełnie, jednak chmury nie ustąpiły z nieba. Dla ochrony przed przejmującą chłodem wilgocią oboje heroldowie otulili się opończami. Tantrisa i Kolana okrywały paradne rzędy; srebrne świecidełka lśniły w świetle latarń wiszących tuż nad karkiem Tantrisa, a dzwoneczki przy uzdach pobrzękiwały cichutko przy każdym poruszeniu Towarzyszy. Swojski zapach skóry i siana spowodował, że oczy Talii wezbrały łzami, których wzbraniała się uронić.

— Zrozum, teraz nic tutaj po nas, niewiele uda nam się zdziałać. Zgoda? — Kris przewiesił juki przez zad Tantrisa i przymocował je do kulbaki. — Elspeth nie będzie chciała z tobą rozmawiać, Dirk nie może. A więc masz czas uczynić coś pożytecznego, coś odmiennego. Nie będziesz nikomu potrzebna przez tych kilka tygodni naszej nieobecności, prawda?

— No, niespecjalnie. — Poprzedniego wieczoru Talia miała pełne ręce roboty; to jak krótko spała można było poznać po ciemnych kręgach pod oczami. — Destria czuje się coraz lepiej. Jeśli zabraknie jej czegoś, Vostel zajmie się tym. Rozmawiałam z Alberichem, razem poszliśmy do Kyrila. Złożyli solenną obietnicę, że nie spuszczą twego wuja z oka. Przykro mi, Krisie...

— Nie przepraszaj. Jestem nieco zaskoczony, że udało wam się przekonać Kyrila, iż nie należy spuszcząć go z oka. Tantris, stój spokojnie, do licha!

— To nie ja, to Alberich.

— Alberich, hę? Nikt nie jest w stanie przekonać go do swoich racji, jeśli on sam nie ma do tego podstaw. — Przez chwilę przetrwał to w milczeniu. Tantris ponownie posunął się o krok.

— Alberich szepnie słówko Elspeth — ciągnęła, gdy cisza zaczęła jej nieco doskwierać. Przesunęła dłonią wzdłuż nóg Rolana, by upewnić się, że opaski dostatecznie ciasno opinają jego pęciny. — Zaś Keren przyobiegała wejść do jaskini

dzika, Dirka, gdy tylko uda jej się przegonić ze swej drogi uzdrowicieli. To samo obiecał Skif.

— Skif to samo powiedział i mnie. Dirk, biedactwo, prawie jest mi go żal. Raczej nie spotka się ze strony obojga z nadmiernymi wyrazami współczucia. — Dzwoneczki przy uździe Tantrisa zadźwięczały, kiedy znów się poruszył.

— Nie współczucia on potrzebuje — odparła nieco uszczypliwie, prostując się. — Rozczulał się nad sobą dostatecznie długo... — Jej głos zamarł, a potem dodała zawstydzona: — A mówiąc o tym, to ja też.

— Praca to najlepsze lekarstwo na uzalenie się nad sobą, ptaszyno — powiedział Kris, czując wyrzuty sumienia. — I... hej!

Tantris zrobił jeszcze jeden krok i Kris z Talią znaleźli się w pułapce, uwięzieni pomiędzy nim a Rolanem, stojąc pierś w pierś.

Ucałuj ją, mój bracie. I bądź miły, bo ona przeżywa trudne chwile.

Kris westchnął z rezygnacją, a potem opuścił głowę i spojrzał w zasmucone oczy Talii. Twarz mu złagodniała.

— Wszystko będzie dobrze, ptaszyno. Masz wszelkie prawo czuć żal. — Delikatnie musnął jej czoło i usta.

Opadło z niej nieco napięcie, na krótką chwilę oparła głowę na jego ramieniu.

— Nie wiem, czym zasłużyłam sobie na takiego przyjaciela jak ty — westchnęła, a potem wzięła się w garść. — Jednak mamy przed sobą długą drogę...

Tantris usunął się i uwolnił ich z pułapki. W myślach Krisa rozległo się echo śmiechu jego Towarzysza.

— ... i niewiele czasu — dokończył Kris. — A ponieważ mój Towarzysz zgodził się współpracować, powinniśmy ruszać. — Po raz ostatni dociągnął rząd Tantrisa i wskoczył na siodło. — Gotowi?

— Jak zawsze.

Zabrali ze sobą tylko tyle, ile mogli unieść Rolan i Tantris. Nie musieli zabierać zapasów; miano gościć ich i karmić w gospodach aż do samej granicy, a później mieli zatrzymywać się w oberżach króla Alessandara. Nie potrzebowali także zbyt wielu przedmiotów osobistych. Królowa, wraz z całym orszakiem, miała podążyć za nimi z szybkością, z jaką mogły toczyć się wozy, i przywieźć wszystko, co potrzebne składającym oficjalną wizytę. Selenay i Alessandar byli sprzymierzeńcami od dawien dawna, a on i jej ojciec prawdziwą pośród władców rzadkością — przyjaciółmi. Choć widoki na to były marne, możliwości, że Elspeth będzie skłonna wstąpić w związek małżeński z dziedzicem Alessandara, nie można było z góry odrzucić. Alessandar nie zniechęcił się odpowiedzią Selenay na jego pierwsze swaty, przeciwnie — nalegał na przyśpieszenie wizyty, tak by ona, Elspeth i Ancar mogli się osobiście poznać. Przekonywał ze swadą, że doprowadzenie do takich zaślubin zwykle zabiera całe lata; nawet gdyby teraz zapadła zgoda, nim doszłoby do zawarcia małżeństwa, Elspeth zdążyłaby odbyć praktykę czeladniczą.

Ponieważ Selenay po raz ostatni widziała Ancara jako niemowlę, goszcząc na uroczystym nadaniu imienia, uległa naleganiom króla. Teraz była najlepsza pora na złożenie wizyty. Jako że w kolegium przygotowywano się do letniego odpoczynku, mogła zabrać Elspeth ze sobą. Jak dotąd Selenay obstawała przy swej decyzji, że nie będzie przymuszać córki do małżeństwa, chyba że od tego będzie zależało bezpieczeństwo całej domeny. Z takim samym uporem broniła poglądu, że kimkolwiek okazałby się wybranek Elspeth — byłby krwi królewskiej, czy też z gminu — musi dochowywać wierności zasadom rządzącym jej królestwem; lub, o ile to możliwe, nadawać się na herolda. Byłoby oczywiście najlepiej, gdyby mężem Elspeth został ktoś już wybrany, albo kto zostałby wybrany, gdy Towarzysze zwróciłyby na niego uwagę. Jeśliby tak się stało, ziściłyby się marzenia Selenay, wtedy bowiem małżonek następczyni tronu mógłby — będąc heroldem — współwładać.

Kris i Talia po przybyciu na miejsce mieli nie tylko upewnić się, czy należycie przygotowano przyjęcie Selenay, lecz — i to było ich najważniejsze zadanie — także ocenić ubiegającego się o rękę Elspeth zalotnika, wysondować, co myślą o nim poddani, a potem przekazać Selenay swoją opinię. Był to dowód wielkiego zaufania.

Oto, jakie myśli zaprzętały głowę Talii, gdy wyruszyli w drogę w panujących jeszcze ciemnościach tuż przed świtem. Trapiło ją uczucie, iż podejmując się tej misji — pomimo jej ogromnej wagi — ucieka, zostawiając za plecami wiele nie wyjaśnionych spraw.

Godzinami ślęczała nad prostym liścikiem do Elspeth, drąc na kawałeczki kartki, na których słowa zdawały się brzmieć fałszywie. Mimo wszystko nie wyszło tak, jak powinno. Żałowała, że nie umiała zręcznie wyjaśnić przyczyn swego uniesienia, lecz i tak nie można było cofnąć raz wypowiedzianych słów. To wydarzenie było dowodem, że Elspeth odsunęła się od Talii podczas jej nieobecności. Przepaść, jaka się między nimi rozwarła, należało zasypać, i to szybko. Talia obarczała siebie winą za to, że wróciwszy z patrolu, natychmiast tego nie zrozumiała.

A do tego jeszcze Dirk. . .

Nie mogła oprzeć się myśli, że zachowywała się tchórzliwie. Każdy z odrobiną odwagi pozostałby na miejscu. Choć z drugiej strony, cóż wtedy mogłaby zrobić poza rozdieraniem szat? Kris miał rację: Elspeth odmówiłaby rozmowy z nią, a Dirk był poza jej zasięgiem, pod opieką uzdrowicieli.

Pora zdawała się jak najbardziej odpowiednia do wyjazdu: panowały ciemności, ponurego i zaciągniętego chmurami nieba nie rozjaśnił nawet brzask, noc stopniowo ustąpiła dopiero przed szarym, ołowianym światłem dnia.

Krisa też dręczyły nie najszcześniejsze myśli.

Ostatnimi czasy niespecjalnie przysłużyłem się moim przyjaciółom, prawda?

— Wysłał myśl w stronę stulonych uszu Tantrisa.

Nie, braciszku, nie najlepiej — przyznał mu rację jego Towarzysz.

Kris westchnął i usadowił się nieco wygodniej w siodle. Patrząc wstecz dostrzegał, że nie zrobił tego, co powinien. Powinien był powiedzieć swemu przyjacielowi wprost, jakie uczucia żywi Talia wobec nich obydwu, a kiedy Dirk zaczął się dziwacznie zachowywać, powinien mu wszystko wyjaśnić i nie dopuścić do tego, by szukał pociechy w butelce.

O Panie i Pani, założyłbym się o sztukę złota — on myśli, iż to mnie kocha Talia. Bogowie, o bogowie, wydzierałem mu serce i duszę z piersi, i nawet nie raczyłem zwrócić na to uwagi. Nie dziwota, że skoczyliśmy sobie do oczu; nie dziwota, że zaczął pić. Och, Dirku, mój biedny bracie, znów wyrządziłem ci krzywdę. Czy kiedykolwiek będę mógł zadośćuczynić ci za to?

A do tego jeszcze Talia. Powinien uwierzyć, że nie przejawiała przez nią niechęć i wiedzieć, spędziwszy z nią tyle czasu, że nie jest skłonna pielęgnować w sercu uraz, choć niełatwo wybacza doznane krzywdy. Jakże mógł wątpić, że Talia poczuła niechęć do jego wuja nie z odruchu, lecz obserwując jego postępowanie. Alberich wierzył jej, a przecież ten mistrz we władaniu wszelką bronią znany był z tego, iż nie wydaje pochopnych osądów.

Gdybaniem nie zlepi się rozbitego dzbana. — W mózgu Krisa pojawiła się myśl Tantrisa. — *Braciszku, dlaczego tego nie zrobiłeś?*

Dobre pytanie. Kris zamyślił się. Tantris pokonywał gościniec odmierzoną krokiem. O tej porze nie napotykali wielu ludzi, więc nic nie rozpraszało uwagi Krisa.

Wniosek, do jakiego doszedł, podzielał trzeźwiąco — nie zrobił nic, bo był ślepy na to, co się działo dookoła, póki Dirk nie zaczął co noc upijać się do snu. Oślepiło go zadowolenie, że tak udatnie wykonał wyznaczone zadanie. I tak żarliwie gratulował sam sobie, że nie zwracał uwagi, co się dookoła niego dzieje. Zachowywał się jak dzieciak na wakacjach, egoistycznie zajęty własnymi przyjemnościami, podczas przemijającej chwili wolnej od uciążliwej nauki. Nauczanie w klasie dalekowidzenia było bardzo łatwe i wcale nie miało posmaku obowiązku. Resztę czasu spędzał nurzając się w tym, co sprawiało mu największą przyjemność.

Bardzo dobrze — oschle skwitował Tantris. — *Teraz nie przesadz z biciem się za to w piersi. I ja nie wzbraniałem się przed przyjemnym spędzaniem czasu. Sporo czasu byliśmy nieobecni. Ahrodi i ja stęskniliśmy się za sobą.*

Hedonista — posłał mu Kris. Poczul ulgę, że jego Towarzysz jest tak rozsądny.

Nie taki znów wielki. Jesteśmy sobie tak bliscy, jak ty z Dirkiem, z niewielką różnicą. Bardziej to podobne do ciebie i Talii, doprawdy.

O tak, Talia. Nietrudno było się domyślić, dlaczego nie mógł pojąć, w jakich znalazła się opałach. Orthallen był pomimo swej uczciwości — politykiem, intrygantem zgłodniałym władzy. Kris nie jeden raz musiał bronić poczynań swe-

go wuja przed innymi heroldami, jednak ani razu dotąd nie spotkał się z oskarżeniem go o złośliwe wyrządzenie krzywd. Kris znał Orthallena i wiedział, że wuj nigdy nie działa kierując się zaledwie jedną przyczyną. To prawda, że mógł uszczknąć nieco więcej władzy dla siebie, wpływów, albo za oddane przysługi zobowiązać kogoś do wdzięczności wobec siebie, lecz zawsze korzystało na tym i królestwo. Heroldów jednak niepokoiło wykorzystywanie autorytetu władzy dla własnej korzyści, niewątpliwie dlatego, że wyssany z mlekiem matki wstręt przed takim postępowaniem dodatkowo wzmacniała nauka w kolegium. W większości heroldowie nie wywodzili się ze szlacheckich rodów i nie wyrastali w środowisku przesiąkniętym polityką oraz intrygami, które wyznaczały rytm życia na dworze. Sprawami, które dla Krisa były jak chleb powszedni, oni pogardzali. Jednak nie dało się ukryć, że heroldowie należeli do gatunku troskliwie chronionego pod tym względem, z wyjątkiem tych, którym przyszło służyć przy dworze, lub wywodzili się ze szlachty. Heroldowie mogli żyć w błogiej nieświadomości i w ogóle nie zajmować się polityką dworską, bo stykali się jedynie z najwyższymi dostojnikami dworu — królową, jej bezpośrednią świtą i heroldami seniorami — którzy, mimo różnic w swych zamierzeniach i intencjach, nie prowadzili między sobą żadnych politycznych rozgrywek. To w otoczeniu Orthallena, wśród średniej i wyższej arystokracji, konkurencja była najbardziej bezwzględna. Nie wykluczone zatem, że dostrzegał jedynie polityczne implikacje zajęcia najwyższej posady przez nowego osobistego królowej. Bardzo prawdopodobne. Takie musiały być powody. . . A to oznaczało, że patrzył na Talię jak na politycznego rywala, którego należało utracić; patrzył w y ł ą c z n i e jak na politycznego rywala. Orthallen najpewniej nie rozumiał, na czym polegały obowiązki i odpowiedzialność herolda; nie rozumiał ich i niewątpliwie odrzucał jako mało ważne. Stary Talamir nie zagrażał pozycji Orthallena, lecz ta bystra, mądra i m ł o d a kobieta — tak.

Wszystko to sprowadzało się do jednego: Talia najprawdopodobniej trafnie domyśliła się motywów, którymi kierował się Orthallen.

Kris radził sobie z surowymi ocenami postępowania wuja, jakich dokonywali jego koledzy z Kręgu Heroldów. Jednak Talia oskarżyła go o coś innego i Kris przeżył wstrząs na myśl, iż członka jego rodziny można podejrzewać o świadomą chęć wyrządzenia prawdziwej krzywdy poprzez posądzanie Talii, herolda, o działanie w złej wierze. Wziął to do siebie, niemal jak atak wymierzony we własną osobę, i zareagował bezmyślnie.

Żałuję, że nie poradziłeś mi wcześniej — zwrócił się Kris do Tantrisa. Myśli tej nadał posmak wyrzutu.

To by się na nic nie zdało, braciszku — odparł Tantris — *i wiesz o tym doskonale. Służymy radą tylko wtedy, gdy nas o to prosicie. Nie możemy wtrącać się w wasze życie. A jak myślisz, co czuła Ahrodie, biedactwo, gdy jej Wybrany psuł wszystko i nawet nie chciał z nią porozmawiać, hm? A Rolan w ogóle nie może rozmawiać ze swym Wybranym. Lecz skoro w końcu zwróciłeś się o pomoc. . .*

Podziel się ze mną swą nieśmiertelną mądrością.

Hola, hola, nie trzeba być uszczypliwym. Tak się składa, że i mnie Orthallen się nie podoba, lecz dotąd nie było dowodu na to, że kieruje się złą wolą. Jedyne, co mi pozostawało, to zaufanie do własnego instynktu.

Który o niebo przewyższa ludzki — napomknął Kris.

Ha, nie obwiniaj się, że nic nie zauważyłaś — ciągnął Tantris. — Jednak kiedy ktoś taki jak Talia upiera się przy swoim zdaniu, najpewniej niezłym pomysłem jest zrezygnować z osobistych uczuć i rozważyć wszystko tak beznamiętnie, jak to tylko możliwe. Ona panuje teraz całkowicie nad swoim darem, i w takich sprawach jej instynkt w niczym nie ustępuje mojemu.

Tak jest, siwobrody — pomyślał Kris, odzyskując nieco dobry humor, przekonawszy się, że Tantris nie zamierza wzbudzać w nim poczucia winy za nie przemyślane działania.

Siwobrody, azaliż nim jestem? — Tantris parsknął i potrząsnął grzywą. — Przekonamy się, czy tak jest. — I dokończywszy myśl zaczął lekko harcować. Zanim zaczął ponownie przemierzać gościniec statecznym krokiem, wygiął grzbiet i wierzgnął kopytami, od czego aż zatrzeszczało Krisowi w kościach.

Choć Rolan nie mógł myślmówić do Talii, tak jak Tantris do Krisa, dawał wyraz swoim uczuciom w sposób nadzwyczaj jasny. Do Talii docierał dość niedwuznacznie jego osąd, iż nie wypada użalać się nad sobą tak bardzo, zważywszy okoliczności. Jego dezaprobata jednakże, jakby na przekór, wywołała u niej tylko głębszy żal, i Rolan w końcu dał za wygraną, pozwalając dziewczynie oddawać się żalowi, ile dusza zapragnie.

A pogoda — zupełnie niezwykła jak na zbliżającą się letnią porę — niewątpliwie temu sprzyjała; istotnie mogła tylko stracić duszę w jeszcze głębszą otchłań przygnębienia. Przejmujący chłód, ołowiane chmury nieustannie grożące deszczem, który jednak nie spadał. Nieliczni, napotykanii po drodze ludzie byli małowolni i oszczędni w pozdrowieniach. Wiszący ciągle nad głowami deszcz zmuszał mieszkańców mijanych wiosek do pozostawania w domu.

Ponieważ podróżowali lekko obciążeni, do granicy mieli dotrzeć w czasie najkrótszym z możliwych, nawet mimo urządzanych nocą postojów. Zgodnie ze słowami Kyrila, nie wykluczone, że całą drogę do stolicy odbędą samotnie, jako że Towarzysze pokonywały drogę w czasie znacznie krótszym od najszybszych nawet rumaków, w jakie król Alessandar mógł wyposażyć swoją eskortę. Oznaczało to, biorąc pod uwagę przypuszczalną szybkość podróży Selenay i jej świty, że po przybyciu na miejsce będą mieli kilka dni na przyjrzenie się księciu oraz wybadanie sytuacji, zanim ktoś z nich wyruszy w drogę powrotną do granicy na spotkanie królowej.

Naprzeciw Selenay wyjedzie z pewnością Kris; Talia, będąc osobistym królo-

wej, lepiej nadawała się do roli posła. Choć wiedziała, że tak będzie mądrzej, serce się w niej buntowało. Pragnęła być pierwszą osobą, która porozmawia z Selenay — i z Elspeth — oraz, być może, z Dirkiem, jeśli wyzdrowieje do tego czasu.

Nic nie przebiegało tak, jakby ona tego chciała. Mało tego, dręczyły ją złe przeczucia w związku z tą wyprawą, od chwili gdy Selenay po raz pierwszy o niej wspomniała. Nie było po temu powodu, a jednak nie mogła się z nich otrząsnąć. Czuła się tak, jakby uciekała przed złym na spotkanie gorszemu, i nie było sposobu, by tego uniknąć.

Talia jechała skupiona, z uporem starając się zaprowadzić porządek we wzburzonej duszy. Wypłakiwaniem się Krisowi na ramieniu niczego się nie osiągnie. Znajdowała pociechę u Rolana, jednak szło tu o sprawę radzenia sobie z własnymi uczuciami i panowania nad sobą. Herold, powtórzyła w duchu po raz tysięczny, powinien być samodzielny, zdolny wyjść obronną ręką nawet z najgorszej opresji. Na Niebiosa, odzyska kontrolę nad sobą, emocjonalnej niestałości nic nie mogło usprawiedliwić. Nauczyła się panować nad swym darem, podobną uległość wpoi swoim emocjom.

Z powodu szybkości, z jaką podróżowali, nie mieli wielu okazji do długich rozmów, a mimo to Kris domyślał się, że Talia jest bardzo nieszczęśliwa. Opowiedziała mu o starciu z następczynią tronu przy siodłaniu Towarzyszy. Ze smutkiem skonstatował, jak niewiele może jej pomóc. Widok jej, zmagającej się z własnymi uczuciami, był niezwykle przygnębiający, zważywszy, że nie mógł nic w tej sprawie zrobić. Nie tak dawno uciekły w obliczu zarysowującej się konieczności udzielenia pociechy. Dokonawszy rozrachunku w głębi duszy, cierpiał teraz, że nie widzi sposobu, jak pomóc dziewczynie.

Kiedy dar Talii wyrwał się spod jej władzy, mógł temu jakoś zaradzić. Był nauczycielem, znał podstawy nauki kieltnania każdego daru, mógł szukać pomocy u Tantrisa i Rolana, którzy mogli opowiedzieć mu o szczególnych cechach jej charakteru. A teraz...

Ha, może istniała jakaś szansa... Jeśliby porozmawiał ze swym wujem, może zdołałby wytłumaczyć mu, że Talia nie zagraża mu na politycznym forum. Dla uwolnionej od tego brzemienia Talii, kłopot poradzenia sobie z Elspeth i Dirkiem przybrałby może rozsądniejsze rozmiary.

Przystanęli na krótko w gospodzie. Pamiętając o tym, jak niewiele mają czasu, zjedli posiłek, nie opuszczając podwórza.

— Wszystko w porządku, jak dotąd? — zapytał między jednym kęsem pasztetu a drugim.

— W porządku — odparła. Zdażyła już połknąć swą porcję tak szybko, że nie poczuła nawet smaku. Teraz wyszczotkowała Rolana, wkładając w zgrzebło więcej sił, niż to było naprawdę potrzebne.

— Hm, wiem, że nie miałaś zbyt wielu okazji do jazdy komunikiem, a więc jeślibyś poczuła się zmęczona, powiedz tylko słowo.

— Dobrze — padło jedynie w odpowiedzi.

Nie poddawał się i spróbował raz jeszcze.

— Mam nadzieję, że nastąpi przesilenie pogody. Jest kiepska do jazdy, lecz myślę, że jeszcze gorsza dla urodzaju.

— Yhmm.

— Będziemy musieli jechać aż do zmierzchu, by stanąć w Trevale, lecz tamtejsza gospoda powinna nam wynagrodzić wyczerpującą jazdę. Już tam kiedyś byłem. — Zamilkł. Żadnej odpowiedzi. — Myślisz, że dasz radę?

— Tak.

— Mają przednie wino, a piwo jeszcze przedniejsze.

— O.

— A ich domowe koty mają po dwa ogony.

— Yhmm.

Dał za wygraną.

Zatrzymali się na długo po zapadnięciu ciemności, kiedy Kris zaczął już tracić czucie w nogach. Chwiejnym krokiem weszli do gospody, którą ledwie widzieli. Oberżysta, widząc, jak bardzo są znużeni, roztropnie odgradził ich od pozostałych gości, usadowiwszy ich tuż obok kominka, za suto zastawionym stołem.

Była to wielka oberża, wystawiona ku wygodzie kupców, woźniców i wszystkich będących w podróży handlowych. Izba wypełniona była niemal do ostatniego miejsca, panował gwar, i Kris nawet nie próbował nawiązać rozmowy. Talia była z tego dość zadowolona, wiedziała, że w tej chwili nie jest najlepszym kompanem; miała nadzieję, że będzie to trwało tak długo, póki nie wróci jej dobry humor. Po wieczerzy, którą jadła nie zwracając nawet uwagi na smak, byle tylko nakarmić ciało, udali się prosto na spoczynek. Zmusiła się do zaśnięcia, lecz nie potrafiła uporać się ze snami — męczącymi koszmarami, nie zezwalającymi odpocząć.

Wstali przed innymi gośćmi gospody, by znów wyruszyć przed świtem. Tuż przed wskoczeniem na siodło zaspokajali głód kęsami gorącego chleba i mlekiem.

Talia, na próżno poszukując w duszy odpowiedzi, zaczęła zwracać uwagę na to, co ją otacza. Chmury zaczęły ustępować i około południa mogli zwinąć swe oponcze i przytroczyć je z tyłu kulbak. A kiedy zaśpiewały ptaki, poczuli, że im ulżyło na sercu. Humor Talii poprawił się na tyle, że mogła zwyczajnie rozmawiać z Krisem, a chaos, który zostawiła za sobą zaczął przedstawiać się w lepszym świetle. Wciąż lekko niepokoili ją przeczucia nieuchronnego nieszczęścia, lecz w otoczeniu zalanym jasnymi promieniami słońca wydawało się, że są to marne

pozostałości sennych koszmarów.

Około południa Talia nagle odzyskała animusz i zaczęła zachowywać się niemal tak jak dawniej, co Kris przyjął z wielką wdzięcznością, bo nie uśmiechała mu się podróż na koniu wierzchem obok osoby jakby żywcem wyjętej z jakiejś ponurej opowieści.

Dyplomatyczna misja nie była dla Krisa zupełną nowością, choć nigdy nie występował w roli herolda seniora. Jednak Talia, pierwszy raz w życiu będąc posłem, odczuwała nieprzewartą chęć mówienia o tym, póki mogli to robić poza zasięgiem czyichkolwiek oczu.

Kris poczuł ulgę, widząc, że Talia najwyraźniej przychodzi do siebie, i nawet ośmielił się delikatnie ją sprowokować. Odpowiedzią była prawdziwa lawina pytań z jej strony, i to tym bardziej przypominało Talię, którą znał. Zauważył jednak, ogarnięty głębokim współczuciem, ciemne kręgi pod jej oczyma, i choć nie był empatą z łatwością domyślił się, jak krótki musiał być jej sen.

Gdy dotarli do granicy, po tygodniu wyczerpującej jazdy, wszystko było między nimi po staremu. Omówili wszelkie ewentualności, jakie tylko przyszły im na myśl — poczynając od tego, że Ancar mógł się okazać idealnym kandydatem, a kończąc na tym, iż mógł on być nawet gorszy od zmarłego wybranka Selenay i jak najpolityczniej w takim razie należałoby się z całej sprawy wycofać. Kris nie miał wątpliwości, że Talia gotowa jest stawić czoło każdej próbie, jaką szykował dla niej los.

Kiedy późnym popołudniem ominęli zakręt, Talia mogła po raz pierwszy spojrzeć na granicę.

Granica, gdzie stykały się dwa cywilizowane i sprzymierzone kraje, strzeżona była przez niewielkie placówki obsadzone ludźmi z obu królestw. Po stronie Valdemaru, w odległości kilku stóp od drogi i kilku stóp od zwykłej, drewnianej belki oznaczającej granicę, stał niewielki budynek, pieściła się w nim kancelaria i kwatery dla czterech stacjonujących tutaj gwardzistów. Para, która akurat była na służbie, sprawdzała dokumenty wjeżdżających kupców. Słyszając odgłos kopyt, unieśli głowy i uśmiechnęli się szeroko na widok dwojga heroldów. Wyższy gwardzista odszedł od kupieckiego wozu i opuścił przed nimi belkę, machając im na pożegnanie, złożony żartobliwie wyszukany ukłon.

Nieco dalej była właściwa brama, oznaczająca Alessandarową stronę granicy. I tutaj trzymała straż para wartowników, lecz odziana w czarno-srebrne uniformy armii Alessandara. Obok nich, w nieco szykowniejszym mundurze, stał młody człowiek w stopniu kapitana. Był przyjacielski i dość przystojny. Wpuścił ich, nie poświęcając większej uwagi listom polecającym.

— Czekam tu na was — powiedział. — Lecz doprawdy nie spodziewałem się ujrzeć was tak szybko. Musieliście przebyć drogę w doskonałym czasie.

— Zupełnie niezłym — odparł Kris. — Zaczęliśmy podróż nieco wcześniej niż planowaliśmy. Ostatni rok z okładem minął nam na patrolu. Pracujący w polu heroldowie w każdej chwili gotowi są stanąć na gościńcu.

— W przeciwieństwie do tych, którzy mają ciepłutkie posadki przy dworze, hm? — Kapitan wyszczerzył zęby w uśmiechu. — To samo jest z nami. Dworzanie, udając się nawet na pół dnia manewrów, nie mogliby się obejść bez taborów wypełnionych zaopatrzeniem godnym miasteczka. Ha, otrzymałem podstawowe rozkazy. . .

— Naprawdę? — powiedziała Talia, unosząc brwi ze zdziwienia.

— Och, to nic wielkiego, mam czekać na was i zawiadomić stolicę. . .

Talia przypomniała sobie słowa Selenay, że krążą pogłoski, jakoby Alessandar posiadał nowy sposób szybkiego przesyłania wiadomości, i jej prośbę, by dowiedzieć się o tym ile tylko można.

Najwidoczniej Kris otrzymał podobne polecenie.

— Czyżby możliwe było, iż otrzymacie dalsze rozkazy w rozsądnym czasie? — zapytał Kris. — Wiem, że najbliższy rządowy przedstawiciel znajduje się o kilka dni drogi jazdy wierzchem, a nie macie przecież heroldów, którzy szybko przerosiliby wiadomości.

Młody oficer uśmiechnął się z zadowoleniem.

— To nie jest żaden sekret — odparł, a jego brązowe oczy spojrzały na nich szczerze. — Mówiąc prawdę, wtajemniczę was z dumą, o ile nie jesteście strudzeni.

— Ani trochę, zwłaszcza jeśli chcesz nam ujawnić coś, co trąci magią.

Kapitan roześmiał się.

— Rozumiem, że jesteście wdzięcznymi kompanami do rozmowy o cudach magii! Doskonale zatem, co dla jednego jest magią, dla drugiego może być chlebem powszednim, jak to mówią. Chodźcie, pokażę wam.

Ponieważ szedł piechotą Talia i Kris kurtuazyjnie zeskoczyli z siodeł i ruszyli jego śladem po wysypanym żwirem gościńcu do jego placówki, budynku o wiele większego od tego, który stał po drugiej stronie granicy, w Valdemarze, i ukrytego w cieniu otaczających go z trzech stron drzew.

— Czy zainteresuje was to, iż mogę otrzymać rozkazy w ciągu kilku marek na świecy, jeśli tylko znajdzie się ktoś o randze dostatecznie wysokiej, kto mógłby je wydać przed zachodem słońca?

— Czy widzicie wieżę, która przylega do strażnicy? — Strząsnął ciemne włosy sprzed oczu i wskazał im lekką budowlę z zastrzałów z szarego drewna. Wieża wznosiła się o kilkanaście stóp ponad wierzchołkami drzew. Z jednej strony była zaczepiona o główne koszary strażnicy granicznej. Budowla zaintrygowała ich bardzo, jako że pozornie nadawała się tylko na punkt obserwacyjny i nic więcej.

— Muszę przyznać, że zachodziliśmy w głowę, jakiemu celowi służy taka budowla — powiedział Kris. — Czy pożary lasu są aż tak niebezpieczne w tej okolicy? Nie wpadłoby mi to do głowy, przecież tyle jest tutaj pól uprawnych.

— O, nie jest to wieża ostrzegawcza, choć od niej wziął się ten pomysł — roześmiał się młody kapitan. — Wejdźcie za mną na górę, a pokażę wam coś, co was zadziwi.

Podążyli za nim po stopniach kilku drabin prowadzących na szeroką platformę na szczycie. Jednak kiedy tam stanęli, Talii nie rzuciło się w oczy nic nadzwyczajnego: dwóch ludzi w czarnych tunikach wojsk Alessandara stało obok ogromnego, wklęsłego zwierciadła, którego szerokość dorównywała wysokości Talii. Choć nie było ono doskonałe, a jego powierzchnia lekko falowała, był to piękny przykład rzemiosła. Talia podziwiała zręczność, z jaką najpierw ukształtowano a potem posrebrzono tak olbrzymią tafłę szkła.

Zwierciadło osadzono na obrotowym piedestale, i na oczach Krisa i Talii, jeden z dwóch umundurowanych ludzi obrócił go tak, by skupić promień zachodzącego słońca w południowo-zachodnim kącie platformy, a wtedy drugi człowiek podniósł mniejsze lustro, o średnicy mniej więcej trzech dłoni, i trzymając je w ręce, stanął w strumieniu skupionego światła.

Wtedy Talia rozwiązała zagadkę. Była to bardzo pomysłowa odmiana starego sposobu sygnalizacji na duże odległości przy użyciu przedmiotów odbijających światło. Pomysłowość polegała na tym, że w tym przypadku nie trzeba było czekać, aż słońce znajdzie się we właściwej pozycji na niebie, by przesłać wiadomość.

Kapitan uśmiechnął się szeroko, wyczytawszy z ich twarzy, że zrozumieli zasadę działania.

— To pomysł jednego z uczonych ze świty Ancara. Wznosimy takie wieże już od roku przy wszystkich strażnicach. Gdy uzmysłowiliśmy sobie, jak są użyteczne, zaczęliśmy to robić tak szybko, jak szybko możemy otrzymać zwierciadła. W tej chwili całe nasze królestwo objęte jest siecią wież przesyłowych — ciągnął ogarnięty radosną dumą. — Możemy przesłać wiadomość z jednego krańca królestwa na drugi w ciągu kilku godzin. To chyba szybciej, niż możecie zrobić to wy, heroldowie, o ile rozumiem.

— To szczerą prawdą, lecz każdy, kto pozna wasze znaki bez trudności może odczytać treść przesyłanej przez was wiadomości — powiedział Kris. — To powoduje, że utrzymanie tajemnicy staje się trudne, prawda?

Kapitan roześmiał się.

— W takim wypadku kurierzy nie muszą się martwić, że zabraknie dla nich pracy, prawda? Solanie — zwrócił się do człowieka trzymającego mniejsze zwierciadło — poślij po linii, że dwaj posłowie królowej Valdemaru, Selenay, stanęli u nas i czekają na instrukcje, co mają dalej począć.

— Tak jest! — Sygnalista zaszalutował dziarsko i wykonał rozkaz kapitana.

Hen, na horyzoncie heroldowie ledwie mogli odróżnić coś, co mogło być szczytem drugiej wieży, wznoszącym się ponad wierzchołkami drzew. Tuż po tym, jak sygnalista zakończył nadawanie depeszy, z owego miejsca mrugnęły, wymierzone w ich stronę, rozbłyśki światła.

— Powtarza nadaną przez nas depeszę — wyjaśnił kapitan. — Zaczęliśmy to robić, gdyż zbyt często przytrafiały się pomyłki, co powodowało niesłychane zamieszanie. Teraz, gdyby popełnił błąd, możemy to naprawić, zanim przekaże go dalej.

— Panie, depesza została odebrana prawidłowo — odparł sygnalista.

— Prześlij potwierdzenie — rozkazał dowódca i powrócił do udzielania wyjaśnień. — Im bliżej większych miast, zwłaszcza stolicy, tym liczniejszą obsadę posiadają wieże; dzięki temu można odbierać kilka depesz naraz, a nadawca, nie ujrawszy potwierdzenia, wie o chwilowym zatorze, i nadaje aż do skutku.

— To naprawdę błyskotliwy pomysł — powiedziała Talia i odwzajemniła uśmiech kapitana wywołany jej kalamburem. — Lecz jak radzicie sobie w dni pochmurne albo w nocy?

Roześmiał się.

— Kiedy pogoda nie sprzyja wraca koza do woza, używamy starej, wypróbowanej służby kurierskiej. Zabezpieczamy się w ten sposób, że komuniki stanowią część sieci wież, by depesza mogła być nadana w chwili, gdy chmury się rozjeżdżą albo słońce wzejdzie. Jednak nawet, gdy panują najgorsze warunki kurier przegrywa z depeszą nadawaną z wieży do wieży. W nocy oczywiście możemy wykorzystywać latarnie, ale w naszym przypadku to na nic, ponieważ nikt nie będzie chciał niepokoić posłów po tym, jak zapewne udadzą się na spoczynek. A i to zakładając, że ktoś dostatecznie wysoki rangą zada sobie trud poświęcić temu czas po zachodzie słońca!

Podążyli jego śladem w dół wieży. Gdy stanęli na ziemi, kapitan widząc, że żadne z nich nie daje po sobie poznać zmęczenia, oprowadzał ich po placówce, póki nie zrobiło się ciemno. Talię intrygowała nie tylko wieża sygnałowa.

Nie była to zwyczajna placówka straży granicznej — służbę pełniła tutaj kompania regularnej armii Alessandara w pełnym stanie. W przerwach między patrolowaniem gościńców w poszukiwaniu rabusiów lub staniem na oku na wieży sygnałowej, żołnierze (nie było pośród nich kobiet) pilnowali porządku w okolicznych osadach.

Była to interesująca różnica w stosunku do Valdemaru, gdzie wojsko Selenay, skoszarowane w sercu kraju, zmieniało miejsce stacjonowania w zależności od potrzeb. Jednak armia Alessandara była znacznie większa.

Oprócz kompanii wojska na placówce stale przebywały cztery uzdrowicielki. Poza wieżami stały tu jeszcze trzy budynki: koszary, stacja graniczna — gdzie zamieszkiwały uzdrowicielki i gdzie pobierano myto i podatki od przekraczających granicę — oraz swego rodzaju uniwersalny budynek mieszczący kuchnię

i magazyny.

— Ha — powiedział z rezygnacją kapitan, gdy zakończył oprowadzanie swych gości, nie doczekawszy się posłańca z wieży z wiadomością. — Wygląda na to, że chłopcy z przeciwnego końca nie znaleźli nikogo, kto mógłby wydać rozkazy, zanim nie zrobiło się zbyt późno. A to oznacza, że musicie spędzić noc tutaj, chyba że wolelibyście ponownie przekroczyć granicę.

— Tutaj będzie dobrze, pod warunkiem, że nie będzie to narzucanie się — odparł Kris.

Kapitan spojrział zakłopotany na Krisa, a potem na Talię, i znów na Krisa, i kaszlnął uprzejmie.

— Nie mam dla was osobnej kwatery — powiedział zakłopotany. — Mógłbym z łatwością wykroić wam miejsce w koszarach, a młoda pani mogłaby udać się na spoczynek z uzdrowicielkami. Lecz jeśli wolelibyście nie być rozdzieleni. . .

— Kapitanie, jesteśmy przyjaciółmi, i nic więcej. — Kris zachował powagę, jednak uwagi Talii nie uszło rozbawienie, jakie wywołało zakłopotanie kapitana.

— Wasza zapobiegliwość całkowicie nas zadowala — powiedziała gładko Talia. — Kwatery w koszarach to dla nas nie nowina. Mogę was zapewnić, że są o całe niebo wygodniejsze od niektórych stanic, gdzie przyszło mi nocować.

Talia starannie unikała słowa „my”, używając w zamian „ja” w odniesieniu do stanic. Kątem oka ujrzała pochwalne mrugnięcie Krisa za okazanie takiego taktu.

— W takim razie osobiście odprowadzę was na wieczerzę do izby, w której jadają oficerowie — powiedział kapitan z wyraźną ulgą, że nie zamierzają grymasić.

Jego zachowanie zmusiło Talię do zastanowienia się, czy inni goszczący w tej placówce okazali się mniej wyrozumiali, czy po prostu nasłuchał się jakichś niestworzonych opowieści o heroldach.

Krępowąta ich nieco obecność obcych, ale oficerowie okazali się ludźmi dość jowialnymi. Byli ogromnie zaciekawieni heroldami i oczywiście niektóre pytania zadawane przez nich były bardzo dziecinne. Jeśli wszyscy Alessandarowi ludzie mieliby okazać się tak otwarci i zadowoleni ze swego losu, Talia skłonna byłaby uważać go za władcę w każdym calu tak dobrego jak Selenay.

Krisowi dostało się prawdziwe łóżko, jednak Talia musiała zadowolić się pryczą w kwaterze uzdrowicielek. Nic a nic się tym nie przejęła. Dręczące ją przez całą drogę koszmary, tak wyczerpały jej siły, że spałaby pewnie smacznie nawet na kamiennej płycie.

Tej nocy jednak wydawało się, że koszarne sny, przynajmniej częściowo, zostały czymś rozproszone. Możliwe, że należało to zawdzięczać kojącej obecności uzdrowicielek, które spały przy niej, bo to przecież ona była empatą, a nie Kris. Tej wiosny wydarzyło się wiele nieszczęść, możliwe zatem, że panujący wokół katastroficzny nastrój wpłynął i na jej zmysły. Mimo starań nie udało się jej wzmocnić osłon swych myśli na tyle, by całkowicie ochroniły jej umysł.

Niewykluczone też, iż zmęczenie przepędziło nadciągające ją we śnie koszmary. Tak więc, choć powody tego nie były jasne, Talia twardo zasnęła — po raz pierwszy od chwili wyjazdu — a niepokojące sny zamieniły się w mgliste i odległe wspomnienia.

SIÓDMY

Hałas, jaki wywołały schodzące z posterunków warty nocne i zrywające się ze snu dzieńne, zbudziłby nawet głuchego. Krisowi nie pozostało nic innego, jak uczynić z nieuchronności cnotę i także zerwać się z łoża. Spotkał Talię, o wciąż jeszcze ciężkich od snu powiekach, w sieni służącej za kantinę. Talia okazała się przewidująca i zamówiła u kucharza śniadanie dla nich obojga. Tuż przed tym, jak się z nim uporali, pojawił się ich gospodarz.

— Otrzymaliśmy instrukcje co do waszego dalszego postępowania. Mam wręczyć wam mapy, byście mogli, nie czekając na eskortę, wyruszyć do stolicy, po drodze meldując się o zachodzie słońca, a przed zatrzymaniem się na nocleg, na placówkach pocztowych.

— Brzmi to niezbyt skomplikowanie — odparł Kris. — Naprawdę chciałem wyruszyć w dalszą drogę, doprawdy nie dlatego, że nie jest nam miła wasza gościnność, lecz wolałbym nie być nikomu ciężarem. I to świetnie, że nie musimy zwlekać, czekając na eskortę.

— Przyznam, że ucieszyła mnie nowina, iż nie muszę przydzielać wam nikogo do eskorty — szczerze powiedział ich gospodarz. — I tak brakuje mi ludzi, a jeśli nawet w połowie prawdą jest to, co zasłyszałem, żaden z naszych wierzchowców nie dotrzyma kroku waszym.

— To prawda. — Krisa rozpiełał duma. — Żaden koń nie dorówna wytrzymałością i szybkością Towarzyszowi.

— Doskonale, musicie tylko aż do stolicy trzymać się głównego gościńca — jak widać to nic trudnego — a na noc zatrzymywać się w zajazdach Alessandara. Napotkać je można zawsze przy głównych rynkach mięscin, a opodal nich znajdują się posterunki strażników miejskich, które wyglądają dokładnie tak jak oberże. Różnią się jedynie szyldem, na którym widnieje zbożowy kłos z koroną. Och... mówicie naszym językiem, prawda?

— Płynnie — odparł Kris po hardorniańsku.

— O, to świetnie. Nie przysyłałiby przecież kogoś, kto by tego nie potrafił. Choć niczego nie można być pewnym, a już o kilka mil od granicy nikt nie mówi waszym językiem.

— Nie powiem, bym była zaskoczona — wtrąciła Talia, wolno i wyraźnie

wymawiając obce słowa. — Kilka mil w głąb naszego kraju nikt oprócz heroldów nie rozumie waszego!

— Doskonale zatem, możecie wyruszyć w drogę, gdy tylko będziecie gotowi. Oto przyobiecane mapy. — Podał Krisowy złożony pakiet. — I oby wam szczęście sprzyjało w drodze.

— Dzięki — rzucił Kris, po czym oboje zerwali się i skierowali do drzwi.

— I nie zapominajcie — usłyszeli, jak woła za nimi, gdy zbliżali się do stajni. — Meldujcie się w placówkach pocztowych każdej nocy. W stolicy chcą wiedzieć, gdzie jesteście.

Pierwszy dzień upłynął bez żadnych wydarzeń. Poddani Alessandara wydawali się tak samo zadowoleni ze swego losu, jak poddani Selenay; zachowywali się przyjaźnie i powodziło się im nieźle — przynajmniej tak się wydawało na pierwszy rzut oka.

— Czy tu niedaleko nie powinna znajdować się wioska? — zapytała Talia około południa.

Kris odwołał się do wręczonej im mapy, którą wydobyl z sakiewki wiszącej mu u pasa. — O ile źle jej nie odczytałem... Pozwól, że zapytam kogoś z miejscowych.

Za zakrętem natknęli się na grupę drzew porastających róg ogrodzonego pola, które zbiegało aż do drogi. W cieniu siedziała grupa kmieci, których z łatwością można by wziąć za rolników z Valdemaru. Zajęci byli powolnym przeżuwaniami kolacji złożonej z grubych pająd ciemnego chleba i sera. Jeden z nich jednak dostrzegł zbliżających się heroldów, wstał, otrząsał okruszki z lnianego chałatu i wyszedł im na spotkanie.

— Hej, panie, w czym mogę wam pomóc? — Okazał się tak samo przyjazny jak kapitan.

— Nie całkiem jeszcze obeznałem się z tą mapą — odezwał się Kris. — Czy moglibyście nam powiedzieć, jak daleko leży Bród Południowy?

— Jakieś staję albo dwa tym traktem. Tam na drodze jest pagórek, inaczej nawet stąd byście go uwidzieli. — Kmieć uśmiechnął się. — Gdyby nie ten pagórek, nie trza by było zapytywać, hej?

Kris roześmiał się razem z nim.

— O to prawda — przytaknął. — I wielkie dzięki.

— Miły człowiek — rzuciła Talia, gdy Kris ponownie znalazł się obok niej. — Mógłby być jednym z naszych. — Zmrużyła oczy, obejmując wzrokiem połacie szybko rosnącego, zielonego zboża, a wzrok Krisa pobiegł w tę samą stronę. — Wygląda na to, że opływają w dostatki. Jak dotąd Alessandar zasłużył u mnie na wysoką ocenę.

— Och — westchnął Kris — jednak to nie Alessandar ma być oblubieńcem.

— To prawda. — Twarz jej spoważniała. — I żałuję, iż nasłuchałam się tylu opowieści o czarnych owcach w rodzinie. . .

Mieli zatrzymywać się jedynie w zajazdach, takie przynajmniej były rozkazy, a więc, gdy słońce schyliło się nad horyzontem, odszukali na mapie najbliższą miejscinę, jaka leżała przed nimi.

Zajazdy zostały wprowadzone przez Alessandara po to, by uszanować podróżyjących po jego królestwie w sprawach urzędowych. Przypominały zadbane oberże, tyle że nie trzeba było w nich płacić za pobyt. Urzędnicy dworscy, posłowie z innych królestw i kapłani mogli korzystać z zajazdów w sposób nieograniczony.

Po raz pierwszy zgłosili swą obecność w jednej z placówek pocztowych w wiosce leżącej opodal gościńca, tak jak tego od nich żądano. Odszukać placówkę nie było trudno dzięki wyróżniającej ją od otoczenia wieży.

— Zatrzymacie się tutaj, czy dopiero po zmroku? — zapytał posiwiwały weteran, który ich powitał.

— Jedziemy dalej — odparła Talia. — Zamierzamy dotrzeć do Rozdroży Pastuchów, prawda? — Spojrzała na Krisa, czekając na potwierdzenie.

Sprawdził na mapie i skinął głową.

— To kawał drogi. Wy jednak wiecie lepiej. Widzi mi się, że opowieści o waszych koniach muszą być prawdziwe. — Okiem znawcy z podziwem obejrzał Rolana i Tantrisa. — Służyłem w kawalerii. Nie mogę rzec, bym widział zgrabniejsze zwierzęta. Od rana przebyliście całą drogę od granicy?

Rolan z Tantristem zaczęli się wdzięczyć pod jego pełnym podziwu spojrzeniem i nieco popisywać.

— Przebyliśmy, panie — z uśmiechem odpowiedział Kris.

— Nie wyglądają, by zabrakło im tchu, nie są nawet zmęczone, ot, przebiegły się odrobinę. O, Panie Słońca, nie uwierzyłbym, gdybym na własne oczy nie widział. Hę, jeśli tak, to staniecie w Rozdrożach jedną markę na świecy po zachodzie słońca. Zajazd jest w rynku, po prawej stronie od wjazdu.

— Wielkie dzięki — zawołała Talia na pożegnanie, gdy zawracali swych Towarzyszy z powrotem na drogę.

— Oby wiatr zawsze wiał wam w plecy! — odkrzyknął starzec, odprowadzając ich pełnym zachwytu spojrzeniem póki nie zniknęli poza zasięgiem jego wzroku.

Zajazdy istotnie w niczym nie różniły się od oberży, rządził w nich nawet oberżysta. Dowiedzieli się, że warunki w nich panujące są proste jak podawane tam jadło, lecz przyzwoite.

Zeskakując z siodła, okazali listy uwierzytelniające urzędowo wyglądającemu zarządcy zajazdu. Obejrzał je pieczołowicie, starannie badając pieczęcie Valdemaru i Hardornu. Kiedy przekonał się o ich rzetelności, jedno jego słowo starczy-

ło, by pojawił się chłopiec stajenny. Pacholę przybiegło w wielkim pośpiechu, by zabrać ze sobą Towarzyszy, a zarządca gestem ręki zaprosił heroldów do wnętrza zajazdu.

Zadymiona wspólna izba była zatłoczona i panował w niej upał. Stracili trochę czasu, szukając dla siebie miejsca przy wygładzonym wiekiem stole stojącym na kobyłkach. Talii w końcu udało się wcisnąć pomiędzy dwóch podróżnych w szatach kapłańskich, najwyraźniej wywodzących się z dwóch rywalizujących ze sobą sekt, Kindasa, Czciela Słońca i Tembora Gromoziemnego. Żarliwie dyskutując, wytykali najróżniejsze wady swych kongregacji i jedynie skinęli jej głową na powitanie, gdy zajmowała miejsce na samym końcu ławy. Kris usiadł naprzeciw niej, mając za sąsiada zasuszonego, wyglądającego jak kancelista człowiczka o poplamionych inkaustem palcach, który zainteresowany był wyłącznie zawartością glinianego naczynia przed swoim nosem.

Zgoniona dziewczka postawiła podobne naczynie przed heroldami; znaleźli w nim sztukę mięsa, chleb i duszone warzywa. Następując dziewczce na pięty, pojawiło się pacholę z tacą drewnianych kufli z cienkim piwem i kluczami do przeznaczonych im izb.

Zjedli szybko, bo nie było się nad czym rozwodzić. Na dodatek ławy — przynajmniej tam, gdzie siedziała Talia — były tak zatłoczone, że niewiele brakowało, a nie miałyby nawet gdzie przycupnąć. Napływało coraz więcej ludzi, niecierpliwie rozglądających się za wolnym miejscem. Zaspokoiwszy głód, wzięli klucze oraz kufle i udali się na drugą stronę oświetlonej latarniami izby, gdzie porozstawiano ławy i zydle.

Talia czuła na sobie wzrok innych. Nie patrzono na nich wrogo, ale z zaciekawieniem. Doszła do wniosku, że byli jedynymi cudzoziemcami spośród gości zajazdu, ponieważ nie mogła wyłowić z gwaru głosów żadnego obcego akcentu. Wybrała dla siebie miejsce i szybko je zajęła, czując, że jej biały uniform odcina się wyraźnie na tle ciemnej izby.

— Heroldowie z Valdemaru, oboje? — zapytał jowialny jegomość w brązowym, aksamitnym ubraniu, gdy Kris usiadł na stojącej w rogu ławie.

— Odgadliście właściwie, panie — odpowiedzi udzieliła mu Talia.

— Nie widuję heroldów zbyt często. — Jego przenikliwe spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, iż ciekawi go, co ich tutaj sprowadza.

— Powinniście ujrzeć ich więcej, zanim lato dobiegnie końca — odparła Talia, mając nadzieję, że brzmiało to przyjaźnie. — Królowa Selenay będzie waszemu królowi składać oficjalną wizytę. Przybyliśmy tutaj, by przygotować ten przyjazd.

— Ach! — Nowina zainteresowała go bardzo. — To tak? Doskonale, może wszystko zmieni się na lepsze.

— Czy ostatnio działo się nie najlepiej? — Starła się zadać pytanie jak najbardziej mimochodem. — W Valdemarze mieliśmy swój udział w troskach wywołanych powodziami, i nie tylko.

— Och, tak; powodzie, i nie tylko — odparł nieco zbyt pośpiesznie i, odwróciwszy się, przyłączył się do toczącej się pod jego bokiem rozmowy.

— Wybacz mi, pani, lecz czy mogłabyś powiedzieć mi jakie są ceny na zboże po drugiej stronie granicy? — Wysoki, chudy kupiec usadowił się pomiędzy Talia a jej pierwszym rozmówcą. Postąpiłaby bardzo opryskliwie, gdyby go zlekceważyła. Kupiec zalał ją prawdziwą lawiną pytań, więc sama nie mogła już o nic zapytać. W końcu znudziło jej się to i dała znak Krisowi, że gotowa jest do opuszczenia izby.

Kiedy Kris ziewnął, oświadczając, że jest znużony i wstał, by udać się do swojej izby, Talia podążyła za nim. Rozmieszczone wzdłuż ścian izdebki gościnne przypominały wyglądem cele zakonników; nie było w nich ani kominków, ani okien — powietrze dostawało się do środka przez znajdujące się pod sufitem szczeliny. Przekręcając klucz, Kris uniósł brew pytająco, Talia kiwnęła lekko głową na znak, że dowiedziała się czegoś interesującego, gestem ręki dając do zrozumienia, że porozmawiają o tym później.

Nawet w izbie bez okien Talia wiedziała, kiedy jest wschód słońca. Nie zdziwiło jej, że Kris wyprzedził ją na śniadaniu o kilka chwil. Poza nimi nikt nie drgnął. Nie zwracała uwagi na jedzenie. Myślała, że to jakiś rodzaj owsianki z dodatkiem orzechów i grzybów — tak samo bez smaku, jak zjedzona wczoraj wczera.

— Stajenny osiodła Towarzyszy — powiedział Kris pomiędzy jednym kęsem a drugim. — Możemy wyruszyć, gdy tylko będziesz gotowa.

Szybko popiła ostami lepki kęs łykiem nie słodzonego naparu z ziół.

— Jestem gotowa.

Kłusem opuszczali wioskę, zwolnili dopiero dotarłszy do jej obrzeży.

— No i co? — zapytał Kris, kiedy wioska znalazła się poza zasięgiem głosu.

— Coś tu dookoła jest nie całkiem w porządku — powiadomiła go Talia. — Jednak nie wiem co. Odbieram jedynie uczucia. Nikt tutaj nie chce rozmawiać o „złych czasach”. Możliwe, że to tylko odosobniony przypadek niezadowolenia...

Potrząsnęła głową, czując nagle, że kręci się jej w głowie.

— Co się stało?

— Ja... nie wiem. Nagle poczułam się dziwnie.

— Czy chcesz byśmy się na chwilę zatrzymali? — zapytał zaniepokojony Kris.

Zamierzała powiedzieć „nie”, gdy zalała ją druga fala zawrotów głowy.

— Myślę, że lepiej...

Towarzysze nieproszeni zatrzymali się na trawiastym poboczu gościńca. Rolan zarył kopytami w ziemię, nieruchomy jak skała, podczas gdy Talia tonęła,

zalewana kolejnymi falami zawrotów głowy. Nie zsiadła z siodła; nie miała odwagi, bo nie była pewna, czy uda się jej ponownie wsiąść. Kurczowo trzymała się siodła z nadzieją, że nie spadnie.

— Chcesz zawrócić? — zapytał zaniepokojony Kris.

— Myślisz, że potrzebny byłby ci uzdrowiciel?

— N...nie. Nie sądzę. Nie wiem... — Nieprzyjemne objawy nie wydawały się aż tak dręczące. — Myślę, że to samo przejdzie.

Nagle, wraz z zawrotami głowy, jej zmysły przestały odczuwać obecność tych, którzy ją otaczali; coś, co nie zdarzało się jej nigdy, bez względu na to, jak szczerze osłaniała swe myśli.

— O bogini! — Rozglądała się wokoło, szeroko otwierając oczy. Przerazony Kris złapał ją za ramię. — Nie... — Całkowicie usunęła zasłonę spowijającą swe myśli. To samo. Nie czuła nic, nawet obecności stojącego obok niej Krisa. — Nie ma go. Mój dar mnie opuścił... .

I wtedy wrócił do niej, podwójnie wzmocniony. Talia aż zgięła się w pół z bólu, gdy gwar, zdawać by się mogło, tysięcy głosów wypełnił jej odsłonięte i niczym nie chronione myśli. W wielkim pośpiechu zatrzasnęła osłony.

Gwar zamarł, jak nożem uciął.

Nie zmieniła pozycji, siedziała zgięta w pół, trzymając się za głowę.

— Krisie... Krisie, co się dzieje? Co się złego dzieje?

Ze wszystkich sił starał się ją podtrzymać.

— Nie wiem — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Ja... czekajże... czy w tej mazi, którą nas nakarmili nie było jakichś grzybów?

— Ja... — Spróbowała zebrać myśli. — Tak. To możliwe.

— Koźlistóp — mruknął pośpnie. — To musiało być to. Dlatego tylko ty się zatrzymałaś, a ja nie.

— Koźlistóp? To... — Wyprostowała się powoli, mruganiem przepędzając lży. — To zakłóca dar, prawda? Myślałam, że jest bardzo rzadki... .

— Jedynie dary myślczenia oraz empatię, i rzeczywiście jest bardzo rzadki. Tutaj nie występuje powszechnie, ale nie jest rzadkością. Koźlistóp lubi wilgotną wiosnę, a taką mieliśmy w tym roku. Musiał wpaść w ręce tym przeklętym głupcom, a oni naszpikowali nim jedzenie sprawdzwszy tylko to, że jest jadalny.

Talii udało się jako tako zebrać myśli.

— To spowoduje, że wszelkie moje odczyty przez najbliższych kilka dni nie zdadzą się na wiele.

Wykrzywił twarz w grymasie.

— Nawet nie próbuj tego robić, bo się rozchorujesz. Ci przekłeci głupcy mieli szczęście, że nie nocował u nich uzdrowiciel! Jeśli możesz utrzymać się w siodle, myślę, że lepiej będzie wrócić... .

— Nie spadnę, jeśli nie będziemy się śpieszyć. A co?

Kris zdążył już zawrócić Tantrisa w stronę, skąd przybyli.

— A jeśli mają tego więcej i jakiś uzdrowiciel zatrzyma się u nich na noc?

— O wielcy, miłoścy bogowie! — Pozwoliła, by Rolan poszedł śladem Tantrisa.

Musieli wracać zaledwie milę — nie oddalili się zbyt, gdy Talia odczuła skutki działania grzyba. Zmagała się z zalecającymi ją na zmianę falami zawrotów głowy i niemal utraty przytomności. Jak przez mgłę uzmysławiała sobie, że zatrzymują się przed zajazdem i Kris strofuje kogoś niezwykle ostrymi słowy. Jej ucho pochwyciło gorączkowe przeprosiny. Wydawało się, że dość szczerze, ale na tym, czym jej dar karmił zmysły, zupełnie nie mogła polegać. Kolejno obmywały ją fale strachu, obawy i winy, przeplatające się z następującym po nich przyływem delirycznej radości, zmieszanej z silnym podnieceniem seksualnym i obezwładniającym uczuciem głodu.

W końcu znów zaległa zupełna cisza i roztrzęsiona Talia westchnęła z ulgą.

— Ptaszyno?

Otworzyła oczy, by spojrzeć na dół, na Krisa stojącego przy jej prawym strzeżeniu.

— Chcesz się tutaj zatrzymać? Mógłbym zawrócić do wieży sygnałowej i kazać im wysłać depeszę, że zaniemogłaś, oraz wiadomość, kogo należy za to winić.

— Nie, nie. Poczuję się lepiej... kiedy znajdziemy się z dala od ludzi. Ty potrafisz ochraniać swe zmysły, oni nie. Nie spadnę z siodła, Rolan na to nie pozwoli.

— Jeśli tego chcesz...

— Proszę... — Przymknęła oczy. — Wyjedźmy stąd... Usłyszała skrzypnięcie, gdy Kris wskakiwał na siodło i poczuła, że Rolan wyrusza śladem Tantrisa. Wydawało się, że kiedy trzyma oczy zamknięte, czuje się mniej oszołomiona. Nie myliła się: zwiększyła się oddzielająca ich od wioski odległość i najgorsze minęło. Poczuła, jak dookoła niej zatrzaskuje się druga osłona — Krisa — a potem trzecia — Rolana...

Ostrożnie otworzyła oczy. Miała wrażenie, że patrzy przez przezroczystą tafłę wody, ale można było wytrzymać. Dopiero gdy Kris dotknął jej ramienia, spostrzegła, że jedzie tuż obok niej.

— Nie zrobiono tego naumyślnie — powoli wymawiała słowa — prawda?

Kris zaczął się poważnie nad tym zastanawiać. Domyśliła się tego, widząc jego zupełnie pozbawioną wyrazu twarz.

— Nie sądzę — odpowiedział w końcu. — Nie mogli domyślić się, w którym zajeździe zatrzymamy się na noc oraz że koźlistóp będzie na podorędziu. Przysięgali, że te strawę mieli tylko w jednym kociołku i że rano jakieś pachole sprzedało im strączki jadalnych grzybów. Zmusiłem ich, by wylali resztki owsianki do świńskiego koryta. Myślę, że to był tylko przeklęty przypadek. Możesz dalej jechać?

Przymknęła oczy, starając się ocenić swój stan.

— Tak.

— Dobrze, zatem w drogę. Wolałbym, byś znalazła się w łożu tak szybko, jak to tylko możliwe.

Jednak Talia w dalszym ciągu miała wątpliwości — ponieważ dzięki wieżom depeszowym ktoś mógł dowiedzieć się, w którym zajeździe zamierzają nocować, a że wychowała się na wsi, wiedziała, iż niektóre grzyby mogą być po zasuszeniu przechowywane w nieskończoność.

Kris zmusił ich oboje do największego wysiłku, chcąc umieścić Talię bezpiecznie w łożu jeszcze przed zachodem słońca. Udało mu się to, i szczęśliwym trafem tym razem byli jedynymi podróżnymi, którzy korzystali z noclegu w zajeździe. Spokój i odpoczynek odniosły dobroczynny skutek. Niestety Kris wiedział z doświadczenia, że na zatrucie tym grzybem jedynym lekarstwem jest czas.

To nie był zaledwie irytujący zbieg okoliczności, Krisowi naprawdę były bardzo potrzebne zdolności Talii. Teraz byli skazani wyłącznie na zdrowy rozsądek i spryt.

Talia przespawszy smacznie całą noc, poczuła się lepiej. Okazało się jednak, że wciąż nie może w najmniejszym stopniu polegać na swym darze. Na zmianę osłony to zatrzaśkiwały się na głucho, to znów otwierały szeroko, nie pozwalając wyłović poszczególnych emocji z lawiny uczuć, w jakiej tonęły jej zmysły.

Oboje bali się, żeby w takich warunkach Talia nie zaczęła rozsiewać swych myśli. Żadne z nich nie miało ochoty dowiadywać się, jakie byłyby tego skutki, których z góry nie można przewidzieć.

Kris starał się jak najszybciej dotrzeć do następnego zajazdu, mając nadzieję, że nie zawiodą ich zdobyta wiedza, spryt i doświadczenie.

Kiedy około południa Kris zatrzymał się, by rozpytać o zajazdy, ludzie wydawali mu się nadmiernie cisi i nieskorzy do rozmów wykraczających poza udzielenie uprzejmej, aczkolwiek zdawkowej odpowiedzi na jego pytania. Mieszkańcy przysiółka, dokąd w końcu trafili, zachowywali się tak samo: zaaferowani własnymi sprawami okazali jedynie przelotne zaciekawienie obcymi, którzy zawitali do nich.

Tej nocy strażnik na placówce pocztowej, do której przybyli, był chłodny i nieco szorstki w obejściu. Doradził im, by nie rezygnowali z zatrzymania się w schronisku lidera.

— Tamci w stolicy muszą wiedzieć, gdzie się podziewacie. Zrozumieliby opacznie, gdyby nie mogli was znaleźć tam, gdzie być powinniście — powiedział takim tonem, jakby „tamci” mogli poczuć się urażeni zmianą planów heroldów.

Kris wymienił z Talią króciutkie spojrzenie, ale nic nie odpowiedział.

W zajeździe, gdzie zatrzymała się zaledwie garść podróżnych, rozdzielili się,

starając się każde na własną rękę wydostać nieco więcej wiadomości z tych, którzy na pierwszy rzut oka mogli okazać się najbardziej rozmowni.

Talia wybrała nieśmiałą kapłankę jednego z zakonów czczących Księżyc, w nadziei, że coś z niej wydobędzie, nie odwołując się do swego daru. Rozpoczęła rozmowę od tematów powszednich: od trudności, przed jakimi stoi kobieta odbywająca daleką podróż; biadolenia, że mężczyźni skłonni są je lekceważyć — na przykładzie zarządców zajazdu obsługujących najpierw mężczyzn, bez względu na to, kto zawitał pierwszy w ich progi — i tak dalej w podobnym nastroju. Ostrożnie zaczęła kierować rozmowę na tory wkraczające na tereny najwrażliwsze.

— Wasz król, muszę to przyznać, wydaje się dobrym władcą — Talia powiedziała od niechcienia, kiedy zaczęły rozmawiać o Alessandarze. — Z tego, co widzę, wszystkim wiecie się jak najlepiej. W waszej świątyni nastąpiły, jak sądzę, dni obfitości.

— O, tak... Alessandar jest nam dobrym panem; nigdy jeszcze nie żyło nam się tak dobrze... — Kapłankę jakby opanowała nagle niepewność, zawahała się, jej głos zamilkł.

— I ma wspaniałego, mocnego syna, który będzie jego następcą? Tak słyszałam.

— Tak, tak. Ancar rzeczywiście jest mocny... Czy Valdemar bardzo ucierpiał od powodzi? U nas nigdyśmy jeszcze tak wielkich powodzi nie widzieli.

Czy w głosie kobiety zabrzmiał niepokój, gdy wymieniała imię Ancara?

— Powodzie, to tak. Zbiory i stada zmyte przez wodę, nawet rzeki zmieniały koryto. Młoda Elspeth nalega, by królowa zezwoliła jej wyruszyć na zalane tereny i pomagać, ile sił. starczy, co oczywiście nie jest możliwe, póki pobiega nauki. Jednak kiedy dorośnie, nie mam wątpliwości, że stanie się prawą ręką królowej. Z pewnością Ancar pomaga swemu ojcu?

— Nie... właściwie nie. To... faktorzy się tym zajmują. A... my, prawdę powiedziawszy, nie mamy ochoty widzieć Ancara... Nikt o takiej pozycji nie powinien spoufalać się z ludem. Ma on swój własny dwór... to znaczy od chwili, gdy wszedł w odpowiedni wiek. Interesuje się czymś innym.

— Aaa — powiedziała na to Talia, i pozwoliła rozmowie pobiec innym torem.

— Trudno jest na podstawie tego rozstrzygnąć. — Kris myślał na głos. — Lecz wygląda to osobliwie.

Talia kiwnęła głową. Zaczekali z tą rozmową, póki nie znaleźli się na gościńcu.

— Odniosłem podobne wrażenie — zaczął.

— Jakby rzeczy miały się dość dobrze teraz, ale ludzie nie byli pewni, co im przyniesie dzień jutrzejszy.

— Niech lichy ten koźlistóp pochłonie! Gdybyśmy tylko mogli wyrobić sobie pogląd, jak głęboko to sięga, czy jest w tym coś więcej poza zwyczajnymi obawami, że „lepszy król słomiany niż lwiany”. O bogowie, potrzebny nam jest twój dar!

— Wciąż nie można mu zaufać — powiedziała żałośnie.

— Hm, zatem musimy brnąć dalej, polegając tylko na sobie — westchnął. — Z tego właśnie powodu zostaliśmy wysłani przodem. Musimy zdobyć dokładniejsze wiadomości. Selenay nie może opierać swych działań na czymś tak mglistym.

— Wiem. — Talia przygryzła wargę. — Wiem.

Wieczorem Talia wciągnęła do rozmowy starszawego urzędnika. Kiedy poruszyła temat króla, zaczął wylewnie wynosić Alessandara pod niebiosa.

— Spójrzmy na zajazdy — wspomniały pomysł, cudowny! Pamiętam, byłem wtedy młokosem na mojej pierwszej posadzie poborcy podatkowego. O Panie Słońca, oberże, w jakich przyszło mi się zatrzymywać: zapchlone, brudne, a drogie, że dziwiłem się, iż zwyczajnie nie rabują pod groźbą noża przytkniętego do gardła! Wybił niemal wszystkich rabusiów i brygantów; on i jego żołnierze. Kar-sytom nawet na myśl nie przyjdzie jakiś nowy najazd. O tak, on jest wielkim królem, jednak jest już stary. . .

— Na pewno Ancar. . .

— Hm, to zależy. Książę świetnie sobie radzi z dworskim protokołem, lecz nie wydaje się tak otwarty jak stary pan. I jeszcze krążą pogłoski. . .

— Och?

— O, pogłoski krążą zawsze, wiesz o tym młoda pani. . .

Istotnie roilo się od plotek i Kris teraz naprawdę obawiał się cudzych uszu, a więc na następny dzień, gdy znaleźli się na otwartym trakcie, nie mając nikogo w zasięgu wzroku dał Talii znak, by się zatrzymali.

Opowiedziała mu o tym, co udało się jej dowiedzieć i o swoich domysłach.

— A więc Ancar ma swój własny, mały dwór. Hm? — zamyślił się Kris. — I krąg własnych popieczników oraz pieczeniarzy. Nie mogę powiedzieć, by mi się to podobało. Nawet jeśli książę jest niewinny i poczciwy, mogą się tam znaleźć tacy, którzy chętnie wykorzystaliby taką sytuację.

— Nie wydaje się niewinny i poczciwy w świetle tego, co udało mi się z jego poddanych wyciągnąć — odparła Talia. — Oddając sprawiedliwość, może być z natury swej chłodny i twardy. Bogini raczy wiedzieć, że w swym życiu dość miał widoków wojen, od czego mogło stwardnieć jego serce.

— O! To coś nowego dla mnie, opowiedz.

— Kiedy miał czternaście lat, wziął udział w kilku kampaniach, w których starto z powierzchni ziemi barbarzyńców wzdłuż Granicy Pomocnej. W sumie trwało to dwa lata. W wieku lat siedemnastu poprowadził armię na Karsytów, którzy wtedy po raz ostatni ośmielili się na nich najechać. I znów najeźdźców wygubiono do ostatniego. Ukończywszy dwadzieścia lat, poszedł przeciw rozbójnikom na gościńce. W rezultacie niemal każde drzewo stąd aż po stolicę obrodziło szubienicznikami, owocami owego lata.

— Toż ludzie powinni ogłosić go bohaterem.

— A nie bać się? Najwyraźniej swym zachowaniem budzi łęk poddanych. Nie kryje się wcale, że zabijanie sprawia mu przyjemność i że jest całkowicie bezwzględny. Niejednego z nieszczęsnych rozbójników powiesił, bo padł na nich cień podejrzeń, że dopuścili się złego uczynku, i przyglądał się ich męczarniom, stojąc obok szubienicy z kielichem wina w ręku.

— Kochany chłopiec. Właściwy kandydat dla naszej Elspeth.

— Nawet w żartach tak nie mów — syknęła Talia. — A czy nie uraczono cię opowieścią o tym, jakie jest jego zachowanie wobec kobiet? Usłyszałam, że lepiej nie zwracać na siebie jego uwagi i o ile to możliwe, trzymać się na uboczu.

— Niewykluczone. Nasłuchałem się więcej od ciebie. Jeśli wierzyć temu, co mówią, młody Ancar lubuje się w gwałtach, a im młodsza dziewczyna, tym lepiej, o ile jest na wydaniu i pociągająca. Jednak wynika to tylko z czytania między wierszami. Nikt nie odważył się opowiedzieć o tym wprost.

Nie powiedzieli także niczego wprost o czarodziejach, których u siebie trzyma — niespodziewanie wtrącił się Tantris.

— Co takiego? — zapytał zaskoczony Kris.

Stojąc w stajni, nadstawiałem uszu. Oberżysci trzymali stajennych w ryzach, strasząc ich oddaniem w ręce czarodziejki Ancara, jeśli nie będą należycie przykładać się do swych obowiązków, a robota nie będzie im się palić w rękach.

— Tylko tyle? Toż to stara jak świat sztuczka.

Nie, jeśli używa się jej wobec „chłopców stajennych”, którzy mogliby założyć własne rodziny, i kiedy to napawa ich śmiertelnym lękiem.

— O Panie Światła, sprawy zaczynają wyglądać posępnie... — Kris powtórzył Talii słowa Tantrisa.

— Musimy natrafić na kogoś, kto będzie chciał o tym rozmawiać — odparła.

— Nie możemy zawrócić, zebrawszy zaledwie garść plotek. Selenay potrzebne są fakty. Jeśli teraz się wycofamy, możemy sprowokować incydent dyplomatyczny.

— Zgadza się — stwierdził z mocą Kris. — A jeśli jesteśmy obserwowani, moglibyśmy nawet nie dotrzeć z powrotem do granicy.

— Uważasz to za możliwe? Ośmieliłby się?

— Tak właśnie myślę, jeśli prawdą jest to, co krąży w pogłoskach, i gra toczyłaby się o dostatecznie wysoką stawkę. Niestety, jest tylko jeden sposób, by

przekonać się, jaki jest naprawdę Ancar i jakie są jego plany — musimy zbliżyć się do niego. Obawiam się jednak, że potrzebne są nam te informacje, bo od tego zależy coś więcej, już nie tylko zrękowiny Elspeth.

— Bałam się — odpowiedziała Talia — że właśnie to powiesz.

Dzielił ich od stolicy zaledwie dzień jazdy, kiedy wreszcie udało im się napotkać kogoś, z kim mogli porozmawiać o pogłoskach. Był to najzwyczajniejszy w świecie szczęśliwy traf.

Kiedy wjeżdżali do miasta, Talia spostrzegła kupiecki wóz, który wydał jej się znajomy. Wozy tego typu robiono według tego samego wzoru, lecz ich krzykliwe ozdoby zależały od upodobań właścicieli. Malunki rzadko uzupełniano napisami, z racji tego, iż większość kupców nie potrafiła ani pisać, ani czytać, i dlatego właśnie starano się, by łatwo zapadały w pamięć. Talia sądziła, że rozpoznaje malunek rozbawionych kotków, uganiających się dookoła dolnej deski.

W chwilę później ujrzała zmierzwioną, czarną czuprynę brodatego właściciela i z niedowierzaniem pomyślała, jak łaskawy okazał się dla niej los. Kupiec imieniem Evan był człowiekiem, który zawdzięczał Talii życie. Niegdyś został oskarżony o morderstwo, a ona wyrwała go z łap rozwścieczonego tłumu mieszkańców i znalazła prawdziwego sprawcę. Rzuciwszy na Evana zakłęcie prawdy i dotknąwszy swą myślą jego umysłu, przekonała się, że może szczerze z nim rozmawiać, gdyż jej słów nie zdradzi nikomu.

Wóz Evana stał w jednym rzędzie razem z innymi, na podwórzu „Świecy i Korony” — oberży, w której najchętniej goszczono kupców.

Kiedy dotarli do zajazdu i zasiedli do wieczerzy, Talia trąciła stopą nogę Krisa pod stołem. W ten sposób porozumiewali się niechętnie; był on niezdarny i łatwy do wykrycia, o ile tylko ich stopy nie były ukryte. Ale zajazd świecił pustkami, a ich posadzono przy jednym z bocznych stołów, i Talia uważała, że mogą się bezpiecznie porozumiewać.

„Pójdź za mną” — dała mu do zrozumienia. Skinął głową, nie unosząc na pół przymkniętych powiek, jakby przytakiwał własnym myślom.

— Dziś ujrzałam starego przyjaciela — powiedziała, a trącając go stopą dodała: „Kupiec... zakłęcie prawdy...”, wiedząc, że natychmiast przypomni sobie okoliczności, w których te dwa pojęcia związały się ze sobą.

— Naprawdę? Ciekawe, czy można by go namówić na poczęstowanie nas napitkiem?

„I wypytać go” — wystukał stopą.

— O myślę, że tak — odparła radośnie. — „Tak.”

— To doskonale! Chętnie napiję się kropelkę zacnego wina. Tego cieńkusza z pewnością nie można wziąć za godziwy napitek. „Zaufany?”

— Zatem sprawdzę, czy uda mi się go namówić na kolejkę, albo dwie. „Tak.

Dług honoru.”

— Hm. „O bogowie, gdyby twój dar.” — Przełknął kęs chleba.

„Wrócił”.

„Do dzieła”.

Wezwała jednego z małych chłopców, który wałęsał się opodal zajazdu, szukając okazji zarobku, i przesłała wiadomość Evanowi, troskliwie dobierając słowa. Odpowiedź nadeszła przez tego samego posłańca. Prosił ją jedynie, by spotkali się nie w oberży, lecz w jego wozie.

Nie był zaskoczony, widząc obok niej Krisa. Otworzył tył wozu i zaprosił oboje do środka, gdzie znajdowała się mieszkalna klitka. W trójkę zasiedli wokół małego stoliczka. Evan poczęstował ich winem i wyczekiwał.

Talia ostrożnie rozchyliła osłony. Jej zmysły przeszukały wóz, czy nie było tam innego człowieka, który mógłby pod. słuchać ich rozmowę. Nie znalazła nikogo.

— Evanie — zaczęła szeptem — do uszu kupców wiele dociera. Od razu zmiierzając do sedna, potrzebuję dowiedzieć się, co słyszałeś o księciu Ancarze. Wiesz, że mnie można zaufać, i daję słowo, że nikt nas nie szpieguje. Wiedziabym, gdyby było inaczej.

Evan wahał się, ale tylko przez chwilę.

— Ja... ja spodziewałem się czegoś takiego. O gdybym nie zawdzięczał ci tak wiele, pani. Nie mylisz się, uszy kupców słyszą wiele. O tak, krążą pogłoski, ponure pogłoski. Pięć, sześć lat temu, gdy osiągnął wiek dojrzały i nadano mu prawo założenia własnego dworu, zaczął otaczać się jakąś ponurą gromadą typów. Nazywa ich szkolarzami. O, to prawda, że coś z tego dobrego wynikło... wieże sygnałowe, akwedukty i tak dalej. Jednak w minionym roku jego szkolarze okryli się sławą raczej za zajmowanie się magią i guślarstwem, a nie pogłębianiem wiedzy.

— Ha, czyż nie opowiadają tutaj tego samego o heroldach? — Kris uśmiechnął się niespokojnie.

— Lecz przenigdy nie słyszałem nikogo, kto by mówił o waszym guślarstwie jak o Świetle, młodzieńcze — odparł Evan. — A tymczasem o przyjaciółach Ancara do mych uszu docierały wyłącznie mroczne opowieści. Niektóre z nich powiadają, że oni zbierają siły, przelewając krew...

— Jak dalece są wiarygodne? — zapytał Kris.

Evan wzruszył ramionami.

— Uczciwie rzekłszy, nie wiem. Zdarzyło mi się przecież bywać w miejscach, w których to samo powiadają o czcicielach Jedynego, a wszak w Valdemarze sami wiecie, że nie ma w tym ziarna rzetelnej prawdy. Nie dam głowy zatem, że to prawda. Ancar przez ostatni rok zajmował się dziewczkami i to w najpodlejszy z wszelakich sposobów. Nie przepuści żadnej biednej, młodej dzierlatce, jaka wpadnie mu w oko... Wysoko urodzona, czy z ludu — to dla niego bez różnicy...

Żadna nie ma odwagi mu odmówić. On zaś lubuje się w oszpecaniu ich bliźniami. Ha, to jeszcze nie wszystko: rozsiał po całym kraju... „nowiniarzy”, tak sami siebie nazywają. Twierdzą, że tak jak wy, są okiem i uchem króla, i dobro wszystkich jeży im na sercu. Jednak ja im nie dowierzam. Sądzę, że zebrane nowiny szepcą jedynie do Ancarowego ucha, i mocno wątpię, by król wiedział o ich istnieniu.

— To mi się przestaje podobać — szepnęła Talia.

— I mnie także. Przepytyują mnie dość często od chwili przekroczenia granicy, i niektóre z ich pytań wcale mi nie są w smak. Kto co kupił, komu się powodzi, kto mi co powiedział, kto klęczy na cześć jakiego boga... Ha, wierzajcie mi, iż Evan Przebiegły przy nich zamienia się w Evana Przygłupa.

Jego twarz przyoblekła nieprzenikniona maska skończonego durnia.

— Tak jest, panie... nie, panie... słuchom panie, do mnie mówita? — Wyraz głupoty zniknął z jego oblicza. — Nawet pozwalam im oszukiwać na królewskim mycie, byle tylko uwierzyli. To nie wszystko. Słyszałem z ust zaufanych, że Ancar posiada osobistą armię — trzy tysiące chłopów, najmniej — skleconą z szumowin wypuszczonych z ciemnic, którzy zaprzysięgli mu wierność w zamian za swe szyje. Ha, zanim zmiarkuję, o co tu chodzi, chyba już mnie tutaj nie będzie. Żal mi tych, których zaskoczy objęcie tronu przez Ancara. O tak. — Potrząsnął głową. — Bardzo mi ich żal.

Z ponurymi twarzami opuszczali następnego dnia zajazd. Urządzili krótki postój w niewielkim zagajniku tuż za granicą miasteczka, skąd mogli zobaczyć, czy ktoś się nie zbliża, sami nie będąc widzianymi.

— Nie podoba mi się to — powiedziała Talia prosto z mostu. — Wołałabym wrócić do granicy, jednak takie posunięcie mogłoby zostać poczytane za uwłaczające.

Z całego serca pragnęła uciekać. Nigdy od czasu, gdy straciła panowanie nad swym darem, nie bała się tak bardzo. Miała uczucie, że idzie na spotkanie czegoś, czemu nie jest w stanie sprostać. Jednak to dlatego Selenay ich wysłała — by mogli zawczasu odkryć, czy jakieś niebezpieczeństwo nie zagraża Valdemarowi. Na dodatek miała słabe przeczucie że to w jakiś sposób wiąże się z Orthallenem.

— To dodatkowy argument za tym, by brnąć dalej — stwierdził Kris. — Słyszeliśmy plotki, lecz musimy wiedzieć dokładnie, jak wielkie niebezpieczeństwo tam się zaczęło, inaczej nie będziemy mogli właściwie doradzić królowej. Wiele się nie dowiemy, uciekając z podwiniętym ogonem. Jest tak, jak już raz powiedziałem: jeśli teraz zawrócimy, mogą dojść do wniosku, że coś wiemy, i pochwycić nas, zanim zdążymy przekroczyć granicę. Jeśli zostaniemy, chyba uda nam się z tego wykaraskać, zachowując się jakby nigdy nic.

— Krisie, to jest niebezpieczna zabawa z ogniem.

— Wiem, że to niebezpieczne, jednak nie bardziej niż wiele innych misji, które

odbyliśmy razem z Dirkiem. Musimy dowiedzieć się, jakie są jego dalekosiężne plany, o ile to w ogóle możliwe.

— Wiem, wiem. — Talia zadrżała. — Krisie, nie podoba mi się to. Czuję się tak, jakbym wchodziła do ciemnego pokoju, wiedząc, że gdy zapalę świecę, okaże się on siedliskiem jadowitych węży, a drzwi za moimi plecami zatrzasną się na głucho.

— Ty jesteś najwyższej rangi heroldem, ptaszyno. Jedziemy, by dokładnie wywieść się, jak wygląda sytuacja i czy jakiegokolwiek bezpośrednio niebezpieczeństwo zagraża królestwu, czy też wracamy do Selenay z tym, co już wiemy gnając jakby nam przypiekano ogony, w nadziei, że nie zdołają nas zatrzymać?

— Jak moglibyśmy się wydostać, gdyby ruszyli za nami?

Kris westchnął.

— Nie założyłbym się, że nam się to uda. Musielibyśmy przebyć cały kraj, unikając dróg... nie znany kraj, pozwolę sobie dodać... Jadąc dzień i noc. Albo wysłać z wiadomością Rolana z Tantrise, pozbyć się naszych rzucających się w oczy uniformów, skrócić rzeczy do przebrania i spróbować wrócić na piechotę. Zdradziłyby nas nasz akcent i mielibyśmy na karku wszystkich „nowiniarzy” z całej krainy, którzy wiedzą, jak wyglądamy. Szczerze mówiąc, większe szanse mamy zgrywając tępaków i próbując podstępem wydostać się stąd.

— Czy nie mogłabym udać, że znów zaniemogłam?

— Oczekiwaliby raczej, że udamy się prosto do stolicy, do królewskich uzdrowicieli, a nie zawrócimy do granicy.

Talia zamknęła oczy, ważąc konsekwencje, a potem przygryzła wargę i podjęła decyzję:

— Jedziemy — powiedziała. — Nie mamy wyboru.

Jednak kiedy spotkali się ze swoją eskortą niedaleko stolicy, pod koniec trwającej sześć dni podróży od granicy z Valdemarem, Talii zdawało się, że klamka zapadła.

Obwieścili swoje przybycie przy bramie wjazdowej do miasta i uprzejmie poproszono ich, by zaczekali. Po upływie bez mała marki na świecy — która, jak zwykle w takich wypadkach, zesła im na obserwowanie ludzi oraz zwierząt wchodzących i wychodzących z miasta — rozległy się głosy trąb i zwykli ludzie znikli im sprzed oczu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Talia spodziewała się ujrzeć oficjalną eksortę, ale nie oczekiwała, że urośnie ona do rozmiarów królewskiego pochodu. Jednak właśnie coś takiego wyłoniło się z bram miejskich.

Wpierw drogą nadjechało — w otoczeniu ubranych w liberię adiutantów — z tuzin dostojników w pysznych szatach, na rumakach bojowych szlachetnej krwi, wierzgających i tańczących niecierpliwie.

Na czele królewskiego pochodu jechał książę Ancar ze swym orszakiem. Talia zupełnie nie spodziewała się ujrzeć go już teraz — podobnie Kris, na którego twarzy na mgnienie oka zagościło zdziwienie.

Ancar jechał im na spotkanie w szpalerze utworzonym przez dworzan i gwardzistów. Wszystko odbywało się jak w widowisku, tak pieczołowicie zainscenizowanym, by olśnić widzów. Popis rzeczywiście wywarł silne wrażenie na Talii, tyle że nie takie, jak zamierzano. Na widok księcia poczuła się jak kot w obliczu żmiji. Miała ochotę wygiąć kark, syknąć i rzucić się na niego z pazurami.

— Pozdrowienia ode mnie i mego zaszczyconego ojca. — Powitał ich chłodno, lekko skłaniając głowę, lecz nie zsiadając ze swego wierzchowca. — Przybyliśmy, by odprowadzić posłów królowej Selenay do pałacu.

Talia była całkowicie przekonana, że przez „my” w liczbie mnogiej, wyraził się jak król o sobie. Zauważyła, że jego wierzchowiec przewyższał Towarzyszy o dwie dłonie, a więc i Ancar o tyle samo ich przewyższał.

O bogowie... Nie wiem, czy on pozwala sobie na pozostawienie jakiegokolwiek drobiazgu na łasce losu — pomyślała.

Na pierwszy rzut oka nie było widać żadnego powodu gwałtownej niechęci, jaką do niego poczuła. Podczas uprzejmej wymiany zdań na powitanie książę wydawał się odnosić do nich przychylnie. Przystojną, o regularnych rysach twarz ozdabiała starannie utrzymana czarna broda i wąsy. Przemówił do nich grzecznie, oddając wszelkie należne honory. Przy wjeździe do miasta zabawiał ich neutralną rozmową o zbliżających się żniwach i wiosennych powodziach, które dały się we znaki obu państwom. Zapewniał o swej chęci utrzymania dobrych stosunków pomiędzy obydwoma królestwami. Ot, zwykła rozmowa, nie dotycząca żadnego drażliwego tematu, prowadzona w przychylnym tonie.

Dla Talii nie miało to najmniejszego znaczenia. W tym człowieku tkwiło jakieś nieokreślone zło, zimne i wyrachowane. Przypominał węża, który wybiera najlepszą chwilę do ukąszenia.

Książę zwracał niewielką uwagę na Talię, którą od niego oddzielał Kris, tak jakby, z racji swej płci, nie zajmowała pozycji na tyle wysokiej, by warto było zawracać sobie nią głowę. Tym lepiej, podczas gdy Ancar zajmował się Krisem, Talia doszła do wniosku, że nie jest to czas na etyczne rozterki i że powinna spróbować go zbadać. Nie miało to wiele wspólnego z dyplomacją, ani nie było szczególnie moralne, ale nie dbała o to. Coś złego czaiło się pod maską wystudiowanej ogłady i kultury, za którą ukrył się książę. Talia zdecydowana była przekonać się, co to jest.

Zatrzymała ją potężna osłona, nigdy dotąd nie spotkała się z czymś takim. Nie mogła natrafić w niej nawet na najmniejsze pęknięcie, pomimo niezwykle ostrożnie ponawianych prób. Przestraszona, po kryjomu spojrzała na księcia Ancara. Prowadził rozmowę, nie okazując żadnego zaniepokojenia. A więc to nie on samodzielnie chronił swe myśli. Kto zatem?

Nagle jej ostre spojrzenie zostało przechwycone przez niepozornego mężczyznę w szarym stroju, który jechał po lewicy księcia. Człowiek ten popatrzył na nią martwymi jak brązowe kamyczki oczyma, a potem uśmiechnął się do niej blado i skinął głową. Przejął ją dreszcz i pośpiesznie odwróciła wzrok.

Droga do pałacu wydała się Talii niestychanie długa. Nie mogła się wprost doczekać, kiedy opuści towarzystwo księcia. Na dziedzińcu członkowie orszaku zeskoczyli z siodła i jak na komendę pojawili się masztalerze w liberiach, by odprowadzić wierzchowce, a wraz z nimi i Towarzyszy. Nie mogąc otrząsnąć się po starciu z magiem księcia, Talia błyskawicznie zbadała myśli masztalerzy, czy przypadkiem nie mają złych zamiarów.

Bogom niech będą dzięki... — pomyślała. Z ulgą stwierdziła, że szczerze zachwycają się pięknymi stworzeniami i mają rzetelną chęć, jak najlepszego zapiekowania się nimi. Próbowwała odwołać się do Rolana. Powróciło do niej takie wrażenie, jakby był czymś zatroskany, lecz w tak wielkim zamieszaniu nie sposób było zorientować się czym...

Kris zaczął coś mówić, ale książę przerwał mu, zanim zdążył powiedzieć choćby słowo.

— Pałac jest godny podziwu — rzekł Ancar z błyskiem w oku, którego Talia ani nie rozumiała, ani jej się nie spodobał. — Doprawdy musicie zwiedzić cały.

Czyż mogli odrzucić to zaproszenie?

Wydawało się, że książę zagał parol, by pod jego osobistą opieką zwiedzili każdy cal pałacu ojca. Szedł trzymając się strony Krisa, a jeden z jego wszechobecnych pieczeniarzy — Talii. W ten sposób zostali rozdzieleni i nie mogli sobie przesłać nawet najmniejszego znaku. Pod koniec tej przymusowej wycieczki Talia, dręczona obawami, zeszytniała na całym ciele. Jej niepokój, starannie skrywany, podwajał się z każdą chwilą, która upływała w obecności księcia. Pragnęła z całego serca znaleźć się z Krisem sam na sam. Mogłoby się wydawać, że Ancar umyślnie stara się uniemożliwić jakiejkolwiek porozumienie pomiędzy obojgiem heroldów, do którego mogłoby dojść z dala od jego oczu. Nie pozwolił im oddalić się od swego boku, póki nie nadszedł czas na uroczystą powitalną biesiadę.

W końcu zostawiono ich samych w przeznaczony dla nich przepysznie wystrojonej komnacie.

Talia zbadała okolicę, szukając nieproszonych uszu, lecz nie udało jej się na nic natrafić. Czy byłaby jednak w stanie coś odkryć, gdyby ich myśli były otoczone osłoną?

— O Panie Światła — westchnęła — nigdy nie przypuszczałam, że mogłabym czuć takie zmęczenie.

Znak dłonią. „Pułapka? Podśłuchują?” Usiadła na kanapie i klepnawszy w poduszkę zaprosiła Krisa obok siebie. Usiadł tuż przy niej. Uścisnął jej dłoń. „Dar?”

Oddała uścisk. „Osłony?” Ze zdziwienia uniósł brwi. „Jak?”

— Czy widziałeś tego osobliwego niewysokiego mężczyznę u boku księcia?
— zapytała. „On”. — Zastanawiam się, kim, u licha, może być. — „Otaczał osłoną Ancara. Może jeszcze coś”.

— Kto tam wie? Może to nauczyciel. — „Kłopoty”.

— Hm. Chętnie zaczerpnąłbym świeżego powietrza. — „Nieuniknione”.

Przenieśli się pod otwarte okno, przytuleni do siebie jak kochankowie.

— Ptaszyno — szeptał Kris wprost do jej ucha — jest jeszcze coś. Tutaj nie widać dostatecznej liczby strażników.

Talia zachichotała i przeciągnęła nosem po jego szyi. — Nie jestem pewna, czy ciebie rozumiem — mruknęła w odpowiedzi.

Roześmiał się i pocałował ją z doskonale udaną namiętnością.

— Pomyśl tylko: Selenay jest lubiana, a więc otacza się niewielką liczbą strażników, lecz są oni zawsze obecni, zawsze na widoku. Alessandro jest tak samo lubianym władcą, a więc należałoby się spodziewać, że strzec go będzie podobna liczba wartowników. Nie widziałem ich. Jeśli nie można ich zobaczyć, muszą pozostawać w ukryciu. Dlaczego miałby kazać swym wartownikom bawić się w chowanego? Chyba że on nie wie, iż oni się kryją; a skoro można ukryć jednego, można to zrobić równie łatwo i z tuzinem.

— Kris, proszę... — wyszeptała szybko Talia. — Zmieniłam zdanie. Myślę, że powinniśmy wydostać się stąd. Teraz. Tej nocy.

— Zgadzam się. Wydaje mi się, że wpakowaliśmy się w coś, czemu we dwoje nie damy rady. — Poprowadził ją do kanapy i tam kontynuowali zabawę w kochanków. — Zobaczywszy maga i to, jak ludzie zachowują się na widok Ancara, nie mam najmniejszych wątpliwości, że pogłoski są co do joty prawdziwe. Lepiej więc będzie opuścić to miejsce jeszcze tej nocy, lecz nie od razu. Najpierw chciałbym się dowiedzieć, co dzieje się u Alessandara. — Zamilkł na chwilę, głęboko zamyślony, z dłońmi położonymi na jej plecach i twarzą ukrytą w jej włosach. — Myślę, że na biesiadę powinniśmy wysłać naszych sobowtórów, by mieć okazję rozejrzeć się przed wyjazdem.

— Dobrze. Ale to ja udam się na przeszpiegi. Jeśli zrezygnuję z osłon, odkryje obecność ludzi na długo przed tobą.

— Jesteś w stanie rozpoznać obserwującego nas szpiega po jego osłonie?

— Samodzielnie, nie.

— Rozumiem, co masz na myśli. Połączenie...

Łącząc ich dary — empatii i dalekowidzenia — mogli zbadać bezpośrednio otoczenie w poszukiwaniu „pustych” miejsc. Przygnębieni odkryli, że w pobliżu nie było żadnego szpiega, osłanianego czy nie.

— Hm... — Odsunął się od niej zakłopotany. — Czuję się jak głupiec, to pewne.

— Spokojnie. — Zdenerwowana przyglądała włosy i uśmiechnęła się blado. — Ostrożności nigdy nie za wiele. Czy nie odkryją, że wysłaliśmy naszych sobowtórów?

— Pamiętaj, że na biesiadzie nie będzie nikogo z partii księcia. Nie będzie tam nikogo, kto nas widział. Jeśli pošlemy parę służących, nic złego nie powinno się stać. Nikt przecież nie zwraca uwagi na służbę. Ci dwaj, których nam przydzielono powinni się nadać. Są podobni do nas z postury i nieco z twarzy, będą nieźle wyglądać w naszych uniformach. Odwróć ich uwagę, a ty wprowadź się w trans i zawładnij nimi.

Talia zdrząła. Nie lubiła tego robić, a Kris tego nie potrafił — Jego dar dalekowidzenia nie pozwalał na wpajanie ludziom fałszywych osobowości. To, że ona była do tego zdolna, zawdzięczała tylko mocy swego daru empatii, zazwyczaj jedynie myśłomówca zdolny był do czegoś takiego.

Kris zadzwonił na służących, których im przydzielono. Tak jak powiedział, byli do nich podobni z postawy, i uniformy powinny leżeć na nich wystarczająco dobrze.

Pojawili się służący, a wraz z nimi kulbaki. Kris kazał im rozpakować paradne uniformy. Podczas gdy odwracał ich uwagę, Talia pogrążyła się w głębokim transie.

Przebaczcie mi — pomyślała. A potem sięgnęła do nich swymi zmysłami, by dotknąć ich umysłów... delikatnie... najpierw mężczyzną... a potem kobietę...

Kris pochwyił ich, kiedy osuwali się bezwładnie na uginających się nogach, i ułożył troskliwie na łożu.

Talia ostrożnie wniknęła do ich umysłów, powodując, że ich prawdziwa osobowość przeszła do osobliwego snu na jawie.

Przy stawianiu następnego kroku, potrzebna jej była pomoc.

Rolanie?

W mgnieniu oka był przy niej, zaniepokojony, lecz wyrażający zgodę na jej plan, a przynajmniej na to, co mu przekazała, nie mogąc porozumiewać się z nim myśłmową, a jedynie obrazami.

Wspólnie zaszczepili fałszywą osobowość i pamięć ich sobowtórom. Rolan znał pewne sposoby, o których Talia nie miała pojęcia; ona zaś umiała zmusić ich, by uwierzyli, że są obcokrajowcami. Przez następne kilka godzin służący mieli stać się sobowtórami Krisa i Talii. Miało to trwać dotąd, aż nie powrócą do tych komnat po biesiadzie. Ich zachowanie, nieco sztywne i bombastyczne, będzie można złożyć na karb formalnej etykiety, obowiązującej na takich uroczystościach.

Talia zwolniła Rolana i wyszła z transu, czując się bardzo odrętwiała, zmęczona i dręczona niejakimi wyrzutami sumienia.

— Czy to jest...

— Są gotowi — odparła, kręcąc głową, by rozruszać zdrętwiałą szyję, i wolno stając na nogach. — Nuże, nałożmy im jakie odzienie.

Ubrali oczekującą parę w oficjalną Biel, jakby mieli do czynienia z dwoma lalkami — łatwiej było to zrobić, gdy pozostawali we władzy zaklęcia. Talia przycięła im włosy, by jak najmniej różniły się od włosów jej i Krisa, a potem wykorzystwała całą swą zręczność, by malunkiem nadać im podobne rysy twarzy. Kiedy uporała się z tym zadaniem, przynajmniej na pierwszy rzut oka byli do nich podobni, i można ich było bezpiecznie wypuścić za drzwi.

— Doskonale. — Kris popatrzył na nią, gdy stawiali na nogi parę sobowtórów. — Ja idę do stajni. Odnalezienie Towarzyszy tak, by nikt tego nie zauważył, zajmie nieco czasu. Jeśli mi się to uda, zabiorę wszystko i je osiodłam. O ile tobie się uda, czekam przy bramie do stajni.

— Doskonale — odparła zdenerwowana Talia. — Zamierzam wśliznąć się na drugie piętro, na galerię dla minstreli. Powinam się czegoś tam dowiedzieć. Szczęśliwy traf zdarzy, to uda mi się wybadać któregoś z popleczników Ancara, a na pewno będę mogła stwierdzić, czy Alessandar wie, jakie plany snuje jego syn. Nie zajmie mi to dużo czasu, o ile tylko będzie to ode mnie zależeć.

— W najgorszym wypadku, gdybyś musiała uciekać, zawiadom Rolana, a zabiorę cię z dziedzińca. — Kris uśmiechnął się do niej, zaciskając wargi.

Talia ujęła swego sobowtóra za łokieć. Kris postąpił podobnie ze swoim, i podprowadzili parę służących do drzwi komnaty. Tam Talia uwolniła ich mózgi i lekko popchnęła prowadzoną przez siebie kobietę. Młoda służka mrugnęła, a wtedy zapanowała nad nią narzucona jej osobowość. Ujęła młodego mężczyznę pod rękę, ten otworzył drzwi i poprowadził ją do wielkiej biesiadnej komnaty. Kris z Talią posuwali się ich śladem dostatecznie długo, by się upewnić, że podstęp się udał, a potem rozdzielili się.

Dzięki wymuszonej przez księcia wycieczce, doskonale zaznajomili się z rozkładem całego pałacu. Kris udał się do jednej z klatek schodowych dla służby, którędy schodziło się do stajni, a Talia, przekonawszy się, że dotarł do niej bezpiecznie, skierowała się na galerię otaczającą biesiadną komnatę.

Usunęła wszelkie chroniące jej zmysły osłony i prześlizgiwała się korytarzem, od cienia do cienia, póki nie dotarła do kolejnych schodów dla służby, wiodących na drugie piętro. Pomógł jej w tym ruch panujący w komnacie biesiadnej, służący zdążyli zapalić zaledwie kilka świec, którymi oświetlano labirynt korytarzy. Przytulona do tylnej ściany galerii nie natknęła się na nikogo.

Kiedy się zatrzymała, wyczuła obecność wielu ludzi ukrytych za draperiami zwieszającymi się ze ścian galerii. Coś tu się nie zgadzało. Stąd minstrele mieli grać dopiero późnym wieczorem, w tej chwili ich muzyka dobiegała spoza parawanu ustawionego w komnacie. O tej porze na galerii nie powinno być żywej duszy.

Przymknęła oczy i pozwoliła swym zmysłom przeniknąć przez ścianę, w nadziei, iż ktoś okaże się na tyle zdenerwowany, by mogła odczytać to, co widzi — obrazy niesione wichrem rozszalałych emocji.

Okazało się to łatwe, zbyt łatwe. Fala obrazów zalała jej myśli: dowiedziała się, kim byli, jakie są ich zamierzenia, i z przerażenia serce skoczyło jej do gardła.

Na galerii obiegającej całą komnatę dookoła mniej więcej co trzy stopy stali rozstawieni strzelcy z napiętymi kuszami w dłoniach, a obok każdego leżał wypełniony kołczan. Nie należeli oni do gwardii Alessandara, nie byli wojami jego armii, lecz bezwzględными zabójcami; zaciągu takiego rekruta dokonał Ancar.

Księżę niecierpliwił się, nie miał już ochoty oczekiwać na naturalną śmierć swego ojca, która otworzyłaby mu drogę do władzy. Do tego był ambitny, i nie zadowalała go wizja rządzenia zaledwie jednym królestwem. Oto w jednej komnacie zasiadł jego ojciec wraz ze wszystkimi, którzy mogliby oponować przeciw wstąpieniu Ancara na tron, a na dodatek dwóch heroldów, mogących ostrzec królową — okazja zbyt kusząca, by ją zaprzepaścić. Kiedy biesiada będzie trwać w najlepsze, drzwi zostaną zamknięte na klucz, a wszyscy sprzeciwiający się Ancarowi zabici.

Z wyjątkiem heroldów. Ancar rozkazał ich okaleczyć, lecz zostawić przy życiu. To jeszcze bardziej przerażyło Talię. Ancar musiał knuć ten spisek od wielu miesięcy, czekał jedynie, aż nadarzy się sposobność. Ostrzeżony o przekroczeniu przez nich granicy, na sześć dni z góry znając datę ich przyjazdu do stolicy, miał dość czasu, by wyciągnąć zza pazuchy od dawna przygotowany plan.

Po dokonaniu rzezi stanie na czele swej osobistej armii, pokona eskortę, gdy tylko orszak przekroczy granicę, zabije królową, pochwyci Elspeth i ogłosi się królem Valdemaru na mocy nieodwołalnego już czynu.

Talia żałowała, że nie posiada zdolności Kyrila do dalekomówienia, gdyż nawet z tej odległości mogłaby przesłać ostrzeżenie heroldom nad granicą lub wezwać myślą Krisa i go przestrzec. Jedyne, co mogła zrobić, to myślą wezwać Rolana i posłać mu wiadomość, której skrzydeł dodawał ogromny strach. Miała nadzieję, że dzięki Tantrisowi wieść trafi także do Krisa.

Tak samo cicho i ostrożnie jak przyszła, wróciła do klatki schodowej, a potem zeszała piętro niżej.

Sień była jasno oświetlona i Talia nie śmiała wejść do niej. Jej lęk się podwoił, kiedy wyczuła, że Ancar rozstawił i tutaj swych ludzi, których zadaniem przypuszczalnie było zajęcie się biesiadnikami przybywającymi później. Sparaliżowana strachem przyłgnęła do drzwi, próbując zebrać myśli. Czy istniała inna droga wyjścia z tej pułapki?

Nagle przypomniała sobie mniejsze, urzędowe komnaty, gdzie podejmowano królewskich gości. Ich okna wychodziły na dziedziniec honorowy przed pałacem. Wiele z nich posiadało balkony, na które można było wydostać się przez okno lub drzwiami.

Po raz drugi przemierzyła schody, z sercem walącym w piersi jak młotem, zezwalając, by jej dar empatii rozciągnął się do granic możliwości.

Posuwała się wzdłuż ściany, schowana za zwieszającymi się z nich stęchłymi, zapleśniałymi draperiami, póki nie dotarła do drzwi jednej z owych komnat. Łaskawy los zrządził, że stała pusta, nie zamknięta na klucz i nie oświetlała jej nawet pojedyncza świeca. Talia wysunęła się spoza draperii, zdusiwszy łaskotanie wywołane drażniącym nos i oczy kurzem, i zakradła się do środka.

Wpadająca przez okno poświata księżycy i blask samotnej pochodni ślizgały się po lśniącej podłodze opróżnionej z wszelkich sprzętów komnaty. Talia krok po kroku przeszła pod ścianami, zżymając się na stratę czasu, jednak bała się, by jej cienia nie ujrzał ktoś przypadkowo przechodzący obok drzwi.

Wejście na balkon było zamknięte, na szczęście od wewnątrz. Talia uświadomiła to sobie dopiero po chwili, która upłynęła jej na panicznym zmaganiu się z gałką. Haczyk siedział mocno, lecz koniec końców ustąpił. Uchyliła drzwi i na czworakach wyszła na balkon. Zbadawszy dziedziniec, przekonała się, że nikt go nie obserwuje. Prześliznęła się ponad balustradą i zbierała się do skoku, kiedy zaczęła się rzeź.

Ponieważ zmysły miała wyczulone do granic możliwości, o mały włos ją też spotkałaby śmierć. Miała wrażenie, że tuziny ludzi konają w niej. Jej dłoń ześliznęła się z balustrady, i Talia spadła na kocie łby dziedzińca. W jej wstrząśniętym mózgu nabrzmiały ból i lęk, płosząc wszelkie inne myśli. Nie była w stanie zrobić świadomie nic, by się uratować. Spadała, a jej myśli były przyćmione. Stęzała na całym ciele, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Uratował ją instynkt, odruch w odpowiedzi na uczucia ludzi w chwili śmierci przerażenie i rozpaczliwe poczucie winy gwardzystów Alessandara, którzy ujrzeli swego pana przybitego do własnego tronu chmarą bełtów, zanim kolejna salwa ich samych nie ścięła z nóg. . .

Lecz Alberich przewidział, że kiedyś może nadejść dzień taki jak ten, i bezlitośnie ćwiczył ich tak długo, aż pewne odruchy zamieniły się w instynkt. Wola Talii została obezwładniona krwawą łaźnią, lecz nie jej ciało. . .

Przekręciła się w locie, skuliła, rozluźniając mięśnie, i uderzyła w dziedziniec stopami. Przewrót złagodził wstrząs upadku i Talia znieruchomiała, rozciągnięta na kocich łbach i posiniaczona, lecz poza tym nie odniósłszy żadnych szkód.

Z twarzą wykrzywioną bólem, wywołanym cierpieniem umierających w pałacu ludzi, wstała i zataczając się ruszyła w kierunku wrót stajni. Próbowwała szczerze zatrzasnąć osłony i oddzielić umysł od mąk konających. Miała wrażenie, że każdy jej krok trwa wieczność, a jednak zrobiła ich zaledwie z pół tuzina, gdy dobiegł ją tętent kopyt na kamieniach i ujrzała pędzący w jej stronę śnieżny kształt.

To był nie osiodłany Rolan. Nie zatrzymał się obok niej, wiedząc, że o ile nie stanie zupełnie nieruchomo, Talia nie będzie w stanie wskoczyć na jego grzbiet. Tuż za nim pojawił się Tantris unoszący Krisa, wychylonego szaleńczo w przód. Herold jedną rękę wczepił w grzywę swego wierzchowca, a drugą wyciągnął do

Talii, obejmując mocno nogami korpus Towarzysza. Kiedy ją mijali, Talia chwyciła wyciągniętą rękę, a Kris wciągnął ją przed siebie na siodło. Tantris nie zwołał ani na jotę. Rolan co prawda ich wyprzedził, jednak nie musieli się w ogóle zatrzymywać.

Przed sobą mieli jeszcze jedną przeszkodę do pokonania: wąskie przejście rozdzielające mur wewnętrzny od zewnętrznego, wiodące do brony w bramie wjazdowej. Talii udało się w końcu okryć osłoną zmysły, więc nie wiedzieli, że i te mury zostały obsadzone strzelcami.

Pędząc galopem, wjechali prosto w grad strzał.

W mgnieniu oka było po wszystkim. Bark Talii zapłonął jakby ogarnięty ogniem; w tej samej chwili zarżał umierający Tantris — wstrząsnęło nim drżenie i zarył się chrapami w ziemię. Talia wyleciała do przodu jak z procy i przy upadku niemal straciła przytomność. Brzechwa strzały pękła, grot wbił się głębiej w ciało. Lecz nawet ten ból przyćmiła agonía Krisa.

Rolan zwołał swój szaleńczy galop — strzelcy przepuścili zwierzę bez jeźdźca. Talia uczepliła się jedynej myśli, jaka nie utonęła w śmiertelnym cierpieniu przyćmiewającym jej zmysły.

Rolanie... uciekaj! — wykrzyczała, wkładając w to wszystkie siły, serce, umysł i duszę.

Nie zawahał się i wystrzelił przez bramę, na mgnienie oka przed tym, jak żelazna brona ze zgrzytem runęła w dół, odcinając wszelką drogę ucieczki — jej zęby musnęły go, aż Talię dźgnął ostry ból, wywołany jego lękiem, bo na żelazie osiadł kosmyk włosów wyrwanych z ogona.

Skulony Kris leżał obok nieruchomego ciała Tantrisa. Przeżywał katusze, których przeleżał się żyć i nie mógł zdobyć się nawet na płacz. Talia próbowała unieść się i ni to na czworakach, ni to czołgając się, dowlokła się do niego. Przytuliła jego torturowane przez ból ciało, rozpaczliwie próbując pomyśleć o czymś, co mogłoby mu pomóc. Strzały przeszły go tak, że wyglądał jak słomiany cel — ten cel jednak krwawił. To ciała jego i Tantrisa okazały się tarczą. Nawet w migotliwej poświacie płonących pochodni, tuląc go do siebie, widziała, jak na Bieli Heroldów z wolna wykwitają purpurowe plamy. Jej zmysły po omacku szukały tej uzdrawiającej siły, którą posługiwała się Kerithwyn. Nie była pewna, co z nią pocznie, gdy ją odnajdzie, jednak kierowało nią graniczące z szaleństwem pragnienie złagodzenia męczarni Krisa. Miała wrażenie, że wzbiera w niej jakaś fala, jak wtedy, gdy rozpacz zmusiła ją do przekroczenia granic własnych możliwości.

Przestała być świadoma tego, co ją otacza. Nawet okrutny ból przeszywający jej bark musiał przed tym ustąpić.

I nagle udało się znaleźć ujście dla wezbranych w niej sił...

Rozwarła powieki i ich oczy spotkały się — Kris patrzył na nią jasnym, rozgończonym spojrzeniem, wolnym od bólu, który teraz jedynie ona odczuwała. Udało się jej zasłonić go przed jego cierpieniem.

Lecz Kris umierał. Wiedzieli o tym oboje.

Rozejrzała się dookoła, spodziewając się ujrzeć otaczających ich żołnierzy.

— Nie... — wykrztusił.

Słyszac chrapliwy szept, skierowała swą uwagę ponownie na niego.

— Oni... to jest labirynt. Umrę, zanim tutaj dobiegną.

Zrozumiała. Dzięki swojemu darowi wiedział, że żołnierze muszą pokonać prawdziwy labirynt korytarzy i klatek schodowych, zanim zdołają dotrzeć do wyjścia, wiodącego na ten teren. Jednak Kris wiedział także, jak niewiele czasu mu pozostało.

— Krisie... — Wzbierające łzy dusiły gardło i nie pozwalały jej powiedzieć nic więcej.

— Nie, ptaszyno. Płacz nad sobą, mnie nie opłakuj.

Po tych słowach niemal oszalała z żalu.

— Nie boję się śmierci; z radością i chętnie wyruszę na poszukiwanie Przy-stani... O, gdybym tylko był pewny, że mój Towarzysz oczekuje tam na mnie... Jednak zostawić ciebie... Jakże mam ciebie zostawić sam na sam z mym brzemieniem i twoim? — Zakaszła i krew pojawiła się w kącikach jego ust. Udało mu się jakoś unieść rękę i pogłodzić Talię po policzku. Schowała twarz w jego dłoni i płakała.

— To nie przystoi... opuszczać cię... Jednak ostrzeż ich, siostró-w-sercu. Ostrzeż ich jakoś. Ja nie mogę wypełnić mego zadania do końca. To należy do ciebie.

Skinęła głową. Łzy zdławiły wszelkie słowa.

— O, ptaszyno, kocham cię... — Widać było, że Kris próbował jeszcze coś dodać, jednak wstrząsnął nim kolejny spazm kaszlu. Ponownie uniósł oczy, lecz najwyraźniej już jej nie widział. Jego spojrzenie rozjaśniła radość, jakby na widok czegoś cudownego i niespodziewanego. — Tak... jasno!

Na mgnienie i Talię przeniknęła radość; radość i zachwyt, dziwne uczucie wieczności — dotąd nigdy nie przeżyła czegoś takiego. Wtedy ciało Krisa przebiegł pojedynczy dreszcz i światełko życia zgasło w jego oczach; zwiotczał i w ramionach Talii pozostała jedynie łupina.

Wtedy zjawili się żołnierze, wyrwali ciało Krisa z rąk Talii, i zabrali ją ze sobą. Odrętwiałej od żalu i cierpienia zabrakło sił, by się bronić.

ÓSMY

Strażnicy nie okazali jej najmniejszej litości.

Skrepowali jej ręce na plecach, kopiąc i szturchając, powlekli ją wzdłuż nie kończących się, kamiennych korytarzy i po nierównych stopniach. Kiedy chwiała się, kopnięciami stawiali ją na nogi; gdy mdlała, popychali, wymierzając siarczyste ciosy. Na koniec brutalnym pchnięciem przewrócili ją na środku pomieszczenia o nagich ścianach, zostawiając ją pod nadzorem trzech zwalistych okrutników, stworzeń bardziej podobnych do dzikich bestii niż do ludzi.

Obdarli ją z odzienia do gołej skóry, obojętni na śmiertelny ból, o jaki przyprowadził ją zraniony bark, a potem dokonali bezwzględnej rewizji i, uporawszy się z tym zadaniem, tak samo brutalnie i obojętnie, po kolei gwałcili ją. Wtedy jednak niemal nic już nie czuła, nieprzytomna od wstrząsu i odrętwiała z bólu. W jej stanie nie miało to większego znaczenia, ot, dodatkowa tortura. Nie była nawet w stanie skoncentrować się na tyle, by móc użyć swego daru do obrony. Kiedy raz próbowała słabego oporu, ten, który w danej chwili sycił swą chuć, po prostu grzmotnął jej głową o kamienną podłogę, tak mocno, że ledwie zdołała zachować przytomność.

Kiedy skończyli, szarpnięciem za rękę postawili ją na nogi i rzucili na brudną podłogę ciemnicy o kamiennych ścianach, wrzucając za nią jej skrwawione ubranie.

Ocknęła się pod wpływem zimna, które przeniknęło ją do szpiku kości i przyprowadziło o dreszcze nie do opanowania, oraz obudziło ból w przebitym barku. Udało się jej podpełznąć do miejsca, gdzie leżało jej odzienie i przywdziać je na zmaltretowane ciało.

Bark, którego, co nie dziwota, nikt nie opatrzył, krwawił obficie.

Muszę... coś zrobić — zaświtało w jej zziębniętej i oczadziałej głowie — ... wyrwać to... pozbyć się tego.

Nieco lepiej zaczęła zdawać sobie sprawę, co się z nią dzieje. Wydawało jej się, że przypomina sobie, iż strzały strażników miały groty w kształcie liścia.

Dobrze zatem...

Zacisnęła zęby, uchwyciła palcami obślizły od krwi ułamek brzechwy i pociągnęła.

Wyszedł z rany, a ona na krótko straciła przytomność. Kiedy ciemność ustąpiła jej sprzed oczu, opatrzyła ranę podartą na strzępy koszulą, w nadziei, że to zatamuje upływ krwi.

Selenay, Elspeth — musiała ostrzec królową. Myśl ta nie dawała jej spokoju, poganiała ją jak kłująca ostroga, doprowadzająca do utraty tchu i nawet wtedy nie dająca za wygraną. To przez wzgląd na nią musiała zachować przytomność i przeżyć. Choćby nawet pragnęła umrzeć. Skuliła się, zmuszając do pogrążenia w transie, na przekór cierpieniu, które torturowało jej ciało. Rozpacz powinna pomóc jej sięgnąć zmysłami granicy.

Niestety, natknęła się na taką samą ścianę, jaką otoczony był umysł księcia Ancara. Jej wezwanie odbiło się jak dziki ptak od żelaznych prętów klatki, w którym go zamknięto. W osłonie nie było żadnych pęknięć ani słabszych miejsc. Choć włożyła w to wszystkie siły, nie była w stanie myślą wysłać na zewnątrz wezwania. Poddała się, czując gorzki smak bólu oraz przygnębienie. Płakała, bezradnie skulona w ciemnej celi.

Nie wiadomo, ile czasu upłynęło do chwili, gdy ocknęła się, wyrwana przez jakiś niezwykle dźwięk z koszmaru, w jaki splotły się ból, rozpacz i żal. Zamieniła się w słuch. Okazało się, że ktoś mówi do niej szeptem.

— Heroldzie! Heroldzie! — Głos wydał się jej jakby znajomy.

— Heroldzie! — rozległo się z niewielkiego otworu w sklepieniu.

Dotarła w jego pobliże na kolanach i położyła się na brudnej posadzce, nie wierząc, by roztrzęsione nogi ją utrzymały. Musiała odkaslnąć kilkakrotnie, zanim mogła się odezwać.

— Tutaj, jestem.

— Pani, to ja, Evan. Evan, kupiec z Zachodnich Rogatek w Valdemarze. Ten, z którym dzień temu rozmawiałaś.

Kiedy go ostrożnie badała, korzystając ze swego daru, przemknęła jej myśl, czy to nie jest pułapka: Bogowie., jeśli tak jest... lecz cóż mam do stracenia? O Pani, błagam.

Niemal zemdląca z ulgi, kiedy jej dar potwierdził, iż istotnie jest to ten sam człowiek.

— Bogowie... Evanie... Evanie, obyś był błogosławiony przez Panią... — Przełknęła słowa cisnące się na usta, starając się opanować. — Gdzie jesteś?

— Na zewnątrz murów, w suchej fosie. Moi znajomi pracują w pałacu, a jeden gwardzista wskazał mi, gdzie znajduje się ten otwór doprowadzający powietrze. Przybyłem po tobie, późnym wieczorem... Popijaliśmy z pewnym gwardzistą, gdy wybuchł tumult i ozwały się jęki. Szepnęli mi słówko o tym, co się wydarzyło, lecz ostrzegli, bym trzymał język za zębami, jeśli chcę z tego wyjść cało. Nie są to źli ludzie, ale przestraszeni, heroldzie, bardzo przestraszeni. Książę nie kryje się z tym, że ma złych magów na swe usługi oraz całą armię, która słucha wyłącznie jego rozkazów.

... o, gdybym rozkazała Krisowi inaczej... żyłby teraz... — pomyślała.

— Później powiedzieli mi, że zostałam pochwycona... Ja... ja nie mogłam odejść, nie spróbowałam ci pomóc. Przekupiłam strażnika, by dowiedzieć się, do którego lochu zostałam wtrącona. Pani... — Najwyraźniej szukał słów. — Pani, twój przyjaciel nie żyje.

— Tak... wiem. — Pochyliła głowę, nie próbując powstrzymać łez, które ponownie napłynęły jej do oczu.

Na długo zapadło milczenie.

— Pani, ocaliłaś mi życie, wciąż jestem ci za to dłużny. Czy można ci jakoś pomóc? Księżę zamierza zachować cię przy życiu. Powiedziano mi, że ma wobec ciebie jakieś plany.

Poczuła przyływ otuchy.

— Czy możesz pomóc mi w ucieczce?

Lecz natychmiast nadzieja ją opuściła.

— Nie, pani — powiedział smutno. — Trzeba by całej armii. Chętnie bym spróbował, ale w ten sposób nie pomógłbym tobie. Siedziałabyś w lochu, tak jak teraz, a ja byłbym martwy.

Kilka pomysłów zaświtało jej w głowie. Został tylko jeden. — Czy te otwory zbiegają prosto w dół? Czy mógłbyś opuścić coś do mnie i wyciągnąć na górę?

— Jeśliby było to coś małego, tak, pani — z łatwością. Mój przewodnik rzekł mi, że biegną prosto, i nie ma w nich żadnych przeszkód.

— Czy możesz znaleźć dwie strzały, o ile możliwości o ciężkich piórach... i... — Głos odmówił jej posłuszeństwa, lecz zmusiła się, by mówić dalej. — I z dziesięć łutów argonelu?

— Czy jesteś ranna, pani? Istnieją bezpieczniejsze sposoby łagodzenia bólu od argonelu. O pani, tyle tego...

— Nie spieraj się ze mną. Mam swoje powody, muszę mieć argonel. Czy możesz to zrobić?

— W ciągu godziny, pani.

Kiedy odchodził, rozległ się cichy szelest. Oparła się o kamienną ścianę, próbując uśmierzyć ból barku i pulsowanie w łydźwiach sposobami, których ją nauczono w kolegium. Nie chciała łudzić się, że kupiec dotrzyma obietnicy, starała się czekać beznamietnie, odsuwając od siebie wszelkie emocje, w stanie zbliżonym do odrętwienia. Wciąż jeszcze panowały ciemności, gdy usłyszała skrobanie i dobiegł do niej głos kupca.

— Pani, przyniosłem to, o co prosiłaś. Opuszczam teraz na dół.

Przylgnęła do ściany i stanęła na nogi. Zdrową ręką sięgnęła po zawiniątko zwieszające się ze sklepienia. Miała wrażenie że przy tym ruchu rozdierają się jej pokaleczone mięśnie.

— Fłaszeczka jest pełna i jest w niej czternaście łutów.

— Oby Pan Światła i Jasna Pani zawsze czuwali nad tobą, przyjacielu, nad wszystkimi z twego rodu i nad twym rzemiosłem... — wyrzuciła z siebie gorączkowo, unosząc wieczko na tyle, by poczuć słodko-kwaśny zapach argonelu. Flaszeczka była pełna. — Nie zwijaj jeszcze sznura, za chwilę wyciągniesz coś na górę i proszę cię o jeszcze jedną przysługę... która całkowicie uwolni cię od zaciągniętego u mnie długu.

— Jestem na twoje rozkazy — odpowiedział po prostu.

Odłamała grot, przydeptyując stopą pierwszą strzałę. Pozwoliła płynąć swobodnie łzom, gdy jej lotki układała we wzór Krisa, myśląc z wdzięcznością o tych, którzy nauczyli ją robić to nawet po ciemku, choć nie poszło jej to tak łatwo, zważywszy, że doskonale pamiętała jeszcze chwile spędzone razem z nim na wspólnej nauce. Strzała pozbawiona grotu na znak śmierci herolda. Przyszedł czas na drugą najważniejszą część wiadomości. Złamała drugą strzałę i ułożyła z piór swój osobisty znak i kod, że nie należy podejmować żadnej próby przyjscia z odsieczą. Oderwała strzepy rękawa koszuli, związała strzały w zwarte zawiniątko i przywiązała je do sznura wiszącego z otworu w sklepieniu.

— Ciagnij.

Tobołek zabłysnął na tle kamieni i zniknął.

— A teraz słuchaj uważnie. Chcę, byś oddalił się stąd jeszcze przed świtem, zanim księżę postara się odciąć miasto od świata. Musisz wydostać się poza miejskie bramy.

— Nocnej furty pilnuje strażnik, którego mogę przekupić.

— Dobrze. Tuż za zasięgiem placówki strażniczej przy głównym gościńcu, zaczynającym się u Bramy Triumfu, stoi świątynia bożka opiekującego się podróżnymi.

— Znam to miejsce.

— Mój koń odnajdzie tam ciebie. — Przeklęty mag nie był w stanie przeciąć więzi, która łączyła ją z Rolanem! — Zawieś to zawiniątko na jego szyi, takie jakie jest, nic nie zmieniaj, a potem postępuj według własnego planu, który uznasz za rozsądny. Na twoim miejscu jednak, uciekłabym do granicy i szukała schronienia w Valdemarze, tam powinno być bezpiecznie.

— O, pani... koń?

Przypomniała sobie wtedy, że Evan jako Hardorneńczyk nie mógł wiedzieć, iż Towarzysze wcale nie były końmi.

— On jest czymś więcej. Myśl o nim jak o przyjacielskim duchu. Zaniesie moim rodakom wiadomość. Czy zrobisz to dla mnie?

Evan o mało sam by się rozplakał.

— Czy nic więcej nie mogę zrobić?

— Jeśli zrobisz tylko to, osiągniesz więcej, niż śmiałabym marzyć. Przyjmij moją ogromną wdzięczność i moje błogosławieństwo. A teraz odejdz, proszę. Szybko.

Nic więcej nie powiedział. Usłyszała odgłos skrzypnięcia świadczący, że odszedł.

Wybiegła zmysłami na poszukiwanie Rolana. Łączyła ich więź tak głęboka, że mag nie domyślał się nawet jej istnienia. Pomimo zalewających ją na zmianę fal bólu i słabości, grożącej omdleniem, udało jej się utrzymać przytomność tak długo, by się całkowicie upewnić, że Rolan odebrał jej zawiniątko z rąk kupca.

Rolanowi nie trzeba było mówić, co ma zrobić. Odbierała go coraz słabiej, w miarę jak traciła siły i krew, a on coraz bardziej się oddalał, mknąc ku granicy. Zniknął z jej myśli o świtaniu.

Miała jeszcze tylko dwie rzeczy do zrobienia, a potem będzie mogła dać upust swemu nieszczęściu, bólowi i żalowi.

Najpierw buteleczka. Kupiec nie bez powodu obawiał się argonelu. Był to bardzo kapryśny środek. Czasami zabić mogła nawet normalna dawka jednego łutu, jednak uzdrowiciele korzystali z niego, gdy musieli położyć kres cierpieniu tych, którym nie byli już w stanie pomóc. Jego zaletą było to, iż bez względu na wielkość dawki, nie miał żadnych ubocznych działań, jak w przypadku innych środków — ot, sprowadzał spokojny sen. Jeden łut mógł zabić, po czternastu śmierć była nieunikniona.

Odłamany od strzały grotem Talia wyskrobała w podłożu — pod stertą zetlałej słomy, która miała służyć jej za posłanie — dołek na tyle głęboki, by zmieścić w nim buteleczkę. Alessandar nie należał do grona monarchów skorych do wtrącania ludzi do lochów i z łaski bogów podłoże okazało się ubitą ziemią, a nie ciosanym kamieniem. Jeden z kątów lochu, w którym był wykopany dół, przeznaczono na wychodek.

Za wcześnie było jeszcze na zażycie lekarstwa, Talia nie miała zamiaru robić tego, póki nie upewni się, że jej królowa odebrała ostrzeżenie. — Wkrótce... Jasna Pani... Oby doszło do tego wkrótce.

Wyłobowała drugi dołek, a potem trzeci, i ukryła w nich groty: oderwany od strzały oraz wyszarpięty z rany w barku. Jeśli nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności odnajdą flaszeczkę, będzie miała jeszcze szansę przeciąć sobie żyły jednym albo drugim.

W jej barku ponownie rozgorzał ból, znów puściła się krew. W niewielkim otworze w sklepieniu zamajaczyło szare światło.

Mogła wreszcie paść na łożo i pogрузić się w żałobie.

Kiedy w końcu wyczerpanie i utrata krwi odebrały Talii przytomność, łzy bólu i żalu wciąż jeszcze spływały po jej policzkach.

Ocknąwszy się, ujrzała punkcik słonecznego światła na klepisku, reszta lochu zdawała się tonać w czarnych jak smoła ciemnościach. Skrzywiła się z bólu, zdezorientowana, kiedy drzwi ciemnicy szczęknęły i otworzyły się.

Ujrzała zbliżającego się do niej jednego z nadzorców więziennych. Jego twarz wykrzywił okrutny uśmiech. Idąc rozwiązywał pas przytrzymujący bryczesy.

W mgnieniu oka o władnęła ją chęć skulenia się z krzykiem i odsunięcia jak najdalej od niego, lecz nagle poczuła, że ogarnia ją zimny, zabójczy gniew — dotarła do granicy wytrzymałości. Zebrała w jedno własne cierpienie męki konającego Krisa — które wciąż jeszcze dręczyły ją jak nie zabliźniona rana — doznane krzywdy oraz nienawiść i wcisnęła do bezbronno mózgu niczego nie spodziewającego się oprawcy. Po krótkiej chwili zabrakło jej sił, jednak to wystarczyło.

Nadzorca otworzył usta w niemym okrzyku przerażenia i uciekł do drzwi. Uderzył w nie dziko z taką siłą, że niemal legł bez czucia, lecz zdołał zatrzasnąć wrota za sobą, zasuwając skobel. Talia nie dosłyszała, co bełkotał ogarnięty paniką do swych kamratów zebranych po drugiej stronie. Leżała bezwładnie na słomianym posłaniu, lecz wiedziała, że żaden nie odważy się jej więcej napastować, nie mając maga u boku. To zaś było raczej niemożliwe, bo mag, zajęty ochroną księcia oraz uniemożliwianiem jej przesyłania myśli, nie mógł ochraniać szukających przyjemności służących.

Później wsunęli jej do lochu kubeł wody i misę z jakimiś pomyjami. Nie zwróciła uwagi na jedzenie, lecz chciwie piła nieświeżą, zalatującą stęchłą wodę. Okrutne pragnienie uzmysłowiło jej, że jednocześnie trawi ją nieznośna gorączka i chłodzi ziąb.

Ostrożnie dotknęła skóry naokoło rany — była gorąca, sucha i opuchnięta.

Dowlokła się do kąta, w którym wykopano dół na wychodek. Powtarzała sobie, że powinna się cieszyć, iż żołądek i trzewia miała puste. Niewielka to była pociecha. Przyciągnęła kubeł, stawiając go tak, by znajdował się w zasięgu ręki i usiadła, opierając się plecami o kamienną ścianę, na wypadek gdyby ktoś próbował ją zaskoczyć. Gdy nadejdą mary wywołane gorączką i rozpoczną się halucynacje, będzie na nie przygotowana.

Ataki nie przychodziły regularnie. Kiedy mogła jako tako zebrać myśli, starała się jak najlepiej zatroszczyć o siebie; gdy górę brała gorączka — przetrwać.

Dręczyły ją potworne wizje rzezi w komnacie biesiadnej. Ofiary paradowały, okazując jej swe śmiertelne rany i zadając nieme pytanie, dlaczego ich nie ostrzegła. Na próżno tłumaczyła, że o niczym nie wiedziała. Stłoczeni dookoła niej, podtykając okaleczone kończyny, dusili ją...

Bestialscy nadzorcy więzienni mnożyli się w hordy i wykorzystywali jej ciało, wykorzystywali, wykorzystywali bez końca...

Nagle pojawił się Kris.

W pierwszej chwili myślała, iż będzie to kolejny koszmar, jednak okazało się, że nie. Kris był cały, zdrowy, nawet szczęśliwy. Póki jej nie zobaczył. Wtedy, ku jej zmartwieniu, zaczął płakać, obwiniając siebie za to, jaki los ją spotkał.

Starała się nadrabiać miną, jednak kiedy poruszyła się, przeszył ją tak ogromny ból, że wszelkie próby opanowania się wzięły w łeb. Kris w jednej chwili zapomniał o własnym strapieniu i pośpiesznie ukląkł obok niej.

W tajemniczy sposób ukoił nieco jej ból, mówił do niej słowa pociechy, skro-

pił rozpalone od gorączki czoło chłodną wodą. Kiedy jęknęła mimowolnie, gdy poruszyła się i ból przeszył jej bark, zapłakał ponownie nad własną bezradnością, wymyślając sobie, że ją opuścił. Gdy ponownie pojawiły się owe potworne koszmary, przepędził je.

Talia, ocknąwszy się, odnalazła obok kubła strzęp oderwany od własnego rękawa, wciąż jeszcze wilgotny. Zastanowiwszy się nad tą zagadką, doszła do wniosku, że sama go tam zostawiła, a sny były jedynie próbą rozumnego umotywowania tego.

Czując zbliżające się ponownie delirium, próbowała sobie wmówić, że trudno jest liczyć, iż Kris znów pojawi się w jej snach.

Jednak stało się inaczej. Kris nieustępliwie bronił ją przed odrażającymi marami, przez cały czas starając się dodać jej odwagi.

W końcu Talia poddała się i przestała nawet udawać, że tli się w niej jeszcze odrobina nadziei, i opowiedziała Krisowi o argonelu.

— Nie, ptaszyno — powiedział, kręcąc zdecydowanie głową. — Twój czas jeszcze nie nadszedł.

— Ale...

— Zaufaj mi. Zaufaj mi, kochana. Wszystko skończy się dobrze. Tylko się nie poddawaj. — Kiedy wracała jej świadomość, Kris wtopił się w skałę.

To ją zaintrygowało. Dlaczego w jej własnych snach wywołanych gorączką, Kris stara się ją przekonać, by pozostała przy życiu, skoro ona marzy jedynie o tym, by wyrwać się na wolność?

Jednak przez większość czasu tylko cierpiała, cierpliwie oczekując na jakiś znak, że jej posłaniec bezpiecznie dotarł do Selenay. Królowa w otoczeniu orszaku powinna dotrzeć do granicy mniej więcej dwa dni po tym, jak Talia wraz z Krisem przekroczyli bramę wjazdową pałacu Alessandara. Powinni byli spodziewać się Krisa trzy, cztery dni po swoim przybyciu — a więc jakiś tydzień od chwili wtrącenia jej do tej ciemnicy. Przy odrobinie szczęścia i przychylności Pani, Rolanowi droga powinna zająć mniej więcej tyle samo czasu. Talia dokonywała obrachunków w pamięci. Zatem jej Towarzysz stanie przed królową w jakiejś sześć do dziesięciu dni, założywszy, że porusza się najszybszym galopem; sześć, jeśliby mógł pędzić głównymi gościńcami; dziesięć, jeśli musiałby kryć się i kłuczyć.

Kiedy pod koniec trzeciego dnia po raz pierwszy zjawiała się Hulda, Talia początkowo sądziła, że to jest kolejna halucynacja.

Gdyby nie charakterystyczna ostrość rysów i dziwne szarofioletowe oczy, Talia nie rozpoznałaby jej. Hulda miała na sobie lubieżnie rozciętą suknię z aksamitu, w tak głębokim odcieniu czerwieni, że aż niemal czarną. Szyję i ręce kobiety zdobiły klejnoty, włosy upinała ozdobna siateczka. Jednak najbardziej zadziwia-

jące było to, że zdawała się niewiele starsza od Talii.

Stała, wpatrując się w ciemność, to tu, to tam szybkim spojrzeniem omiatając celę. Na jej wargi wypłynął okrutny uśmiech, gdy w końcu dostrzegła Talię, skuloną przy ścianie. Drgnęła. Dziwnym, posuwistym krokiem zbliżyła się i stanęła nad dziewczyną, patrząc szyderczo zwężonymi oczyma. Szturchnęła więźniarkę delikatnym pantofelkiem.

Talia skurczyła się i jęknęła z bólu. Serce skoczyło jej do gardła, gdy ujrzała, że Hulda wciąż nad nią stoi — kobieta z krwi i kości, a nie senna mara.

Widząc rozszerzone zdumieniem oczy Talii, Hulda uśmiechnęła się.

— Pamiętasz mnie? Jakie to wzruszające! Nie śmiałam się łudzić, że zachowasz jakiegokolwiek wspomnienia po ukochanej opiekunce małej Elspeth.

Cofnęła się o kilka stóp i zamarła w sztucznej pozie, oświetlona wnikającym przez otwór w sklepieniu światłem.

— Oto, jak nisko upadł mocarny herold! Ucieszyłby ciebie widok mnie upadłej tak nisko, prawda? Lecz mnie niełatwo jest schwycić, heroldku. Wcale nie tak łatwo jak ciebie.

— Kim... kim ty jesteś? — Słowa wymknęły się z ust Talii niemalże wbrew jej woli.

— Ja? Prócz opiekowania się dziećmi, rozumiem, że to masz na myśli? — Roześmiała się. — Ha, magiem! Przypuszczam, że tak właśnie byś mnie nazwała. Czy naprawdę wydawało ci się, iż heroldowie jedyni w całym świecie potrafią się posługiwać magią? O nie, heroldku, to bardzo, bardzo dalekie od tego, jak się rzeczy mają.

Rozległ się jej śmiech. Hulda wybiegła z celi, zamasyście zatrzasnąwszy za sobą wrota.

Talia z trudem zebrała myśli. Ależ — o Panie i Pani! — to oznacza, że gra idzie o znacznie wyższą stawkę, niż mogło jej się przyśnić.

Tak niezwykle młodo wyglądająca Hulda, utrzymująca, że jest magiem, choć nie posiadała ani śladu daru — czego Talia była pewna — do tego mag, który osłaniał Ancara i uniemożliwiał jej myślom rozmowę z innymi heroldami — O bogowie, miejcie Valdemar w swojej pieczy! Znaczyło to, że starożytna, prawdziwa magia — a nie ledwie myślmagia heroldów — odrodziła się na świecie i znalazła w rękach wrogów Valdemaru.

Hulda prowadziła — musiała prowadzić — znacznie bardziej tajemniczą rozgrywkę, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, i to od dawien dawna.

Ale w jakim celu?

Hulda znów pojawiła się w lochu, tym razem już po zmroku, przynosząc jakieś czarodziejskie światełko, zamknięte w dziwacznej, zamglonej kuli lśniącej czerwonym, migotliwym i pulsującym blaskiem. Kula szybowała w ślad za nią

w powietrzu, krążąc tuż nad jej barkiem i wypełniając każdy zakamarek celi niesamowitą, czerwonawą poświatą.

Tym razem Talia była jako tako przygotowana. Właśnie minął kolejny atak gorączki i choć była lekko oszołomiona, mogła jasno myśleć. Udało jej się zepchnąć niechęć i poczucie bezradności w szare zakamarki mózgu. Miała nadzieję, że los się do niej uśmiechnie i będzie mogła odplacić swym dręczycielom pięknym za nadobne.

Domyśliła się, że Huldę otacza osłona taka sama jak księcia Ancara, jednak mimo wszystko nie omieszkła tego sprawdzić. Miała rację. Miast robić cokolwiek, starała się tak rozłożyć ciężar ciała, by móc w mgnieniu oka zerwać się na nogi.

Hulda uśmiechnęła się szyderczo. Talia zgromiła ją wzrokiem.

— Mogłabyś wstać, by mnie powitać — zakpiła Hulda — Nie? Doskonale, nie będę o to prosić. Wkrótce zatańczysz, jak ci moje małe książątko zagra, a może już król? Przypuszczam, że tak powinnam była powiedzieć. Czy zupełnie nie ciekawi cię, jak i dlaczego znalazłam się tutaj?

— Coś mi mówi, że tak czy siak powiesz mi o tym — gorzko odpowiedziała Talia.

— Co za hart ducha! Nie mylisz się. O, przez lata całe poszukiwałam dziecięcia takiego jak Ancar — wysokiego rodu, który skory byłby przyjąć to, czego chciałam go nauczyć. Nagle natknęłam się na niego. Nie minął rok, a wiedziałam, że nie dość mu będzie tylko jednego państwa. A więc uczyłam go tak, by mógł się beze mnie obejść przez jakiś czas, a sama poświęciłam się wyszukaniu dla niego odpowiedniej połowicy. Wydawało się, że droga Elspeth nadaje się doskonale... — Przerwała, wzdychając teatralnie.

— O?

— Posiadasz niezwykły talent, heroldzie — tomy spisywać o znaczeniu tak samotnej sylaby! Tak, droga Elspeth wydawała się doskonała — pochodziła z długiej linii magicznie utalentowanych i miała takiego ojca! Spiskował przeciw własnej żonie! Cudowny!

— Jeśli starasz się przekonać mnie, że skłonność do zdrady jest dziedziczna, rzucasz słowa na wiatr.

Hulda wybuchnęła śmiechem.

— Znakomicie, postaram się mówić zwięźlej. Chciałam Elspeth właściwie wyszkolić. Ukoronowaniem mego dzieła miało być przymierze z Ancarem. Wydedukowałam właściwie: podszyłam się pod prawdziwą Huldę. Wszystko zmierzało do szczęśliwego końca, póki ty nie pomieszałaś mi szyków! — Tym razem posłała Talii jadowite spojrzenie. — Na szczęście zostałam ostrzeżona i powróciłam do mego uwielbianego księcia. Kiedy dorósł na tyle, by brać udział w układaniu planów, wspólnie uknuliśmy sprytną intrygę.

Niespokojnym krokiem zaczęła krążyć po lochu, zmiatając fałdami swej krwistoczerwonej sukni pył z klepiska, i nie zwracając na to wcale uwagi.

— Co w tym jest? — Talia rzuciła pytanie w kierunku sklepienia. — Co takiego w naturze przyszłych tyranów zmusza ich do wyrażania się i zachowywania w stylu trzeciorzędnych błaznów z kiepsko napisanych sztuk?

Hulda raptownie obróciła się na pięcie i spojrzała na nią groźnie, kurcząc mimowolnie palce, jakby chciała zacisnąć je dookoła szyi więźnia. Talia przygotowała się, mając nadzieję, że kobieta-mag zrobi coś takiego. Owszem, była słaba jak mucha, jednak Alberich nauczył ją kilku sztuczek...

— Czy nie masz nic innego do roboty, jak wygłaszać przechwałki o swoich domniemanych triumfach przed zniewolonym słuchaczem? — urągała Talia.

Twarz Huldy pociemniała z gniewu, jednak, ku rozczarowaniu Talii, kobieta zdołała się opanować. Powoli wyprostowała się i wygładzając fałdy sukni, starała się stłumić wściekłość.

— Ty masz być częścią jego planu; nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę — dodała gwałtownie. — Ancar chciał pochwycić żywcem was oboje, jednak ty sama też wystarczysz. Udamy się wspólnie do granicy i tam zaczekamy na twą królową, która zobaczy cię u naszego boku. A wtedy...

— Chyba nie myślisz poważnie, że wciągniecie mnie do współpracy, prawda?

— Nie będziesz miała wyboru. Tak jak sługa mego księcia potrafi przeszkodzić ci w przesłaniu twych słabych wiadomości, tak ja mogę zawładnąć twym ciałem, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę kiepski stan, w jakim się w tej chwili znajdujesz.

— Spróbuj zatem.

— O, nie, heroldku. Mam takich pomocników, że nie możesz łudzić się nawet, iż stawisz im czoło. Na pewno mi się uda.

Roześmiała się i zamiatając suknią podłogę, wyszła, a wraz z nią opuściło celę magiczne światło.

Nadzieje Talii się spełniły. W dziesiątym dniu od jej uwięzienia wrota do celi otworzyły się i stanął przed nią książę Ancar z Huldą i nie odstępującym go na krok magiem.

Była to akurat jedna z chwil pomiędzy kolejnymi atakami delirium, kiedy Talia mogła jasno myśleć. Zastanawiała się, czy zmierzyć się z nimi na stojąco, jednak doszła do wniosku, że nie starczy jej sił. Przywitała ich więc pogardliwym spojrzeniem.

— Moi sygnaliści dali znać, że królowa Valdemaru zawróciła przed granicą — powiedział Ancar, wlepiając w nią bazyliszkowate oczy. — I dodali jeszcze, że gromadzi swą armię. Heroldzie, udało ci się jakoś ostrzec ich — jak?

Nie ulękła się jego wzroku.

— Jeśli jesteście tacy potężni — rzuciła pogardliwie — dlaczego nie odczytać, co kryje się w moich myślach?

Twarz Ancara zapalała gniewem.

— Bądźcie przekłeci, wy, heroldowie, i wasze bariery... — wypluł, zanim Hulda zdążyła go uciszyć.

Talia patrzyła na niego zdumiona. — O Najbielsza Pani... On nie potrafi czytać w mych myślach... Nikt z nich nie potrafi odczytać myśli żadnego herolda... Nic dziwnego, że niemal pochwyciliśmy Huldę, zanim... — Przebiegł ją dreszcz podniecenia, ale szybko zamarł.

Zdobyta wiadomość była bezcenna, a zarazem bezużyteczna. Nie będą mogli wydobyć prawdy bezpośrednio gmerając jej w myślach, ani nie będą wiedzieć, czy kłamie, i kiedy. A więc do dzieła: powie im prawdę, w którą nigdy nie uwierzą. Elspeth twierdziła, że Hulda nie mogła pojąć, iż Towarzysze są czymś więcej niż tylko doskonale ułożonymi zwierzętami. Była przekonana, że to heroldowie dokonują Wyboru, a nie Towarzysze.

— Mój koń — przerwała długie milczenie — mój koń uciekł, by ich przestrec.

W odpowiedzi Ancar rozciągnął usta w uśmiechu, który niczym lód ściał krew w jej żyłach.

— Wytwór wyobraźni, tuszę. Powinnaś zostać bardem. Przyjmij do wiadomości, że to tylko wszystko opóźni. Zmierzam do celu od wielu lat, z łatwością mogę uwzględnić niewielką zwłokę. — Odwrócił się do Huldy i musnął wargami jej włosy. — Czyż nie tak, droga opiekunko?

— Z łatwością, mój książę. Jesteś najbystrzejszym z uczniów.

— Uczniem, który przerósł mistrza, czyż nie?

— Nie we wszystkim jeszcze, mój ukochany.

— Być może zainteresuje cię to, że wiem o twej zwadzie z młodą następczynią tronu, heroldku. Można by pomyśleć, że to ją strapiło, a teraz chce jak najszybciej się z tobą spotkać i wszystko naprawić, tak twierdzi ten, od którego otrzymuję nowiny. Szkoda, że nie dojdzie do tego. Takie spotkanie byłoby nawet zabawne — z tobą powolną mej opiekunce.

Talia chciała zachować obojętność, jednak nie udało się jej to do końca. Zagryzła wargę.

— Nuże, powiedz jej, od kogo o wszystkim wiemy. — Hulda mruknęła Ancarowi do ucha.

— Od nikogo innego, jak od godnego zaufania Orthallena. Hola, nie dziwi cię to? Jakież do denerwujące. To Hulda go przejrzała. Odkryła, że od dawien dawna skrycie działa przeciw heroldom i królowi, do tego tak sprytnie, iż nikt nie domyślił się, kto mógł prowadzić tę grę.

— Niektórzy domyślili się tego.

— Doprawdy? — Hulda odęła wargi. — Jestem rozczarowana. Jednak czy doszli powodu? Ancar przyobiegał mu tron, którego Orthallen pożąda od bardzo dawna, rozumiesz teraz? Myślał już, że mu się udało go zdobyć, gdy opłacił zabójców, by zabili ojca Selenay w bitwie. Jednak wtedy na jego drodze stanęła Selenay i heroldowie, którzy z uporem chronili ją, stojąc u jej boku. Postanowił najpierw ich się pozbyć. Jaka szkoda, że prześladował go taki pech! Niezmiernie dziwiło go, że wciąż wyślizgujesz się z zastawianych przez niego sideł. Jeszcze bardziej będzie zdziwiony, gdy Ancar poczęstuje go sztyletem, miast wręczyć przyobiegającą koronę. Jednak rozczarowuje mnie to, iż przejrzałaś na wskroś jego perfidną przebiegłość.

— Biedactwo, dwa razy rozczarowana w ciągu jednego dnia. — Ancar skierował spojrzenie swych zimnych oczu na Talię. — Ha, skoro już raz zepsułaś mi przyjemność, nie możesz mnie winić, że skorzystam z twojej obecności, by sprawić sobie inną, prawda? Być może będzie to nawet zadośćuczynieniem za rozrywki, które ominęły mą opiekunkę.

— Trzymaj się jednak na baczności przed tą dziewczką, mój panie królu — ostrzegła Hulda. — Ona nie jest bezbronna, nawet w takiej sytuacji. Twój sługa nie może sobie pozwolić na osłabienie bariery nawet na ułamek chwili.

Ancar uśmiechnął się ponownie.

- Kiepskie są na to widoki, moja kochana. On w i e, jaka spotkałaby go kara, jeśliby nie utrzymał jej w pułapce własnego umysłu. Jeśli osłabnie, moje serce, należy do ciebie.

Huldę przebiegł rozkoszny dreszcz, kiedy Ancar wezwał zwalistych strażników, którzy dotąd stali za jego plecami.

Pochwycili Talię i postawili na nogi, wykręcając jej ręce na plecy. Udręka wstrząsnęła jej ciałem, gdy rana otworzyła się ponownie, jednak zacisnęła zęby i cierpiała w milczeniu.

— A do tego uparta! Heroldzie, dostarczysz mi przyjemności nie lada. O, jakież to będzie zabawne!

Odwrócił się i poszedł przodem, mając tuż za plecami maga i Huldę oraz prowadzących Talię strażników. Przeszli Długim korytarzem, przesiąkniętym wonią wilgoci i pleśni, by dotrzeć do znajdujących się na końcu niego drzwi, spoza których dochodził zapach krwi.

Przykuli ją do zimnej, kamiennej ściany, z rękami nad głową, sprawiając jej ból niemal nie do zniesienia.

— Uważam siebie za artystę — powiedział Ancar. — Zaiste doza sztuki potrzebna jest, by zadać jak największy ból, nie wyrządzając nieodwracalnych szkód, ani nie doprowadzając do śmierci ofiary. — Wyjął smukły żelazny pręt z ognia i zamyślony wpatrzył się w jego rozżarzony koniec. Ileż fascynujących rzeczy można uczynić na przykład tym narzędziem.

Talia przypomniała sobie — mając wrażenie, że było to stulecia temu — jak

Alberich opowiadał małej grupce uczniów ostatniego roku o pewnych najmniej przyjemnych stronach posady herolda.

— Nie możemy — powiedział Alberich owego popołudnia z zamierchłej przeszłości — wykluczyć tego, że przyjdzie nam znosić tortury. Bez względu na to, co snują w opowieściach, ból może złamać każdego. Istnieją ćwiczenia umysłu, które pomagają w ucieczce od niego, jednak nie mogą one nas zabezpieczyć przed wszystkim, co człowiek jest w stanie wykoncypować. Jedyne, co wam mogę doradzić, to to, że w sytuacji bez wyjścia należy kłamać — tak często i twórczo, by oprawcy nie mogli dojść do prawdy, nawet kiedy ją usłyszą. Gdyż zawsze nadzieje czas, że powiecie im prawdę — nie uda się wam przed tym uchronić. Jednak do tego czasu, mam nadzieję, prawda tonąć będzie w zbyt mętnych wodach, by można ją było w nich dostrzec. . .

Ancar nie miał ochoty dowiadywać się od niej czegokolwiek, bo jego ciekawość skwapliwie zaspokajał Orthallen. Pragnął jedynie zadać jej ból. Niech ją licho, jeśli pozwoli mu zbyt łatwo osiągnąć cel.

Tak więc „fascynującym narzędziem” nie udało się Ancarowi zmusić ją do jęku, i książę był rozczarowany. Przystąpił zatem do wymyślniejszych tortur, do czego potrzebne mu były skomplikowane przyrządy. Obsługiwał je samodzielnie, długimi rękami gładził poplamione krwią pasy i okrutny metal wyjaśniając szczegółowo, jakiej torturze podda jej bezbronne ciało.

Talia uczyniła wszystko, by utrzymać zmysłowe osłony, schować się przed bólem i otaczającym ją światem poza mury, którymi nauczyła się otaczać tak dawno temu. Jednak w miarę jak Ancar poddawał ją coraz to nowym męczarniom, stopniowo mur ten począł kruszeć. Przeżywane przez Ancara, Huldę i bezimiennego maga doznania, docierając do niej, zaczęły przyprawiać ją o mdłości. Mocna seksualna przyjemność, jaką sprawiało Ancarowi zadawanie bólu, gorsza była od cielesnego gwałtu; straszliwy ból uniemożliwiał jej odsunięcie tego od siebie. Perwersyjne doznania Huldy były równie wstrętne. Bo w istocie oboje, torturując ją, ulegali niebotycznym, erotycznym uniesieniom. O włos, a zdarliby odzienie ze swych grzbietów i na miejscu zaspokoili trawiącą ich chuć.

Dwukrotnie próbowała zwrócić swą udrękę przeciw Ancarowi, lecz mag za każdym razem osłonił jego zmysły. I jemu ta scena sprawiała niemal taką samą przyjemność co Ancarowi i jego „drogiej opiekunce”. Talia z przyjemnością — póki jeszcze mogła o czymś takim myśleć — zmiotłaby całą tę trójkę.

Nadeszła chwila, kiedy była w stanie jedynie krzyczeć.

A kiedy zmiażdżono jej stopę, już nawet na to zdobyć się nie mogła.

Gdy zawiódł ją głos, na powrót zawlekli ją i wrzucili do lochu. Nie reagując na tortury, odbierała księciu połowę przyjemności. Stał nad nią, by sycić wzrok bezwolnym, rozciągniętym na słomie ciałem.

— A więc, dziecino, musisz wypocząć i odzyskać nieco sił, byśmy mogli się pobawić ponownie — zanucił pod nosem — Może znuży mnie to wkrótce, a może nie. To bez znaczenia. Pomyśl o dniu jutrzejszym, i pomyśl o tym: kiedy mi się znudzisz, znajdę coś dla ciebie. Najpierw dostarczysz przyjemności moim ludziom, nie zwrócą uwagi, że już nie będziesz tak piękna jak kiedyś. Dla niektórych twój wygląd będzie równie podniecający jak dla mnie, moja droga. A potem zostaniesz moim wysłannikiem. Jak zachowa się twoja królowa, kiedy jej ukochany herold zostanie jej oddany po kawałeczku?

Roześmiał się i wyszedł razem z trzymającą się jego boku Huldą, pieszcząc już w drzwiach jedną jej pierś, nim jeszcze rozległ się głuchy dźwięk zatraskiwanych drzwi celi.

Talia ostatkiem woli zmusiła się, by nie ruszyć się z miejsca aż do zmroku, czekając, by zrobiło się na tyle ciemno, że nikt nie będzie mógł zobaczyć, co robi. Przetoczyła się na bok, odsunęła słomę i odkryła miejsce, gdzie zagrzebała bezcenną flaszeczkę argonelu. Jedyne myślenie, że ją ma, dodawała jej otuchy przez cały ten dzień. Modliła się, by nie przeszukali celi i nie odnaleźli lekarstwa.

Nie zrobili tego.

Zmusiła swój umysł do kontrolowania nawet najdrobniejszego ruchu, wiedząc, że inaczej nigdy nie dopnie celu. Jej palce były opuchnięte i zupełnie bezużyteczne, jednak przewidziała to. Udało jej się odgarnąć luźno ubitą ziemię wierzchem dłoni, tak by móc zębami objąć szyjkę flaszeczki i wyciągnąć ją z dołeczka.

Z wysiłku poczerwiała jej w oczach i nieomal zemdląca; jęczała i płakała z bólu, długo nie mogąc się ruszyć. Kiedy zebrała nieco sił, uchwyciła flaszeczkę między otartymi do żywego ciała nadgarstkami, i zębami wyciągnęła zatyczkę.

Znów leżała długą chwilę w bezruchu i zdawało się, że na powrót jej umysł ogarną ciemności. Jednak to byłaby ucieczka za ledwie na chwilę, a ona chciała uciec raz na zawsze.

Wypluła zatyczkę i przetoczyła się na bok, choć jej ciało wyło z udreki. Opróżniła flaszeczkę do dna, wlewając zawartość do ust. Poczowała pieczenie w wyschniętym gardle ogień w żołądku, w którym płyn zaległ jak płynny ołów wyzerający we wnętrzościach dziurę na wylot.

Płakała, w jej świadomości istniał jedynie ból. Miała wrażenie, że trwa to całą wieczność. W końcu pojawiło się odrętwienie, rozchodzące się coraz dalej i dalej od ognia, i wkrótce nie czuła już nic. Jej mózg zawisł jakby w ciemnych i ciepłych wodach.

Wtedy przyszło jej do głowy kilka myśli. Elspeth. Miała nadzieję, że dziewczyna naprawdę jej przebaczyła, i że następny osobisty herold królowej będzie ją kochał tak bardzo jak ona. I Dirk. Może szczęśliwie się złożyło, iż on nie dowie się, jak bardzo go kochała — oszczędzi mu to wiele cierpień. Cieszyło ją jedno: że przed wyjazdem pogodził się z Krisem, który i tak będzie cierpiał katusze, gdy dowie się o śmierci przyjaciela.

O, gdyby mogła wszystkich przestrzec, gdyby była pewna w sprawie Orthalle-
na — on tam wciąż był, wróg, którego nikt nie podejrzewa, zaczajony, aż ponow-
nie zajdą sprzyjające okoliczności. I Ancar... władca magów, wódz całej armii
zabójców. O, gdyby mogła w jakiś sposób ostrzec swoich...

Dopóki była w stanie zebrać choć odrobinę sił, dopóki nie zawodziła jej wo-
ła, starała się wysłać myślwezwanie, lecz za każdym razem jej próby obracała
wniwecz bariera wzniesiona przez maga.

Nadeszła chwila, kiedy odrętwiała nawet jej woła, i jedyne, co Talia mogła
robić, to pograć się w niebycie.

Było to dziwne... Bardowie uporczywie utrzymywali, że na łożu śmierci uzy-
skuje się odpowiedzi na wszelkie pytania, tymczasem ona nie otrzymała ani jed-
nej, a pytania wręcz sypały się na jej głowę. Pytania bez odpowiedzi. Nie uporząd-
kowane sprawy upominały się o siebie. Dlaczego nie było żadnych odpowiedzi?
Przecież można by przynajmniej dowiedzieć się, dlaczego trzeba umierać.

Może to nie miało znaczenia.

Kris powiedział coś o jasności. Wszystkie opowieści wspominają, że Przy-
stanie promieniają jasnością. Tymczasem tu panuje mrok, szczelnie otulająca
wszystko ciemność — ani śladu jasności.

I ogromna samotność! Ucieszyłyby się z czegokolwiek, nawet snów wywoła-
nych gorączką.

Lecz może tak właśnie musiało być. W takich ciemnościach ów przeklęty mag
nie może jej odnaleźć i sprowadzić z powrotem. Jeśli ucieknie mu dostatecznie
daleko, szukając jej, być może zbłądzi i jej nie odnajdzie. Warto było podjąć wy-
silek, zwłaszcza że ciepła, odrętwiająca ciemność dałaby ukojenie, jeśli tylko
udało się jej zignorować samotność.

Być może gdzieś, gdzie mag nie miał dostępu, odnajdzie Przystań... i tam
właśnie zaświeci dla niej światło.

Pozwoliła, by ciemność wessała ją głębiej, zamknęła się za nią, a wtedy za-
częły usychać w niej nawet myśli i opadać jak zwiędłe liście.

Gdy uciekła bardzo daleko w mrok, żyło w niej już tylko zdziwienie, że wciąż
żadne światło nie załśni, nawet na samym końcu ciemności.

DZIEWIĄTY

Kiedy w końcu Selenay i jej orszak wyruszyli w drogę, Dirk przyłączył się do gwardii honorowej wbrew woli gwałtownie sprzeciwiających się temu uzdrowicieli i przyjaciół, którzy obawiali się, że nie wyzdrowiał jeszcze na tyle, by znieść trudy wyprawy.

Zbił wszelkie argumenty twierdząc, że jest potrzebny. I to była prawda. W kolegium zawieszono naukę i wszyscy nauczyciele, z wyjątkiem unieruchomionych chorobą lub podeszłym wiekiem, zamienili się w gwardzistów strzegących królowej. Spierał się, że jest o wiele zdrowszy, niż na to wygląda — co było nieprawdą — oraz że może wypoczywać w trakcie powolnego marszu w wozie, podczas gdy pobyt w izbie u uzdrowicieli irytowałby go tylko — co prawdą było, ale tylko częściowo. Oburzeni uzdrowiciele rwali sobie włosy z głowy, gdy Selenay w końcu pogodziła się z jego obecnością w orszaku. Oświadczyli, że jest najbardziej szalonym i niesfornym chorym, jakiego kiedykolwiek przyszło im leczyć... od czasów Keren.

Dirk nie dał się zwieść. Wiedział, że Teren ze Skifem nie spuszczają z niego czujnych oczu, nie ufając ani odrobinę pozorom zdrowia. Nie dbał o to wcale. Warto było zapłacić każdą cenę, pogodzić się nawet z tym, że przyjaciele będą mu wciąż deptać po piętach, byle nie zostać z tyłu.

Dirk nie pomylił się co do tego, że droga będzie przemierzana powoli, a podróż okaże się przyjemną wycieczką, podczas której jedynym wydarzeniem miało być spotkanie z Talią lub Krisem na granicy. Formując gwardię u boku królowej, heroldowie kierowali się tradycją. Nie podejrzewał by ich władczyni miało zagrozić jakieś niebezpieczeństwo. Alessandro był zaufanym sprzymierzeńcem, przyjacielem Valdemaru, zatem królowej i Elspeth nie mogło grozić na ziemiach Hardornu większe niebezpieczeństwo niż we własnej stolicy. Dirk wykoncypował więc sobie, że w orszaku będzie tak bezpieczny jak we własnym łóżu.

Były i inne powody, dla których Dirk chciał wyruszyć z ekipą, lecz nie miał ochoty nikomu ich wyjawiać. Podczas przymusowej bezczynności został sam na sam ze swymi myślami i zaczął podejrzewać, że popełnił okropny błąd w ocenie związku Tali i Krisa. Co prawda Kris nie usunął się w cień, jednak nie spędzał zbyt dużo czasu w jej towarzystwie. Jego przyjaciel przeżył nawet przelotny

flircik z Nessą, lecz potem znów zaczął wieść żywot na poły mnisi. A Talia wcale nie starała się go odszukać. Tego był pewny, bo dość uważnie śledził ich kroki. Sięgając pamięcią wstecz, doszedł do wniosku, że Kris co rusz wyrażający swój zachwyty osobistym heroldem królowej, nie przypominał pełnego uniesień kochanka, lecz raczej handlarza koni zachęcającego niezbyt skwapliwego kupca! Zaś Talia szukała towarzystwa jedynej osoby, która starała się przed nią uciec, a był nią nie kto inny, tylko on sam.

Nie wspomni o dziwnym zachowaniu Keren, tuż po tym, jak o mało nie stracił przytomności. Rano, w dzień wyjazdu Krisa i Talii, przemogła opór uzdrowicieli i — choć jeszcze kręciło mu się potężnie w głowie od gorączki — palnęła mu gwałtowne kazanie, którego nie przypominał sobie zbyt dokładnie. Bliski był szaleństwa, miał wrażenie, że mówiła o czymś niezwykle ważnym. Jednak zabrakło mu odwagi, by stanąć przed obliczem Keren, i poprosić, by powiedziała mu czego dotyczyła owa diatryba. O ile mgliście sobie przypominał, wielokrotnie powtarzała coś o więzi na całe życie. A potem długo rozwodziła się, jaki jest z niego dureń, i jak rani Talię swoim zachowaniem.

Jakby tego było mało, przeżywał przerażające sny, których — jak myślał — nie można było złożyć na karb gorączki, oraz niepokoje związane z całą wyprawą od chwili w której dowiedział się o wyjeździe Krisa i Talii. Jeśli zanosilo się na coś złego, on musiał wiedzieć o tym z pierwszej ręki. Chciał być tam, gdzie mógłby coś zrobić, a nie biernie czekać i zachodzić w głowę, co się dzieje. Choć nie łudził się, znając stan swojego zdrowia, że byłoby z niego wiele pociechy.

Właściwie wciąż był unieruchomiony i nie w pełni sprawny, a więc odesłano go na tyły do taborów jadących tuż przed jucznymi zwierzętami, by na spółkę ze Skifem czuwał nad Elspeth. Cymry Skifa oźrebiła się wczesną wiosną i młodziutki Towarzysz ledwie nadawał się, by wziąć udział w tak łatwej podróży.

Elspeth gnębił niepokój i Dirk miał przeczucie, że wraz ze Skifem są najlepszym z możliwych towarzystwem dla młodej następczyni tronu. Baraszkujący potomek Cymry i beztroski sposób bycia Skifa podtrzymywały ją na duchu. A Dirk skwapliwie pozwalał wciągać się w rozmowy na temat, który całkowicie zajmował jej myśli i przejmował uczuciem winy — na temat Talii.

Selenay wręczyła Elspeth list od Talii, gdy następczyni tronu po bezskutecznych poszukiwaniach osobistego herolda królowej koniec końców przyszła do królowej dowiedzieć się, gdzie się podziewa Talia. Niemal w tej samej chwili, w której Talia odwróciła się do niej plecami i odjechała, Elspeth wspomniła o swej obietnicy sprzed wielu lat. „Nigdy nie będę się złościć na ciebie — przyrzekała Talii. — Bez względu na to, co powiesz, spokojnie przemyślę twoje słowa i zastanowię się, czy nie są one prawdą”. Teraz dręczyły ją ogromne wyrzuty sumienia.

Wiele słów, które padły owej nocy z ust Talii, było okrutnych, lecz prawdziwych. Myślała jedynie o sprawieniu sobie przyjemności, spełnieniu osobistych zachcianek. Ani razu nie przyszło jej do głowy, by rozważyć własny romans na szerszym tle.

Zdrada niedoszłego kochanka zabolą ją, jednak nie było to ani trochę tak bolesne, jak świadomość, że odtrąciła szczerego przyjaciela i złamała obietnicę. Słowa Talii były okrutne, lecz zasłużyła na nie, a tymczasem Elspeth odpłaciła jej z nawiązką, w sposób odpychający i wstrętny.

Mówiąc szczerze, Elspeth tym bardziej była zawstydzona, im dłużej nad tym myślała; to ona zaczęła wzajemne obrzucanie się wyzwiskami. Po przeczytaniu listu rozpaczliwie zapragnęła przeprosić Talię, wyjaśnić jej wszystko, wskrzesić serdeczne uczucia, którymi były związane, zanim osobisty herold królowej wyruszył spełnić swój obowiązek w polu. Dręczyły ją prawdziwe wyrzuty sumienia, odczuwała nieprzepartą chęć mówienia o tym bez przerwy.

Znalazła skwapliwego słuchacza w osobie Dirka; wydawało się, że w kółko powtarzana przez nią litania nigdy go nie znudzi.

Stopniowo udało jej się częściowo zrzucić brzemię winy, najzwyczajniej wlewając rzekę słów Dirkowi do ucha. Z wolna przestawało to być jej obsesją.

Jednak nie było mowy, by mogła się od tego całkowicie uwolnić.

— Śniesz na jawie, młoda pani?

Ugładzony, wypiełgnowany głos wyrwał przestraszoną Elspeth z głębokiego zamyślenia.

— Nie śnię na jawie — poprawiła lorda Orthallena nieco oschle. — Myślę.

Uniósł pytająco brew, lecz Elspeth nie miała ochoty niczego mu wyjaśniać.

Podprowadził swego kasztanowego rumaka nieco bliżej lecz Gwena odpowiedziała na jej milczący odruch obrzydzenia i odsunęła się od niego.

— Muszę się przyznać, że i mnie ostatnimi czasy często zdąża się tonąć w myślach — zaczął. Wydawało się, że zbyt łatwo Elspeth nie uwolni się od mego. — W myślach... i obawach.

Obyś był przeklęty! — pomyślała w duchu. — Ta jego gładkość w obejściu... czuję się niemal zmuszona zaufać mu! O, gdybym nie usłyszała z ust Albericha, jaką on wyrządził mi krzywdę...

Ja ufam Alberichowi na śmierć i życie — w myślach następczyni tronu rozległ się niespodziewanie głos Gweny. — *Temu wężowi nie dałabym nawet gwoździa od mej podkowy!*

Sza, kochana. — Rozbawionej Elspeth wrogość Towarzysza przywróciła dobry humor. — *Drugi raz mnie nie nabierze.*

— O co się obawiasz, mój panie? — zapytała niewinnie.

— O mego bratanka — odparł. Elspeth zaskoczył szczerzy niepokój, który pojawił się na jego obliczu i przemknął w głosie. — Wielka szkoda, że Selenay nie poradziła się mnie, zanim wyznaczyła go do tej misji. Jest taki młody.

— Jest doświadczony.

— Jednak nie w dyplomacji. I samotny.

Jasne Niebiosa, kochanie. Niemal uwierzyłam, że jest szczerze zatroskany!

Bo jest. — Odpowiedź Gwenty świadczyła, że i ją to zaskoczyło. — *I to budzi we mnie jakiś... jakiś strach. O czym on wie, o czym my nie mamy pojęcia?*

— Kris wyruszył w łatwej misji do sprzymierzeńca — powiedziała Elspeth na głos. — Co złego może się wydarzyć?

— Nic, oczywiście. To takie nierozsądne rojenia starca. — Roześmiał się, lecz zabrzmiało to wymuszenie. — Nie zwracaj na nie uwagi. Właściwie zawróciłem tutaj, by zwiedzić się, czy nie wspominasz żadnego z młodzianów, których zostawiliśmy w pałacu.

— Jednego. — Elspeth roześmiała się ze sztuczną wesołością. — O Pani, ustrzeż mnie! Mój panie, do końca życia nie przestanę się dziwić, co ja w nich widziałam. Dotąd nie spotkałam szczeniaków, które miałyby mniej oleju w głowie! Obawiam się, że mnie znudzili, więc z radością od nich uciekłam. Ale coś mi się widzi, że teraz na mnie przyszła kolej czuwać nad Dirkiem, by biedaczek nie spadł z siodła. Żegnaj, mój panie!

A to mu nadepnęłaś na ogon, siostrzyczko! — pochwaliła ją Gwena, zawracając w miejscu i szybkim cwałem oddalając się na tyły orszaku. — *Dobra robota!*

— Dirk? — Elspeth na Owenie zrównała się z heroldem.

— Co takiego, skrzacie? — Dirk drzemał w ciepłych i łagodnych promieniach słońca, kołysany łagodnym krokiem Ahrodie, cichym brzęczeniem dzwoneczków i stukiem kopyt o ziemię.

— Czy myślisz, że Talia spotka się z nami na granicy? — Głos Elspeth brzmiał smutno, ale nadzieja odmalowała się na jej twarzy.

Dirk nie chciał jej rozczarować, jednak nie miał wielkiego wyboru.

— Obawiam się, że raczej nie. — Westchnął. — Jako najwyższy rangą przedstawiciel twej matki z pewnością zostanie u boku Alessandra.

— Och. — Elspeth była najwyraźniej zasmucona, lecz bynajmniej nie utraciła chęci do rozmowy. — Czy dobrze się czujesz? Okropnie kaszlesz.

Z zaniepokojeniem spojrzała na niego z ukosa.

— Tylko nie mów, że zaraz zaczniesz mnie niańczyć — odparł Dirk nieco zrezygnowany. — Wystarczy, że tych dwóch zachowuje się jak kwoka matka. — Skinął głową na Skifa i Terena, którzy trzymali się tuż poza zasięgiem głosu.

Jasne południowe słońce, witane z radością po tygodniach zimnych, ulewnych deszczów, powodowało, że trudno było patrzeć na ich uniformy bez mrużenia oczu. A Teren po prostu łśnił.

Ale on błyszczący — dziwił się Dirk. — Jak on to robi że pomimo wzbijanych przez nas tumanów kurzu, wygląda nienagannie?

— Przepraszam. — Elspeth roześmiała się. — Co za dużo, to niezdrowo, prawda? Teraz wiesz, jak ja się czuję! Póki byłam w kolegium, wszystko szło jak najlepiej, ale wystarczyło, że wysliznęłam się do lasu, a już dwóch heroldów pędziło za mną, by mnie bronić!

— Nie wiń nikogo, tylko swoją mamę, skrzacie. Jesteś jej jedynym dzieckiem. Gdyby wydała na świat całe stadko, nie miałabyś tych zmartwień.

Elspeth roześmiała się głośniejsze.

— Żałuję, że żaden z dworzan tego nie słyszy. Mówisz o królowej jak o rasowej suczce!

— Najpewniej oskarżyliby mnie o obrazę majestatu. Jednak nie wykluczone, że ona sama przyznałaby mi rację. A czego ty się uczysz teraz, gdy osierociłaś swe biurko?

Dirk ze zdziwieniem przyłapał się na tym, że z zainteresowaniem słucha odpowiedzi na postawione przez siebie pytanie. Ośpienie wywołane chorobą zaczęło go powoli opuszczać, wypierane stopniowo przez energię, na której brak nigdy nie mógł narzekać. Stwierdził nawet, że wywietrzało mu z głowy sporo przygnębiających myśli. Nie wiedział, czy wpłynęło na to załagodzenie sporu z Krisem, czy zawdzięcza to czemuś innemu, ale jakkolwiek na to spojrzeć, zmiana była na lepsze.

— Alberich polecił Skifowi, by nauczył mnie rzucania nożem. Zaczynam w tym być coraz lepsza, jeśli wybaczysz mi moje przechwałki. Spójrz. . .

Jej dłoń zakreśliła niewielki łuk w bok i w przód, a przed nimi, jak wyczarowany, zatrzepotał wbity w pień drzewa sztylet. Dirk nawet nie ujrzał, kiedy wypuściła go z dłoni.

— Nieźle, całkiem nieźle.

Elspeth klusem zbliżyła się do drzewa po swój sztylet, oczyściła ostrze i wsunęła do pochwy w rękawie, a potem znów dołączyła do Dirka.

— Dostałam od niego pochwę mocowaną do nadgarstka i zapinaną na za-trzask. O, widzisz? — Podciągnęła rękaw, by się pochwalić. — Dokładnie taką samą ma Talia.

— A więc to od niego ją dostała! Powiniennem się był domyślić. Jeśli istnieje sposób, by coś ukryć, ten chłopiec go zna — Dirk, uśmiechając się, uzmysłowił sobie od jak dawna tego nie robił. — Nie żebym miał zamiar sprzeciwić się temu, zwróć uwagę. Cieszę się, że w trzymasz żądło ukryte w zanadrzu, skrzacie.

— Dlaczego? Matka wcale nie była zachwycona, że uczę się „sztuczek zabójców”, jak to taktownie nazwała. Ułagodziłam ją dopiero, gdy powiedziałam, że to na rozkaz Albericha.

— Ja myślę nieco praktyczniej. Jeśli znasz sztuczki zabójców, kosa może trafić na kamień. Nie możemy pozwolić sobie na utratę ciebie, skrzacie. Jesteś

tylko jedna.

— Zabawne, bo to samo powiedział Skif. Jak mi się zdaje, nie nawykłam uważać siebie za bardzo ważną osobę. — Uśmiechnęła się, a Dirkowi przemknęła myśl, jaka urocza młoda osoba wyrosła z bachora, którym zaopiekowała się Talia. Mieli tutaj do czynienia z niemałym cudem.

— Mam nadzieję, że uczysz się także i tego, że w niebezpiecznych sytuacjach należy słuchać instynktu, a nie głowy.

Wykrzywiła twarz w grymasie.

— Jeszcze jak! Nie tak dawno Alberich, Skif i Jeri zastawiali na mnie pułapki przy lada okazji. Pojedynczo i razem! Tak czy siak, wymaga się ode mnie, bym rozmawiała z heroldami. Umyślili sobie, jak sędzę, że zostanę zbrukana, czy coś takiego.

— Co za sposób wyrażania się o starszych! Choć brzydzę się tego przyznać, jednak w wypadku Skifa, „zbrukanie” jest właściwym określeniem.

— Co ja słyszę, me imię wzywane nadaremnie?

Skif zbliżył się do nich, nieznacznie przynaglając Cymry

— Jak najbardziej, mój sprytny, strojny łotrzyku. Właśnie ostrzegam niewinną następczynię tronu przed znajomością z tobą. . .

— Ze mną? — Oczy Skifa zaokrągliły się niewinnie. — Jestem tak czysty. . .

— Jak to, co wymiatają ze stajni.

— Hola, nie muszę tutaj wysłuchiwać kalumni rzucanych na moją głowę!

— To prawda. — Elspeth zachichotała. — Możesz cofnąć się i pozwolić nam urągać tobie poza twoimi plecami, tak jak do tej pory.

Jakby na zawołanie, zuchwała purpurowa sójka siedząca na gałęzi, pod którą właśnie przejeżdżał, jak echo powtórzyła jakieś obrzydliwe wyzwiska. Skakała niezdarnie i nie zaprzestała swych obelg, nawet kiedy ją minął.

— Coś mi się zdaje, że, nawet naturę przeciagnęliście na swoją stronę! Nadszedł czas, jak powiada mistrz Alberich, na strategiczny odwrót.

Ściągnął wodze Cymry i powrócił na swoje miejsce u boku Terena, wykrzywiając do Elspeth twarz w grymasie, gdy ta pokazała mu język. Dirk z trudem zachowywał powagę.

Jednak w chwilę później nastrój Elspeth nagle się zmienił.

— Dirku, mogę cię o coś zapytać?

— Po to tu jestem, skrzacie. Między innymi, oczywiście.

— Co to jest zło?

Dirk niemal zapomniał języka w gębie. Nie spodziewał się, że Elspeth interesuje się filozofią.

— Och! Nie lubisz zadawać łatwych pytań, co?

Przez chwilę jechał w milczeniu. Rzuciwszy na nią spojrzenie spod oka, domyślił się, że podbił Elspeth na zawsze, nie lekceważąc pytania.

— Czy pytałaś już o to kiedy Gwene? — odezwał się w końcu. — Ona jest pewnie większym autorytetem ode mnie.

— Pytałam, a ona spojrzała na mnie tak, jakbym na głowie wyhodowała sobie rogi, i powiedziała: „Zło to zło”.

Roześmiał się, bo ta odpowiedź bardzo przypominała to, czym zazwyczaj rządziła go Ahrodie.

— Wydaje się, że mamy tu do czynienia z osobliwymi „białym plamami”, co? Ha, spróbuję. To nie jest najlepsza odpowiedź, ale chyba zmierza w dobrym kierunku. Uważam, że zło jest najgorszym rodzajem chciwości, zachłanności na wszystko co piękne, rzadkie i cenne. Chciwości ogromnej, która, nie mogąc czegoś zdobyć, woli to raczej zniszczyć, niż zezwolić, by przypadło w udziale komuś innemu; lecz nawet wszedłszy w posiadanie pożądanej rzeczy, nie może się nasyć i nie słabnie ani na jotę. To co piękne, rzadkie i cenne nie wpływa na ową chciwość w inny sposób, jak tylko poprzez wzbudzenie żądzy posiadania.

— W takim razie „dobro”, byłoby jego przeciwieństwem? Byłoby to całkowite wyzbycie się egoizmu?

Nieznacznie zmarszczył czoło, szukając właściwych słów.

— Częściowo, zapewne. Zło nie może nic stworzyć, potrafi jedynie kopiować, psuć i niszczyć, ponieważ tak bardzo zapatrzona jest w siebie. Zatem „dobro” jest w pewnym sensie bezinteresowne. Wiesz, że mnóstwo sekt głosi, iż do najwyższego dobra, Głowy Bogów, można dotrzeć jedynie poprzez całkowite zapomnienie o samym sobie. Ale skąd te pytania?

— Kiedy Skif wspomniał o mistrzu Alberichu... on... ja... — Zawahała się, jakby poczuła zakłopotanie. Dirk starał się wyrzeć życzliwe wrażenie na Talii, by zrozumiała, że ją rozumie i nie spłoszyła się. — Wiesz, co wydarzyło się między mną i Talią. Na drugi dzień po kłótni wciąż jeszcze gniewałam się na nią, pomimo że byłam niemal tak samo zła na samą siebie. Oczywiście wyszło to ze mnie na lekcji fechtunku. Mistrz Alberich kazał mi przerwać ćwiczenia i zabrał mnie na łąkę, bym ochłoneła. Wiesz, nigdy nie przypuszczałam, że on... no nie wiem, tyle rozumie, jak przypuszczam. Jest taki miły, choć zazwyczaj jest taki surowy.

— Być może to jest maska, pod którą kryje się dobroć — odparł Dirk cicho. Znał Albericha lepiej niż ktokolwiek z heroldów, być może z wyjątkiem Elcartha i Jeri. Pomimo że tyle czasu spędzał poza kolegium, nikt nie był tak bliskim przyjacielem fechtmistrza jak on. — Pobłażanie komukolwiek z nas mogłoby być naszą najkrótszą drogą do grobu. A więc jest twardy, mając nadzieję, że okaże się surowszy od wszystkiego, co nas może spotkać z łaski losu. Nie jest przez to złym człowiekiem, ani gorszym heroldem. Pomyśl tylko: on jest jedynym nauczycielem w kolegium, którego nauka może decydować o naszym życiu lub śmierci. Jeśli pominiemy jakiś drobny szczegół — bez względu na powód — może spowodować, że przedwcześnie wylądujemy w grobie. Nie można tego powiedzieć

o innych nauczycielach z kolegium. Możliwe, że gdy następnym razem zabije Dzwon Śmierci, zauważysz, iż Albericha nie ma w pobliżu. Nie wiem, gdzie on się wtedy podziewa, ale raz udało mi się zobaczyć, jak odchodzi. Wyglądał tak, jakby był w agonii. Myślę, że nikt nawet nie może sobie wyobrazić, co on wtedy czuje.

— Wydaje mi się, że teraz wiem. Tak czy siak, zaczął mówić, a ty wiesz jak to z nim jest: człowiek natychmiast zaczyna słuchać. Nie wiem, jak to się stało, ale skończyło się na tym, że opowiedziałam mu o wszystkim; o tym, że kiedy Talia wydawała się tak zaprzątnięta obowiązkami, zaczęłam rozmawiać z lordem wuj. . . lordem Orthallenem; dlaczego zaczęłam przestawać z niektórymi ludźmi. Dzięki zgrają, jak sądzę. Ten młodzieniec. . . To lord Orthallen nas sobie przedstawił. Powiedział, że jego zdaniem powinnam więcej czasu poświęcić ludziom z dworu. Kiedy on to mówił, wszystko wydawało się rozsądne, a młodzieniec, z którym mnie zaznajomił, sprawiał wrażenie takiego. . . czulego. Pochlebiał mi. Ja. . . to takie przyjemne być ośrodkiem czyjeś uwagi. Opowiedziałam o tym Alberichowi. Wtedy powiedział coś naprawdę dziwnego — mam na myśli Albericha. Powiedział: „Mówię ci to w najściślejszym sekrecie, jak herold heroldowi, bo, jak myślę, musiałbym strzec swoich pleców od chwili, gdyby on się o tym dowiedział. Lord Orthallen jest jednym z trzech naprawdę złych ludzi, których w życiu spotkałem. W swych działaniach zawsze zmierza do celu, moja pani, i mądrze postąpisz, jeśli nigdy o tym nie zapomnisz”.

Popatrzyła na Dirka, któremu wydawało się, że Elspeth chce się dowiedzieć, jakie wrażenie wywarły na nim jej słowa.

Nie zadał sobie trudu, by ukrywać, że podziały na niego otrzeźwiająco. Gdy po raz pierwszy wymieniła nazwisko lorda Orthallena, poczuł się tak, jakby chmura przeszła mu nad głową i przesłoniła słońce. A przekazana przez nią opinia Albericha była dla niego prawdziwym odkryciem.

— Nie wiem, co powiedzieć — odparł Dirk na koniec. — Alberich nie jest skory do pochopnych sądów. Jestem pewny, że zdajesz sobie z tego sprawę. Jednocześnie jednak trudno mnie zaliczyć do popleczników Orthallena. Powiem tylko tyle: moja kłótnia z Krisem wybuchła głównie dlatego, że Orthallen uparł się, by być obecny, kiedy mnie oskarżono, i ponieważ uczynił wszystko, aby zmusić Krisa do wybrania między nim a mną. Nie wiem, do czego mu to było potrzebne. Może wyjaśnieniem jest zło, o którym ci już mówiłem, a które za wszelką cenę chce osiąść to, co jest cenne, albo to zniszczyć. A nasza przyjaźń to jedna z najcenniejszych rzeczy w moim życiu.

Kiedy skończył, Elspeth przez wiele mil jechała w milczeniu, a na jej twarzy przez cały ten czas królował wyraz wielkiego spokoju, wywołanego głębokim

zamyśleniem.

Była to dopiero pierwsza z wielu rozmów, które mieli odbyć. Odkryli, że są do siebie bardzo podobni, oboje interesowali się mistyką, co mogłoby zaskoczyć kogoś, kto ich nie znał zbyt dobrze.

— No właśnie? — zapytała Elspeth wojowniczo. — Dlaczego oni się nie wtrącają? Skoro robię z siebie osła dlaczego Gwena nie piśnie ani słówkiem?

— Och, skrzacie — westchnął Dirk. — Nie wiem. Czy zapytałaś ją o to kiedy?

Elspeth parsknęła, c z y m upodobniła s i ę bardzo do swego Towarzysza, kiedy ten się niecierpliwi.

— Oczywiście, kiedy zrobiłam z siebie skończoną idiotkę, zapytałam ją wprost, dlaczego po prostu nie zabroniła mi widywać się z tym szczeniakiem.

— I co na to odpowiedziała?

— Że Towarzysze tego nie robią, i że wiem o tym doskonale.

— To prawda... póki my, Wybrani, nie zwrócimy się do nich o pomoc. — Dirk gryzł się okrutnie myślą, że — nie zapytał Ahrodie o radę, kiedy pokłócił się z Krisem.

— Ale dlaczego? To niesprawiedliwie!

Dirk wiedział z własnego doświadczenia, że w wieku Elspeth słowo „sprawiedliwość” ma monumentalne znaczenie.

— Czyżby? Czy na dłuższą metę byłoby sprawiedliwe, gdyby Towarzysze nianczyły nas na każdym kroku, wtrącały się w nasze sprawy i chroniły nas przed upadkiem na nos za każdym razem, gdy próbowalibyśmy nauczyć się chodzić?

Dobra odpowiedź, mój Wybrany — pochwaliła go Ahrodie. — *Choć nieco uproszczona.*

A masz lepszą?

Och, nie! — dodała natychmiast. — *Trafila w sedno!*

— Czy to znaczy, że musimy uczyć się na własnych błędach? — zapytała Elspeth, podczas gdy Dirk skrywał uśmiezek, wywołany pospieszną odpowiedzią swego Towarzysza.

W czasie gdy Elspeth tonęła w myślach, Gwena i Ahrodie bawiły się, wybijając kopytami jeden rytm tak dokładnie, jakby drogą szedł samotny Towarzysz, a nie dwa.

— Czy one nigdy nie ingerują? — w końcu zapytała Elspeth.

— Najstarsi ludzie nie pamiętają. Jednak w dawnych kronikach...

— No? — Niecierpliwiła się, kiedy milczenie zbyt długo się przedłużyło.

— Niezwykle rzadko przytrafiały się takie ingerencje. Właściwie wyłącznie wtedy, gdy nie można było bez pomocy Towarzyszy znaleźć wyjścia z pewnych beznadziejnych sytuacji. Jednak były to zawsze Towarzysze, które wyłoniły się

z Gaju. Pozostał już tylko jeden — Rolan. Zawsze czyniły to z własnej woli, i to wyjaśnia, dlaczego heroldowie nigdy ich o to nie proszą.

— Dlaczego tylko wtedy? Czy nie moglibyśmy zwrócić się do nich o pomoc?

— Skrzacie. . . — Starał się wyrazić jak najlepiej myśl, która dopiero przyszła mu do głowy. — Jak brzmi jedyne, niezmienne prawo, które rządzi tym królestwem?

Spojrzała na niego z ukosa.

— Czy ty aby nie zmieniasz tematu?

— Nie, zaufaj mi.

— „Nie istnieje jedna słuszna droga”.

— Można by posunąć się o krok dalej. Dlaczego kapłanom nie wolno się modlić o zwycięstwo Valdemaru w wojnie?

— Ja. . . nie wiem.

— Pomyśl o tym. Odejdź, jeśli wolisz, i wróć, kiedy będziesz gotowa.

Wolała się nie oddalać od niego. Jechała po prostu u jego boku, z twarzą pozbawioną wyrazu, tak bardzo skupiona, że nawet nie zauważyła Skifa, który przyłączył się do nich.

Skif podjechał do Dirka z drugiej strony i zaciekawiony obrzucił dziewczynę przeciągłym spojrzeniem.

— Czy to nie jest zbyt trudne dla niej? — zapytał w końcu. — Próbowałem nadażyć za waszymi myślami i zgubiłem się.

— Nie sądzę — odparł Dirk. — Naprawdę, nie sądzę. Jeśliby nie była gotowa sobie z tym poradzić, nie pytałaby o to.

— O Panie i Pani — wykrzyknął Skif, potrząsając głową, szczerze zdumiony. — Poddaję się, jesteście jak dwie krople wody.

W końcu orszak dotarł do granicy i Selenay rozkazała rozbić w jej pobliżu obozowisko, ponieważ placówka straży była o wiele za mała, by mogła ich wszystkich pomieścić. Ostatnie wozy dotarły tuż przed zmrokiem, tak więc królowa nie była zaskoczona tym, że żaden z jej posłów nie czekał na ich przybycie. Jednak kiedy upłynął następny dzień, poczuła, że narasta w niej niepokój. Minęły jeszcze dwa, i jej niepokój przerodził się w przerażenie.

— Kyril. . . — Selenay nie odrywała wzroku od drogi, kiedy przemówiła do herolda seneszała. — Mam przeczucie, że wydarzyło się coś strasznego. Czyżbym zbyt łatwo wpadała w popłoch?

— Nie, Wasza Wysokość. — W głosie Kyrila, tak zazwyczaj opanowanym, wyraźnie słychać było napięcie.

Selenay spojrzała na niego ostro. Na twarzy Kyrila malowała się troska.

— Próbowałem dalekomówienia. Nie mogę ich osiągnąć, lecz przynajmniej Kris potrafiłby odebrać moje przesłanie. W przeszłości już to robił. Nie wiem, co

mogło się złego wydarzyć. Królowo, ja... boję się o nich.

— Rozkaż, by obozowisko odsunąć od granicy, natychmiast. — Królowa nie wahała się ani chwili. — Pół mili stąd znajduje się dobre miejsce. To pagórek o płaskim wierzchołku, nagi, bo porośnięty jedynie trawą; nie będzie trudny do obrony, gdyby przyszło co do czego.

Kyryl skinął głową. Nie wydawał się zaskoczony.

— Kiedy już wszyscy będą w drodze — ciągnęła — rozkaż, by spotkały się tam z nami odwoły gwardii z tej okolicy — Zamierzam postawić na nogi całą straż graniczną, by nie spuszczała z oka gościa handlowego po stronie Hardornu.

Towarzysz królowej, Caryo, przybiegł kłusem w odpowiedzi na zawołanie posłane mu przez jej umysł. Wskoczyła na jego grzbiet, nie troszcząc się ani o siodło, ani o uzdę. Kiedy oddalała się, Kyryl już poszukiwał dowódcy obozu, by przekazać mu rozkazy władczyni.

Nowe miejsce okazało się niewygodne, ale zgodnie z planem Selenay dużo łatwiejsze do obrony od poprzedniego. Kiedy pojawili się gwardziści, Selenay nakazała im rozbić biwak pomiędzy swym obozem a granicą. Gdy rozstawiała strażę, zauważyła coś złowieszczonego. Otóż Towarzysze także otoczyły ich pierścieniem, przyjmując na siebie obowiązki wartowników.

Elspeth nie odstępowała Dirka niemal na krok. Oboje ukrywali dręczący ich lęk, póki nie nadszedł piąty dzień od chwili przybycia nad granicę. W tym dniu wszystkim szczególnie zaczęło doskwierać napięcie i niepokój.

— Dirku — odezwała się w końcu Elspeth, gdy patrzył, jak ona po raz dziesiąty na darmo podejmuje próbę przeczytania kilku stron w książce, lecz nie może zatrzymać wzroku nawet na jednym słowie — podejrzewasz, że spotkało ich coś złego?

Dirk nawet nie udawał, że zajmuje się czymś innym poza uporczywym wpatrywaniem się w gościniec.

— Musiało coś się stać — odpowiedział po prostu. — Gdyby to było zwyyczajne spóźnienie, przesłaliby nam wiadomość. To nie jest podobne do Krisa...

Przerwał na widok przerażenia w jej oczach.

— Posłuchaj, skrzacie, jestem pewny, że nic im nie będzie. Nieraz z Krisem wychodziliśmy obronną ręką z podobnych sytuacji, a Talia nie jest omdlewającym dworskim kwiatem. Jestem pewny, że właśnie w tej chwili wracają do nas.

— Mam nadzieję, że masz rację... — cichutko powiedziała Elspeth, jednak nie zabrzmiało to w uszach Dirka zbyt przekonująco.

Trudno, żeby tak było, skoro on sam nie bardzo w to wierzył.

Wstał kolejny dzień — szósty. Selenay i, prawdę powiedziawszy, wszyscy z jej orszaku czekali już tylko na to, kiedy spadnie wiszący nad ich głowami miecz.

Późnym popołudniem, kiedy jeden z postawionych na czujce heroldów, posiadający dary dalekowidzenia i myśl-mowy, zgłosił, że jakiś Towarzysz zbliża się do nich galopem, cały obóz wyległ i ustawił się wzdłuż drogi. Selenay stała pomiędzy tymi, którzy znajdowali się na przedzie, wyęzając wzrok, by ujrzeć pierwszy błysk bieli. Wraz z Kyrilem i kilkoma najbardziej zaufanymi członkami orszaku tworzyli niewielką, ściśniętą grupkę na skraju obozowiska. Królowa mgliście uświadamiała sobie, że niedaleko Dirk, Teren, Skif, Elspeth oraz Jen utworzyli własny krąg. Wszyscy zamarli w milczeniu, wystawieni na działanie prażących bez litości promieni słonecznych, jednak nikt nawet nie rozejrzał się w poszukiwaniu cienia.

Dirkowi ze strachu coraz bardziej zasychało w gardle, kiedy drugi obserwator przybiegł do królowej, by szepnąć jej coś do ucha. Selenay zrobiła się blada jak śnieg. Elspeth kurczowo wpiła palce w ramię Dirka. Wszyscy zebrani poruszyli się niespokojnie.

Nagle, spowity pyłem, tętniąc kopytami, pomiędzy zebranych wbiegł samotny Rolan. Bez siodła i uzdy, wychudły, pokryty grubą warstwą kurzu i zlany potem, do cna wyczerpany. Towarzysza w takim stanie niewielu miało okazję dotąd oglądać.

Zataczając się przeszedł kilka ostatnich, dzielących go od królowej kroków i, zerwawszy zębami zawiniątko wiszące na jego szyi, upuścił je u jej stóp. A potem stanął bez sił i dyszał, ciężko robiąc bokami i drżąc ze zmęczenia na całym ciele. Zwiesił łeb niemal do ziemi i przymknął powieki, z każdego cala jego ciała wprost wyzierało cierpienie.

Keren pierwsza otrząsnęła się z szoku. Podbiegła do Rolana i z braku czegoś lepszego pod ręką, okryła go własną oponczą, by małymi kroczkami odprowadzić tam, gdzie można się nim było troskliwie zaopiekować.

Selenay podniosła brudne, poplamione zawiniątko. Ręce jej drżały tak bardzo, że niemal upuściła je ponownie na ziemię. Rozwiązała węzeł.

W trawę pod jej stopami upadły dwie strzały: złamana i bez grota.

Zebranych ogarnęła fala rozpaczy, królowa zamarła, mając wrażenie, że tężeje, zamieniając się w lodową rzeźbę. Kiedy Kyril schylił się, by podnieść strzały, Elspeth zachwiała się i Jeri była zmuszona ją podtrzymać, dokładnie w chwili, której ciszę zmaćcił rozpaczliwy krzyk nie mogącego uwierzyć własnym oczom Dirka.

Selenay drgnęła przestraszona i odwróciwszy się ujrzała, jak herold wrywa się z rąk starających się go powstrzymać Skifa i Terena.

— Przekleci, pozwólcie mi jechać! — krzyczał ogarnięty śmiertelną rozpaczą, gdy Skif odciągał go od Ahrodie. — Muszę tam jechać, muszę jej pomóc!

— Dirk, chłopie, nawet nie wiesz, czy... — Słowa uwięzły Terenowi w gardle. — Czy ona żyje?

— Żyje. Nie może być inaczej, gdyby umarła, wiedziałbym o tym! — Wciąż się mocował z nimi, gdy nagle ponury głos Kyrila dotarł nawet do miejsca ich zmagania.

— Strzała bez grota należała do herolda Krisa — powiedział, a wyraz jego twarzy był uzupełnieniem bóleści, która przepelniała jego głos. — Złamana, herolda Talii.

— Widzicie! Miałem rację! Puście mnie!

Skif złapał przyjaciela za podbródek i zmusił go, by odwrócił głowę i spojrzał mu w oczy, pomimo że Dirkowi sił dodawało szaleństwo. Łzy płynęły mu po policzkach i to, co miał do powiedzenia, prawie wyszlochał:

— Pomyśl, chłopie! To jej strzała jest złamana. Była już jakby martwa w chwili, gdy nam ją posyłała. Do kroćset, przecież wiedziała o tym. Nie można się łudzić, że ją ocalimy, jednak ostrzegła nas, byśmy mogli siebie uratować. Czy chcesz się zabić po to, byśmy musieli okryć się żałobą po was trojgu?

Jego słowa poskutkowały. Z oczu Dirka znikło szaleństwo, a pojawiła się żalność i udręka.

— Och, bogowie! — Wola walki uleciała z niego, opadł bezradnie na kolana, ukrył twarz w dłoniach i rozległ się jego zachrypnięty szloch.

Umęczone serce Selenay ogarnął żal, że nie może uczynić tego samego. Jednak wiadomość mogła oznaczać tylko jedno: stary przyjaciel jej i mieszkańców Valdemaru raptownie zmienił skórę, nad królestwem zawisło niebezpieczeństwo, a gra idzie o życie jej ludzi i dobro całej domeny. Tak jak każdy herold, musiała spełnić swój obowiązek; nie było czasu na uleganie osobistym uczuciom. Później, kiedy wszyscy będą bezpieczni, okryje się żałobą. Teraz musiała działać.

Przepędziła ze swych myśli wszelkie emocje, wiedząc, że później przyjdzie jej za to zapłacić podwójnie. Trzeba było postawić na nogi gwardię, sprowadzić lorda wojny. W jej głowie zaroilo się od planów, co pomogło — przynajmniej chwilowo — puścić w niepamięć żal, któremu tak pragnęła się poddać.

Dziarskim głosem zaczęła wydawać rozkazy. Jeden herold po drugim biegł do swych Towarzyszy, posłańcy z wieściami ostrzegawczymi, wezwaniami, rozkazami rozpoczęcia przygotowań. Królowa odwróciła się na pięcie i mając Kyrila

u boku, pośpiesznie udała się do swego namiotu. Ci, którym dane było już zdobyć doświadczenie w zbrojnych starciach poszli za nią; podobnie ci, którzy mieli zostać posłańcami, pozostali udali się do taboru, by z wozów wydobyć broń, albo zbiegali zboczem wzgórza, by sformować mały oddział gwardii do obrony królowej.

Ostali się tylko Skif, Teren i Dirk.

Skif wyciągnął ramiona do przyjaciela i przyciągnął go do siebie. Dirk skulił się przy nim, wciąż klęcząc na pokrytym pyłem gościńcu. Jedyne drzenie jego ciała świadczyło, że wciąż jeszcze płacze.

Skif razem z Terenem stali obok niego, zakłopotani, niepewni, jak mogliby mu pomóc. W końcu milczenie przerwał szept Terena:

— Nie ma obawy, że palnie teraz jakieś głupstwo. Lepiej zostawmy go na chwilę samego. Jedyne Ahrodie może go jakoś pocieszyć.

Skif kiwnął głową i zagryzł wargę, by nie wybuchnąć płaczem. Kiedy ruszyli śladem pozostałych, do Dirka zbliżyła się Ahrodie i nisko zwiesiła nad nim swą głowę, jednak nie dotykając jego barku.

Zatopiony w cierpieniach Dirk nie słyszał, że ktoś zbliżył się do niego, póki nie poczuł na ramieniu lekkiego dotknięcia dłoni. Powoli uniósł głowę. Spojrzał Elspeth. Z jej twarzy i wzroku wycierał głęboki żal, po policzkach spływały jej łzy. Zbliżał się zmrok, wydawało się, że gasnące promienie słońca poznały niebo w krwawe plamy. Nad ich głowami zaczynały rozbłyskiwać gwiazdy. Przez myśl przemknęło mu, że pozostawał w tej samej pozycji od wielu godzin. I kiedy patrzył nieruchomym wzrokiem na Elspeth, w głowie zaświtał mu pomysł.

— Elspeth — wychrypiał. — Czy znasz jakieś miejsce, w którym w tej chwili nie byłoby nikogo? Jakies ciche miejsce?

— Mój namiot i okolica wokół niego — powiedziała Pytanie musiało ją bardzo zaskoczyć, bo nawet zapomniała o płaczu. — Mieszkam na tyłach obozu, w pewnym oddaleniu od namiotu matki. A wszyscy poszli teraz do niej.

— Czy mogę z niego skorzystać?

— Oczywiście, ale dlaczego? Czy coś... może... och, Dirku, czy ty coś wymyśliłeś? Ty coś wymyśliłeś, prawda?

— Pomyślałem sobie... może... mógłbym sięgnąć po nią.

Na twarzy Elspeth mieszały się nadzieja i zwątpienie.

— To strasznie daleko.

— Wiem. To nie ma znaczenia, bo nie odległość mnie przeraża, ale jej ciężar. Nigdy dotąd nie sprowadzałem do siebie nic tak wielkiego. O bogowie, nic żywego, co choćby mniej więcej było do niej zbliżone. — Twarz wykrzywił mu ból, który ścisnął mu serce. — Muszę spróbować coś zrobić, cokolwiek!

— Ale Kris... — Głos jej się załamał. — Ale nie ma z nami Krisa, który słu-

żyłby ci swym wzrokiem... Nie, zaczekaj... — Przerwała raptownie, klęcząc przed nim na widok opuszczającej go nadziei. — Ja potrafię widzieć. Nie jestem wyszkolona, ale posiadam ten dar. Objawił się dość wcześnie... Od kiedy zostałam wybrana stał się o wiele silniejszy. Wiem, że potrafię sięgnąć wzrokiem dalej niż ktokolwiek z moich znajomych. Czy mnie się uda?

— Tak! O, bogowie, tak! — Dirk uściśnął ją mocno. Dźwignęli się z klęczek i ramię w ramię, w zapadającym zmierzchu poszli do namiotu następczyni tronu.

Elspeth wśliznęła się do środka i rzuciła na ziemię dwie poduchy, na których usiedli. Dirk dotknął lekko dłońmi jej nadgarstków i na ile mógł, uspokoił myśli. Starając wmówić sobie, że po prostu ma do czynienia z kolejnym uczniem, którego musi nauczyć posługiwania się swym darem, delikatnie zaczął Elspeth wprowadzać w trans. Zgasł ostatni promień światła, na niebie jaśniej zaświeciły gwiazdy, lecz oboje siedzieli nieporuszeni, zupełnie nieświadomi tego, co się wokół nich dzieje. Elspeth bardzo długo milczała i Dirk zaczął się obawiać, że jej niewyszkolony dar okaże się bezużyteczny na tak wielką odległość, pomimo potężnego, wzmagającego go wzruszenia.

Raptem Elspeth skrzywiła się z bólu i strachu, a jej dłonie zacisnęły konwulsyjnie na nadgarstkach Dirka.

— Odnalazłam ją... Och, bogowie! Skrzywdzono ją w potworny sposób! Ja... myślę... że zaczyna mi być niedobrze...

— Wytrzymaj, skrzacie! Nie zawieź mnie! Ja ciebie potrzebuję... ona ciebie potrzebuje!

Elspeth przełknęła głośno ślinę i zdołała się opanować. Dirk poszedł śladem jej myśli i znalazł poszukiwany cel, uchwycił go i pociągnął ze wszystkich sił.

Nie wiedział, jak długo trwały jego zmagania z ciężarem. Nagle wezbrała w nim ogromna, grożąca pochłonięciem fala bólu i pociemniało mu w oczach.

Kiedy przyszedł do siebie, stwierdził, że siedzi zgarbiony na ziemi, a Elspeth z całych sił potrząsa nim, by się ocknął.

— Ni z tego, ni z owego przestałeś oddychać — powiedziała przerażona. — Myślałam, że nie żyjesz! O, bogowie, Dirku... to... to na nic, prawda?

Potrząsnął otępiełą głową.

— Próbowałem. O bogini, zbaw mnie! Próbowałem. Odnalazłem ją, jednak nie mogłem jej ruszyć. Nie posiadam tak wielkiej siły.

Poczuł na swej dłoni gorącą łzę, która spłynęła po policzku Elspeth, i postanowił spróbować jeszcze raz. Wiedział, że raczej umrze, próbując sprowadzić do siebie Talię, niż będzie żył ze świadomością, że nie starczyło mu odwagi na drugą próbę.

Lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ktoś inny przejął sprawy w swe ręce.

Człeczce. — Głos rozległ się wprost w jego myślach. — *Dirku... Heroldzie.*

Był to męski głos, a nie głos Ahrodie. Podniósł wzrok i zobaczył nad sobą trzech stojących Towarzyszy: Ahrodie, Gwene i na ich czele Rolana; zjawili się tak cicho, że nawet źdźbło trawy nie zaszeleściło. Za nimi, na granicy poletka na którym rozbito namiot Elspeth, zebrali się wszyscy, co do jednego, Towarzysze z obozu, nawet żreback Cymry.

Rolan wyglądał jak duch, stał posepny i wydawało się że bije od niego jakaś łuna. Na jego widok włosy zjeżyły się Dirkowi na głowie. Wyglądał jak istota z legend, a nie stworzenie, które można spotkać w zwyczajnym świecie.

Ty masz dar, który wykorzystamy. Ona posiada wzrok. My dostarczymy wam potrzebnej siły.

— Ja... ale... czy to ma znaczyć...

Że wciąż możemy ją ocalić, jeśli starczy nam miłości i nie ulękniemy się. Jednak bądź przygotowany, że nasz sukces może cię drogo kosztować. Ból będzie ogromny. Możliwe nawet, że umrzesz.

Bez słowa Dirk spojrział na Elspeth. Zrozumiał, że Rolan przemówił także do niej.

Dirk spojrział w świetliste oczy Rolana — lśniło w nich szafirowe światło jaśniejsze od blasku gwiazd.

— Nie cofniemy się przed zapłaceniem każdej ceny — odparł, wiedząc, że mówi w imieniu obojga.

Rozsunęli się, robiąc między sobą miejsce dla trzech Towarzyszy. Stanęli w kręgu: Rolan, Elspeth, Gwena, Ahrodie i Dirk. Elspeth i Dirk złączyli dłonie i położyli ręce na grzbiecie Towarzyszy, doprowadzając w ten sposób do wymaganej fizycznej bliskości pomiędzy całą piątką.

Ponowne poszukiwanie celu poszło Elspeth znacznie łatwiej.

— Mam ją — powiedziała miękko, gdy znów ujrzała Talię, a potem zapłakała. — Dirku... ona umiera!

Jeszcze raz Dirk pobiegł myślą drogą przetartą dla niego przez Elspeth, uchwycił się swego celu i pociągnął.

Wtedy dołączył do niego ktoś jeszcze, i jego siła wzrosła. A potem przyłączył się do nich ktoś trzeci i czwarty...

Przez chwilę — a może to była wieczność — Dirk myślał przerażony, że jest rozdierany przez dwie potężne moce, znacznie przerastające go siłą, a każda z nich ciągnie go w swoją stronę, jakby to były zawody w przeciąganiu liny. jedynie swemu uporowi zawdzięczał, że nie zląkł się swego zadania, gdy poczuł, jak jego mózg rozszarpywany jest na dwoje. Wytrzymał, choć miał wrażenie, że jest rozciągany coraz bardziej i bardziej, i że napina się coraz mocniej jak struna harfy, która drży tuż przed pęknięciem. Czuł, jak opuszczają go siły i zanika w nim świadomość. Zaczął walczyć z niemocą, kurczowo trzymając się swego celu, nie pozostało mu już nic oprócz jego nieugiętej woli. Nagle jedna z owych mocy

załamała się, lecz to nie im zabrakło sił. Wspólnie ciągnęli swój cel do siebie, troskliwie chroniąc go, by nie mogło mu się już nic więcej złego przydarzyć.

Udało im się. Wspólnymi siłami, z wielkim trudem, dopięli swego.

W namiocie Selenay toczyła się w najlepsze narada wojenna przy udziale członków Rady Królewskiej, oficerów armii oraz gwardii i oczywiście heroldów. Każdy siadał tam, gdzie udało mu się znaleźć odrobinę miejsca. Kyril omawiał słabe punkty w systemie obronnym, które wydawały się najbardziej narażone na atak, wskazując je na rozłożonej na stole mapie. Nagle z przestraszeniem unieśli głowy, słysząc tuż obok namiotu okrzyk zgrozy.

Ktoś odrzucił klapę wejściową do namiotu i rozsunął stojących w przejściu ludzi. Do środka weszła na uginających się nogach Elspeth, wyczerpana, z twarzą białą jak papier. Usuwała ludzi ze swej drogi. Tuż za nią szedł Dirk, który wyglądał jeszcze bardziej upiornie. Na widok tego, co niósł na rękach, namiot wypełniło echo pełnego zgrozy krzyku, bo były to okaleczone strzępy ludzkiego ciała o twarzy Talii.

Poza Dirkiem i następczynią tronu nie poruszył się nikt. Elspeth bez słowa przepędziła siedzących na pryczy pięciu heroldów, by Dirk mógł delikatnie położyć na niej Talię. Nawet nie rozglądając się dookoła, sięgnął za siebie poplamioną krwią ręką, chwycił najbardziej doświadczonego uzdrowiciela za ramię i przyciągnął go do boku Talii. A potem z wielkim wysiłkiem wyprostował się, zrobił dwa, trzy kroki i zemdłał, padając na ziemię jak ścięte drzewo.

Kiedy minęło zamieszanie i Selenay miała okazję rozejrzeć się, stwierdziła, że z Elspeth stało się to samo: cichutko i mniej dramatycznie osunęła się w kącie.

Elspeth przychodziła do siebie bardzo szybko. Na szczęście — jak to nieco zgryźliwie stwierdziła — dla tych, którzy nie mogli sobie wyobrazić, w jaki sposób udał się akt ocalenia.

Znalazła się w samym centrum uwagi tych, którzy nie brali udziału w ratowaniu życia Talii. Kyril okazał się szczególnie natrętny. Kazał sobie powtarzać jej opowieść tyle razy, że mogłaby już, jak podejrzewała, recytować ją przez sen. A i tak zamęczał ją nie kończącymi się pytaniami. W końcu cierpliwość Elspeth wyczerpała się. Oświadczyła Kyrilowi spokojnym głosem, choć zabrzmiała w nim groźba, że jeśli zamierza jeszcze się czegoś dowiedzieć, musi porozmawiać ze swym Towarzystwem, bo ona postanowiła dowiedzieć się u uzdrowicieli, czy nie można by jakoś pomóc Talii i Dirkowi.

Uzdrowicielka Thesa była zaniepokojona. Powrót Dirka do zdrowia wcale nie był taki szybki. Na drugi dzień jeszcze nie odzyskał przytomności. Minęło tro-

chę czasu, zanim udało im się zorientować, że dręczy go nawrót zapalenia płuc, w połączeniu z niezwykłym wyczerpaniem umysłowym. Thesa opiekowała się głównie Dirkiem, a jej stary przyjaciel Devan — Talią; oczywiście nieprzerwanie służyli sobie wzajemnie swym doświadczeniem. Dirkowi udało się ściągnąć wraz z Talią flaszeczkę po argonelu. Ślady specyfiku, który zażyte pozwoliły Devanowi dowiedzieć się, czemu — oprócz okrutnych ran — przyszło im stawić czoło. W ciągu dwóch dni uczynili wszystko, co można było uczynić w prymitywnych warunkach obozowych. Stwierdzili, że choć przeniesienie Tali i Dirka będzie niebezpieczne, jednak jeszcze gorzej byłoby zostawić ich w obozie. Wojna mogła wybuchnąć w każdej chwili, oboju bardzo była potrzebna pomoc doświadczonych nauczycieli z Kolegium Uzdrawicieli.

Jednak brakowało czasu i heroldów, by chorych odesłać do stolicy. Devan, Thesa i ich koledzy postanowili więc, po pośpiesznej naradzie, odesłać ich do wzniesionej z kamienia siedziby lorda Holdera, który z radością ofiarował królowej gościnę w swym domu, uchodząc wraz z całą rodziną przed bitwą, która lada moment mogła rozpętać się w ich sąsiedztwie.

Królowa wezwała ze stolicy wszystkich uzdrawicieli, z których można było zrezygnować w kolegium. Rezydencja lorda Holdera bardziej przypominała fortecę i w razie potrzeby można było się w niej łatwo bronić, zatem uzdrawicieli odsyłano tam natychmiast po przybyciu, a Thesa, gdy stan zdrowia Dirka zaczął się polepszać, zajęła się ich zakwaterowaniem. Wiedziała, że choć teraz mieli zaledwie dwóch chorych pod opieką, to z chwilą wybuchu wojny natychmiast będzie ich dużo więcej.

Elsbeth spędzała tam większość czasu. Jej matka poprosiła ją — nie rozkazała — by została z uzdrawicielami i urzędnikami dworskimi, którzy zaczynali przybywać w odpowiedzi na jej wezwanie. Była to oznaka, że Selenay ufa jej zdrowemu rozsądkowi i milcząco przyjmuje do wiadomości, że córka zaczyna być osobą dorosłą.

— Ale... — Elspeth zaczęła protestować, lecz widząc cień w twarzy matki przerwała. — To nic. Co chcesz, bym zrobiła?

— Nadaję ci uprawnienia regenta — odparła Selenay. — Królestwo nie może przestać istnieć podczas naszej nieobecności. Wysiedziałaś się dość na spotkaniach rady, masz niezłe pojęcie o tym, co trzeba robić. Zajmiesz się życiem codziennym królestwa, chyba że coś będzie wymagało mojej decyzji. Jest coś jeszcze: gdyby zdarzyło się najgorsze, wraz z radą i ocalałymi heroldami uciekniecie na zachód i północ. W Żalach powinniście być bezpieczni.

— A co z tobą? — zapytała, czując ucisk w gardle.

— Elspeth, jeśli będzie aż tak źle, ty będziesz nową królową.

Nad tym Elspeth wolała się nie zastanawiać, i tak nie brakowało jej powodów

do obaw. Talia wyglądała bardziej na martwą niż żywą. Uzdrowiciele byli najwyraźniej zbici z tropu i przestraszeni stanem jej zdrowia, lecz nie chcieli powiedzieć Elspeth dlaczego.

Nic się nie działo na granicy, nic się nie działo w izbach chorych, i Elspeth nic na to nie mogła poradzić. Nic dziwnego zatem, że nie w smak jej było położenie, w jakim się znalazła. Zaczynała rozumieć, jak często królowej musiało się to przytrafiać. Jedyne, co jej jeszcze pozostało, to modły.

A więc modliła się żarliwie tak jak jej przodek, król Valdemar, w nadziei, że zostanie wysłuchana.

DZIESIĄTY

Dirk przyszedł do siebie dość szybko po tym, jak dostał się pod opiekę uzdrowicieli, jednak był oszołomiony, zdezorientowany i trawiła go gorączka. Cierpiał na niemal oślepiający ból głowy, którego żadne zioła nie mogły złagodzić. Musiał przebywać niemal w całkowitych ciemnościach, póki ból nie zaczął ustępować. Jak sięgnąć pamięcią, nikt z uzdrowicieli nie przypominał sobie osoby, która przeżyłaby tak poważny uraz, wyzdrowiała i mogła o tym opowiadać.

Dirk znów znalazł się w niewielkiej izbie, tym razem jednak nie był to Dom Uzdrawiania. Przez kilka dni mógł jedynie jeść i wykonywać polecenia wydawane przez uzdrowicieli. Tym razem był o wiele za słaby, by sprzeciwić się ich surowej dyscyplinie. Przez dłuższy czas potulnie i grzecznie podporządkowywał się im we wszystkim, lecz, przyszedłszy nieco do siebie, poczuł się zaniepokojony. Obudziła się w nim podejrzliwość, gdy na pytania o Talię albo wcale nie otrzymywał odpowiedzi, albo były one wymijające.

Im bardziej unikali rozmowy o niej, tym bardziej stawał się przygnębiony i zły. Wypytywał nawet Gwene, gdy tylko minął najgorszy ból. Gwena nie mogła mu pomóc. Próbowwała wyjaśnić mu, co złego dzieje się z Talią, jednak jej odpowiedzi budziły tylko większy strach i zamieszanie. Nie potrafiła powiedzieć nic ponad to, że osobisty herold królowej cierpi na coś niezwykle poważnego. W końcu Dirk postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

Małego Robina sprowadził na dwór lord Orthallen, jednak chłopiec miał poczucie, że jego pan zapomniał o nim. Chłopiec przebywał w jego domu, ale Orthallen zdawał się od dawna już o tym nie pamiętać, więc kiedy nadeszły rozkazy, by się pakować i wyruszać nad granicę, Robin wielce zdziwiony rozsiadł się w wozie na końcu długiego ogona taborów. Czuł się zagubiony. Wałęsał się bez celu, póki go ktoś nie zauważył i nie doszedł do wniosku, że przecież w obozie szykującym się do wojny nie ma miejsca dla tak małego chłopca. Został zatem odesłany najpierw do Elspeth, a potem trafił do uzdrowicieli, którzy z kolei polecili mu pomagać Dirkowi, uważając, że chłopiec jest zbyt młody, by zrozumieć coś z zasłyszanych przypadkowo rozmów, a choremu nie przyjdzie na myśl wypytywać małe dziecko.

W obu przypadkach popełnili gruby błąd.

Robin wiedział doskonale, co się dookoła niego działo. Nic dziwnego, zważywszy, że miało to związek z uwielbianą przez niego Talią. Był chory z przerażenia, i bardzo pragnął porozmawiać z kimś starszym, a Dirk był dla niego dobry i miły, i tak rozpaczliwie spragniony nowin, że przepętałby szczury pod podłogą, byleby się czegoś dowiedzieć.

Dirk słyszał o Robinie i jego uwielbieniu dla Talii. Kto jak kto, ale ten chłopiec wiedział, gdzie ona się znajduje i w jakim jest zdrowiu. Herold grał na zwłokę. W końcu uzdrowiciele przestali pilnować go przez cały czas od chwili, gdy otwierał oczy. Zwlekał zatem ze swymi pytaniami, aż pozwolą kipiącemu od ochoty do rozmowy Robinowi samotnie przynosić mu pożywienie.

— Robinie. — Dirk odezwał się łagodnym głosem, nie chcąc wystraszyć chłopca. — Potrzebuję twojej pomocy. Uzdrowiciele nie odpowiedzą na moje pytania, a ja muszę Dowiedzieć się czegoś o Tali.

Na dźwięk imienia Talii Robin odwrócił się od drzwi, nie wypuszczając klamki z ręki. Twarz miał przygnębioną.

— Powiem ci, panie, to, co wiem — powiedział lekko drżącym głosem. — Talia cierpi okropnie i oni nie dopuszczają do niej nikogo, tylko uzdrowiciele.

— Gdzie ona jest? Czy wiesz może, kto się nią opiekuje?

Chłopiec nie tylko wiedział, gdzie jest ranna, ale znał według starszeństwa nazwiska wszystkich opiekujących się nią uzdrowiciele. Kiedy ich wymienił z pamięci, Dirkowi serce niemal zamarło w piersi. Nawet stary Farnherdt został wezwany, pomimo że odchodząc na emeryturę poprzysiągł, iż nie pozwoli się niepokoić choćby w najbardziej beznadziejnych przypadkach.

— Robinie, muszę stąd wyjść i potrzebuję twojej pomocy — poprosił Dirk.

Robin skinął głową, szeroko otwierając oczy.

— Sprawdź, czy na korytarzu nie ma nikogo.

Robin uchylił drzwi i wystawił głowę na zewnątrz.

— Pusto — zaraportował.

— Doskonale. Zamierzam się ubrać i wysliznąć stąd. Zostań za drzwiami i zapukaj, gdyby ktoś szedł.

Robin wysunął się z izby, by stanąć na straży, a Dirk włożył na siebie ubranie. Odczekał chwilę i gotów dowiedzieć się prawdy za wszelką cenę, opuścił izbę, mrugając do Robina jak spiskowiec do spiskowca.

Uzdrowicielem prowadzącym był Devan. Nie był pierwszy na liście starszeństwa, jednak miał najwięcej doświadczenia i najmocniejszy dar leczenia ran i wywołanego urazami wstrząsu. Był na dodatek pierwszym i najlepszym spośród uzdrowicielei przyjacielem Talii. Pracowali wspólnie nad uleczeniem niejednego herolda. Czasami troskliwa opieka jest ważniejsza od doświadczenia i dlatego,

gdyby Dirka zapytać o to, kto miałby się nią opiekować, imię Devana z pewnością padłoby jedno z pierwszych.

Dirk wiedział dobrze, gdzie może zastać Devana o tej porze, a większość siedzib zamkowych miała podobny rozkład pomieszczeń. Uzdrowiciel przebywał akurat w destylarni, tuż obok kuchni i herbarium. Naprędce spożywał południowy posiłek, jednocześnie mieszając coś w tyglu. Dirk wykorzystał swe bogate doświadczenie w przemykaniu się jak cień, by nikt go nie przydybał na skradaniu się do tej małej izdebki na pierwszym piętrze, wypełnionej mieszaniną przyjemnych i mniej przyjemnych aromatów, rozsiewanych przez niezliczone lekarstwa.

Dirk usłyszał jakieś odgłosy w izbie za zamkniętymi drzwiami, otworzył je, bezszelestnie wśliznął się błyskawicznie do środka, zamknął drzwi za sobą i oparł się o nie plecami. Odwrócony plecami Devan wydawał się nie zauważać jego obecności.

— Devanie, muszę z tobą porozmawiać.

— Spodziewałem się ciebie. — Rozległ się opanowany głos uzdrowiciela, który nie oderwał się od swojego zajęcia. — Pomyślałem, że nie zadowolili cię to, co powiedziano ci o Talii. Zwracałem na to uwagę, jednak to nie ja odpowiadam za opiekę nad tobą. Thesa uważała, że nie należy cię niepokoić.

— Zatem, jak ona się czuje? — Dirk na widok ponurego oblicza uzdrowiciela zapytał z przestachem. — Czy ona . . .

— Nie, heroldzie — westchnął Devan, zatykając szyjkę flaszeczki, którą napełnił jakimś płynem. Odwrócił się do Dirka. — Ona nie umiera, w każdym razie jeszcze nie. Jednak nie jest też żywa.

— A cóż to ma znaczyć? — wyrwało się Dirkowi, który zaczynał się złościć. — Co masz na myśli, mówiąc: „Jednak nie jest też żywa”?

— Chodź, a sam zobaczysz.

Uzdrowiciel zaprowadził go do ciasnej izdebki w lecznicy, jednego z kilku połączonych razem pomieszczeń, w których kładzie się chorych, gdy trzeba ich oddzielić od świata. Stał tam jedynie stół ze świecą oraz łoże, na którym nieruchomo leżała Talia.

Dirk poczuł, że coś ściska go w gardle; miał wrażenie, że chora spoczywa jak przed złożeniem do trumny.

Twarz Talii była blada i jakby ulepiona z wosku. Jednak Dirk przyglądając się jej z bliska, stwierdził, że oddycha, choć było to ledwie wyczuwalne.

— Co jej jest? — zapytał ochryplym ze zdenerwowania głosem.

Devan wzruszył bezradnie ramionami. Czuł się znacznie bardziej zrezygnowany, niż na to wyglądał, zwłaszcza teraz, gdy w końcu Dirk dotarł do niego.

— Bardzo chciałbym to wiedzieć. Myśleliśmy, że udało nam się na czas podać odtrutkę neutralizującą argonel. Hm, odczuwany przez nią ból osłabił jego działanie, lecz gdybyśmy nie zatroszczyli się o resztę, umarłaby — argonel nie wybacza błędów. Udało nam się uzupełnić nieco krwi, którą utraciła; uśmierzamy

ból, jaki sprawia jej większość ran. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, a ona po prostu nie chce się przebudzić... Nie, tu chodzi o coś więcej. Wydaje się, że jej już nie ma, a my leczymy ciało pozbawione duszy; ciało, które żyje, wszystkie jego odruchy są prawidłowe — oddycha, serce bije. Tyle że nikogo nie ma w „domu”, a my nie mamy pojęcia, dlaczego wyszedł. Jeden ze starszych uzdrowicieli utrzymuje, że jej dusza „oddaliła się w niewiadome strony”, być może uciekając przed jakimś zmysłowym przymusem. Uważam, że to możliwe. Tradycja głosi, iż wielu magów posiada dar podobny do naszego, jednak wykorzystuje go, by czynić zło. Możliwe że oprócz tortur, przez które przeszła, spotkała się z jednym z nich i teraz obawia się powrotu, nie wiedząc, że znów znajduje się pod opieką przyjaciół. Skłonni byliśmy imać się wszelkich sposobów...

— I?

— Poprosiliśmy herolda Kyrila o pomoc. Spędził tutaj cały dzień, trzymając ją za rękę i wzywając ją myślą. Znalazł się na granicy wyczerpania, lecz nie przestawał, aż siły całkowicie go zawiodły i stracił przytomność. Wszystko na próżno. Szczerze mówiąc, nie wiem, co moglibyśmy jeszcze zrobić... — Spojrzał spod oka na Dirka. Devanowi chodził pewien pomysł po głowie, lecz z tego, co wiedział o tym młodym człowieku, musiał postępować z nim niezwykle przebiegle i ostrożnie. — Chyba że...

— Chyba że co? — Dirk połknął przynętę.

— Jak wiesz, jej darem jest empatia. Nie potrafi myślsłyszeć ani myślmówić zbyt dobrze. Możliwe, że Kyril nie był w stanie osiągnąć jej swą myślą. Przypuszczam, że gdyby ktoś związany z nią mocną emocjonalną więzią spróbował przesłać jej wezwanie, w oparciu o tę więź, mogłaby go usłyszeć. Próbowaliśmy porozumieć się z jej Towarzyszem, jednak najwyraźniej nie poszło mu lepiej od Kyrila — może powód był znów ten sam. Między nią a heroldem Krisem istniała mocna więź, jednak...

— Tak?

— Nikomu nie przychodzi nikt inny do głowy.

Dirk przełknął głośno ślinę i wyszeptał:

— Czy... ja mógłbym spróbować?

Devan niemal uśmiechnął się pomimo ponurej sytuacji. Chodź, chodź mała rybko — pomyślał, próbując natchnąć swą wolę zniewalającą mocą daru dalekomówienia heroldów. — Połknij smaczną przynętę. Wiem wszystko o łączącej was więzi. Keren powiedziała mi o tym w tę samą noc, w którą zachorowałeś, i o tym, jak zachowałeś się na widok strzał śmierci, oraz w jaki sposób ją uratowałeś. Jednak jeśli nie przyznasz się przed samym sobą do owej więzi, będzie to tak, jakbyś próbował nawoływać ją wbrew szalejącemu huraganowi.

Udawał, że opadły go wątpliwości.

— Po prostu tego nie wiem, heroldzie. Musiałaby to być niezwykle potężna więź.

Odpowiedź, o którą się modlił, nadeszła pod postacią niemal niedostłyszalnego szeptu.

— Ja ją kocham. Czy to wystarczy?

Devan omal nie zaczął wiwatować z radości. Skoro Dirk przyznał się do miłości do Talii, plan mógł się udać.

— W takim razie rób, co w twojej mocy. Będę tuż za drzwiami, na wypadek gdybyś mnie potrzebował.

Dirk usiadł ciężko na krześle obok łóżka i ujął w swą dłoń owiniętą bandażami, bezwładną rękę Talii. Wydawało mu się, że jest zupełnie bezradny, osamotniony. . . O bogowie, jak należy odwoływać się do uczuć? Będzie musiał otworzyć zamknięte od wielu lat — wydawać by się mogło, na zawsze — serce.

Skoro jednak zmusiła go, by wyznał swą miłość, widać jego serce było nie dość szczelnie zamknięte i nadszedł czas, by sobie szczerze powiedzieć: wóz albo przewóz. Przecież pragnął ocalić ją za wszelką cenę. Czy zatem dalsze otworenie własnego serca miałoby okazać się większym poświęceniem? Co warte jest życie, którego nie będzie mógł z nią dzielić!

Tylko gdzie on ją odnajdzie?

Nagle usiadł wyprężony jak struna. Sam w żaden sposób nie może określić miejsca, skąd mógłby wywołać Talię, ale Rolan musi to wiedzieć!

Dirk uspokoił umysł i sięgnął myślą po Ahrodie. Łagodnie rozgościła się w jego zmysłach, niemal w tej samej chwili, w której ją wezwał.

Mój Wybrany?

Potrzebna mi jest pomoc twoja i Rolana.

Zatem ujrzałeś i wiesz? Myślisz, że pomożemy ci wezwać ją? Rolan próbował to zrobić, jednak zdany tylko na siebie, nie mógł jej dosięgnąć. O Wybrany, mój bracie, miałam nadzieję, że zrozumiesz to i podejmiesz tę próbę!

Wtedy w jego myśli rozległ się inny głos.

Dirku-heroldzie, ona uciekła Gdzie Indziej. Czy to widzisz?

Zdumiewające, lecz gdy strumień myśli Rolana dotarł do jego mózgu, miał wrażenie, że nagle otworzyły mu się oczy ujrzał przed sobą ciemność, na końcu której coś migotało słabiutko.

Wezwij ją. My wspomozemy cię naszą siłą, będziemy twoją opoką. Będziesz mógł iść tam, gdzie my nie możemy się udać.

Głęboko odetchnął, przymknął oczy i wprowadził się w najgłębszy trans, jaki kiedykolwiek udało mu się osiągnąć — wołał swym sercem, starał się zamienić swą miłość w zew, chcąc, by uczucie rozbłysło jak latarnia wskazująca drogę w mroku. I czuł, że gdzieś za sobą ma oparcie w podwójnej opoce — Rolanie i Ahrodie — która jest pomostem do rzeczywistego świata.

Tego, jak długo nawoływał Talię, w żaden sposób nie mógłby określić. Nurzał

się w wirach, gdzie nie istniał czas. Stojąca na stole świeca stopiła się znacznie, kiedy poczuł, że ręka, którą trzyma w swej dłoni, drgnęła leciutko. Wyrwany z transu, przestraszony otworzył szeroko oczy.

Ujrzał, jak na twarz Talii powraca rumieniec. Poruszyła się nieznacznie, skrzywiła, wydała cichy jęk sprzeciwu i wolną ręką sięgnąwszy do skroni, otworzyła oczy. Skupiła na nim wzrok i rozpoznała go.

— Ty... mnie wołałeś — rozległ się cichutki szept.

Kiwnął głową. Słowa nie chciały przejść mu przez gardło, dławione uczuciem radości i zwątpienia.

— Gdzie... ja jestem? W domu? Ale jak... — Nagle spojrzała przytomniej, a Dirk ujrzał w jej oczach niepokój i strach, ogromny strach. — Orthallen... o, Jasna Pani... Orthallen!

Zaczęła walczyć ze słabością swego ciała. Starła się podnieść, jęcząc mimowolnie z bólu, lecz pchana jakąś silną, tylko sobie wiadomą potrzebą całkiem zapomniała o swym cierpieniu.

— Devanie! — Dirk zrozumiał, że Talia pragnie podzielić się jakąś tajemnicą. Wiedział, że lepiej nie próbować jej uspokajać, skoro jest to dla niej aż tak ważne. Strach, w połączeniu z wymienionym nazwiskiem, mógł być zapowiedzią ogromnych kłopotów, o czym wiedziała jedynie Talia. A więc zamiast powstrzymywać, Dirk wsparł ją swym ramieniem i wołał o pomoc. — Devanie!

Słyszając wezwanie Dirka, Devan rzucił się do drzwi w takim pośpiechu, że ich o mało nie wyważył. Kiedy wpatrywał się jak ogłupiały w Talię, ona domagała się podania nazwisk osób pozostających u władzy. Uzdrowiciel zrozumiał, że chora puści mimo uszu wszystko, póki jej ciekawość nie zostanie zaspokojona, i wyrecytował krótką listę nazwisk.

— Chcę... Elspeth — powiedziała, ciężko dysząc. — Kyrila, seneszala... i Albericha. Natychmiast, Devanie. — I nie można jej było tego wyperswadować.

Dirk został w izdebce, żalując szczerze, że nie jest w stanie przejąć dręczącego Talię bólu, który znaczył jej zbielełą twarz.

Jeden za drugim, biegiem przybywali do niej ci, po których posłała. Sądząc po rozpaczach, jaka malowała się na ich twarzach, spodziewali się zastać Talię, jeśli nie umarłą, to co najmniej na progu śmierci. Radość z powodu tego, że odzyskała przytomność, szybko zamieniła się w przygnębienie, gdy usłyszeli to, co miała im do powiedzenia.

— Zatem od samego początku to był Orthallen? — Pytanie Albericha było w zasadzie retoryczne. On sam wcale nie wyglądał na zaskoczonego. — Wiele

bym dał, by się dowiedzieć, w jaki sposób zdołał ukryć swe myśli, ale to nie takie pilne.

Jednak Kyril i senezal byli przytłoczeni tą wieścią.

— Lord Orthallen! — mamrotał senezal. — Ktokolwiek inny, być może. Zdrada zawsze jest możliwa pośród wysoko urodzonych, ale nie Orthallen! Dlaczego, przecież on dłużej zasiada w radzie niż ja! Elspeth, możesz w to uwierzyć?

— Ja... nie jestem pewna — szepnęła Elspeth, spoglądając najpierw na Albericha, a potem na Dirka.

— Można... bardzo łatwo... sprawdzić moje słowa. — Talia leżała spokojnie, by oszczędzać siły. Miała oczy przymknięte i mówiła z wysiłkiem, jednak nie ulegało wątpliwości, że wie doskonale, co się wokół niej dzieje. — Orthallen... z pewnością wie... gdzie byłam. Wezwijcie go tutaj... jednak niech się nie dowie... że wydobrzałam na tyle, by mówić. Devanie... ty uśmierzysz wszelki... ból. A potem... podeprzyjcie mnie... Muszę... wyglądać na zupełnie zdrową. Jego zachowanie... kiedy zobaczy mnie z Elspeth... powinno zdradzić nam... wszystko, co chcemy wiedzieć.

— Mowy nie ma, bym zgodził się na coś takiego! — denerwował się Devan. — Nie możesz się ruszyć nawet o cal, a co dopiero...

— Zrobisz to, co mówię. Musisz. — Głos Talii był bezbarwny, wyraźny, pozbawiony najmniejszej nutki gniewu, ale zabrzmiał rozkazująco i Devan ugiął się pod nim oraz pod jej wzrokiem, kiedy uniósłszy powieki, spojrzała mu prosto w oczy.

— Stary przyjacielu, tak musi być — dodała miękko. — Gra idzie o znacznie wyższą stawkę niż moje zdrowie.

— To może cię zabić, wiesz o tym — powiedział z wyraźną goryczą w głosie, przykładając dłoń do jej czoła, by uśmierzyć ból. — Zmuszasz mnie, bym złamał wszelkie przysięgi uzdrawiania, jakie złożyłem.

— Nie... — Dirk zupełnie nie mógł się domyślić, co Talia miała na myśli. — Nie byle kto... powiedział mi... że nie nadszedł jeszcze czas na mnie.

Talia spokojnie wysłuchiwała sprzeciwów reszty zebranych i... uparła się, że Orthallena podejmie tylko ona i Elspeth.

Devan uśmierzył jej ból i mogła normalnie mówić, choć raczej cicho.

— To musi być zrobione w ten sposób — nie ustępowała. — Jeśliby was zobaczył, mógłby zapanować nad sobą. W najlepszym przypadku, miałby się w waszej obecności na baczności. Kiedy będziemy tutaj same, myślę, że jego zachowanie będzie szczere. Nie sądzę, by krył się z czymś przed kimś, kogo, według niego, nie musi się obawiać, bo nie dorównuje mu ani fizycznie, ani umysłem.

Uległa im o tyle, że przystała, by skryli się w sąsiedniej izbie, uchylając nieznacznie drzwi. Kiedy wszyscy znaleźli się na swoich miejscach, posłano po Orthallena.

Wydawało się, że upłynęły wieki, zanim doszedł ich odgłos kroków — stawianych z rozmysłem i powoli. Towarzyszył im szybki tupot nóg pazia.

Do izby wszedł Orthallen i nim zamknęły się drzwi za jego plecami, rzucał przez ramię podziękowanie paziowi. Odwróciwszy się, stanął przed obliczem dwóch oczekujących go kobiet.

Talia przygotowała scenę niezwykle starannie. Spoczywała podparta poduchami jak ogromna lalka, lecz wydawało się, że siedzi zupełnie normalnie. Była śmiertelnie blada, jednak nikłe światło rzucane przez pojedynczą świecę maskowało to przed postronnym wzrokiem. Po prawej stronie Talii stała Elspeth. W całej izbie panował głęboki mrok, z którego wynurzały się jedynie ich twarze i nie widać było szczeliny uchylonych za ich plecami drzwi.

— Elspeth! — Orthallen zaczął mówić niemal już w progu. — To jest bardzo osobliwe miejsce na spotkanie. . .

Wtem ujrzał, kto jeszcze oprócz następczyni tronu znajduje się w izbie. W mgnieniu oka krew odpłynęła mu z policzków. Zbladł łaskawy uśmiech, który rozjaśniał jego oblicze. Zaczęły mu się trząść ręce, skóra nabrała szarego odcienia. Omiótł spojrzeniem izbę, badając, czy nikt nie kryje się w cieniu za ich plecami.

— Spotkałam Ancara, mój panie, i widziałam się z Hulda. . . — zaczęła Talia.

Raptem stateczny, zrównoważony lord Orthallen, który zawsze przedkładał słowa nad wszelki inny oręż, uczynił coś, o co żadne z nich nigdy by go nie podejrzewało.

Ogarnęło go dzikie szaleństwo.

Wyszarpnął ozdobny sztylet z pochwy u pasa i skoczył w kierunku Talii i Elspeth, rzucając wściekłe spojrzenie, z ustami wykrzywionymi w szpetnym grymasie strachu.

Dla heroldów ukrytych za drzwiami drugiej izby czas nagle stanął w miejscu, brodzili w nim, wiedząc, że choćby nawet udało im się dopaść kobiet, za późno już będzie na jakikolwiek ratunek.

Jednak zanim ktokolwiek zdobył się na jakiś odruch, zanim Orthallen zdołał postąpić krok, prawa ręka Elspeth odskoczyła w bok, a później wykonała zamach do przodu.

Orthallen zamarł w pół drogi i runął na łożo Talii z osobliwym charkotem, a potem ześliznął się na podłogę.

Czas znów podjął swój nieprzerwany bieg.

Zanim czterech mężczyzn stanęło u jej boku, zbieła na twarzy, roztrzęsiona Elspeth wyciągnęła nogę i przewróciła trupa na plecy. W piersi Orthallena, w niepewnym świetle rzucanym przez płomyk samotnej świecy migotał wbity sztylet. Krew z rany barwiła na czarno szatę z błękitnego aksamitu. Jakaś część mózgu Dirka obojętnie podziwiała sztukę, z jakim sztylet wbito prosto w sercu.

— Korzystając z uprawnień następczyni tronu — odezwała się drżącym, na granicy załamania, głosem Elspeth — skazałam tego człowieka za zdradę stanu

i własnoręcznie dokonałam egzekucji.

Uchwyciła się brzegu łoża, by utrzymać się na roztrzęsionych nogach. Talia położyła swą owiniętą bandażami dłoń na ramieniu Elspeth, pragnąc ją pocieszyć i dodać jej otuchy.

Wydawało się, że oczy Elspeth wyskoczą z orbit i pękną pod wpływem przeżytego wstrząsu. Kiedy Devan z rozmachem otworzył drzwi, spojrzała na niego błagalnie.

— A teraz — powiedziała z wysiłkiem — pozwólcie mi się rozchorować. Proszę!

Uzdrowicielowi starczyło przytomności umysłu, by złapać za misę, zanim zbuntował się żołądek Elspeth. Torsje wstrząsały nią dopóty, dopóki cokolwiek w nim jeszcze było, a potem następczyni tronu rozplynęła się w rozpaczliwych łzach. Devan zaopiekował się nią szybko, odprowadzając tam, gdzie mogła się obmyć i w spokoju dać upust gnębiącym ją uczuciom.

Ciało szybko i sprawnie uprzątnęli Kyril z Alberichem. Ich śladem oddalił się wstrząśnięty i oszołomiony seneszal. Z Talią został jedynie Dirk.

Zanim zdążył cokolwiek zrobić, albo powiedzieć choć słowo, wrócił Devan. Uzdrowiciel, usunawszy poduchy, którymi była podparta Talia, mógł ją wreszcie ku swemu zadowoleniu właściwie ułożyć. Przyłożył na krótko dłoń do jej czoła i odwrócił się do Dirka.

— Proszę cię, zostań z nią. Aby nie wyrządzić jej krzywdy, usunąłem nieco blokady uśmierzające ból. Ostatnie przeżycia nie należałyby do najłatwiejszych, nawet gdyby była zdrowa. Biorąc pod uwagę jej stan, nie mogę przewidzieć, co nastąpi. Możliwe, że nic jej nie będzie, nie wygląda gorzej niż przedtem. Gdybyś dostrzegł oznaki wstrząsu czy nawrót śpiączki, albo jeśli odniesiesz wrażenie, że dzieje się z nią cokolwiek złego, wzywaj mnie. Ja muszę teraz uspokoić Elspeth. Będę niedaleko, w zasięgu głosu.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko kiwnąć głową.

Kiedy Devan wyszedł, Dirk spojrział zachłannie na Talię. Chciał jej tyle powiedzieć, jednak nie miał zielonego pojęcia, jak to zrobić.

Teraz, gdy minęło całe to zamieszanie, wydawała się zagubiona, oszołomiona, otepiała z bólu. Widział, jak z wysiłkiem stara się logicznie myśleć.

W końcu zwróciła na niego uwagę.

— Och, bogowie, Dirk... Kris nie żyje. Zabili go... Nie miał żadnych szans. Nie mogłam mu pomóc, nie mogłam go ocalić. To wszystko przeze mnie... Gdybym kazała mu zawrócić, gdyśmy tylko dowiedzieli się, że tam dzieje się coś złego, żyłby.

Zaczęła płakać bezgłośnie. Łzy powoli ciekły jej po policzkach. Nie miała sił nawet szlochać. Poczul się jak uderzony obuchem...

— O bogini... — wykrztusił. — Kris... och, Kris...

Ukląkł blisko niej, ale jej nie dotknął. Jego ramionami wstrząsnął płacz. I razem pogrążyli się w żałobie.

Dirk nie wiedział, jak długo trwali w tej cichej rozpacz. Rozbolało go gardło i piekło w oczach. Jednak siły człowieka nie są niewyczerpane i w końcu opanował się. Ostrożnie otarł Talii łzy i usiadł obok niej.

— Wiedziałem, jaki spotkał go los — odezwał się wreszcie. — Rolan przedał się do nas z wiadomością.

— Jak... jak ja się tutaj dostałam?

— Sprowadziłem cię... — Szukał właściwych słów. — To znaczy musiałem to zrobić. Nie mogłem cię tam zostawić! Nie wiedziałem, czy to mi się uda, ale musiałem spróbować! Elspeth, Towarzysze, wszyscy razem ściągnęliśmy cię tutaj.

— Ty to zrobiłeś? To... nigdy nie słyszałam o czymś takim... to jak... jak z opowieści. Jednak zagubiłam się w mroku. — Wydawało się, że bliska jest nerwowego załamania, albo popada w jakiś trans. — Zobaczyłam Niebiosa, naprawdę je widziałam. Jednak nie pozwolono mi tam iść, odesłano mnie z powrotem.

— Kto? Kto cię odesłał?

— Miłość i obowiązek... — wyszeptała jakby do siebie.

— Co? — Dirk nic z tego nie zrozumiał.

— Kris powiedział... — Jej głos stał się niemal niesłyszalny.

Przedtem się tego obawiał, teraz miał pewność. Talia kochała Krisa. Zwiesił głowę, nie chcąc widzieć rozpacz na jej twarzy.

— Dirku... — Głos Talii brzmiał mocniej. — Ty mnie wezwałeś. Ocaliłeś mnie przed Ancarem, a potem wydobyłeś z mroku. Dlaczego?

Znienawidzi go za to, jednak zasłużyła, by usłyszeć prawdę. Może kiedyś mu przebaczy.

— Musiałem. Kocham cię — powiedział bezradnie. Wstał, zbierając się do wyjścia, czując pod powiekami piekące łzy, których nie miał odwagi uронić. Rzucił jej pożegnalne spojrzenie.

Talia wreszcie doczekała się słów, których nie miała już nadziei usłyszeć, a potem ujrzała, że Dirk zamierza ją opuścić. Nagle fragmenty łamigłówek wskoczyły na swoje miejsce. Dirk przez cały czas myślał że ona i Kris są kochankami! To dlatego zachowywał się jak szalony; pragnął jej, a zarazem obawiał się iść z Krisem w zawody. Na Niebiosa, połowę swego czasu musiał spędzać na przeklinaniu samego siebie za gniew na najlepszego przyjaciela, który zamienił się w rywala. Nic dziwnego, że był w takim stanie.

Teraz zaś, gdy Kris odszedł, myślał, że ona nie chce mieć z nim nic wspólnego, bo będzie jej przypominał bez przerwy kochanka, zawsze od niego gorszy.

Przeklęte chłopy! Uparty jak osioł, rozsądne argumenty do niego nie przemawiają. Nigdy nie uwierzy w to, co ona mu powie. Miną miesiące, a może nawet lata, zanim uda się jej to mu wytłumaczyć.

Poczuła niesłychaną, nadnaturalną wręcz jasność myśli. Gorączkowo starała się znaleźć wyjście z tak kłopotliwej sytuacji.

„... jak mówcy na odległość — w pamięci Talii rozległy się wyraźnie słowa wypowiedziane przez Ylse. — Niemal zawsze najpierw uczą się słyszeć, a nie mówić. Teraz doskonale odbierasz uczucia. . . jednak spodziewam się, że pewnego dnia nauczysz się przekazywać swe uczucia w taki sposób że inni będą mogli je odczytywać, nauczysz się dzielić nimi. Taka sztuczka może okazać się bardzo przydatna, zwłaszcza że kiedyś możesz być zmuszona przekonać kogoś, że twe zamiary są szczerze”.

O tak, dotąd robiła to, właściwie o tym nie myśląc. Zniewalała swym umysłem mózgi, dzieliła tkliwe uczucia z Krisem i Rolanem. Łatwiejsze zadanie — dodawania otuchy, pewności siebie, przywracania zaufania, było oddalone zaledwie o krok. . .

Zebrała się w sobie, starając się zmobilizować całą wolę, by móc to wszystko okazać Dirkowi. Stwierdziła, że jest zbyt wyczerpana i osłabiona. Nie pozostało w niej nic. Omal nie wybuchnęła płaczem ze zdenerwowania. Nagle Rolan przypomniał jej o swoim istnieniu, wypełniając ją miłością. . . i czymś jeszcze. . .

Rolan nappełnił ją swą siłą, jak zawsze, szczerze i z całego serca.

Ona zaś już wiedziała, co i jak ma zrobić.

— Zaczekaj! — wykrztusiła do odwróconego do niej plecami Dirka. Przesłała swe uczucia w jego otwarty umysł i serce. Swą miłość, potrzebę bycia razem; zmusiła go do zrozumienia tego, w co za skarby świata nie uwierzyłyby, gdyby ujęto to w słowa.

Devan usłyszał dziwny, zduszony dźwięk, jakby odgłos szlochu wrywającego się z męskiego gardła. Obrócił się na pięcie i rzucił biegiem do izdebki Talii, obawiając się najgorszego.

Zatrzymał się na chwilę przed wejściem, spodziewając się ujrzeć najgorsze, i otworzył drzwi, niemal już ze słowami pociechy na ustach. Zdumiony stanął na progu jak wryty, Talia nie tylko wciąż jak najbardziej należała do świata żywych, ale siedziała z jasnym spojrzeniem, uśmiechnięta, ni to śmiejąc się, ni to płacząc. A Dirk, przysiadłszy na brzegu jej łoża, starał się ją przytulić i nie wyrządzić przy tym bólu. Całował każdy cal nie poranionego ciała, do którego mógł dotrzeć, rzeświście zalewając się łzami.

Oszołomiony Devan wyśliznął się z izdebki, zanim zdążyli go zauważyć, i we-

zwał pazia, który właśnie przechodził. Z roztargnieniem uświadomił sobie, że jego twarz często widuje w tej części korytarza, choć nie mógł dojść przyczyny, dlaczego to dziecko miałoby spędzać tutaj tyle czasu. Kiedy chłopiec rozpoznał wzywającego go uzdrowiciela i domyślił się, którymi drzwiami wyszedł, zbladł.

To niesłychane — kwaśno pomyślał Devan. — Czy jest ktoś, kto by się o nią śmiertelnie nie obawiał?

— Potrzebuję gońca, który zaniósłby królowej wiadomość, najlepiej kuriera-herolda, ponieważ tylko taki odszuka ją, nie strawiwszy godzin na poszukiwanie. A nowina należy do pilnych.

Paziowi zadrżały usta.

— Lady-herold? — powiedział niepewnym głosem. — Czy ona... umarła?

— Panie Światła, nie! — Devan przyłapał się na tym, że po raz pierwszy od wielu dni ma ochotę wybuchnąć grzmiącym śmiechem. Potrzęsął dzieckiem, uśmiechając się od ucha do ucha. — Prawdę powiedziawszy, szukając dla mnie posłańca, rozgłoś tę nowinę na cztery strony świata! Talia jest i pozostanie z nami. I, w samej rzeczy, wkrótce będzie cieszyć się dobrym... znakomitym zdrowiem!

JEDENASTY

Niczym niezmacona radość Dirka nie mogła trwać długo. Wkrótce przypomniały o sobie obowiązki, które były ważniejsze nawet od osobistego szczęścia. Jedyne Talia wiedziała, co wydarzyło się w stolicy Ancara i czego należy się spodziewać. Niebezpieczeństwo wisiało nad Valdemarem, a jedynie ona mogła powiedzieć, jak było wielkie. Gdy nieco otrzeźwieli, Dirk rzekł wolno:

— Orthallen nie był jedynym wrogiem.

Jej twarz nie mogła już być bielsza, jednak szerzej otworzyła oczy, w który okrągliły się ogromne źrenice.

— Nie... jak długo... byłam...

— Kiedy sprowadziliśmy ciebie? Pozwól, niech pomyślę...

— Zatopił się w myślach. Dwa dni leżał nieprzytomny, a potem przez sześć dni dręczył go ból głowy. — Dokładnie osiem dni. — Zastanowił się następnie nad tym, co od niej usłyszał.

— Jesteśmy w siedzibie lorda Faltherna, nad samą granicą.

— Selenay?

— Devan posłał już po nią. Dręczy cię ból...

— Nie ma wyboru, wiesz przecież. — Zdobyła się na blady uśmiech. — Ja...

To, co miała powiedzieć, całkiem wyleciało jej z głowy, bo w tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i wbiegła rozpromieniona Selenay.

— Sama widzisz, Wasza Wysokość. — Na jej pięty następował Alberich. — Usłyszałaś ode mnie szczerą prawdę. — Dirk ze zdumieniem stwierdził, że wyraz twarzy starego fehmistrza jest niemal wiernym odbiciem radości malującej się na obliczu królowej.

— Talio, Talio... — Tyle tylko zdołała wykrztusić z siebie Selenay i rozpląkała się ze szczęścia. Złapała chorą delikatnie za dłoń, którą Dirk łaskawie wypuścił ze swych rąk. U jej boku stanął Alberich, promieniejący tak, jakby to było jego dzieło. Dirk w całym swoim życiu nie widział, by fehmistrz uśmiechał się tak szeroko.

— Selenay...?

Niepokój w głosie Talii zwarzył ich radość i raptownie sprowadził na ziemię.

— Niebezpieczeństwo nie minęło?

Talia kiwnęła głową ociężale. Dirk ułożył ją tak, by jak najmniej doskwierał jej ból. Nagrodziła go spojrzeniem, od którego cały pokraśniał.

— Ancar posiada osobistą armię.

— I może nas zaatakować?

— Na pewno nas zaatakuje. Teraz nie ma innego wyjścia. Chce cię zabić, a potem osiąść Elspeth.

— O Panie Światła. . .

— Ostatnią rzeczą, jakiej się dowiedziałam, było to, że Ancar planował opanować granicę. On. . . musi. . . ciężko przeżywać moje zniknięcie. Nie mogę przewidzieć, co zrobi. . . jednak on musi zakładać. . . że zdążyłam o wszystkim powiedzieć.

— A więc grozi nam, kto wie czy nie większe niebezpieczeństwo niż dotąd. — Selenay wstała i zgrzytnęła zębami. — Przekona się, że będzie musiał walczyć.

— Magowie. Magowie są na jego usługach. Starożytna magia. Uniemożliwili mi myślwzwanie. Przez nich heroldowie nie dowiedzieli się o śmierci Krisa. Nie wiem, do czego są jeszcze zdolni. Wiem jedynie, że mogą nas obezwładnić. A Orthallen donosił im o wszystkim.

— Orthallen? — Gniew Selenay zmniejszył się nieco teraz wyglądała na zdumioną. — Orthallen. O Pani, pomóż wciąż nie mogę w to uwierzyć. Bogini, toż on był wujem Krisa!

— Był bardzo niezadowolony z tego, że wysłałaś go z poselstwem, Selenay — przypomniał Alberich. — Myślę, że teraz wiemy dlaczego. Jego żal, gdy dotarła do niego wieść był szczery.

— Jednak pogodził się z tym nieco zbyt łatwo. — Selenay zagryzła wargę. — Choć nigdy nie był skory do obnoszenia się z uczuciami.

— On zabił twego ojca — wyszeptęła Talia, znów zamykając oczy, mówienie ponownie wyczerpało jej nadwątlone siły. — Podczas zamieszania bitewnego nasłał zabójcę.

— On. . . — Selenay zrobiła się biała. — Nigdy bym się tego nie domyśliła. Ufałam mu!

Zamilkli. Zapadła cisza przed burzą.

— Dirku? — Talia na krótko uniosła powieki i natychmiast je opuściła, stwierdziwszy, że wszystko tańczy jej przed oczami.

Wystarczyło to przelotne spojrzenie rozbieganych oczu; pogłaskał ją po policzku i udał się osobiście na poszukiwanie Devana.

Powrócił, prowadząc za sobą nie tylko samotnego Devana, ale i trzech innych uzdrowicieli. Okazało się, że w izdebce panuje prawdziwy tłok. Ponownie znaleźli się w niej Kyril razem z Elspeth. Seneszał przyprowadził ze sobą lorda wojny. Wniesiono świece, zapalono je i ustawiono gdzie popadło. W izdebce było jasno

i ciepło, panował w niej lekki zaduch.

— Wzdragam się ciebie o to prosić, Devanie — odezwała się Selenay z wyrazem winy na twarzy. — Czy jednak nie moglibyście podtrzymać sił Talii tak długo, byśmy mogli się od niej dowiedzieć wszystkiego, co powinniśmy wiedzieć?

Dirk chciał się sprzeciwić, lecz nagle zrezygnował. Wiedział, jak sam postąpiłby na miejscu Talii: mówiłby o wszystkim do ostatniego tchu. Czy zatem Talię należało mierzyć inną miarką?

— Wasza Wysokość! — Zrezygnowany Devan pochylił głowę w ukłonie. — Powiem jedno: nie pochwalam tego i nie pozwolę, by umarła z wyczerpania.

— Jednak spełnij moją prośbę?

— I my, i Talia nie mamy wyboru. — Uzdrowiciele otoczyli chorą, położyli na niej swej dłonie i pogrążyli się w uzdrawiającym transie. Talia westchnęła, wyraz bólu zniknął z jej twarzy i otworzyła oczy. Ponownie zaczęła patrzeć jasno i uważnie.

— Pytajcie, szybko.

— Ancar... Czego możemy się po nim spodziewać? — pierwszy odezwał się lord wojny. — Jak liczna jest jego osobista armia? Jacy służą w niej ludzie?

— Hołota wypuszczona z lochów, jakieś trzy tysiące. Nie słyszałam, by byli wśród nich najemnicy. Jednak są wyszkoleni, doskonale wyszkoleni.

— A jego stała armia? Czy i jej użyje?

— Nie sądzę. Zamordował Alessandara. Myśl, że jeszcze nie zawładnął oficerami regularnej armii. Będzie musiał najpierw stłumić bunt w ich szeregach. Musi zastąpić ich wszystkich uległymi sobie ludźmi.

— Czy myślisz, że możemy spodziewać się dezertersów?

— Myślę, że tak. Gwardia graniczna jak jeden mąż może przejść na naszą stronę, gdy dowiedzą się prawdy. Przyjmijcie ich serdecznie, jednak rzućcie na nich zakłęcie prawdy.

— Gdzie skoszarowane były jego osobiste oddziały?

— Niedaleko stolicy.

— Czy wie o tym, że znasz ich dokładną liczebność?

— Nie. — Oczy Talii lśniły niemal nadnaturalnie. — Nie zadał mi ani jednego pytania, nigdy.

— Tym większym jest głupcem. Nieco zbyt pewnym siebie na dodatek. Co ty na to, Alberich? — Lord wojny zastanawiał się na głos, gładząc swą brodę, a jego czarne brwi zbiegły się w jedną linię. — Potrzebują dwanaście do czternastu dni, by tutaj stanąć. Kawaleria?

— Niezbyt liczna. Rekrutują się spośród więziennej szumowiny. Jednak przynajmniej od trzech lat szkoleni są, by działać razem. Oprócz tego Ancar ma jeszcze magów na swych usługach. Posługują się oni starożytną, prawdziwą magią, o której mówią opowieści. Jeśli domyśli się, że będzie miał do czynienia z heroldami, użyje magów.

— Czy są zręczni? — wtrącił się Kyril.

— Nie wiem. Jeden z nich przeszkodził mi w myślmowie, uniemożliwił przeniknięcie do myśli Ancara, obezwładnił mnie i nie dopuścił, by przesłania Krisa dotarły do was, nad granicę. Jednak nie był w stanie przeciąć więzów, które łączą nas z Rolanem. O bogowie, to ważne, oni mogą obezwładnić nasze zmysły, lecz nie potrafią czytać w naszych umysłach. Ancar się z tym wygadał, powiedział coś o przeklętych heroldach i naszych osłonach.

— Czy to oznacza, że nie mogą przy użyciu swej magii odkryć naszych planów, zwłaszcza gdy otoczymy osłonami nasze umysły? — zapytał Kyril, a w jego oczach zabłysła nadzieja.

— Tak myślę. Nawet nie zadali sobie trudu, by odczytać me myśli. Hulda także jest magiem i ona uczyła Ancara. Nie wiem, czy są zręczni; to nie jest magia myśli, nie wiem, na czym ona polega.

— Orthallen — wtrącił się seneszal. — Od jak dawna działał przeciw królowej?

— Od dziesięcioleci. Opłacił zabójców króla podczas bitwy.

— Kto mu pomagał?

— Wtedy nikt. Pragnął objąć tron, a wojny Tedrela dały mu po temu okazję.

— Kiedy się zmienił?

— Po spotkaniu z Huldą. Myślał, że to ona jest w jego ręku narzędziem.

— Toż to było wiele lat temu!

— Prawda. Przybyła, by wychować Elspeth na połowicę godną Ancara. Natkanęła się na Orthallena i zostali współnikami. Ostrzegł ją i zdążyła uciec. Później Ancar przyobiecał mu tron w zamian za wiadomości i pomoc.

— Magowie? — niepokoił się Kyril.

— Niewiele mogę powiedzieć. Mówiłam już, że moje zmysły były bezradne. Jeden z magów osłaniał Ancara. Hulda potrafiła sama się ochronić. Wyglądała tak, jakby miała dwadzieścia pięć lat. To mogło być złudzenie, jednak nie sądzę. Tymczasem to ona była prawdziwą opiekunką Ancara, a więc powinna mieć jakieś czterdzieści. Widziałam wyczarowane przez nią światełko... — Talia wysunęła obandażowaną rękę z dłoni Dirka i odsłoniła bark. Selenay i Elspeth wstrzymały oddech, a seneszal zmełł słowa, które cisnęły mu się na usta na widok tego, co tam zobaczył: wypalonego na jej piersi, jakby żelazem do piętnowania, odcisku dłoni. — Uczyniła to w trakcie ich „zabawy” ze mną. Ot, od niechcienia położyła mi na piersi swą dłoń; przyszło jej to tak łatwo jak oddech.

Po uzdrowicielach zaczynało być widać zmęczenie, a Talia, pomimo ich pomocy, zaczynała dobiegać kresu sił.

— Zmęczenie... — powiedziała, a w jej oczach pojawiła się prośba, by pozwolili jej wypocząć.

— Na razie wiemy dostatecznie dużo. — Selenay rozejrzała się po zebranych i wszyscy skinęli głowami na zgodę. — Możemy przygotować się jako tako do

obrony. Odpoczywaj, mój dzielny heroldzie.

Opuściła izbę, a za nią wyszli pozostali. Uzdrowiciele po kolei wychodzili z transu i kiedy ostatni przerwał więź z chorą, wydawało się, że z Talii nagle uszło życie. Devan złapał Dirka za ramię, nim ten zdążył się śmiertelnie wystraszyć.

— Będzie żyła, potrzebuje jedynie wypoczynku, musimy pozwolić jej wyzdrowieć — odparł znużony. — Jakem uzdrowiciel, teraz będzie miała szansę na jedno i drugie, nawet jeśli będę musiał postawić wartę u jej drzwi, by przepędzała intruzów!

Dirk kiwnął głową i powrócił do Talii. Z trudem uniosła powieki.

— Kocham... cię... — wyszeptała.

— Moja... — Na chwilę słowa uwięzły mu w gardle zdusił powracające łzy. — Opuścę cię na jakiś czas. Devan powiada, że musisz wypocząć. Jednak wróć, gdy tylko mi na to pozwoli!

— Oby to było szybko.

Dirk wyszedł, posuwając się tyłem. Patrzyła na niego, póki nie zamknęły się za nim drzwi.

Podejrzenia Albericha sprawdziły się. O brzasku na biwaku rozbitym opodal granicy oraz pośród mniejszej grupy członków rady i urzędników zebranych w nadgranicznej siedzibie wybuchł rwetes. Ciągłe nadciągały oddziały gwardii — przynębiająco nieliczne. Opowieści, bardziej lub mniej wykoślawione, dotyczące wydarzeń poprzedniej nocy rozprzestrzeniały się jak łatwo palna oliwa wylewająca się ze stłuczonej urny. Talia pogrążona w głębokim transie, w który wprowadzili ją uzdrowiciele, spała w błogiej nieświadomości panującego dookoła niej zamętu.

Z gwardzistami można się było uporać najłatwiej. Lord wojny zwołał oficerów na naradę i mając u swego boku Albericha, który czuwał nad wiernością relacji, szczegółowo im wszystko opowiedział. Większość oficerów gwardii nigdy nie była ściśle związana z Orthallenem, zatem, choć wstrząsnęła nimi jego zdrada, przyjęli słowa opowieści, nie doszukując się niczego między wierszami. Znacznie bardziej niepokoiła ich armia Ancara, bo ich był tysiąc zaledwie, a mieli stawić czoło jego trzem tysiącom. Wieści o magach zaś zbyli wzruszeniem ramion.

— Mój panie — odezwał się jeden z weteranów, który jeśli chodzi o blizny na twarzy, mógł iść w zawody z Alberichem. — Proszę o wybaczenie, wszak my nic przeciw magom nie zaradzimy. Trza zostawić tym, co się rozumieją na magii...

Spojrzał przelotnie na Albericha. Fehmistrz zachęcił go niedostrzegalnym skinieniem głowy.

— ... i tak z tym, co na nas ciągnie, będziem mieć pełne ręce roboty.

A Ancar ciągnął na nich ze swoją armią, czego i Alberich i lord wojny byli pewni. W orszaku Selenay znajdowało się dwóch heroldów zdolnych do daleko-

widzenia, którzy odwiedzali swego czasu Hardorn w niejednej misji. Na nalegania Albericha użyli swego talentu i w nocy sięgnęli poza granice. Ujrzeni armię Ancara, która najwyraźniej rozbijała obóz, by zatrzymać się na kilkugodzinny popas. Lecz, co było znacznie bardziej niepokojące, kiedy „spojrzeli” w to samo miejsce o świcie, ich „oczom” ukazała się jedynie opustoszała kraina.

— Zatem prowadzą ze sobą przynajmniej jednego maga — wydedukował z tego Kyril, podczas narady przywódców wojennych przy śniadaniu — który maskuje ich ruchy przed naszymi dalekowidzami.

Choć wiedza Kyrila i Albericha o magach ciągnących w orszaku Ancara była niewielka, ich głos w naradach wojennych liczył się tak, jak głos lorda wojny. Ich zadaniem było przewodzić w bitwie heroldom — czy to walczącym żelazem, czy to wykorzystującym dary. Do najważniejszych zadań heroldów należało utrzymanie łączności. Każdemu oficerowi gwardii miał zostać przydzielony myślomówca, a Kyril u boku Selenay miał być ogniwem łączącym ich w jedno. Dzięki takiej organizacji zwyciężyli w wojnach Tedrela, i żadna inna armia nie mogła im dorównać.

— To bez znaczenia — odparł lord wojny — przynajmniej w tej chwili. Wiemy, gdzie byli, dzięki temu znamy szybkość ich marszu, a zatem kiedy mniej więcej tutaj nadciągną. Wiemy także, że ci ich magowie nie mogą ich jakimś cudownym sposobem przemieścić, bo wtedy nie potrzebowaliby koni, które „ujrzeli” wasi heroldowie.

— Mój panie? — Przed uniesioną klapą namiotu stanął oficer i dziarsko zaskłutował. Był tak młody, że jego brodę ledwie co zaczął pokrywać zarost. Poranne słońce nadało jego jasnym włosom złocistą barwę. Z trudem starał się ukryć uśmiech. — Przybywają do nas wspomniani przez ciebie rekruci.

— Rekruci? — wyrwało się Kyrilowi, a Alberich tylko skinął głową.

Lord wojny prychnął, co mogłoby zostać poczytane za śmiech.

— Przekonajmy się, heroldzie. Przyślijcie ich tutaj, chłopcze. Siedzi tutaj dwóch, którzy mogą ich wybadać.

— Wszystkich, panie?

— A ilu ich jest? — Tym razem lord wojny był zaskoczony.

— Ponad setka, panie.

— O, Jasna Pani, tak jest, przysłać wszystkich. Jakoś przepuścimy ich przez sito.

Kiedy trzech wodzów opuściło namiot i stanęło w błyszczących promieniach słońca, opodal gościńca kupców wzbil się mały tuman kurzu. Kiedy zbliżyli się ci, którzy swymi stopami wzbili ową niewielką kurzawę, Kyril i Alberich dostrzegli, że pierwszy szereg maszerującego tłumu ubrany jest w czarno-złote mundury regularnej armii Alessandara.

Wydawało się, że strzegące granicy oddziały — począwszy od oficerów i uzdrowicieli, a na ich rodzinach skończywszy — zdezerterowały jak jeden mąż,

gdy dobiegła ich wieść o zamordowaniu starego króla.

To Elspeth dostąpiła zaszczytu obwieszczenia nowiny pozostałym członkom rady. Polityczni przywódcy Valdemaru nie przyjęli jej tak zgodnie, jak wojenni wodzowie.

Wstrząśniętemu lordowi Gartheserowi wściekłość odjęła mowę. Bard Hyron nie mógł otrząsnąć się z oszołomienia. Lady Kester i lady Cathan, wciąż dyszące ze złości z powodu oskarżeń Orthallena, że maczały palce w handlu niewolnikami, były zaskoczone, lecz niepomernie szczęśliwe. Ojciec Aldon wycofał się w zacisze malutkiej kaplicy; razem z nim z tego schronienia skorzystał lord Gildas. Uzdrowicielka Myrim jawnie okazywała zadowolenie ze śmierci Orthallena, jednak należało jej wybaczyć tak wielki brak miłosierdzia, gdyż należała do tych uzdrowicieli, którym przyszło opatrywać rany Talii.

Powiedziawszy całą prawdę prosto z mostu wszystkim członkom rady, Elspeth przystąpiła do udzielania wyjaśnień wszystkim po kolei i każdemu z osobna. Jednakże ograniczyła się zaledwie do prostej relacji o wydarzeniach i nie odpowiadała na pytania. Z pytaniami, powiedziała, należy poczekać do chwili, gdy Talia wyzdrowieje na tyle, by móc im powiedzieć więcej.

Tymczasem na długo przed tym nadciągnęła armia Ancara.

Nadzieja zaczęła wstępować w serce Albericha. Szeregi sił Valdemaru spęczniały dwukrotnie, wzmocnione dezertarami — poddanymi Alessandara — którzy uciekali przez granicę. Lord wojny niemalże tańczył z radości — z wyjątkiem członków rodzin, każdy szukający schronienia żołnierz był doskonale wyszkolonym wojownikiem, a kobieta uzdrowicielką. Wszystkich połączyło uczucie gniewu z powodu morderstwa popełnionego na ich ukochanym królu i nienawiść do jego zabójcy.

Prawda o wydarzeniach w stolicy zataczała coraz szersze kręgi po całym kraju, docierając dalej na zachód, a dowiadywano się jej z nieoczekiwanego źródła — od członków klanu kupców Evana.

Sam Evan wziął sobie najwyraźniej do serca to, co Talia mówiła o ucieczce, jednak zdobył się na znacznie więcej. Uchodząc, rozpuścił wieść pośród kupców swego klanu, którzy przekazali ją dalej. W okolicy stolicy zastraszeni i bojaźliwi ludzie byli zbyt przerażeni, by zdobyć się na ucieczkę. Im bliżej jednak granicy, tam gdzie Ancar nie zdążył sięgnąć swą ciężką ręką i gdzie służono Alessandaro wi z czystej sympatii, emocje osiągnęły takie natężenie, że gdy dwóch oficerów postanowiło uciec do Valdemaru, niemal wszyscy stacjonujący w tej okolicy żołnierze woleli pójść za nimi.

Nie dość, że Ancar czegoś takiego nie przewidział, to w ogóle nie mógł

o ucieczce swoich oddziałów nic wiedzieć, bo dezercerzy zostawili niewielkie grupki ochotników, którzy przez cały czas przekazywali z wież sygnałowych fałszywe wiadomości.

— Wtopią się w krajobraz wiosek, kiedy Ancar obok nich przejedzie — powiedział Alberichowi kapitan, który niegdyś gościł Krisa i Talię. — Mają cywilne ubrania na podorędziu. Jeśli zdołają, przedrą się do nas, choć wszyscy ochotnicy mają rodziny, których raczej nie zostawią na pastwę losu.

— To zrozumiałe — odparł Alberich. — Jeśli wyjdziemy z tej bitwy zwycięsko, rozstawimy przy każdym przejściu czujki, by ich kierowali do nas. A jeśli nie...

— Wtedy nie będzie to miało żadnego znaczenia, bo wpadniemy wszyscy w łapy Ancara — ponuro dopowiedział kapitan.

Lord wojny, widząc swe siły podwojone, wcale nie obawiał się o wynik starcia.

— Randonie — powiedziała zaniepokojona Selenay, gdy wszyscy oczekiwali na jakąś oznakę, że Ancar zajął pozycję dogodną do natarcia — wiem, że w twojej pracy trzeba być pewnym siebie, jednak Ancar i tak ma nad nami przewagę liczebną jak trzy do dwóch.

Stali, jak co dnia od chwili postawienia w stan alarmu całej granicy, na najwyższym wzniesieniu w tej okolicy. Magowie Ancara potrafili ukryć jego ruchy przed dalekowidzami, lecz znacznie trudniej było stłumić obłok pyłu wzbijany przez ciągnące wojska, uspokoić spłoszone ptactwo i usunąć wszelkie inne oznaki przemarszu. Z pagórka, na którym stali, można było sięgnąć prosto jak okiem strzelił na wiele mil w głąb Hardornu. Ustawiono tu wyszkolonych obserwatorów, ale i tak Selenay i lord wojny, jeśli nie wzywały ich pilniejsze obowiązki, spędzali większość wolnego czasu, mrużąc powieki w jaskrawych promieniach słońca.

— Moja pani, mamy dla niego w zanadrzu niespodziankę: tysiąc wyszkolonych wojowników, o których on nic a nic nie wie. Możemy wybrać pole bitwy, no i mamy przecież heroldów, a zatem rozkazy czy wieści nie zostaną przekrecone, ani komendy wydane za późno. Obawiam się jedynie jego magów. — W głosie lorda wojny nie było ani cienia zwątpienia i jego oczy patrzyły hardo. — Nie ma sposobu przekonać się, co potrafią, ilu ich jest, ani czy zdołamy ich unieszkodliwić. Oni mogą przeważać szalę zwycięstwa na jego stronę.

— A dary heroldów w większości przypadków są bezużyteczne w natarciu — dodała Selenay, którą zasmuciła trzeźwa uwaga o magach. — O, gdyby dziś żył choć jeden mag-herold!

— Królowo, czy mogę?

Selenay odwróciła się na pięcie, przestraszona. Kiedy wraz z Randonem całą uwagę poświęcała obserwowaniu granicy i rozmowie, za ich plecami na szczyt

wzgórza wspięło się dwóch heroldów. Jednym z nich był Dirk. Choć twarz miał pobladała, tak dobrze nie wyglądał od wielu dni.

Drugim był Gryffon. Jego mundur, pokryty grubą warstwą kurzu, zrobił się całkiem szary. Pomimo znużenia, które wyostrzyło mu rysy, herold uśmiechał się zawadiacko, pewny siebie.

— Przywiodłem go tutaj natychmiast po zsadzeniu go z siodła, Wasza Wysokość — odezwał się Dirk. — Możliwe, że ten oto gbur będzie naszą odpowiedzią na magów. Czy przypominasz sobie, jaki jest jego dar? On wznieca płomienie, Wasza Wysokość.

— Wystarczy mi pokazać, co trzeba puścić z dymem, albo kogo — dorzucił Gryffon. — A przysięgam, już go nie będzie. Kyrilowi nie udało się znaleźć nic, co mogłoby mnie powstrzymać.

— To nie są czcze przechwałki, Wasza Wysokość. Ja go wszystkiego nauczyłem i wiem, na co go stać. Działa w zasięgu ograniczonym do pola widzenia, ale to powinno wystarczyć.

— Ależ, ty przecież objeżdżałeś obwody na Północy — dziwiła się Selenay, oszołomiona szczęśliwym zrzędzeniem losu, który sprowadził Gryffona tam, gdzie był najbardziej potrzebny. — Jak dowiedziałeś się, że wisi nad nami niebezpieczeństwo, nie mówiąc już o dotarciu na czas?

— Czysty, ślepy łut szczęścia herolda — odparł Gryffon. — Natknąłem się na kurierkę herolda akurat o darze wróżenia. Kiedy wieści, które ze sobą wiozła, trafiły do adresata, spędziliśmy... spędziliśmy razem wieczór. W nocy doznała niesłychanie wyrazistego widzenia, przez co ja wyskoczyłem z łoża jak oparzony. O mały włos, a w siodle znalazłbym się na golasa. Ona przejęła ode mnie patrolowanie obwodu, a ja pogalopowałem tak szybko, jak tylko Harevis mógł mnie unieść do granicy. Oto jestem. Mam nadzieję, że będziecie ze mnie mieli pożytek.

W zachodzącym słońcu obłoki zmieniły kolor i stały się krwistoczerwone. Wtedy to obserwatorzy donieśli o pojawieniu się długo oczekiwanych oznak, że Ancar nadciąga. Selenay, wydając pierwsze rozkazy przed zbliżającą się bitwą, modliła się, by tak czerwony zachód nie okazał się zwiastunem złego losu jej wojsk.

Lord wojny wybrał na pole bitewne niskie i płaskie wzgórze tuż nad granicą, jednak jeszcze na ziemi Valdemaru. Od tyłu i z lewej strony teren otaczał las, a na prawo otwierała się wolna przestrzeń. Ancar nie mógł wiedzieć, że pod tylne zbocze wzgórza podeszła woda, która przerwała ziemną tamę podczas wiosennych powodzi. Zadaniem wyruszających w tę część lasu zwiadowców i harcowników było uniemożliwienie mu odkrycia, iż wszędzie tam rozciąga się błotnisty, grząski grunt, zalany wodą głęboką na dwie do trzech stóp. Oprócz nich w lesie, na lewo od wybranego pola bitwy, ukryło się około tysiąca wojowników, uciekinie-

rów z Hardornu. W oddziałach liczących mniej więcej stu żołnierzy — w każdym z nich był herold wprawnie posługujący się myślumą — zajmowali pozycję między drzewami, by czekać w miejscach, dokąd nie miał dotrzeć żaden ze zwiadowców Ancara.

Teren klepnął dłonią, zabijając kolejnego komara, i powściągnął irytację. Grunt w tym miejscu wznosił się nieco, więc nie tonęli po pas w błocie, jednak dla zjadliwych owadów stanowili gratkę nie lada — nie dość, że dookoła rozciągały się prawdziwe połacie bagien, to jeszcze nieoczekiwanie miały ludzi na przystawkę! Zapadły ciemności, powietrze przesiąknęło wilgocią, a chłód przenikał do szpiku kości. Wythra również nie była tym wszystkim zachwycona. Słyszał, jak prycha niecierpliwie u jego prawego boku.

Siostro? — przesłał myśl wezwanie. — *Zajęliśmy nasze pozycje, a co u ciebie?*

To samo — odebrał odpowiedź Keren. W jej głosie zabrzmiała nutka rezygnacji. — *Jesteśmy od stop do głów oblepieni tymi przekłętymi muszkami.*

— Tutaj są komary.

Wznoście modły dziękczynne — nadbiegła odpowiedź. — *Muszki włożą pod zbroję. A próbując się ich pozbyć, można się nabawić siniaków.*

One są wszędzie — wtrącił rozdrażniony ogier Keren, Dantris. W przeciwieństwie do większości heroldów, bliźniacy mogli myślrozprawiać ze sobą i z każdym ze swych Towarzyszy z osobna. — *Nawet olejek żółciowy nic nie pomaga* — dokończył z irytacją.

Wydaje się, że przyroda zada wam cięższe straty od nieprzyjaciela. — Teren uśmiechnął się do siebie pod wąsem, pomimo niewygodnego położenia.

Miejmy nadzieję — poważnie odpowiedziała mu jego siostra bliźniaczka.

— Bądź moimi uszami i oczami, kochany. — Talia prosiła Dirka. — Ja im będę potrzebna. . .

— Ale. . . — zaprotestował.

— Zabierz Rolana. Wiesz przecież, że wasze zmysły mogą się połączyć, i kiedy będziecie mnie potrzebować. . .

— Dlaczego nie *jeśli*? — Westchnął z rezygnacją. — Nie, nie zwracaj na to uwagi. Ja odwołam się do Rolana, a on prześle to tobie? O bogowie, czy nie mogłabyś odrobinę odpocząć?

— A śmiem?

Nie znalazł żadnej odpowiedzi.

Dirk czekał na wschód słońca, w linii znajdującej się za plecami Selenay. Modlił się, by Talia nie zamęczyła się na śmierć, nie chciał utracić jej teraz, ledwie

po tym, jak udało mu się ją odnaleźć...

Brzask zastał wojska Selenay sformowane na szczycie wzgórza. Na samym końcu lewego skrzydła, na skraju lasu, skupiła się chmara heroldów w Bieli. Pośród nich znajdowała się Jeri, ubrana w szary uniform Elspeth. Wszyscy mieli nadzieję, że Ancar pomyli ją z następczynią tronu i skieruje swe siły zwłaszcza na to skrzydło frontu. Tymczasem Elspeth przebywała w oddanej im przez lorda siedzibie, gotowa do ucieczki w każdej chwili, gdyby szczęście odwróciło się do nich plecami. Niechętnie pogodziła się ze swoją rolą, nie mogąc jednak zaprzeczyć, że jest to postępowanie rozsądne. Chciała przy tym mieć pewność, że w razie porażki osobisty herold królowej nie zostanie rzucony na pastwę losu. Podczas jednego z przelotnych okresów przytomności, Talia ze śmiertelną powagą poprosiła Elspeth, by osobiście uchroniła ją przed ponownym dostaniem się w łapy Ancara. Następczyni tronu równie śmiertelnie poważnym tonem przyobiecała jej to. Spryt podszeptał jej, co Talia miała na myśli, tak czy siak jednak postanowiła zabrać ją ze sobą, nawet gdyby musiała nieść ją na własnym grzbiecie.

W bladym świetle poranka tysiąc wojowników Selenay prezentowało się bardzo nędznie na tle trzech tysięcy Ancara.

Napastnicy byli nieco ciężiej uzbrojeni od gwardzistów i z tego, jak wykonywali rozkazy swych oficerów, widać było, że są dobrze wyszkoleni. Około pięciuset z owych trzech tysięcy pozostawało w siodle, na szczęście była to lekka konnica, a nie ciężka kawaleria. Szczęśliwym trafem ich strzelcy wyposażeni byli w kusze — nie tak dalekosiężne jak haki, i w bitwie na otwartym polu właściwie bezużyteczne po pierwszej salwie.

Armia Selenay czekała cierpliwie na atak Ancara.

— Jest dobrym dowódcą, muszę mu to przyznać — burknął lord wojny, kiedy przez jedną markę na świecy nic się nie wydarzyło. — Ocenia swoją pozycję. O, mam nielichą nadzieję, że wyglądamy na głupców! Czekażcie no, coś zaczyna się dziać...

Z szeregu wyłonił się jeździec z białą flagą parlamentariusza. Dotarł dokładnie do środka niczyjego pola i tam się zatrzymał.

Lord wojny wysunął się o trzy kroki do przodu, z brzękiem swego bojowego rzędu i ryknął gromkim głosem:

— Gadaj człowieku! Czy jesteś tam po to, by pyszczyć się własnym wyglądem?

Wymuskany jeździec w bogato zdobionej zbroi płytowej, w hełmie z cudzoziemskim grzebieniem na głowie zaczerwienił się gniewnie i przemówił:

— Królowo Selenay, twoi posłowie zamordowali króla Alessandara, oczywiście na twój rozkaz. Król Ancar w odpowiedzi na tak obrzydliwy czyn wypowie-

dział Valdemarowi wojnę. Twe siły ustępują nam liczebnie, czy poddasz się zatem sprawiedliwości Ancara?

Gniewny pomruk przebiegł wzdłuż linii. Twarz Selenay wykrzywił grymas.

— Zachodziłam w głowę, jakąż on bajkę wymyśli — mruknęła do Kyrila, a potem krzyknęła w kierunku posła: — A jakiejż sprawiedliwości mogę się spodziewać ze strony Ancara?

— Musisz abdykować i oddać swą córkę Elspeth Ancarowi za żonę. Heroldowie Valdemaru muszą zostać rozwiązani i wyjęci spod prawa. Ancar będzie władał Valdemarem wspólnie z Elspeth, ty zostaniesz uwięziona w miejscu wybranym przez Ancara i pozostaniesz tam do końca życia.

— Które nie będzie warte funta kłaków od chwili, w której wpadnę w łapy Ancara. — Selenay powiedziała to głosem tak donośnym, by dotarł on aż do uszu posła. Nagle podniosła się w strzemionach, odsoniła głowę — słońce odbiło się od jej złotych włosów — i zakrzyknęła: — Co na to wy, moi poddani? Powinnam się poddać?

Gromkie „nie!”, wzbilo się nad szczytem pagórka i spłoszyło rumaka, którego dosiadał poseł.

— Słuchajże ty mnie teraz. . . — odparła królowa głosem czystym i tak donośnym, że nie było wątpliwości, iż każdy z wojów Ancara mógł słyszeć jej słowa. — Ancar zamordował własnego ojca i mego posła. Zadaje się z wysłannikami zła, magami, splamił się składaniem krwawych ofiar. Prędzej własnoręcznie przyłożyłabym ostrze miecza do gardła swej córki, niż dopuściła, by choć na chwilę znalazła się w takim towarzystwie! Oby strzegł się przed zemstą bogów za swe fałszywe oskarżenia! Pierwej każdy mieszkaniec złoży życie w obronie Valdemaru, niż on nim zawładnie!

Parlamentariusz zawrócił swojego wierzchowca i powrócił między swoich. Wiwaty, które zerwały się po słowach Selenay, zdawały się pchać go przed siebie jak liść porwany przez wiatr.

— Ha, teraz się zacznie — rzuciła Selenay do swoich dowódców, poprawiając miecz wiszący u jej boku. Ponownie osadziła na głowie hełm i poklepała kark swego Towarzysza. — Teraz zobaczymy, czy powiedzie się to, co zaplanowaliśmy; pomimo niekorzystnego zakładu trzy do dwóch.

— Oraz — dodał Kyril — czy wzniecacz płomieni dorównuje magom Ancara.

— Na co oni czekają? — niecierpliwił się Gryffon. Widać było, że głowi się nad tą zagadką. — Dlaczego nie nacierają?

Stał daleko za pierwszą i drugą linią, pomiędzy łucznikami. Jego dar był zbyt cenny, by można go było wystawiać na niebezpieczeństwo bliżej frontu. Złościł się na przymusową bezczynność.

Nie upłynęło dużo czasu, a ujrzeli, że nad polem, które rozdzielało oba wojska,

zaczyna zbierać się mgła. Opar miał niezdrowy, żółtawy kolor i nie rozwiewał go omiatający ziemię rzeński wiatr. Raptem wydało się, że mgła zgęstniała, zastygła, a potem zaczęła spazmatycznie pulsować, jarząc się dookoła niesamowitym zielonym światłem. Wietrzyk przyniósł ze sobą smród siarki. Wszyscy odnieśli wrażenie, że ziemia niczyja rozstała się na moment. Żołądek skoczył Gryffonowi do gardła. W miejscu, które dotąd tonęło we mgle, stały obok siebie ciasno ściśnięte demony.

Monstra miały co najmniej siedem stóp wzrostu, z ich czerepów wyzierały czarne oczodoły, w których na samym dnie gorzał migotliwy, wiśniowy płomień. W ustach sterczały im kły. Żółta — w kolorze zjełczanego masła — skóra sprawiała wrażenie wytrzymałej zbroi. Każdy z potworów dźwigał w jednej ręce siekiere o podwójnym ostrzu, a w drugiej nóż prawie tak długi jak miecz. Była ich niemal setka. Bojaźliwy pomruk rozszedł się w szeregach Selenay. Niewiele strzał poszybowało w kierunku celu, garść, która w niego trafiła, odbiła się, nie wyrządzając najmniejszej szkody. Potwory rozwarły swe gardziele i wydawszy ryk, ruszyły na armię Selenay. Na ten widok obrońcy mimowolnie oddali teren, cofając się o krok albo dwa.

Nagle jeden z demonów-wojowników zamarł w pół kroku i zawył, aż ludzie zmuszeni byli zasłonić uszy rękami, buchnął ogniem i wyjąc zaczął się załączać, krążąc w jednym miejscu — jak płonący stos na dwóch nogach.

Żołnierze Selenay zakrzyknęli radośnie, jednak ich wiwaty szybko zamarły, bo pozostałe demony nacierały jakby nigdy nic, nie wiedząc o losie tego, który, oddany na pastwę ognia, upadł i dopalał się na ziemi.

Od ognia rozgorzał drugi potwór, a potem trzeci. Jednak to ani na jotę nie opóźniło natarcia. Demony poruszały się wolno, ale nie ulegało wątpliwości, że lada chwila dotrą do frontu wojsk Selenay.

I tak się stało. Nastąpiła potworna rzeź. Demony brodziły wśród szeregu wojowników jak człowiek w stadzie skamlących psów. Machały podwójnymi siekierami zwodniczo wolno, lecz ich ostrza wrzynały się w zbroje i chronione przez nie ciała z taką łatwością, jakby te pierwsze zrobiono z papieru, a te drugie ulepiono z roztopionego sera. Okrutnych ciosów w żaden sposób nie można było sparować. Jakiś wojownik stanął demonom na drodze i padł z przeciętą tarczą i rozłupaną za jednym zamachem czaszką. Lecz niesłychana to rzecz: woje Selenay tłoczyli się naokoło, zastępując poległych towarzyszy. Niestety, trwonili męstwo na próżno. Siekiery wznosiły się i opadały, a nowo przybyli padali pod nimi tak samo jak ci, których zastąpili — martwi albo w śmiertelnych konwulsjach. Gwardia skupiła się wokół Selenay i swych dowódców, chcąc ich osłonić, jednak demony przecinały ich szeregi nieubłaganie. Ziemia poczerwieniała od ludzkiej krwi, jedynie gdzieśgdzie znaczyły ją żółte plamy, jednak było ich zaledwie kilka. Krzyk lęku i bólu żołnierzy mieszał się z rykiem demonów, zgrzytem siekier wbijających się w zbroje i śwadem trawionych przez ogień upiornych ciał.

Stojący daleko za liniami, ze zmarszczonymi brwiami, Gryffon właśnie skupiał swą uwagę na kolejnym monstrum, a gdy, jak wszystkie do tej pory, i ten cel zapłonął jak żagiew, rozpaczliwie rozglądał się, poszukując następnego. Widać było, że jedynie on jest w stanie je zniszczyć, jednak było ich zbyt wiele.

— Heroldzie... — usłyszał. Starał się nie zwracać uwagi na uporczywe wołanie, lecz nawołujący go człowiek nie odszedł. Odwrócił się niecierpliwie i zobaczył, że upartym towarzyszem broni jest członek Rady Królewskiej, bard Hyron, który, będąc wyszkolonym łucznikiem, znalazł dla siebie miejsce na polu bitwy i walczył ramię w ramię z Gryffonem.

— Heroldzie, z opowieści wynika, że istnienie tych istot zależy od ich czarnoksiężnika. Jeśli zabijesz go, znikną i one!

— A jeśli opowieści się mylą?

— Nic na tym nie stracisz — skwitował to bard. — Spójrz, mag musi znajdować się w grupce skupionej tam, wokół sztandaru, na lewo od centrum tylnej linii wojsk Ancara.

— Sprowadź mi dalekowiedza! — Zanim Gryffon skończył mówić, Hyrona już nie było. Zniknął, biegnąc z taką prędkością, o jaką herold nigdy by go nie podejrzewał.

Bard powrócił równie szybko, jak się oddalił. Dla Gryffona jednak i to trwało zbyt długo. W tym czasie z rozpaczą patrzył, jak demony wyrzynają kolejny rząd gwardzistów.

— Już patrzę, Gryf... — To był rudowłosy przyjaciel z tego samego co on roku, Davan. Przybiegł, deptając po piętach bardowi i potykając się, bo po drodze próbował już coś dostrzec. — Ja... niech to krwawe piekło pochłonie! Wiem, że tam jest, jednak zablokowali mnie! Oby was licho, dranie...

Davan upadł na kolana. Jego twarz wykrzywiła się nie do poznania, gdy próbował przebić się przez narzuconą przez magów zasłonę.

— Davanie, szybciej... — Gryffon spojrzał na pole bitwy i przełknął głośno ślinę, czując w gardle gorycz żółci i strachu, bo demony posuwały się coraz dalej. Skupił się i rzucił najbliższego na pastwę płomieni, lecz inny natychmiast zajął jego miejsce.

Hyron zamarł na moment, a potem ponownie gdzieś zniknął. Gryffon nawet tego nie zauważył. Robił wszystko, na co go było stać, ale to nie wystarczało.

Tętent kopyt i błysk Bieli, który dostrzegł kątem oka, obwieściły przybycie jeszcze jednego herolda. Gryffon odwrócił się, rozproszywszy swoją uwagę.

Dirk na — o bogini! — nie na Ahrodie, a na Rolanie!

Herold ześliznął się z nagiego grzbietu Rolana i schwyciwszy Davana, potrząsnął nim mocno.

— Przerwij to, braciszku. Nic nie działasz... — przekrzyczał nawet zgiełk bitwy. — Wy dwaj! Żadnych sprzeciwów. Przyłączcie się do nas...

Gryffon nie zadał sobie trudu, by się zastanowić, a co dopiero sprzeciwić się. Połączył się swymi zmysłami z umysłem Dirka, tak jak to często robili, kiedy był jeszcze uczniem. . .

Uzmysłował sobie, że w jeden krąg szepiły się zmysły nie czterech, a pięciorga. Dirka wspierał Rolan, którego myśli z kolei stanowiły jedno z myślami. . . Talii?

Tak, to była Talia.

Dirk posiadał ograniczone możliwości myślmowy, jednak niebezpieczeństwo spowodowało, że jego myśli były jasne i donośne.

Idź jej śladem, Davanie. Mag czerpie swą moc, siejąc śmierć, zadając ból, pławiąc się w cudzej rozpacz. Ona potrafi wytropić go po tych śladach. Gryffonie, trzymaj się Davana, ja was obronię.

Davan połapał się w lot. Wszyscy pamiętali, w jaki sposób Talia wykorzystała śmierć Ylisy do wskazania Krisowi, który był dalekowidzem, miejsca, gdzie leżało jej ciało. Trop wskazany przez Talię był nikły, jednak nie można go było przeoczyć. Davan uchwycił się go i już nie zgubił, a Gryffon swą myślą, niemal „deptałby mu po piętach”, gdyby tylko starczyło mu odwagi.

Tak. . . tak, mam go! Widzę go! Odziany jest w jasno-błękitną, aksamitną szatę. . . Gryffonie, uderzaj, teraz, poprzez mnie!

Gryffon ujrzał wyraźnie w myślach Davana zaczarowaną postać w szacie o żywym odcieniu błękitu, stojącą nieco na uboczu grupki zebranej wokoło sztandaru Ancara. Nic więcej nie było mu trzeba.

Czuł ogromną nienawiść i tak głęboki gniew, że nawet by się o to nie podejrzewał. Zrodził się w nim, gdy z przerażeniem przyglądał się rzezi we własnych szeregach. Sięgnął po maga swymi zmysłami. . . i stwierdził, że powstrzymała go taka moc, z jaką się nigdy dotąd nie spotkał.

Zmagał się ze ścianą, o którą uderzyły jego myśli, wkładając w jej obalenie wszystkie swe podsycane furią siły.

Poczuł, że przeszkoda wyrosła na drodze jego zmysłów, ugina się, i zdobył się na jeszcze większy wysiłek. Nie wiedział, jak tego dopiął, lecz nie dbał o to.

Za liniami Ancara rozległ się wybuch, tuż obok jego sztandaru wzniósł się słup ognia.

I demony zniknęły.

Oczy Gryffona zapadły się w głąb czaszki i herold zaczął osuwać się zemdłony. Również Davan stracił przytomność. Hyron z Dirkiem pochwycili bezwładne ciała, zanim uderzyły o ziemię.

Kiedy wojownicy-demony zniknęli, wojsko Selenay zaczęło wiwatować. Selenay wzniosła okrzyk razem z nim, obawiając się jednak, czy radość nie jest nieco przedwczesna.

Poczula prawdziwą ulgę dopiero wtedy, gdy nie rzucono przeciw nim powtórnie sił czarnej magii. Zatem napastnik posiadał tylko jednego maga i heroldom udało się go pokonać.

— Gryffon i Davan odnaleźli maga i spalili go — rzekł Kyril w odpowiedzi na pytające spojrzenie Selenay. — Obydwaj stracili przytomność. Gryffon wciąż jeszcze nie doszedł do siebie, jednak nie wygląda mi na to, by był nam teraz na gwałt potrzebny.

Rzeczywiście nie było takiej potrzeby, bo tym razem do natarcia ruszyła regularna armia Ancara. Łucznicy wypuścili na nich deszcz strzał, z których niemało trafiło w cel. Kusznicy Ancara strwoniwszy swe bełty, zamienili się w piechotę i wywijając mieczami nacierali wraz z resztą.

Gwardziści Selenay zaparli się mocno nogami w ziemię, przygotowując się na przyjęcie uderzenia, bo zbliżała się pora wykonania pierwszego kroku, zgodnie z ich planem bitwy. Kiedy linia Ancara zwarła się z nimi ze szczykiem metalu uderzanego o metal, a nad polem bitewnym wzniósł się okrzyk wściekłości i bólu, ich główne siły skupione były w centrum, tam gdzie znajdował się sztandar Selenay.

Królowa czekała cierpliwie, bardzo długo nie zwracając uwagi na krzyki swych ludzi zadających śmierć i umierających. To ona, a nie lord wojny, była naczelnym wodzem w polu. Jej dar wróżenia nie był zbyt silny, ale nieoceniony — zwłaszcza w bitwie. Nie mogła przewidzieć dokładnie, co się wydarzy, lecz jeśli plany zostały nakreślone, podszeptował jej, kiedy dokładnie owe plany zostaną wprowadzone w czyn.

Królowa czekała, wsłuchana w to, co podpowiadała jej intuicja.

— Niech lewe skrzydło się cofnie — rozkazała nagle Kyrilowi.

Skupiony, zmarszczywszy brwi, posłał myślrozkaz i niemal w tej samej chwili wojownicy na lewo od sztandaru zaczęli wycofywać się w stronę centrum.

Jej nadzieje spełniły się: Ancar rzucił na lewe skrzydło konnicę, a za nią piechotę, przypuszczając, że uda mu się okrążyć siły Selenay, a może nawet pochwycić następczynię tronu, która — jak sądził — tam się znajdowała.

— Zwrot... — usłyszał Kyril i natychmiast przekazał to swym podwładnym heroldom w oddziałach.

Wojska królowej obróciły się dookoła tak, że ich front z lewej strony stanął nad brzegiem bagna, gdzie jeźdźcy Ancara zaczynali teraz grzęznąć w błocie i wodzie głębokiej na dwie, trzy stopy.

Selenay wstrzymała się jeszcze na jedną, długą chwilę, póki wojska Ancara nie znalazły się pomiędzy jej liniami a lasem.

— Teraz, Kyrilu! Wezwij ich!

Spomiędzy drzew wysypali się żołnierze, którzy przesiedzieli tam całą noc — wypoczęci, gniewni, spragnieni krwawego odwetu dezertarzy armii Alessandra i heroldowie, który byli łączącym ich z naczelnym dowództwem ogniwem.

Wojsko to wyglądało nieco osobliwie, gdyż każdy woj poświęcił kilka chwil z godzin spędzonych w ukryciu na obcinanie munduru, tak by odsłonić białe rękawy z miękkiej gambesyny. Teraz na polu bitwy nie można ich było pomylić z wojami Ancara.

W potrzasku między dwoma wojskami, mając przed sobą grzęzawisko, nawet wytrawni weterani Ancara zaczęli ulegać panice.

Odtąd bitwa zamieniła się w pogrom.

Gryffon pierwszy dotarł do siedziby, niemal oślepiiony bólem głowy. Został na polu bitwy tak długo, by upewnić się, że zwycięstwo należy rzeczywiście do Selenay. Z trudem wdrapał się na grzbiet swego Towarzysza, by udać się na poszukiwanie uzdrowicieli.

— Zwyciężyliśmy, udało się nam — powiedział do Elspeth, krzywiąc się przy połykaniu mikstury na ból głowy.

— Dodatkowi żołnierze z Hardemu przeważyli szalę. Z pewnością resztki armii Ancara uciekły już przez granicę z podwiniętym ogonem.

— A co z samym Ancarem?

— Nie rzucił się w wir bitwy, pewnie udało mu się umknąć. Uprzedzę twoje pytania: nie wiem, czy Hulda była tam razem z nim, jednak wydaje mi się, że nie. Z tego, co dowiedziałem się od ciebie i Talii, niechętnie wystawia się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Najpewniej siedzi bezpiecznie w stolicy, zajęta umacnianiem pozycji swego „małego skarbu”.

— A co z...

— Elspeth, głowa mi za chwilę pęknie. Myślę, że wiem, dlaczego Lavan sprowadził Burzę Ognistą na samego siebie, to chyba było lepsze od bólu głowy! Zamierzam zdrzemnąć się na chwilę. Przekaż Talii moje podziękowania. Nie dokonaliśmy tego bez niej. A ty przygotuj się, lada chwila zaczną przysyłać rannych i uzdrowicielom przyda się każda para rąk. Nie zabraknie też i takich, którzy skwapliwie wykorzystają przywilej, że mogą chełpić się swą odwagą przed samą następczynią tronu, podczas gdy uzdrowiciele będą łątać ich ciała.

I tak się stało. . . Elspeth osobiście przekonała się, jak to jest po bitwie. W ciągu następnych kilku marek na świecy przybyło jej lat. Odtąd już nigdy nie wpadło jej do głowy, że wojną można się zachwycać.

Kiedy przybyły posiłki, by pomóc w oczyszczeniu terenu, Selenay została nad granicą, jednak Elspeth, Rada Królewska, ranni i większość heroldów — w tym Talia i Dirk — powrócili do stolicy.

Tuż przed odjazdem posłów, Selenay wezwała ich do siebie.

— Muszę się tutaj zatrzymać — powiedziała zmęczonym głosem. — Elspeth ma wszelkie uprawnienia regenta i podczas mojej nieobecności ona przewodniczy radzie, z pełnym prawem głosu.

Wydawało się, że lord Gartheser chce zaprotestować, lecz nagle sposepniał i uspokoił się. Członkowie rady, którzy gardłowali za Orthallenem — z wyjątkiem Hyrona — byli rozgniewani i niezadowoleni. Z nimi musiała sobie Elspeth w pierwszym rzędzie poradzić.

— W tej sprawie nie macie wyboru, moi posłowie — zwróciła im uwagę Selenay, wpatrując się szczególnie uważnie w Garthesera. — Podczas wojny monarcha ma prawo wydawania dekretów, jak wiecie. Gdyby wynikły jakiegokolwiek kłopoty... — Znacząco zawiesiła głos. — Bądźcie pewni, że dowiem się o nich i podejmę odpowiednie kroki.

Elspeth ogłosiła spotkanie rady niemal natychmiast po powrocie do stolicy, jednak zarządziła, że odbędzie się ono w komnatach Talii.

Kiedy schody do wieży pokonali co zażywniejsi posłowie, dysząc i sarkając pod nosem, rada mogła rozpocząć obrady.

Talia wcale nie czuła się zbyt dobrze, jedynie markę na świecy lub dwie — lecz nie więcej — mogła spędzić bez zażywania lekarstw. Umieszczono ją na niewielkiej kanapie ustawionej pod oknem. Spowijały ją bandaż, odsłoniętą miała jedynie szyję i głowę. Zmiażdżone stopy umieszczono w urządzeniach wyglądających jak dziwaczne, wysokie buty. Była niemal tak blada, jak uniform, który miała na sobie. Tuż obok Talii usiadła Elspeth, ani na chwilę nie spuszczać z niej oka.

Jak się należało spodziewać, pierwszy zabrał głos lord Gartheser.

— Co tu się dzieje? — warknął gniewnie. — Cóż to za bzdurne pogłoski, że Orthallen jest zdrajcą? Ja...

— To nie są bzdury, mój panie — odezwała się cicho, przerywając mu Talia. — Dowiedziałam się tego z ust jego współników. Potwierdził to swym czynem, usłyszawszy zaledwie ich nazwiska, czym udowodnił swoją winę.

W prostych słowach, bez zbędnego rozwodzenia się opowiedziała im wszystko, czego wraz z Krisem dowiedziała się o Ancarze, masakrze podczas biesiady, śmierci Krisa i swym spotkaniu z Huldą i Ancarem.

Kiedy przerwała zmęczona, zastąpiła ją Elspeth, przekazując to, co usłyszała od Talii, i opisując zdarzenie z Orthallenem.

Lord Gartheser przez cały czas milczał, szeroko otwierając usta, i z każdą chwilą stawał się coraz bielszy.

— Sami zatem możecie zobaczyć, posłowie — zakończyła Elspeth — dlaczego moim pierwszym krokiem w roli regenta musi być ocena waszej lojalności poprzez rzucenie zaklęcia prawdy. Kyrilu, czy mógłbyś rzucić je na swych kolegów z rady? Zadam wam zaledwie jedno pytanie: czemu i komu w pierwszym

rzędzie dochowujecie wierności?

— Oczywiście, Elspeth — odparł Kyril, skinąwszy posłusznie głową. — Mnie zaś może wybadać Elcarth.

— Ależ... ja... — Gartheser pocił się obficie.

— Oponujesz, Gartheser? — Głos lady Cathan był słodki jak miód.

— Ja... ech...

— Jeśli wolisz nie poddawać się zakłęciu, możesz złożyć swój urząd.

Lord Gartheser popatrzył na wszystkich, mając nadzieję na zwłokę, lecz na próżno.

— Ja... lady Elspeth, obawiam się... że obowiązki związane z moim urzędem przerastają moje siły. Za waszym pozwoleniem, chciałbym z niego zrezygnować.

— Doskonale, Gartheser — rozległ się spokojny głos Elspeth. — Czy ktoś chciałby zaoponować? Nie? Zatem, mój lordzie, możecie nas opuścić. Sugeruję, byście osiedli w swoich dobrach i wiedli żywot w spokoju, tak godziwie zasłużony. Nie sądzę, zważywszy na trudy związane z wypełnianiem obowiązków, przez które przeszliście, by roztropnie było podejmować licznych gości.

Patrzyła na Garthesera, jak ten unosi się z krzesła i wychodzi z twarzą tak pozbawioną wyrazu, że nawet Selenay nie mogłaby z nim iść w zawody.

— Kyrilu — powiedziała, gdy dostojnik zniknął — możesz zacząć ode mnie.

— Po Elspeth ja chciałbym poddać się próbie — powiedział zawstydzony Hyron, dotąd jeden z najzagorzalszych zwolenników Orthallena.

— Jeśli sobie życzysz, Kyrilu?

Próba nie trwała długo i, co nie było niespodzianką, przeszli ją wszyscy.

— Drugim punktem jest sprawa obsadzenia dwóch miejsc w radzie, przedstawiciela Północy i przedstawiciela Centrum. Czy macie jakieś propozycje?

— Na przedstawiciela okręgów centralnych proponowałabym lorda Jelthana — odezwała się lady Kester. — Jest młody, ma głowę pełną dobrych pomysłów, jednak jest panem na swych ziemiach już od czternastu lat — ojciec wcześniej go odumarł.

— Czy macie innego kandydata? Nie? Co z Pomocą? Nikt się nie odezwał, ciszę przerwał dopiero cichy głos Talii.

— Jeśli nikt nie przychodzi wam do głowy, proponuję burmistrza Loschala z Trevendale. Nie brak mu oleju w głowie, doskonale zna się na sprawach dotyczących Północy, nie jest skłonny piec własną pieczeń przy cudzym ogniu, a jego dojrzały wiek będzie przeciwwagą młodości lorda Jelthana.

— Czy ktoś ma inne propozycje? Zatem niech tak będzie. Dopilnujesz wszystkiego, prawda Kyrilu? A teraz kolejne zagrożenie, przed którym stoimy: Ancar i Hardorn. Musimy zwiększyć liczebność gwardii, a to oznacza zwiększenie podatków.

— Dlaczego? Pobiliśmy ich z kretesem!

— Nie trzeba...

- Lękasz się cieni.
- Wiem na pewno, że matka nie wydała takich poleceń.
- Cisza! — Gromkim zawołaniem uciszył lament Kyril. Kiedy spojrzeli na niego zdumieni, ciągnął dalej: — Głos pragnie zabrać herold Talia, a nie jest w stanie przekrzyczeć waszego biadolenia.
- Elspeth ma rację — wyszeptała Talia. — Znam Ancara lepiej od was. Będzie wracał, póki nie zabraknie w jednym z naszych państw przywódcy. Powiadam wam, że jesteśmy w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż przed wygraną przez nas bitwą! Teraz i on wie, na co nas stać, ile wojsk możemy zebrać w krótkim czasie. Następnym razem nadciągnie wtedy, gdy uzna, że dysponuje przytłaczającą siłą. Musimy być przygotowani, by stawić mu czoło.
- A to oznacza liczniejszą gwardię i większe podatki na jej utrzymanie.
- I będziemy potrzebowali twojej pomocy, bardziej Hyronie, a zwłaszcza twojego Kręgu — ciągnęła Talia.
- Mojego Kręgu? Dlaczego?
- Ponieważ, jak udowodniło wydarzenie z Gryffonem, Krąg Bardów jest jedynym źródłem wiedzy o starożytnej magii.
- Na pewno wyolbrzymiasz potęgę owych magów... — zaczęła lady Wyryst.
- Spójrz i powiedz, czy wyolbrzymiam! — Talia znów odsłoniła ramię, rozchylając bandaż, by ukazać im wypalony odcisk dłoni, który wciąż był żywą, nie zabliźnioną raną. — Będę to nosić aż do śmierci, a dla Huldy było to tak łatwe jak salonowa sztuczka! — Lady Wyryst zbladła i odwróciła głowę. — Zapytajcie wdów i dzieci zabitych przez demony, czy ich zdaniem wyolbrzymiam niebezpieczeństwo! Powiadam wam, że Ancar nie przywiódł z sobą najpotężniejszych magów, gdyż obawiał się ich utracić w bitwie. Jedynie Hyron i jego Krąg strzegą tradycji, dzięki której może uda nam się dowiedzieć, czego możemy się spodziewać i jak się bronić. O ile, w ogóle jest to możliwe.
- Jest to możliwe — powiedział zatopiony w myślach Hyron. — Wynika to z pewnych kronik spisanych w czasach Vanyela, kiedy dary zaczynały wypierać sztukę magiczną. Możliwe, że to wy, heroldowie i wasi Towarzysze, zdołacie obronić nas przed magami Ancara.
- Z tego wynika niezbicie, że lepiej jest mieć was przy sobie — powiedziała lady Kester, uśmiechając się krzywo.
- Wy i wasz Krąg będzie miał i tradycyjną rolę do spełnienia — dodała Elspeth, uśmiechając się do Hyrona. — Zwłaszcza jeśli nie będziemy chcieli ogłaszać obowiązkowego zaciągu do gwardii.
- Podsyćcie żarliwego patriotyzmu i rozpowszechnianie opowieści o tym, co było, i o tym, czego możemy się spodziewać? Tak jest, lady Elspeth, jak zawsze, Krąg jest na twoje rozkazy.
- I utrzymywanie nieugiętego ducha w naszych ludziach.
- Zawsze na twe usługi.

Elsbeth popatrzyła na Talię, która leżała na swoich poduchach z twarzą ściągniętą zmęczeniem.

— Jeśli nie ma więcej spraw do załatwienia. . .

— Nic, z czym nie można by poczekać — powiedział lord Gildas.

— Zatem myślę, że powinniśmy się rozejść, oddając Talię pod opiekę uzdrowicielom.

W chwili, gdy członkowie rady gęsiego opuszczali izbę Talii, do środka wśliznął się Skif. Za nim weszli uzdrowiciele, Devan i Rynee.

— Siostrzyczko, na dole czeka Dirk — zaczął Skif. Przez twarz Talii przebiegł skurcz, zaczęła płakać.

— Proszę, nie teraz. Jestem taka zmęczona.

— Posłuchaj mnie, posłuchaj. — Złapał ją za rękę i ukląkł obok kanapy. — Wiem, co czujesz. Rozumiem to! Widzę, jak starasz się opanować skurcz, kiedy on ciebie dotyka. Namówiłem go na wyjazd do domu rodzinnego, by mógł powiedzieć swoim rodzicom o tobie. Jadę z nim. Do czasu naszego powrotu, będziesz czuła się świetnie. Ja to wiem! Zbierzesz się więc na odwagę i pożegnasz go czule, by nabrał otuchy na drogę, co?

Zadrzała. Kiedy Skif otarł jej łzy, uspokoiła się.

— To dlatego przyprowadziłeś tu Rynee?

Zaśmiała się.

— Masz rację. Oddzieli cię małą tamą od twego bólu. Pozwól jej popracować, a ja biegnę po Dirka.

Zrobiła o wiele więcej, niż prosił ją Skif, lecz kiedy obaj heroldowie odeszli, załamała się ponownie.

— Rynee, czy ja kiedykolwiek będę. . . c a ł k o w i c i e zdrowa? Kocham go, jest mi potrzebny, jednak przy każdym jego dotknięciu przed oczami staje mi Ancar i jego strażnicy więzienni.

— Sza, sza. — Uzdrowicielka kołysała ją w swoich ramionach, jakby Talia była młodsza od niej z dziesięć lat, a nie starsza o cztery.

— Z początku wszystko było jak najlepiej, jednak po bitwie zaczęło to we mnie narastać, za każdym razem, gdy dotknął mnie mężczyzna. Najgorzej jest, kiedy robi to o n! Rynee, ja tego nie mogę znieść, nie mogę!

— Talia, drogi przyjacielu, uspokój się. Wyzdrowiejesz, tak jak powiedział Skif. To jest kwestia uzdrowienia ducha, a nie ciała. A teraz zaśnij już.

— Czy jej rany się zabliznią? — Devan spojrział ze smutkiem na Rynee, kiedy Talia zapadła w uzdrawiający trans.

— O tak — odpowiedziała pogodnie na pytanie Rynee. — I będzie to przede wszystkim jej zasługa. Zobacysz.

— Modlę się, byś miała rację.

— Ja wiem, że mam.

DWUNASTY

Skif wbiegł na wieżę tak cicho, że nikomu do głowy by nie przyszło, że ktoś jest na schodach. Kilka marek na świecy wcześniej wrócił z Pomocy i niecierpliwiał się niepomierne. „Nie możesz jeszcze odwiedzić Talii — usłyszał po powrocie. — Każdy poranek spędza z uzdrowicielami, którzy rozkazali, by nikt jej nie niepokoił”. Ha, doskonale, jednak coś takiego nie uspokoiłoby nikogo ani odrobinę, zwłaszcza kogoś, kto bał się o jej zdrowie. Postanowiwszy przedostać się do jej izby zaraz po drugim śniadaniu, zaczął pośpiesznie przetykać wielkie kęsy jedzenia i skutek tego był taki, że mało się nie udławił.

Najwyraźniej nieco się przeliczył, bo kiedy zbliżył się do półotwartych drzwi, usłyszał dobiegające z wnętrza głosy. Skulił się w cieniu i ostrożnie wyjrzał zza węgła. Z miejsca, w którym był, przyszło mu to dość łatwo. W izbie znajdowało się dwóch uzdrowicieli, można ich było bez trudu rozpoznać po zielonych szatach. Stali każdy po jednej stronie sofy, na której leżała postać w Bieli — Talia, bez wątplenia.

Skif odruchowo skrzywił się, bo twarz Talii szpecił grymas cierpienia, a z jej oczu płynęły łzy, choć nawet nie jęknęła z bólu.

— Dość — odezwał się uzdrowiciel stojący po prawej stronie. Skif rozpoznał w nim Devana. — To na dzisiaj wszystko, ani krzty więcej, Talio.

Talia rozluźniła się nieco. Kobieta z jej lewej strony obdarzyła ją czułym spojrzeniem i podała chusteczkę, by otarła łzy.

— Naprawdę nie musisz przeżywać takich cierpień — powiedział z nutą smutku w głosie Devan. — O, gdybyś pozwoliła nam uzdrawiać cię bez pośpiechu, prawie wcale nie odczuwałabyś bólu.

— Drogi Devanie, nie mam czasu, i wiesz o tym doskonale — cicho odpowiedziała Talia.

— W takim razie pozwól nam przynajmniej zablokować ból! Wciąż nie rozumiem dlaczego w kółko powtarzasz, że nie masz czasu!

— Gdybyście uśmierzyli mój ból, ani ja nie mogłabym wam pomóc, ani Rolan. To, co teraz robimy w ciągu jednego dnia, zajęłoby wam dni sześć. — W głosie Talii naprawdę zabrzmiała nutka rozbawienia.

— Tu cię ma, Devanie — dorzuciła z wisielczym humorem Myrim, przedsta-

wiciel uzdrowicieli w Radzie Królewskiej.

Devan parsknął z rozgoryczenia.

— Heroldowie! Nie wiem, jak ja mogę z wami wytrzymać! Albo pakujecie się tam, gdzie was mogą zabić, albo zmuszacie nas, byśmy jak najszybciej was uzdrawiali po to, by tym szybciej ktoś mógł zrujnować wam zdrowie!

— No cóż, stary przyjacielu, przypomnij sobie łaskawie, że kiedy po raz pierwszy mnie ujrzałeś, byłam twoją pacjentką. Już wtedy podejmowano próby pozbycia się mnie, a przecież byłam dopiero uczniem. Chyba nie spodziewasz się, że szara przepiórka nagle zacznie stroić się w cudze piórka, po tak obiecującym początku, prawda?

Uzdrowiciel wyciągnął rękę i pogłaskał Talię po policzku, gestem pełnym uczucia.

— Po prostu żal mi, że muszę poddawać cię tak okropnym torturom, moja droga.

Złapała jego dłoń i przytrzymała ją, uśmiechając się do niego. Uśmiech zmienił ją ze zwyczajnej ładnej kobiety — jeśli nie zwracać uwagi na podpuchnięte i czerwone oczy — w piękność.

— Odwagi, stary przyjacielu. Niewiele już dni tortur nam pozostało, potem będzie zwyczajne gojenie się kości, a tego nie można przyśpieszyć. — Roześmiała się. — Nie mogę wam powiedzieć, dlaczego narzekam na brak czasu, bo sama tego nie wiem. Wiem tylko, że to tak pewne, jak to, że oczy Rolana są błękitne. A zresztą, już ja ciebie znam. Jestem grzeczną pacjentką, nie tak jak Keren i Dirk, robię wszystko, co mi każeś. Ponieważ nie możesz się na to skarżyć, musisz denerwować się z innego powodu!

— O, przejrzałaś go na wylot, moja pani — roześmiała się Myrim, do której przyłączył się Devan. Wstała i przeciągnęła zeszywniałe mięśnie. — Zobaczymy się jutro.

Wychodząc z izby, przeszli obok Skifa i nawet go nie zauważyli.

Jednak Talia wyczuła czyjaś obecność.

— Kto tam stoi za progiem? Proszę, wejść — zawołała. — Na schodach, w ciemności i zimnie nie może być wygodnie.

Skif roześmiał się i otworzył szeroko drzwi. Zobaczył, że Talia, przechyliwszy głowę, przygląda mu się uważnie. Na jej twarzy malowała się nadzieja.

— Nigdy nie uda mi się ciebie zwieść, prawda?

— Skif! — wykrzyknęła radośnie, wyciągając obie ręce na powitanie. — Nie spodziewałam się, że tak szybko wrócisz!

— Och, znasz mnie. Pudło mydła, zapasowy uniform i jestem gotowy do wyjazdu. — Przytulił ją bardzo delikatnie i, nim usiadł na podłodze przed sofą, pocałował Talię w czoło. — A skoro gdzieś już jest Skif, to czy Dirk może być daleko?

— Ty masz mi to powiedzieć.

Ucieszył się, widząc, że jej oczy rozjaśniła starannie tłumiona radość.

— Ha, nie jest. To znaczy niezbyt daleko. Chciał przedłużyć swój pobyt o dzień, ale według mnie w siodle to nadrobi. Nie dziwiłbym się, gdybym go ujrzał tutaj dziś po południu. Serduszek, cieszę się, że chcesz go znowu zobaczyć.

Oczy jej zajaśniały i uśmiechnęła się.

— I mnie nie udało się ciebie zwieść, co?

— Ani odrobinę. Przecież to dlatego wpadłem na pomysł odesłania go do domu, by osobiście zawiadomił swoją rodzinę. Ujrzałem, jak powraca twój dawny lęk przed mężczyznami, który, co gorsza, narastał wraz z każdym jego dotknięciem. Widziałem twoje zmagania, by go nie zranić.

— Och, Skifie, czym sobie zasłużyłam na twoją przyjaźń? Nie myliłeś się, to było coś okropnego. Czułam się tak, jakbym była wrogiem samej siebie.

— Kochana, przecież objeżdżałem granice, nie pamiętasz? Nie mówiąc już, że okolica, w której wyrosłem też należała do całkiem okrutnych miejsc. Nie jesteś pierwszą ofiarą gwałtu, której cierpienia widziałem, i wiem, jakie są tego następstwa. Rozumiem, że. . .

— Czuję się dobrze. Lepiej niż kiedykolwiek i nie mogę się doczekać, kiedy go znowu zobaczę.

— To najlepsza nowina, jaką słyszałem od dawna. Ha, nie masz ochoty dowiedzieć się, jak nam poszło?

— Zżera mnie ciekawość, bo o ile znam Dirka, najpewniej wysłana jego rodzinie wieść zamknęła się w dwóch zdaniach: „Zenię się. Przyjadę za tydzień”, i ani słowa jakichkolwiek wyjaśnień.

Skif ryknął śmiechem i przyznał, że list Dirka brzmiał dokładnie tak, słowo w słowo.

— Ale wywołał potworne zamieszanie, ja ci to mówię! Zwłaszcza że jakby tego było mało. . . Ha, pozwól, że zacznę od początku.

Rozsiadł się wygodniej.

— Dotarliśmy do gospodarstwa w tydzień od wyjazdu stąd, i to nie folgując sobie ani trochę po drodze. Dirkowi ani się śniło trawić na podróż więcej czasu, niż to było konieczne. Ha, nie mogę go za to winić. Kiedy tam stanęliśmy, na nasze spotkanie wyległ cały klan; od chwili otrzymania nowiny wystawili dzieci na czujkach — rozumiesz. O Święte Gwiazdy, ich jest prawdziwe mrowie! Polubisz ich, siostró-w-sercu, oni są równie szaleni jak on. Niemal natychmiast zostaliśmy rozłączeni: młodzież zabawiała mnie, wpychając jadło i napoje, rodzice Dirka zaciągnęli go na rodzinną rozmowę. Muszę przyznać, że dał im sporo powodów do niepokoju, zwłaszcza że ostatnim razem. . . Ta suka Naril i sposób, w jaki z niego zadrwiła. . .

— Wiem wszystko. Nie winie ich za to, że się martwili.

— Oliwy do ognia dołało to, że wyglądał na zmizerowanego i zmęczonego, to pewne. Okazało się, że niełatwo ich przekonać, że wszystko jest w porządku,

bo gadali z nim przez ładnych kilka marek na świecy. W każdym razie pora na wieczerzę minęła już dawno, a nasz przyjazd wypadł akurat w porze drugiego śniadania. Młodzież, biedactwa, odchodzili od zmysłów, jak by mi tu umilić czas! — Skif wydał usta z psotnym błyskiem w oku. — Obawiam się, że okazałem się wyjątkowo krnąbrny. W końcu jednak pojawili się ponownie. Ojciec wyglądał na zadowolonego, ale matka wciąż miała wątpliwości. Kiedy nas nakarmili, przysłała na mnie kryska. Powiadam ci, matka Dirka to cudowna kobieta, jednak gdyby jej powierzyć przepytывanie świadków w sądach, zakłęcie prawdy okazałoby się całkowicie zbyt cenne! Wydobyła ze mnie wszystko, co wiem o tobie, i jeszcze mnóstwo rzeczy, o których na śmierć zapomniałem. Właściwie nie zmrużywszy oka, przegadaliśmy calutką noc. To ci była pogawędka, jedna z najlepszych, jaką sobie w moim życiu uciałem. Wcale jej nie miałem tego za złe, to kochana kobieta. Warto było zwichnąć sobie szczękę, ziewając, byle tylko ujrzeć, jak w miarę opowiadania niepokój znika z jej oczu.

Talia westchnęła. Skif domyślił się, jak wielka jest jej wdzięczność, kiedy, milcząc, delikatnie uściśnęła mu dłoń.

— Trudno mi jest powiedzieć, jak się cieszę, że tak bardzo upierałeś się, by wyjechać razem z nim. Jesteś naszym najlepszym przyjacielem.

— Hm, twoja radość będzie jeszcze większa, jak sądzę: nikt z nich nie przyjedzie tutaj na wesele. To właśnie miałem na myśli, mówiąc „jakby tego było mało...”

— Co się stało? — zapytała zaniepokojona.

— Jego trzecia siostra przeżywa prawdziwe kłopoty z dzieckiem, które ma się urodzić. Nie może podróżować, to oczywiste, starsze siostry nie chcą zostawić jej samej. Nie trzeba dodawać, że matka, uzdrowicielka, czuje się zobowiązana czuwać przy niej. A ojciec Dirka cierpi na stawy tak, że mowy nie ma, by przedsięwziął daleką wyprawę wozem, o siodle nawet nie wspominając. Uczyniłem, co w mojej mocy, by przekonać ich, że w najmniejszym stopniu nie poczujesz się urażona z powodu ich nieobecności, biorąc pod uwagę takie okoliczności.

— Nie wybaczyłabym sobie, gdyby przybyli, i coś złego wydarzyło się w tym czasie w domu.

— Ha, tak właśnie im powiedziałem. Kiedy wstał następny dzień, byliśmy już starymi przyjaciółmi, a ja zostałem członkiem rodziny. Wtedy czekało mnie najtrudniejsze zadanie: zapytali mnie o Krisa.

Spojrzał na swoje ręce, głos mu lekko zadrżał i powiedział przez łyżę:

— Ja... oni naprawdę go pokochali, siostrzyczko. Uważali go za jednego ze swych synów. A ja nigdy dotąd nie musiałem rodzicom donosić o śmierci ich syna.

Poczuł, jak położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu i podniósł wzrok. Smutek, który nigdy nie ulotnił się całkowicie z jej twarzy, wyraźnie wycierał teraz z oczu. Samotna łza spływała po jej policzku. Skif wyciągnął dłoń i ostrożnie otarł łzę

koniuszkami palców.

— Tęsknię — powiedziała Talia po prostu. — Tęsknię do niego codziennie. Gdyby nie to, co czułam, kiedy... odszedł... nie przetrwałabym. Przynajmniej wiem, że on na pewno był szczęśliwy. Ja mam chociaż tę pewność, oni nie mieli nawet tej pociechy.

— Cieszę się, że udało mi się wyprawić Dirka do domu i z tego powodu — dodał cicho Skif. — Kris był dla niego kimś wyjątkowym, więcej niż przyjacielem. Kiedy w końcu pozwolił sobie na oplakiwanie go, trzeba było, by robił to w otoczeniu rodziny...

Ujął obie dłonie Talii w swe ręce i długo siedzieli w milczeniu, w żałobie po utracie przyjaciela.

— No cóż. — Skif lekko kaszlnął. — Chciałbym, byś miała mnóstwo wolnego czasu i mogła czekać, aż całkowicie wyzdrowiejesz.

— Wiem, tak samo i ja — westchnęła Talia. — Jednak gdy tylko będę mogła stanąć na nogach, muszę wrócić do służby. Prawdę mówiąc, wczoraj otrzymałam list od Selenay. Píše, że gdyby poruszanie się nie sprawiało mi takiego bólu, nuż kazałaby mi stawić się do pracy.

— Wiem. Ha, nic na to nie można poradzić. Posłuchaj, muszę opowiedzieć ci, co to za plemię... — I Skif przystąpił do opisywania po kolei członków rodziny Dirka, z przyjemnością patrząc jak stopniowo wyraz żalu ustępuje z jej oczu.

— I to już był ostatni — zamknął swoją opowieść. Nagle dostrzegł stojący w zasięgu jej ręki kosz z ubraniami do pocerowania. Ani jedna z leżących tam szatek nie należała do niej. — A to co?! — zapytał, podnosząc ogromną koszulę z odprutymi obydwoma rękawami.

Talia spłasowała jak róża.

— Nie mogę nigdzie się ruszać, tylko z łoża na sofę i z powrotem. Znużyło mnie czytanie, nie mogę grać na harfie zbyt długo, bo wtedy mnie boli, a nie znośzę bezczynności. Przypuszczam, że zostało mi to z tych dni, które spędziłam jako dziewczynka na gospodarstwie, kiedy nie mogłam nawet czytać, o ile nie miałam czymś zajętych rąk. A ponieważ na widok moich haftów nawet kotka dostałaby ataku śmiechu, poprosiłam Elspeth, by polowała na części odzienia Dirka, i ja je naprawiam. Nigdy nie uda mi się uchronić go przed paradowaniem w wymiętoszonych szatach, ale przynajmniej mogę doprowadzić do tego, żeby nie wyglądał jak wór na szmaty!

Skif nie miał okazji dalej się z nią droczyć, bo na schodach rozległ się znajomy odgłos susów — ktoś wbiegał na wieżę, biorąc po trzy stopnie na raz — co od razu przyciągnęło uwagę Talii i natychmiast zapomniała o swoim gościu.

Nie można było popełnić pomyłki, to mógł być jedynie Dirk. Skif zerwał się na równe nogi i usunął z drogi, zanim przybyły dopadł drzwi. Nie chciał stać im na drodze, gdy się spotkają. Podczas pobytu u rodziny Dirk, wspominając Talię, za każdym razem jaśniał. To właśnie temu należy częściowo zawdzięczać to, że jego

rodzina dała się przekonać, iż wszystko jest jak najlepiej. Hm, Skifowi wydawało się, że Dirk jaśniał, mówiąc o Talii, lecz kiedy ją teraz ujrzał, oczekującą z wyciągniętymi rękami, wręcz się rozjarzył. Były złodziejasek, rzuciwszy przelotnie okiem na Talię, przekonał się, że i ona promienieje.

Dirk przebył izbę w kilku susach i ukląkł przed dziewczyną na jedno kolano, chwytając obie jej dłonie i całując je delikatnie. Z udziałem innych osób scena wypadłaby obrzydliwie łzawo, jednak w przypadku tych dwojga była całkiem naturalna. Talia przyciągnęła jego dłonie i przytuliła do nich policzek. Wyraz jej twarzy zmusił Skifa do wstrzymania oddechu i zamarł, by nie zniszczyć nastroju, który zapanował w izbie.

— Czy było bardzo źle, kochana? — zapytał Dirk tak cicho, że Skif ledwie dosłyszał słowa.

— Nie wiem, bo kiedy odjechałaś, myślałam jedynie o tym, byś już powrócił; a teraz znów jesteś ze mną, i jestem zbyt zajęta, ciesząc się z tego powodu — odparła przekornie.

— Zatem muszę wykoncypować, jak by tu was wcisnąć do kieszeni i mieć was na zawsze przy sobie — powiedział czule, mówiąc tak, jak to miał w zwyczaju robić w dzieciństwie.

Talia uwolniła jedną dłoń i przyłożyła mu ją do policzka.

— Czyż noszenie mnie w waszej kieszeni, nie sprzykrzyłoby się wam szybko?

— Przenigdy, gdyby to wam miało oszczędzić bólu. Och, troszczcie się o siebie, ptaszyno! — wymamrotał. — Posiedlicie mą duszę i bez was byłaby ze mnie jeno pusta, martwa skorupa!

Powiedział to żartobliwym tonem, jednak jego wzrok świadczył, że mówił jedynie prawdę.

— O, uwielbiany, zatem nie masz dla nas ratunku — wyszeptła — boć i jam prawdziwie w tej samej sytuacji. Oddaliście duszę swą, a moją zabraliście.

Ich radość zdawała się rozjaśniać izbę.

Skif zdał sobie wkrótce sprawę, że nie można przeżyć zbyt długo, nie oddychając. Z drugiej strony, bardzo nie podobała mu się myśl, że swą nieostrożnością może zniweczyć nastrój, jaki zapanował pomiędzy stojącą przed nim parą.

— Najdroższy — w głosie Talii dźwięczały nutki śmiechu — braciszek mój, Skif, nie może się zdecydować, czy zakłócić nasze szczęście, czy omdleć z braku powietrza...

Dirk zachichotał i obrócił lekko głowę, by rzucić kątem oka spojrzenie na biednego Skifa.

— Myślałeś, że cię nie zauważyłem, co? Wychodź ze swego kąta i przestań udawać kieszonkowca!

Skif ucieszył się ogromnie, że nastrój nie prysł jak bańka mydlana. Światłość może i nieco przygasła, chyba w wyniku rozmyślnego działania z ich strony, by jemu było łatwiej. Kiedy przysunął krzesło do sofy, Dirk wyjął poduchy spod

pleców Talii i zajął ich miejsce. Troskliwie otoczył dziewczynę ramieniem, a ona oparła się na jego piersi i barku. Cień lęku ulotnił się z jego twarzy, a w jej oczach zamarło leciutkie echo bólu. — Z ich postaci biła jakby prawość która jednak nie dawała się ściśle określić.

Ledwie zdołali się usadowić, kiedy na schodach znów rozległ się tupot kroków. Do izby wpadła Elspeth z naręczem wspaniałego purpurowego jedwabiu.

— Talio, suknie gotowe! Czy... — Zamilkła na widok Dirka, a potem zapiszczała z radości. Zrzuciła suknię na Skifa — który niezwykle ostrożnie ją złapał — zatańczyła dookoła nich i złapawszy Dirka za uszy, ucałowała go prosto w usta.

— Hm — powiedział, kiedy już mógł mówić — jeśli tak mnie mają witać po każdym powrocie, muszę wyjeżdżać częściej!

Elspeth roześmiała się i, uwolniwszy Skifa spod fałdów sukni, pocałowała go także.

— Cieszę się, że cię widzę. Talia usychała jak omdlewająca lilia, od kiedy nas opuściłeś!

— Elspeth! — oburzyła się Talia.

— Ogromnie ucieszyłam się też, widząc Skifa. Co więcej... on mi może pomóc. A może nie doszły cię słuchy, drapaczu chmur? Musisz mi pomóc zorganizować wesele. Talia nie może, a Dirka tu nie ma.

— Nie mówiąc o tym, że Dirk nie ma pojęcia, co się robi na ślubie — powiedział sam zainteresowany smutno. — Jeśli kazalibyście mi zawisnąć głową w dół z gałęzi drzewa, pewnie bym wam uwierzył.

— O, co za wspaniała okazja! — W Elspeth kipiała wprost chęć płatania figli. — Może to zrobię. Nie, lepiej nie. Talia mogłaby kazać ci mnie zbić.

— Zrobiłaby coś znacznie bardziej gorszego. — Talia mrugnęła. — Szepnęłabym słówko Alberichowi, że objasz się na jego lekcjach.

— Jesteś prawdziwym potworem! Czy można ciebie bezpiecznie uścisnąć?

— Dzisiaj rano, całkiem bezpiecznie.

Otrzymawszy takie zapewnienie, Elspeth pochylila się i uścisnęła Talię serdecznie, a potem z beczelnym uśmiezkiem pociągnęła Dirka za nos.

- Czekałam na tę okazję od e o n ó w! — powiedziała, zabierając poduchę ze stosu, który Dirk usunął z sofy, by usiąść na podłodze u stóp Talii.

— Na uścisk czy nos? — zapytał Dirk.

— Na jedno i drugie, ale na uścisk bardziej. — Odwróciła się do Skifa. — Nie możesz tego wiedzieć, ponieważ wyjechałeś, jednak początkowo nie było wiadomo, gdzie ją można dotknąć. Dirk, biedactwo, mógł ją sobie głaskać tylko po koniuszkach palców!

— O, udało mi się odkryć jeszcze kilka miejsc — roześmiał się Dirk i Talia spurpurowiała. — A więc powiedz mi jakież to nowe, wspaniałe plany udało ci się ułożyć, kiedy wyjechałem?

— Ten ci się naprawdę spodoba, powstał dopiero dzisiaj. Lord wojny wpadł na pomysł, że wspaniale byłoby umieścić Talię na obsypanej kwiatami platformie, którą zaniósłaby do kapłana połowa heroldów królestwa. No wiesz: tak jak wyobrażenie Bogini w korowodzie w Noc Świętojańską.

— Och, nie! — Talia najwyraźniej nie wiedziała, śmiać się czy być zażenowana.

— O, tak! Ledwie jednak udało mi się go przekonać, że Talia, biedactwo, pewnie umarłaby ze zmartwienia, na samą wzmiankę o czymś takim, napadł nas lord patriarcha, stanowczo domagając się wyjaśnień, dlaczego uroczystości nie mają się odbyć w Wielkiej Świątyni!

— Panie Światła!

— Kiedy jednak powiedziałam im, że Towarzysze miały olbrzymi udział w uratowaniu ciebie i są zatem zaproszone, przyznał, że, kto wie, może Wielka Świątynia nie jest najlepszym miejscem.

— Już widzę Dantrisa, jak dla czystej psoty skubie sobie lilie Bogini — mruknął Dirk.

— Dantris? Jasne Niebioso, kochanie, Rolan i Ahrodie najpewniej postanowiłyby patrzeć na wszystko z górnego chóru, i zostawiłby ślady kopyt na drewnianej posadzce! — dodała Talia. — I pomyśleć, że marzyły mi się ciche śluby, w gronie najbliższych przyjaciół.

— W takim razie nie powinnaś dać się wybrać na osobistego herolda królowej — powiedziała słodkim głosem Elspeth. — Jesteś osobistością niestychanie ważną w królestwie, a więc nie możesz odmówić ludziom przyjemności, tak samo zresztą jak i ja.

— I wycofać się teraz jest już za późno, jak myślę?

— Ze ślubu czy z posady u królowej? — zakpił Dirk.

— Zgadnij.

— Lepiej nie. Odpowiedź mogłaby mi się nie spodobać.

— Posłuchajcie — wtrąciła się Elspeth. — Ponieważ mam Skifa pod ręką, może mogłabym go stąd wyciągnąć i szepnąć na ucho, co do tej pory udało mi się zorganizować? W ten sposób nikt nam nie przeszkodzi.

— Dobry pomysł — pochwalił Dirk.

Elspeth zabrała suknię i wyszła razem ze Skifem do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

— Naprawdę nie jest mi potrzebna pomoc, ale udawajmy, że tak nie jest, dobrze? I poświęćmy na to mnóstwo czasu — powiedziała Elspeth ściszym głosem. — Bycie następczynią tronu ma i dobre strony. Tak długo jak ja tu jestem, nikt nie będzie nachodził Talii, tak jak to się dzieje podczas nieobecności uzdrowicieli. Myślisz, że ludzie pozwolą im spędzić razem trochę czasu w spokoju! Mimo że Dirk właśnie wrócił z drogi, ani im się śni.

— Ależ, dlaczego?

— Dlaczego ludzie tu ciągle przesiadują? Jest mnóstwo przyczyn. Lordowi wojny bez przerwy przychodzi do głowy coś, co chciałby wiedzieć o Ancarze. Kyril i Hyron wciąż rozpytuja się o Hulde — jedynie bogowie wiedzą, na co stać jej moce. Nawet jej przyjaciele, o Pani miej ich w swojej opiece, bez przerwy sprawdzają, czy dobrze się czuje. Na Niebiosą, ja jestem tak samo okropna jak inni! Póki tutaj jesteś, możesz mi pomóc. . . Chcę się tym pochwalić. — Zniknęła za drzwiami do szafy, by po chwili wyłonić się w szkarłatnej sukni. — Zasznurowuj mnie, proszę! Nie mówiłam jeszcze o nagłych wypadkach, choć bogom niech będą dzięki, ostatnio nie musieliśmy radzić sobie ze skutkami, na przykład, śmierci herolda. — Twarz jej się zachmurzyła. — Z wyjątkiem biednej Nessay. No cóż, Talia uporała się z tym raz dwa, kiedy tylko pozwoliło jej na to zdrowie.

— O bogowie, czy wszyscy ludzie wyskakują tutaj jak spod ziemi.

— Czasami na to wygląda. Nie sądzę, byśmy uświadamiali sobie, na ile istnień ludzkich ona miała wpływ, póki nie wydało nam się, że ją utraciliśmy. Spójrz na tę suknię, na przykład — czy widziałeś w swym życiu taką tkaninę?

— Nigdy. — Skif spojrzał na długą suknię z podziwem, okiem wprawionym w złodziejskim fachu. Uszyto ją ze szkarłatnego jedwabiu, którego wzór utworzono przetykając materiał niemi szczerozłotymi i w kolorze głębokiego cynobru. Był to przykład niesłuchanie pięknego rzemiosła.

— Ani ja, a przecież naoglądałam się różnych sukni na dworze. Przyniósł ją specjalny posłaniec. Dirk rozesał ich w cztery strony świata, by szukali kupca, który dla Talii przemycił argonel i strzały, a potem przekazał wiadomość Rolanowi. Dirk miał nadzieję odnaleźć go, podziękować i zawiadomić, że Talia ocalała. Okazało się, że udało mu się przekroczyć granicę, zanim Ancar zamknął ją ze swej strony. Dotarła do niego wieść od Dirka i oto, co przysłał w odpowiedzi. W dołączonym do niej liście napisał, że pośród jego ludu narzeczona zawsze ubiera się w szkarłat, i choć u nas nie mamy tego w zwyczaju, to jednak ma nadzieję, iż ten „drobny upominek” okaże się przydatny. „Drobny upominek!” Matka powiedziała, że wtedy, gdy ostatni raz widziała coś takiego, można było sobie za tę cenę kupić niewielkie miasteczko! — Elspeth zakończyła wiązanie sznurówek na plecach. — Talia wpadła na pomysł, że cudownie byłoby wystąpić w tej sukni na audiencji. Ja się z nią nie będę sprzeczać! Matka nigdy by mi czegoś takiego nie dała, chyba że drzewa w Żalach obrodziłyby diamentami! — Zachichotała zmysłowo. — A potem odebrałyśmy naprawdę niesamowity upominek. Czy ona opowiedziała ci o kobiecie, której pomogła w Jagodowym Zakątku? Nazywają ją tam Pogodową Wiedźmą.

— Co nieco.

— Jak grom z jasnego nieba pojawił się stary herold, to znaczy powinien być już w stanie spoczynku, to miałam na myśli mówiąc „stary”. Przybył, by przekazać od tej Pogodowej Wiedźmy dokładną datę, kiedy powinno odbyć się wesele. Wiesz, jaka bywa jesień, a ponieważ postanowiliśmy, że uroczystość odbędzie się

na dworze, dręczyły nas niejaki obawy. Talia powiada, że Maeven nie myli się nigdy, a więc datę wyznaczaliśmy zgodnie z jej życzeniem.

Przycisnęła ucho do drzwi i zaśmiała się cichutko.

— Myślę, że teraz możemy bezpiecznie wyjść, lepiej było tego nie robić przed chwilką. A więc urządzmy nasz pokaz.

O ile Skif mógł to powiedzieć, ani Dirk, ani Talia nie przesunęli się nawet o cal, od czasu kiedy razem z Elspeth ich opuścili. Jedynie włosy Talii były w lekkim nieładzie i oboje mieli zaaferowane i rozmarzone twarze.

— Ha, i co wy na to? — zapytała Elspeth, przyjmując niesłychanie dramatyczną pozę.

— Myślę, że wyglądasz cudownie. Nikt przy zdrowych zmysłach nawet nie spojrzy na mnie, kiedy wy z Jeri będziecie w pobliżu — powiedziała zachwycona Talia.

— Doszliśmy z Elspeth do porozumienia — powiedział oficjalnie Skif. — Razem zajmujemy się przygotowaniem. To cię nieco odciąży, Dirku; oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Nic a nic, uważam, że to bardzo szlachetnie z twojej strony — odparł zaskoczony Dirk. — Zwłaszcza że, jak doskonale wiesz, nie trzeba mnie od niczego odciążać, chyba że od spędzania czasu tutaj.

— Na tym ten pomysł się opiera — zadrwiła Elspeth.

— Dość, dość! Zatem postanowione — roześmiał się. — Wielkie wam obojgu dzięki.

— Pamiętaj o tym, kiedy w przyszłości coś mi nie wyjdzie! — dodała Elspeth.

Przekomarzała się z Dirkiem jeszcze przez chwilę, a potem nagle zaniepokoiła się nie na żarty, stwierdziwszy, że Talia zapadła w sen. Ostatnimi czasy często się jej to przytrafiało, potrafiła zasnąć w pół słowa. Elspeth bała się, iż jest to symptom świadczący o tym, że Talia nigdy w pełni nie wyzdrowieje.

Jednak Dirk, układając sobie uspioną Talię wygodniej na ramieniu, tylko wymienił rozbawione spojrzenie ze Skifem. Elspeth ciężko westchnęła z ulgą; kto jak kto, ale Dirk wiedziałby, gdyby z osobistym heroldem królowej działo się coś naprawdę niedobrego.

— To nic poważnego. — Zachowanie Elspeth nie uszło uwagi Dirka, uspokajał ją teraz szeptem, by nie zbudzić śpiącej.

— On ma rację, szczerze! — Z pomocą przyszedł mu Skif. — Matka Dirka zapewniła nas, że Talia przez jakiś czas właśnie tak będzie zapadać w drzemkę. To skutki przyspieszonego uzdrawiania, związane z wysiłkiem, jaki wkłada w samowyleczenie. Powiedziała, że to jest tak, jakbyś przebiegła dwadzieścia do trzydziestu mil, przepłynęła rzekę, pokonała ze dwie góry i nie spała trzy dni na dokładkę.

— Zgodnie ze słowami mojej matki — dodał Dirk — to ma związek z... jadem zmęczenia? Tak. Myślę, że tak to określiła. Kiedy przyśpieszasz uzdrawianie, tworzy się on szybciej, niż można się go pozbyć, a osoba leczona łatwo zapada w długi i smaczny sen. Po zakończonym leczeniu przestanie drzemać przy lada okazji.

— Chwalipięta. — Skif zaczął się z niego naigrawać.

Dirk wzruszył ramionami i tylko się uśmiechnął.

— Sami widzicie, ilu nieprzydatnych rzeczy dowiaduje się człowiek, gdy jest potomkiem uzdrowiciela.

— Nieprzydatnych, a niech mnie! — oburzyła się Elspeth. — Naprawdę myślałam, że z nią dzieje się coś złego, o czym nikt mi nie chce powiedzieć, tak jakby mogła się nigdy nie obudzić. Nikomu do głowy nie wpadnie, że można by i mnie coś wyjaśnić!

— Ha, skrzacie — odparł Dirk. — Tak to jest, jak się ciągle wściubia nos we wszystko. — Wszyscy są przekonani, że już o wszystkim wiesz!

Granicę oficjalnie zamknięto, lecz uciekinierzy i tak przemykali się co noc, a wieści, jakie z sobą przynosili, były coraz gorsze. Selenay przeczuwała, że Ancar jeszcze nie skończył z Valdemarem, a więc stała nad granicą z wojskiem złożonym głównie z dezertków z Hardornu, którzy byli teraz jej zagorzałymi fanatykami. Nie myliła się.

Tym razem atak przyszedł w nocy, poprzedzony burzą, którą — jak Selenay podejrzewała — mogli wywołać magowie. Przypuszczono fałszywy szturm na placówkę straży granicznej. Natarcie było tak mocne, że zwiódłoby większość wodzów. Ale u boku Selenay stał Davan — dalekowiedz oraz Alberich — wróż, i królowa przejrzała na wylot plan wroga. Ancar pragnął odzyskać swych utraczonych wojów, a w szeregi nowej straży granicznej Selenay podrzucić zdrajców. By osiągnąć jedno i drugie, zamierzał wykorzystać innego rodzaju talenty żołnierzy, którzy pozostali w jego armii złodziei i zabójców.

Odzianych na czarno dywersantów, próbujących przeniknąć do otoczonej palisadą wioski, w której schronili się uciekinierzy z Hardornu, spotkała śmiertelna niespodzianka.

Udało im się dotrzeć do stóp palisady, gdy nagle...

Światło! Nad ich głowami zabłysło oślepiające światło, niemal zamieniające noc w dzień. Skuleni ze strachu napastnicy unieśli głowy i poprzez łyzy ujrzeli cztery odziane w Biel postacie, wynurzające się z mroku na samym szczycie wału obronnego w otoczeniu setek rozwścieczonych, uzbrojonych w łuki mężczyzn i kobiet nie mających najmniejszej ochoty wracać do tego, który samozwańczo ogłosił się ich królem. Z drzew zwieszały się na cienkich powrozach kule z nieznaną substancją, która tryskała srogim, białym płomieniem.

— Dlaczego nie zapukaliście? — zawołał w dół Gryffon. — Wpuścilibyśmy was z radością!

— Jednak być może nie przyszli tu z przyjacielską wizytą. — Alberich uskokoczył w bok, gdy ktoś z dołu cisnął w niego nożem.

— Na miły bóg, Alberichu, zaczynam myśleć, że się nie mylisz. — Davan uniknął drugiego noża. — Wasza Wysokość?

— Zmieść ich — padł zwięzły rozkaz Selenay. Kilku wzięto żywcem; to, co mieli do powiedzenia, było zajmujące. Jeszcze większe zainteresowanie wzbudził bogaty zbiór ziół odurzających i driakwi, którymi zamierzali zatruć studnie. Zioła te miały — zgodnie z tym, co niektórzy wyjawili na przesłuchaniu, gdy rzucono na nich zakłęcie prawdy — ułatwić magom i Ancarowi we własnej osobie dostęp do umysłów ludzi, którzy by je nieświadomie przyjęli.

To samo w sobie było świadectwem tego, co udało się dotąd osiągnąć Ancarowi. Z poczynań wrogiego króla po jego stronie granicy dowiedzieli się więcej.

Ufortyfikował granicę, utworzył na milę szeroki pas ziemi, której nie pozwolił uprawiać, ani zakładać żadnych siedzib. Kiedy się z tym uporał, opuścił okolicę, i ani dalekowidze, ani wróżę nie dostrzegli najmniejszych oznak przygotowywanej ofensywy.

A więc na jakiś czas Valdemar przestał czuć nóż Ancara na gardle i Selenay mogła wrócić do domu, by ponownie zasiąść na tronie i zdążyć na wesele Talii.

Łąka Towarzyszy była jedynym miejscem, które mogło pomieścić tylu gości, ilu się spodziewano. Wesele nie mogło odbyć się zbyt daleko, bo jeszcze nie wyleczono stóp Talii. Uzdrowiciele z zadowoleniem stwierdzili, że kości zostały właściwie nastawione — układanie odprysków kostnych zajęło tyle czasu, że inni zaczęli powątpiewać, czy dziewczyna będzie mogła kiedykolwiek chodzić. Jednak był to dopiero początek zrastania i Talii surowo zabroniono nawet odrobinę obciążać nogi. Oznaczało to, że trzeba ją było wszędzie nosić.

Uzdrowiciele nie umieścili jej nóg w wymyślnym opatrunku gipsowym, który wykorzystali, gdy Keren złamała biodro. Nie zrobili tego głównie dlatego, że musieli bez przerwy obserwować efekty dokonywanych przez siebie zabiegów uzdrawiających, które musiały być o wiele subtelniejsze niż w przypadku Keren, ale i dlatego, żeby nie obciążać nadmiernie już i tak nadwątlonego i pozbawionego sił ciała. Zamiast tego skonstruowali sztywne, płytke trzewiki z drewna, taśm i wzmocnionej skóry, wyściełanej filcem z jagnięcej wełny. Jako że składały się one z dwóch części połączonych sznurówkami, można je było w dowolnej chwili zdjąć. Nic dziwnego, że takie rozwiązanie Talia przyjęła z ogromną ulgą.

— Wyobraźcie sobie, jak mogłabym wziąć kąpiel w gipsowych trzewikach na nogach? — powiedziała z komicznym grymasem na twarzy. — Łamałabym sobie głowę, jak by je ukryć podczas wesela. Gdzieżbym ja znalazła siłaczy, którzy by

mogli unieść mnie i te przeklęte buciki na dokładkę?

— Nie wspominając o przykrości, jaka spotkałaby Dirka, zmuszonego radzić sobie z nimi po ślubie — zakpiła Elspeth, co wywołało rumieniec na policzkach chorej.

Elspeth czekała w izbie Talii, przyglądając się, jak Keren i Jeri dokonują ostatnich poprawek fryzury i malunku panny młodej. Następczyni tronu uważała, że osobisty herold królowej już i tak wygląda pięknie i może złamać serce każdemu. Wciąż była bardzo szczupła i blada, lecz przez to zdawała się jeszcze bardziej pociągająca. Jakby zostało w niej jedynie to, co najcenniejsze — jak w zahartowanym i naostrzonym mieczu, który przekazywany jest w spadku. Zadały sobie wiele trudu, ślęcząc nad suknią z białego i srebrnego jedwabiu, skroiwszy ją tak, by pięknie spowijała figurę i opadała aż do ziemi, przykrywając obrzydliwe trzewiki. Jednak zważały, by osoba niosąca ją, nie mogła się o nic potknąć. Jeri uczesała Talię niezwykle skromnie, by podkreślić prostotę kroju sukni. Jediną jej ozdobą miały być świeże kwiaty.

— „Nikt przy zdrowych zmysłach nie spojrzy nawet na mnie z tobą i Jeri w pobliżu”. — Elspeth szeptem powtórzyła słowa Talii Keren, a jej oczy zaiskrzyły się śmiechem.

— Jasne Niebiosa, obok niej wyglądam jak wyliniąta, czerwonopióra czapla!

— Mam nadzieję, że strawiwszy tyle czasu, jesteście, kobiety, nareszcie gotowe — zawołał Dirk, wchodząc do izby. Raz w życiu udało mu się wyglądać nienagannie i oślepiający blask bił z jego odzianej w biały aksamit postaci.

— Dirk! — roześmiała się Jeri, zasłaniając sobą Talię. — Zgodnie z tradycją wolno ci ujrzeć pannę młodą dopiero przed obliczem kapłana!

— Niech lichy porwie tradycje! Skif może ją sobie nosić tylko dlatego, że jeśli spróbuję zonglować i nią, i obrączką, to coś mi na pewno wyleci z rąk!

— Doskonale, w takim razie. Jesteś uparty jak osioł, nie mam siły kłócić się z tobą. — Odsunęła się na bok. Młodzi aż pokraśnili na swój widok.

— Zajęło mi to dwie marki na świecy... — mruknęła Jeri pod nosem, najwyraźniej zachwycona — ... a tymczasem w mgnieniu oka ten tutaj sprawia, iż wydaje się, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

Dirk ostrożnie uniósł Talię, jakby ważyła tyle co piórko.

— Gotowa jesteś, kochanie? — zapytał cicho.

— Byłam gotowa od bardzo dawna — odparła, ani na chwilę nie odrywając od niego oczu.

Łąka mieniła się barwami: Zielenią Uzdrowicieli, Szkarłatem Bardów i Błękitem Gwardii, które uzupełniały skromna szarość, spłowiła zieleń i rdzawa czerwień kręcących się dookoła uczniów. Promienie słońca błyskały, odbijając się od złoconych ozdób i klejnotów dworzan. Jednak przeważała oczywiście Biel Herol-

dów, i to nie tylko dlatego, iż zjechało ich tutaj więcej niż na uroczyste złożenie hołdu Elspeth, ale dlatego, że przynajmniej połowa białych postaci w tłumie to byli Towarzysze, obsypani kwiatami i przyozdobieni troskliwymi dłońmi swych Wybranych — przez co wyglądały tak, jakby to nie kto inny, lecz one wstępowały w związek małżeński. Nawet żrebak Cymry był obwieszony wiankami kwiatów, jednak wciąż próbował je zjeść.

Ceremonia nie była wyszukana, choć nieczęsto nadarzała się okazja, by ją urządzać, bo ślub tego rodzaju pary nie był obietnicą, lecz raczej potwierdzeniem łączącej ich nierozdzielnej więzi. Pomimo szczerych zakusów, by odbyło się to zupełnie inaczej, Elspeth wspólnie ze Skifem udało się ograniczyć pompacyjne rytuały do minimum.

Dirk zaniósł swoją ukochaną przed oblicze kapłana i tam ostrożnie przekazał ją do rąk Skifowi, który o mało nie pękł od rozpierającej go dumy i szczęścia. Elspeth wręczyła Dirkowi obrączkę, a on wsunął ją na palec Talii. I Skif, i Elspeth zagryźli wargi, by nie uronić łzy, po części na widok otrzymanej od Krisa obrączki przyjaźni, którą Talia przeniosła na sąsiedni palec, a po części dlatego, że jej ślubna obrączka wciąż jeszcze była dla niej za duża.

Dirk powtórzył przyrzeczenie głosem, który choć wydawał się cichy, dotarł aż po najdalszy kres zgromadzonego tłumu. Następnie Talia odebrała z rąk Keren obrączkę, by wsunąć mu ją na palec, i powtórzyła przysięgę dźwięcznym, słodkim głosem.

Dirk odebrał oblubienicę z objęć Skifa, przy wtórze radosnych wiwatów wznoszonych przez heroldów.

Państwa młodych usadowiono na poduchach zwleczonych z całego kolegium. Zadbano szczególnie o Talię, sadowiąc ją tak, by mogła bez wysiłku wszystko zobaczyć. Elcarth zczekał, póki wszyscy składający życzenia zejną mu z drogi, a Talia z Dirkiem będą niemal sami, i wtedy do nich podszedł.

Potrząsnął głową na ich widok.

— Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, iż wasze postaci rozpalą wyobraźnię całego pokolenia bardów — odezwał się z udaną surowością w głosie. — Boję się pomyśleć o wszystkich okropnych utworach, które przyjdzie nam ścierpieć przez następny rok, a mam na myśli zaledwie studentów. Zaś każdy bard ani chybi dojdzie do wniosku, iż teraz on zrymuje następne *Słońce i Cień*.

— O, bogowie — jęknął Dirk — nigdy mi to na myśl nie przyszło. Myślicie, że mógłbym się jej teraz pozbyć?

Talia zmierzyła go uważnym spojrzeniem.

— Moglibyśmy się tutaj straszliwie pokłócić. — Uniosła butelkę wina, oceniając jej ciężar. — Tym nabiłabym pięknego guza na jego czaszce, nie mówiąc już o czerwonym winie, które po jej rozbiciu, malowniczo rozprysłoby się na jego

nieskazitelnie białym aksamicie. — Zastanowiła się nad tym dłuższą chwilę. — Nie, to na nic. Mogłabym się sama przy okazji poplamić. Na dodatek, gdyby padł bez czucia, kto by mnie odniósł do mojej izby?

— A ja, jeśli się jej pozbędę, z kim będę spał tej nocy? — dodał Dirk i Talia roześmiała się. — Wybacz, Elcarth. Musisz to jakoś ścierpieć. Co możemy dla ciebie zrobić?

— Właściwie, jest coś takiego. Chciałem was powiadomić, co Krąg postanowił w sprawie przydziału Dirka.

Talia zeszywniała lekko, jednak nie dała po sobie poznać, że czeka z obawą na to, co Elcarth powie.

— Po pierwsze, odchodzę w stan spoczynku i nie będę już dziekanem. Zamierzam działać jako historyk, jednak obie posady naraz to nieco za wiele, bym mógł temu podołać. Obawiam się, że mam o wiele więcej lat, niż na to wyglądam, i wiek zaczyna dawać o sobie znać. Zastąpi mnie Teren, a ty, Dirku, obejmiesz posadę Terena, jako nauczyciel orientacji, jednak dalej będziesz szkolił uczniów w posługiwaniu się ich darami.

Talia była zdumiona. Spodziewała się usłyszeć, że Dirk otrzymał nowego partnera, albo że wysyłają go na kolejny patrol. Już nawet jako tako oswoiła się z tą myślą. Powtarzała sobie, iż mieć go przy sobie na krótko to i tak o całe niebo lepiej, niż nie mieć go wcale.

— Elcarth, nie mówisz chyba poważnie — oburzył się Dirk. — Nie jestem uczonym, wiesz o tym najlepiej! Jeśli Krąg stara się wyrządzić nam przysługę i przykłada do nas ulgową miarę...

— Wolelibyśmy, żeby tak nie było — dokończyła za niego Talia.

— Moje kochane dzieci! Za nic na świecie. Dirku, wciąż możesz się spodziewać wyznaczania ciebie do specjalnych zadań, tak jak do tej pory. Nie popełniaj takiej omyłki. My rezygnujemy jedynie z wysyłania ciebie na patrole do trudnych obwodów. Wybraliśmy ciebie na miejsce Terena z tego samego powodu, dla którego on zastąpił Werdę na posadzie nauczyciela orientacji — bo umiejętnie radzisz sobie z dziećmi. Oboje potraficie zaopiekować się zagubionymi, przerażonymi dziećmi i otoczyć je ciepłem, natchnąć pewnością siebie i przekonać, że to jest ich miejsce i że są wśród przyjaciół. Dirku, okazujesz to za każdym razem, ucząc posługiwania się darami. Spójrz, jak wychowałeś Gryffona, wzbudzając w nim pewność siebie i ani razu nie dając poznać, że jego dar jest czymś przerażającym i niebezpiecznym. Toż to był przykład prawdziwego mistrzostwa. Spójrz, jaki jest tego wynik! Gryffon ufa ci całkowicie, łączy się z tobą swymi zmysłami, nie pytając, co i jak, i kiedy. Zaufał ci, wykonywał bez zastrzeżeń twoje polecenia i teraz jest opiewanym w pieśniach bohaterem Bitwy Demonów. Tego rodzaju umiejętności u nauczycieli są o wiele rzadsze niż szkolarzowanie, a bardzo są nam

potrzebne. A więc, niech już nie słyszę nic o „wyrządzaniu przysług”, dobrze?

Dirk westchnął z ulgą, mocniej otoczył ramieniem Talię. Podziękowała Elcarthowi, spojrzawszy na niego rozjaśnionymi radością oczyma. Żadne słowa nie były potrzebne.

— To jeszcze nie wszystko. Będziecie dodatkowo pracowali z Kyrilem: Dirk stale, a Talia, gdy czas jej na to pozwoli. To był pierwszy znany przypadek, by Towarzysze z rozmysłem wspomogli kogokolwiek swymi umiejętnościami. Do-
tąd można było o tym przeczytać w kronikach tak starych, że trudno jest w nich oddzielić baśń od prawdy. Chcielibyśmy wiedzieć, czy każdy z heroldów ma taką możliwość, czy to możecie robić tylko ty i Elspeth, a może jedynie wasi Towarzysze. Zanim Kyril z wami skończy, nieraz zatęsknicie do patrolu w polu!

Oboje zaśmiali się z niejakim smutkiem. Kyril nie oszczędzał siebie, prowadząc badania darów heroldów, i nie okaże im najmniejszej litości.

— I na koniec, przynoszę wam prezent ślubny w imieniu Kręgu: przez następne dwa tygodnie jesteście wolni i możecie robić, co się wam podoba. Tak długo możemy się bez was obejść. Talia nie może jednak zaniedbać swych spotkań z uzdrowicielami, lecz nie licząc tego... Ha, możecie zniknąć na kilka dni, kiedy wam na to przyjdzie ochota, nikt was nie będzie szukać. Talio, co prawda, nie jesteś w stanie chodzić, możesz wszakże jeździć! Jednak nie zapomnij uzgodnić wszystkiego z uzdrowicielami. Ostatnia rzecz, o jakiej marzę to, by Devan zapragnął mojej głowy! Ten człowiek to prawdziwy okrutnik!

Talia roześmiała się. Widząc pełen zadumy błysk w oku Dirka, domyśliła się, że jemu już chodzi po głowie, gdzie by się mogli udać. Rozmawiali jeszcze uprzejmie i Elcarth, który był już historykiem, a przestał być dziekanem — do czego nie tak łatwo było się przyzwyczaić — pożegnał się z nimi.

Dirk potrząsnął z niedowierzaniem głową.

— Nigdy nie widziałem siebie w roli nauczyciela — powiedział cicho. — To zawsze Kr...

Zamilkł, nie dopowiadając imienia do końca.

— To zawsze Kris chciał zostać nauczycielem — dokończyła Talia, patrząc na niego uważnie. — Unikałeś rozmowy o nim, kochany. Dlaczego?

— Ze strachu — odparł szczerze. — Ze strachu, że zranię ciebie... ze strachu, że zranię siebie. Ja... ja wciąż naprawdę nie wiem, co was łączyło...

— Wystarczyło zapytać — powiedziała cicho i palcami swych zmysłów łagodnie splotła swe myśli z jego.

Po chwili spojrzął w jej oczy i uśmiechnął się.

— A ty powiadasz, że uczucia wykluczają jasne porozumienie. A więc to było tak?

Skinęła głową.

— Ni mniej, ni więcej. Starał się ci o tym powiedzieć, ale ty nie chciałeś słuchać.

— Nie chciałem, prawda? — Westchnął. — Bogowie, brak mi go. Tak bardzo mi go brak. . .

— Utraciliśmy coś więcej niż tylko przyjaciela — powiedziała, wahając się jakich użyć słów. — Myślę. . . myślę, że utraciliśmy jakby część siebie.

Długo milczał.

— Talio, co się stało po jego śmierci? Mówiłaś o tak dziwnych rzeczach, gdy odpowiedziałaś na moje wołanie i wróciłaś do nas.

Potrząsnęła głową lekko i w zamyśleniu zmarszczyła brew.

— Kochanie, nie jestem pewna. To nie jest takie jasne. Ból, gorączka, sny wywołane przez specyfik wszystko pomieszały. Mogę jedynie powiedzieć, że pragnęłam umrzeć i powinnam była umrzeć, jednak coś nie pozwalało mi na to.

— Albo ktoś.

— Albo ktoś — zgodziła się. — Może to był Kris. Moja pamięć podsuwa mi, że to był on.

— Jestem mu winien wdzięczność za wiele, nie tylko to — rzucił Dirk w zamyśleniu.

— Hm?

— Nauczyłaś się od niego miłości, zanim te bestie zraniły ciebie.

— To pomogło — przyznała po długiej chwili spędzonej w ciszy.

— Kochana, czy nie boisz się tego? — przerwał milczenie. — Jesteś pewna?

Zamiast odpowiedzi pocałowała go, nie opuszczając jego myśli. Kiedy przezwali, by zacerpnąć powietrza, zaśmiał się uspokojony.

— Rozpustnica — dodał.

— Co najmniej — zgodziła się, a potem spoważniała.

— Blizny pozostały, ale i tobie ich nie brak. Rany zagoiły się. Nie jestem jedynym uzdrowicielem umysłów, wiesz przecież; tylko jedynym, który jest jednocześnie heroldem. Rynee jest doskonała, tak dobra jak ja. Poza tym nie zgadzam się, by to, co mnie spotkało, miało zrujnować nasz związek. I, prawdę powiedziawszy, oni skrzywdzili moje ciało, lecz mnie nie dotknęli. To, co tobie się przydarzyło, było czymś znacznie gorszym. Naril zgwałciła twoją duszę.

— Ta rana też się już zagoiła — powiedział cicho.

— Zatem niech to utonie w niepamięci. Nikomu nie udaje się przejść przez życie, nie nabawiwszy się przy tym blizn.

— Talia usadowiła się bliżej niego, widząc, że ktoś znów zbliża się do nich z życzeniami.

Nagle usiadła sztywno wyprostowana.

— O bogowie!

— Co takiego? — przestraszył się Dirk, lecz nie dostrzegł w jej twarzy oznak bólu. — Co się stało?

— Podczas mojego patrolu. . . ta sprawa z Maeven, Pogodową Wiedźmą. . . Ona wywróżyła mi coś, a ja nie potrafiłam wtedy domyślić się, o co chodzi. Teraz

wiem! Powiedziała, że zobaczę Niebiosa, lecz że miłość i obowiązek zawrócą mnie z drogi... i...

Zamilkła wzruszona.

— I? — dopytywał się łagodnie.

— Że... do największej radości dojdę poprzez najgłębszy smutek. Och, bogowie... gdybym o tym wiedziała... gdybym się domyśliła...

— Nie można przewidzieć tego, co nas spotyka — odparł Dirk z taką mocą, że Talia otrząsnęła się z żalu i spojrzała na niego. — Nikt tego nie potrafi. I nigdy nie obwiniaj siebie. Czy nie sądzisz, że mając tylu wróżów w szeregach heroldów, jeśliby można było zmienić bieg wypadków, nie uczyniono by tego?

Westchnęła i uspokoiła się.

— Masz rację... — powiedziała powoli. — Masz rację.

Uroczystości trwały jeszcze długo po zmierzchu, lecz w końcu pojedynczo i parami goście zaczęli wychodzić. Niektórzy udawali się na inne przyjęcia — Talia i Dirk wiedzieli, że heroldowie gdzieś musieli je sobie urządzić. Niektórzy mieli na głowie inne sprawy. W końcu młoda para została sama, lecz wcale nie byli z tego powodu niezadowoleni.

Talia oparła się na ramieniu Dirka, który przytulił ją do siebie obydwoma rękami, i spojrzała na wschodzące gwiazdy.

— Zaczyna być coraz chłodniej — odezwała się w końcu.

— Zimno ci?

— Trochę.

— No cóż — roześmiał się — nie ma co, z łatwością możemy się niepostrzeżenie oddalić.

— Jestem przekonana, że to naumyślnie. Wiwaty były doprawdy krępujące.

— Mogło być gorzej. Pomyśl o platformie obsypanej kwieciami! Pomyśl o Towarzyszach w Wielkiej Świątyni! Pomyśl o naturalnej wielkości naszych figurach z cukru!

— Lepiej nie! — zaśmiała się.

— Gotowa do drogi?

— Tak — powiedziała, chwytając się jego szyi tak, by mógł ją unieść.

Zaniósł ją do jej izby — teraz już ich wspólnej izby — tym razem jednak nie po trzy schody na raz, lecz powoli i ostrożnie po jednym.

Oboje ze zdumieniem ujrzeni, że na szczycie schodów, na najwyższym stopniu siedzi Elspeth.

— A cóż ty tu, u licha, porabiasz? — zapytał Dirk.

— Strzegę waszego progu, o dostojny. To pomyśl uczniów. Pilnujemy go na zmianę od rana, kiedy wyszłicie. Oczywiście nie podczas ceremonii, ale wtedy

zastawiliśmy pułapki. Nikogo nie podejrzewamy, zwróćcie uwagę, jednak woleliśmy się upewnić, iż nikomu do głowy nie wpadnie pomysł jakiejś psoty podczas waszej nieobecności. Doprawdy, niektórzy mają obrzydliwe poczucie humoru. W każdym razie, taki był nasz ślubny prezent — i z tym słowami zbiegła po schodach, nie czekając na słowa wdzięczności.

— Troskliwe serduszko — powiedziała cicho Talia. — Pewnego dnia będzie z niej dobra królowa.

Dirk otworzył drzwi czubkiem buta, położył Talię ostrożnie na sofie i odwrócił się, by zamknąć zasuwę.

— Nikogo nie podejrzewam — powiedział z błyskiem w oku — jednak pewne twoje wcześniejsze dokonania zmuszają mnie, bym się upewnił, że nikt nam nie przeszkodzi.

— Jeszcze nie — powiedziała z uśmiechem. — Najpierw mam dla ciebie prezent panny młodej.

— Co takiego?

— To jedyny dobry zwyczaj mojego ludu. Panna młoda zawsze ma prezent dla swego męża. Leży tutaj na kominku.

— Ależ... — Przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa. — Talio, to jest „Moja Pani”. Ona jest twoją harfą. Nie mógłbym jej przyjąć!

— Spójrz jeszcze raz!

Zrobił to i stwierdził, że w kącie stoi ukryta w cieniu druga harfa. Postawił je obie obok siebie w świetle i badawczo im się przyjrzał.

— Nie mogę ich odróżnić — przyznał w końcu.

— A ja tak, w końcu mam „Moją Panią” od lat. Jak nikt znam w niej każdy słój. One są bliźniaczymi harfami, wyszły spod tej samej ręki, zrobione są z tego samego drzewa, mają nawet tyle samo lat. Nie... — Podniosła ostrzegawczo dłoń. — Nie pytaj, gdzie ją znalazłam. To mój sekret. Jednak w zamian za nią musisz obiecać, że nauczysz mnie grać na „Mojej Pani” tak, jak ona na to zasługuje.

— Z radością. Możemy grać w duecie, tak...

— Tak jak ty i Kris — dokończyła, skoro on nie mógł. — Kochany, myślę, że nadszedł czas na ostami dar... — Dotknęła jego umysłu, dzieląc się z nim niewypowiedzianą radością, jaką przeżył Kris, odchodząc.

— Bogowie, o bogowie, co za ulga, ty musisz wiedzieć, co to za ulga — wykrztusił po chwili. — O, gdyby tylko... chciałbym tylko zdobyć pewność, że on o nas wie... o tym, co w tej chwili...

Podniósł Talię z sofie, by przenieść ją do sypialni.

— Jeśli by dano mi jedno życzenie, to brzmiałoby ono tak samo — odparła, przytulając policzek do jego aksamitnej tuniki. — Powiedział mi pewnego razu, że jego najgorętszym pragnieniem jest ujrzeć dwoje ukochanych przez niego ludzi, jak są ze sobą szczęśliwi.

Zamierzała jeszcze coś dodać, lecz owionął ją znajomy aromat i aż ze zdumienia wstrzymała dech.

— Co się stało? Czy coś cię boli? — przestraszył się Dirk.

— Tam... na łożu...

Na środku narzuty, mniej więcej na wysokości serca, leżała gałązka kwiatów zwanych „dziewczęca nadzieja”. Kiedy Dirk położył ją na łożu, Talia podniosła kwiaty trzęsącymi się rękami.

— Czy to ty położyłeś je tutaj? — zapytała drżącym głosem.

— Nie.

— Nikt tutaj nie wchodził od chwili naszego wyjścia... — ciągnęła szeptem. — Kris dał mi ten pierścień w Noc Świętojańską, spinał on bukiet tych właśnie kwiatów. Nigdy nie spotkałam się z tak pięknym zapachem, i Kris obiecał mi, że do mego ślubnego bukietu znajdzie mi gałązkę, nawet jeśli musiał wyhodować ją własnoręcznie... lecz ja nigdy ich nie widziałam w tej okolicy.

— To nie wszystko, ptaszyno — dodał Dirk. Wziął od niej kwiaty i wpatrzył się w nie zamyślonym wzrokiem. — Rozkwitają on na tydzień przed Nocą Świętojańską. A my od dawna mamy już jesień. Nie można ich wyhodować w cieplarni. Ludzie próbowali. Znalezienie nawet jednego, a co dopiero tylu, graniczy z cudem. Żaden człowiek nie mógłby tego dokonać.

Przenieśli wzrok z kwiatów i spojrzeli na siebie. Powoli ich twarze rozjaśnił uśmiech. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie mącił go nawet najlżejszy cień.

Kiedy przygarnął ją do siebie, trzymali kwiaty między sobą.

— Spełniło się nasze życzenie, czy spełnimy i jego? Talia ostrożnie sięgnęła za siebie i włożyła kwiaty do flakonu, który stał na stoliczku obok łoża.

— Tak — szepnęła, swymi zmysłami delikatnie pieszcząc myśli Dirka, w chwili gdy pocałował ją w usta. — Myślę, że należy to zrobić.